

Karen Robards

# NOCNĄ PORĄ

Przełożył  
Mieczysław Dutkiewicz

## Rozdział pierwszy

- A ty dokąd się wybierasz?

Głos matki podziałał na niego jak wizrż paznokci na tablicy. Wzdrygnął się odruchowo. Kiedy odwrócił się do niej, zalała go spieniona fala wrogości.

- Wychodzę.

Nie zdejmował dłoni z klamki, matka zaś stała, gapiąc się na niego, w tym swoim kwiecistym bawełnianym szlafroku, z rękami założonymi na piersiach. Jej ufarbowane na czarno włosy były krótkie i zmierzwione, oliwkową skórę szpeciły zmarszczki, skutek między innymi namiętnego opalania się od pięćdziesięciu pięciu lat. Worki pod oczyma wydawały się teraz, gdy nie tuszował ich makijaż, duże i fioletowe jak winogrona. Szyję miała cienką, pokrytą naroślami, stopy okrywały białe, krótkie skarpetki, nad którymi straszły kościste nogi z grubymi żyłakami wijącymi się poniżej kolan niczym pnącza.

Co za ohyda...

- Już po północy. Nie wyjdiesz o tej porze!

Stali w długiej i wąskiej staroświeckiej kuchni, na podłodze wyłożonej linoleum w ceglasty deseń, obok blatu udającego marmur. Szafki wykonane były ze sklejki udającej dębinę. Środek kuchni zajmował sfatygowany okrągły stół na czterech chybotliwych nogach, na którym królowała miska z zielonymi sztucznymi jabłkami; były tu, odkąd sięgał pamięcią. U sufitu wisiała prosta neonowa lampa, jedyne źródło światła w tym pomieszczeniu.

- Czyżby skończył ci się ten twój środek nasenny, mamó?

Pytanie, wypowiedziane rozwlekłe, zabrzmiało jak szyderstwo. Odwrócił się do niej plecami i nacisnął klamkę. Cholera! A był pewien, że zdoła wyjść, nie budząc jej. Zazwyczaj spała kamiennym snem w sypialni przylegającej do kuchni,

chrapiąc tubalnie. Nieraz nastawiała sobie kanał NBC, aby obejrzeć program Jaya Leno; wołała go od Lettermana. Przeważnie jednak zasypiała wcześniej.

- Powiedziała, że nigdzie nie pójdziesz! Masz dopiero siedemnaście lat i mieszkasz pod moim dachem, a więc musisz się mnie słuchać! Powiem twemu ojcu! - krzyczała piskliwie, niemal histerycznie, kiedy otwierał drzwi i zbiegał tylnymi schodami.

Drzwi zatrzasnęły się, ucinając w połowie jej tyradę.

Powiem ojcu... Ale groźba! Z trudem powstrzymał się od śmiechu. Jego ojciec - szychy w światku prawników - który zarabiał na utrzymanie, stawiając ludzi przed sądem za określony procent zasądzonej sumy, nie zjawiał się w domu przez pięć dni w tygodniu. A kiedy w nim przebywał, interesowały go jedynie dwie sprawy: ile punktów w koszykówce zdobył jego pupilek, Donny junior, oraz czy Donny junior znowu przyniesie ze szkoły świadectwo z samymi celującymi ocenami.

Na niego natomiast, młodszego syna, Wielki Don rzadko zwracał uwagę, a jeszcze rzadziej znajdował czas, aby zamienić z nim choć parę słów.

Minione lata przyniosły wiele dowodów na to, że dla rodziców liczy się tylko Donny; on sam był wobec brata jak cień. Nikt go nie dostrzegał, gdy w pobliżu znajdował się ten złoty chłopiec.

Za to czas po północy należał do niego. Ciepła, wietrzna ciemność wyciągnęła ku niemu przyjazne ramiona, kiedy wyprowadzał z garażu swoją hondę 250. Dosiadł jej i z rykiem silnika wypadł na drogę.

Mknąc do celu, uśmiechał się nieznacznie. Mały braciszek Donny'ego idzie się pobawić.

## Rozdział drugi

Minęła druga w nocy, a łóżko córki pozostawało puste. Gdzie jest Jessica?

Światło z hallu rozlewało się po rozrzuconej na łóżku pościeli, reszta pokoju tonęła w cieniu. Grace Hart nie zamierzała nawet zapalać górnej lampy. Wystarczyły trzy szybkie kroki, by stanęła przy łóżku. Gwałtownym ruchem odchyliła kołdrę, chcąc się upewnić, chociaż aż za dobrze wiedziała, co tam znajdzie: pustkę.

Jessica nie leżała zwinięta w ciasny kłębek pod kwiecistym przykryciem na nogi. Nie było jej też w tweedowym fotelu ani przy złocisto-białym biurku. Nie leżała z poduszką pod głową na dywanie. Grace nie musiała szukać dalej, wiedziała, że córki nie ma też w przyległej do sypialni łazience ani na dole w kuchni...

Piętnastoletnia Jessica wymknęła się z domu.

Znowu.

Boże, myślała Grace, wpatrując się tępo w puste łóżko, co mam robić?

Mogła pytać jedynie Boga, gdyż żyła tu z córką sama. Kochała ją nad życie, z tym większą więc trwogą uświadamiała sobie od jakiegoś czasu, że ją traci. W ciągu dwóch ostatnich miesięcy już po raz trzeci przerywał jej sen jakiś podejrzany dźwięk, koszmar - sama nie wiedziała co. Zrywała się więc z łóżka, aby sprawdzić, czy u córki wszystko w porządku i, niestety, przekonywała się, że nie ma jej w domu.

Jest poniedziałek, noc... Nie, ponad dwie godziny temu zaczął się wtorek. Normalny dzień powszedni. Jessica powinna wstać o 6.45. Ma dziś sprawdzian z hiszpańskiego. Przed pójściem do łóżek Grace całą godzinę przepytывała córkę z

odmiany czasowników. Sprawdzian liczył się podwójnie, a dobry wynik mógł zmienić ocenę z dobrej na celującą i nawet przynieść Jessice dyplom z wyróżnieniem. Obie były przekonane, że uzyskanie takiego dyplomu w szkole średniej ma duże znaczenie, a Grace uznała po tej wspólnie spędzonej godzinie, że Jessica może się go spodziewać. Ale co teraz? Jakim cudem miałyby zaliczyć sprawdzian po nieprzespanej nocy?

Zaledwie to pytanie narodziło się w jej umyśle, uprzytomniła sobie, że ma ważniejsze problemy niż sprawdzian córki. Główny problem to jej brak. Gdzie ona się teraz podziewa?

Mogła się domyślić, z kim przebywa w tym momencie jej córka. Zaledwie miesiąc temu rozpoczęła naukę w szkole średniej, a już znalazła sobie nową paczkę, ekstrapaczkę, jak sama ją określiła. Została też w pełni zaakceptowana przez nowe środowisko. Wszystkie dziewczęta nosiły tu kloszowe džinsy, buty na platformach i topy odsłaniające talię, a włosy malowały w jaskrawe pasemka. (I jak tu nie mówić o *deja vu*: Grace ubierała się podobnie w szkole średniej, nie robiła sobie tylko tych pasemek. Ale Jess twierdziła, że moda z lat siedemdziesiątych jest znowu na czasie). Grace była przekonana, że po tej klice dziewcząt nie można się spodziewać niczego dobrego; z pewnością skończą fatalnie. Przerażała ją myśl o tym, iż Jessica, jej ukochana Jessica, doczeka się wraz z nimi tego samego złego końca. Chyba że uda się ją powstrzymać.

Dotychczasowe wyniki wojny o Jessicę nie napawały otuchą. Matka przegrywała bitwę po bitwie.

Jakiś cichy stukot, po którym rozległ się dziwny furkot, wyrwał ją z zamyślenia.

- Jessica?

Żadnej odpowiedzi.

W tym momencie zidentyfikowała źródło dźwięku: to Godzilla w swoim

kołowrotku. Tłusty złoty chomik, którego klatka stała na biblioteczce, biegł wytrwale, nieświadomy nieobecności swojej pani.

- Gdzie ona jest, jak myślisz? - szepnęła Grace.

Godzilla beztrąsko kontynuował swój bieg. Grace ofuknęła siebie w duchu. Rozmowa z chomikiem to zachowanie dość żalosne, pomyślała, a jeszcze żałośniejsza wydaje się sytuacja, gdy w krytycznym momencie można pogadać jedynie z nim, bo w pobliżu nie ma nikogo innego. W wieku trzydziestu sześciu lat miała prócz córki siostrę, ojca, byłego męża i wcale liczne grono przyjaciół oraz znajomych, nikogo jednak, do kogo mogłaby po prostu zatelefonować o drugiej w nocy, żeby pogadać. Model stosunków z tymi ludźmi był ustalony już od lat: to ona wysłuchiwała ich opowieści o różnych problemach, nigdy odwrotnie. To ona była osobą silną. Ona wiedziała zawsze, jak wyjść z kłopotów, jak kontrolować życie.

Zazwyczaj dawała sobie z tym radę. Aż do dziś.

Podeszła do jednego z dwóch wysokich okien wychodzących na podwórze, rozsunęła udrapowane zasłony w różową kratkę, przywarła czołem do zimnej szyby i zamknęła oczy.

Co robię nie tak jak należy?

To niewypowiedziane na głos pytanie powracało rytmicznie wraz z pulsowaniem w głowie. Aby uśmierzyć jakoś to drażniące dudnienie, potarła skronie czubkami palców, a następnie w geście rozpaczki przeczesła sobie oburącz krótkie kasztanowate włosy w blond pasemka.

Tak bardzo ją kocham! Staram się jak tylko mogę! Co robię nie tak jak należy?

Od jakiegoś czasu kierowała pracami sądu rodzinnego oraz dla nieletnich w hrabstwie Franklin, miała więc do czynienia z problemami dzieci na co dzień. Rzadko zdarzało jej się rozpatrywać sprawę, w której nie chodziło o młodocianych pozbawionych właściwego nadzoru. Zazwyczaj problem dziecka odzwierciedlał

mniej lub bardziej poważny kryzys w rodzinie.

Czy właśnie dlatego nie mogła się zdobyć na to, by przyznać, że jej córka stacza się po tej samej równi pochyłej co dzieciaki, które stają przed nią w sądzie każdego dnia? Bo w tym wypadku musiałaby obarczyć winą samą siebie? Czyż nie jest faktem, że jako matka zawiodła tak samo jak rodzice dzieci doprowadzanych na jej salę sądową?

Tak bardzo kocha swoją córkę! Dla niej mogłaby nawet zabić. Skoczyć w ogień. Na sukcesy, jakie osiągała w życiu, pracowała zawsze z myślą o Jessice. A więc jak do tego doszło? Dlaczego? Jak to możliwe, że chociaż starała się dawać córce wszystko, czego sama pragnęła jako dziecko, teraz czuła, że ją traci? Czyżby Jessica wpadła w jakieś pijackie towarzystwo? Ten nowy powód do lęku nieoczekiwanie wtargnął do jej umysłu, wypierając inne myśli, niczym gwałtowna fala przyływu, która zmywa zbudowane na plaży zamki z piasku. Jessica musi na siebie uważać - a jednak nie jest dość ostrożna. Nie chce być.

Kiedy ostatnim razem wymknęła się z domu, aby wybrać się gdzieś ze swoją paczką, czuć było potem od niej alkohol. Twierdziła jednak, że upiła tylko kilka łyków piwa z puszki przyjaciółki, a zapach wziął się stąd, że ktoś oblał ją resztą trunku.

Choć Grace dałaby wiele, aby móc uwierzyć córce, ta historyjka nie brzmiała wiarygodnie. Gdyby jakieś inne dziecko tłumaczyło się podobnie w sądzie, nie przyjęłaby takiego usprawiedliwienia.

Świadomość, że okłamuje ją własna córka, bolała. Bolała wtedy, sprawiała ból również teraz. Ale wtedy obok bólu tliła się jeszcze nikła nadzieja, że w tych słowach jest trochę prawdy.

Wielki błąd. Nie popełni go po raz drugi. Nie będzie już dobrej mamusi dla panny Jess. Tym razem trzeba opuścić szlaban.

Ale chwilowo jest bezsilna. Pozostaje tylko czekać na powrót córki. Czekać i

umierać z lęku o nią.

Grace otworzyła oczy. Z tego okna na pierwszym piętrze miała dobry widok na pół tuzina ciemnych sylwetek domów, wznoszących się na wschód i zachód wzdłuż ich ulicy, Spring Hill Lane. Niewysokie, bo jednopiętrowe rezydencje, zbudowane w latach dwudziestych i trzydziestych, wtulały się w półakrowe lub nieco większe posesje usiane drzewami. Ich własny dom, o ścianach szalowanych wąskimi białymi deskami i dwóch kondygnacjach wysokich na trzy metry każda, ozdobiony z zewnątrz zielonymi okiennicami, harmonizował doskonale z sąsiednimi domostwami, chociaż żadnego z nich nie zbudowano w tym samym stylu. Bexley, stara dzielnica Columbus w stanie Ohio, cieszyła się dobrą reputacją. Właśnie dlatego Grace uznała ją za idealne miejsce, gdzie może wychowywać córkę.

Wysokie dęby i wiązy na podwórzu zakołysały się lekko, kiedy podmuch wiatru uderzył w ich konary. Chmara strąconych liści zawirowała w powietrzu. Długie cienie rzucane przez wiszący wysoko na niebie księżyc przesunęły się i zlały z ciemnym pasem żywopłotu z ligustru, który oddzielał podwórze od ulicy.

Spod przeciwległej ściany pokoju dobiegał jednostajny odgłos wirującego kołowrotka, w którym biegł Godzilla. O dziwo, ten dźwięk dodawał jej teraz otuchy. Oznaczał, że nie jest w domu całkiem sama.

Z Jess wszystko będzie w porządku.

Musiała powtarzać to sobie bezustannie. Dobrze przynajmniej, że córka nie błąka się teraz na zimnie ani deszczu. I zapewne nie jest sama.

Raczej ona, jej matka, jest sama. I zagubiona. I przerażona.

Za oknem cienie tańczyły z wiatrem, pomykając po trawie. Jeden z nich odłączył się od reszty, sunął teraz jakby samoistnie w odległy zakątek podwórza. Grace aż zamrugała oczyma zdumiona i dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że patrzy na kogoś, kto oddala się od domu, idąc w stronę niedużej furtki z kutego



żelaza w żywopłocie.

Jess albo któraś z jej przyjaciółek. Na pewno. A więc wreszcie przyłapała córkę na tym, że chyłkiem wymyka się z domu.

Grace odwróciła się na pięcie i zbiegła schodami na dół. Bose stopy mknęły bezszelestnie po puszystym jak mech, zielonym dywanie w górnym korytarzu i na schodach, a potem odrobinę głośniejsz po orientalnym bieżniku i lśniącym jak lustro parkiecie w głównym hallu. Drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz; uprzytomniła to sobie, przekręcając gałkę. Jess nigdy by nie wyszła z domu, zostawiając otwarte drzwi. Obie pilnowały tego bardzo skrupulatnie, mając świadomość, że mieszkają tu same, dwie kobiety zdane wyłącznie na siebie.

Czy to możliwe, że Jess znajdowała się cały czas w pobliżu, na ganku lub na podwórzu?

Gwałtownym szarpnięciem Grace otworzyła drzwi i wybiegła na ganek, czując pod stopami zimną gładź betonowych płyt. Wiklinowa huśtawka zaskrzypiała pod naporem wiatru. Poruszyły się także bujane fotele, jakby pchnęła je niewidzialna siła. Grace gorączkowo rozejrzała się dokoła, ale nie dostrzegła nigdzie córki. Stała na szczycie schodków wiodących na podwórze.

- Jessica!

Bezwiednie zacisnęła dłoń na zimnej żelaznej poręczy, odruchowo zniżyła trochę głos, nie chcąc budzić sąsiadów. Panujące ciemności i gra cieni utrudniały orientację, wydało jej się jednak, że biegnąca ku furtce postać przystanęła, a nawet odwróciła się i spojrzała za siebie. Zimny blask księżyca na krótki moment wydobył z mroku bladą owalną twarz.

- Jessico, wracaj natychmiast!

Jeśli istniało coś pośredniego między sykiem i krzykiem, to taki właśnie głos wydobył się z ust Grace, kiedy zbiegła ze schodków, wzywając córkę energicznym gestem dłoni.

Jessica usłyszała ją i ujrzała, w przeciwnym razie pobiegłaby dalej, ona zaś stała bez ruchu i nadal patrzyła za siebie. Grace odetchnęła z ulgą; jak dobrze, że nie musi krzyżeć na całą okolicę.

Uczyłaby to, gdyby nie było innego wyjścia.

Dwa podwórka dalej odezwał się pies, terier szkocki. Skomlał piskliwie, żałośnie. Widocznie zapomniano wpuścić go na noc do domu, ku utrapieniu sąsiadów.

W chwili, kiedy Grace stanęła na brukowanej cegłą ścieżce u podnóża schodów, w Jessicę znowu wstąpiło życie. Odwróciła się, zwinnie jak sarna przemknęła po trawie, otworzyła furtkę i na łeb, na szyję pomknęła ulicą.

Grace, zaskoczona tak jaskrawym przejawem buntu, potrzebowała paru chwil, aby dojść do siebie. Nie przejmując się tym, że jest boso, ani skąpym strojem, jako iż miała na sobie jedynie nocą koszulę, ruszyła w pościg.

- Jessica!

Sprężysta trawa kłuła w stopy, ziemia była wilgotna, ale niezbyt zimna, po rozszanych tu i ówdzie opadłych liściach nogi ślizgały się niebezpiecznie. W balsamicznym nocnym powietrzu wyczuwało się jeszcze woń dymu po wieczornym paleniu listowia. Grace nastąpiła na ostry patyk i krzyknęła z bólu, ale nie zatrzymała się. Nie do wiary: Jessica uciekała od niej!

- Jessica!

Grace, znalazłszy się wreszcie przy furtce, otworzyła ją jednym szarpnięciem i wypadła na zewnątrz. Pod prawą stopą poczuła nagle coś miękkiego, wypukłego i puszystego. Coś, co potoczyło się, kiedy na to stąpnęła. Grace straciła równowagę i przewróciła się, lądując ciężko na asfaltowej drodze. Kolana i dłonie przeszył ostry ból. Krzyknęła głośno.

Jessica odwróciła się, ale nie przystanęła nawet na moment. Dotarła już niemal do zakrętu; jeszcze trochę i zniknie z pola widzenia! A Grace, dysząc

ciężko z wysiłku, mogła tylko patrzeć za nią i zżymać się ze złości.

Dziewczyna przebiegała właśnie przez wąską, jasną smugę poświaty księżyca, przecinającą drogę. Nareszcie była dobrze oświetlona. Grace nie wierzyła własnym oczom: dziewczyna, którą ścigała tak zapamiętale, wcale nie była Jessicą.

Ciemna kurtka sięgająca bioder i ciemna wełniana czapka nie należały do Jess. Jess nie była taka wysoka ani taka masywna. Jess nie poruszała się w ten sposób. To nie była Jessica!

Kimkolwiek była ta dziewczyna, znikła już za zakrętem.

Upłynęła długa chwila, zanim Grace zdołała oderwać wzrok od miejsca, gdzie po raz ostatni widziała dziewczynę. Następną rzeczą, którą mimo zamętu w głowie zarejestrowała jej świadomość, był miękki, puszysty przedmiot, przez który przewróciła się przed chwilą i który leżał teraz w odległości kilkunastu centymetrów od jej prawej dłoni.

Pluszowy miś.

Należał do Jess; miała go zawsze, od dzieciństwa. Uwielbiała go. Jeszcze ostatniego wieczoru, kiedy Grace całowała córkę na dobranoc, widziała go, jak stoi na nocnej szafce, aby czuwać nad spokojnym snem Jess.

A teraz leżał w trawie tuż przy drodze, wpatrzony swoimi paciorkowatymi oczkami w nocne niebo.

## Rozdział trzeci

- O której widziała pani córkę po raz ostatni, sędzino Hart? - Siwowłosa sześćdziesięcioletni policjant, J.D. Gelinsky, jak informowała plakietka na kieszeni niebieskiego munduru, był uprzejmy, nawet pełen szacunku, na co zresztą Grace zasługiwała jako przedstawicielka lokalnej władzy sądowniczej. Nie znała go, była jednak niemal pewna, że musiała go widzieć w gmachu sądu raz czy drugi. Bexley miało swój posterunek policji. Nawet w tak małym miasteczku należało dbać o ład na drogach oraz zajmować się drobnymi naruszeniami prawa, ale Grace nie widywała ich często w sądzie rodzinnym i dla nieletnich. W każdym razie ten funkcjonariusz najwidoczniej ją znał, co miało na pewno swoje dobre strony, ale i złe. Jako pedantka w sprawach papierkowych i pod względem punktualności cieszyła się opinią osoby wymagającej i surowej. Nie wszyscy gliniarze doceniali te cechy, zwłaszcza jeśli sami mieli skłonność do spóźniania się lub niedbałego przygotowywania spraw.

Grace oblizwała zaschnięte wargi. Starła się prezentować chłodną, profesjonalną postawę, ale w tym momencie nie czuła się wcale jak sędzia, raczej jak matka. Coraz bardziej przerażona matka, której ukochana jedynaczka zaginęła. Matka, która zbudziła się w środku nocy i zorientowała, że po pierwsze, córki nie ma w domu, a po drugie, jakaś obca osoba wybiegła stąd na ulicę.

Możliwe, że jedno z drugim nie miało nic wspólnego.

Wzdrygnęła się; nadal nękało ją złe przeczucie, to samo, które przedtem skłoniło ją do wezwania policji.

Czy Jessica po prostu wymknęła się znowu z domu, czy może przytrafiło jej się coś znacznie gorszego? Nie można było wykluczyć tej pierwszej możliwości,

ale intuicja matki nakazywała stan pogotowia. Grace czuła, że Jessica znalazła się w niebezpieczeństwie.

- Około dziesiątej. Weszłam do sypialni, żeby pocałować ją na dobranoc.

Jej spokojny głos kłócił się z nerwowymi ruchami palców, które raz po raz wbijała głęboko w brązowe futro pluszowego misia leżącego na jej kolanach. Dłonie, podrapane w czasie upadku, piekły, podobnie jak otarte kolana. Odziana w spiesznie narzucone spodnie w kolorze khaki, czarny golf i czarne klapki, Grace siedziała na złocistej adamaszkowej kanapie w salonie; usadowiła się na niej na samym brzeżku, jakby miała lada chwila zerwać się na równe nogi. Funkcjonariusz Gelinsky natomiast rozsiadł się wygodnie w fotelu naprzeciw niej, z długopisem w rękę i notatnikiem na kolanach, nie spuszczając z niej wzroku. Jego opanowanie wytrącało ją z równowagi. Zachowywał się tak, jakby zniknięcie Jess było sprawą nie większej wagi niż jakieś włamanie lub kradzież samochodu.

Coraz bardziej doskwierał jej chłód, przenikający ciało do kości. Dziwne. Jeszcze niedawno twierdziłaby, że w domu jest ciepło. Dopiero gdy odkryła nieobecność Jess, zaczęła się czuć, jakby przebywała we wnętrzu lodówki.

Może, rozmyślała, próbując odzyskać samokontrolę, ziąb w tym pokoju ma coś wspólnego z jego zimną kolorystyką: ścianami utrzymanymi w głębokim niebieskim kolorze porcelany Wedgwood, ciężkimi jedwabnymi kotarami w niebiesko-złote pasy oraz dywanem, w którym także dominowała barwa niebieska. Całości dopełniały ciemna błyszcząca klepka, widoczna na obrzeżach przy ścianach, i biały marmurowy gzyms kominka. Wszystko w tym pokoju było lśniące, nieskazitelne i wydawało się zimne w dotyku. Jedyne ciepły akcent stanowił zawieszony nad kominkiem pastelowy portret sześciolatniej Jess. Jess z jasnokasztanowatymi włosami zebranymi w dwa warkoczyki, w bezrękawniku narzuconym na żółtą sukienkę w białą pepitkę. Jess o poważnym spojrzeniu dużych niebieskich oczu, takich jak u matki.

Grace mimo woli ustawicznie zerknęła na obraz i za każdym razem czuła większy ucisk w sercu. Gdzie jest teraz Jessica?

- I była wtedy w łóżku?

Zrelacjonowała to wszystko już przedtem, kiedy tylko zjawił się Gelinsky ze swą partnerką. Teraz ta na oko trzydziestokilkuletnia blondynka, której Grace z pewnością nie znała, przeszukiwała na górze pokój Jess, a Gelinsky powtórnie wypytywał o wydarzenia ostatniej nocy.

- Tak. Leżała w łóżku.

- Dlaczego więc poszła tam pani po raz drugi?

- Sama nie wiem. Obudziłam się, nie mam pojęcia dlaczego. I poszłam do niej. Ale jej nie było już w pokoju. - Grace odruchowo ścisnęła mocniej pluszowego misia, nie zważając na piekące dłonie. Pan Miś, tak nazywała go zawsze Jess. Znowu zerknęła na portret i poczuła dławienie w gardle. - Jessica... To jest jej pluszowy miś. Zawsze siedział na nocnym stoliku przy jej łóżku. Ale dzisiejszej nocy leżał na poboczu drogi. Nadepnęłam na niego. Musiał go zgubić człowiek, który uciekał przede mną. A więc był na pewno w jej pokoju. Boję się, czy nie wyrządził krzywdy mojej córce.

Rosnący lęk pogłębił alarmistyczny ton jej głosu.

- Proszę się nie martwić, sędzino Hart. Znajdziemy ją. Powiadomiłem już centralę, o zniknięciu pani córki wiedzą wszystkie jednostki. To sprawa priorytetowa. - Opuścił wzrok na notes, odchrząknął. - Powiada pani, że mężczyzna, który uciekał... bo to mężczyzna, nieprawdaż?... był sam, czy tak?

Grace odetchnęła głęboko, starając się zachować spokój. W pamięci odżyły nagle przerażające wizje Jon-Benet Ramsey, opowieści o zaginionym dziecku, o znalezionym później ciele...

Nie bądź niemądra, zganiała siebie w duchu.

- Kimkolwiek był ten człowiek, był sam. Wydawało mi się, że to mężczyzna,

jednak nie jestem tego pewna na sto procent. Mogę się mylić.

- Ale pani córki nie było przy nim?

- Nie. Z całą pewnością nie.

- I twierdzi pani, że córka opuszczała już przedtem dom nocą, nie informując pani o tym?

To wyznanie okazało się dla niej teraz nie mniej upokarzające niż za pierwszym razem.

- Tak. W ciągu ostatnich miesięcy wymknęła się z domu dwukrotnie. W tym roku zmieniła szkołę i...

Urwała na widok jasnowłosej policjantki, która weszła właśnie do salonu.

- Nie ma pani nic przeciw temu, żebym obejrzała też resztę domu? - zapytała. Jak informował identyfikator, nazywała się Sarah Ayres.

- Nie, oczywiście, proszę bardzo. Czy chciałaby pani, abym ją oprowadziła? Sarah Ayres wymieniła spojrzenia ze swoim partnerem.

- Nie, dziękuję, poradzę sobie sama - mruknęła i wyszła z pokoju.

Zimny pot wystąpił na czoło Grace.

- Kiedy wybiegła pani z domu... frontowymi drzwiami, jeśli dobrze zrozumiałem, nieprawdaż?... były one zamknięte? - Gelinsky zajrzał do notatek.

- Nie, otwarte. Zanim położyłam się spać, sprawdziłam, że są zamknięte, ale potem były otwarte.

- Możemy więc przyjąć, że ten... osobnik... który przed panią uciekał, znajdował się przedtem w tym domu.

- Tak. Świadczy o tym również ten pluszowy miś. To miś mojej córki. Ktokolwiek tu był, musiał go zabrać z jej sypialni. Potem, uciekając przede mną, zgubił go. Nie mogło być inaczej.

- Chyba że to pani córka wyniosła misia na zewnątrz i upuściła niechcący. Dzisiejszej nocy albo wcześniej.

Grace potrząsnęła głową.

- Jess kocha swojego Pana Misia. Kiedy zasypiała, leżał na jej nocnej szafce, jestem tego pewna. Jak i tego, że nie wyniosłaby go z domu w środku nocy i nie upuściłaby na ziemię.

- Hmm... - Gelinsky ponownie zajrzał do notatek. Kiedy po chwili podniósł wzrok na Grace, na jego twarzy malował się wyraz skupienia. - Jak można określić stosunki panujące między panią i córką, sędzino Hart?

Pytanie właściwie nie zaskoczyło Grace. Rozmowa musiała przybrać taki obrót; koszmar nie mógł się skończyć zbyt prędko. Zwilżyła językiem spieczone wargi.

- Cóż... są dobre. Bardzo dobre. Przeważnie takie są. Wprawdzie zdarzają się nieraz różnice zdań... zwłaszcza odkąd nie jest już dzieckiem, ale...

Ktoś zastukał do drzwi frontowych. Grace i Gelinsky spojrzeli w tamtą stronę i jednocześnie wstali.

- Otworzę. - Grace rzuciła misia na kanapę i szybkim krokiem przeszła do hallu. Gelinsky podążył za nią.

Pukanie powtórzyło się w chwili, kiedy Grace zacisnęła dłoń na mosiężnej gałce i przekręciła ją. Światło zapalone na ganku (w domu świeciły się teraz wszystkie lampy, co skłoniło sąsiada z naprzeciwka do upewnienia się telefonicznie, czy wszystko w porządku) pozwalało dokładnie obejrzeć mężczyznę, który stał po drugiej stronie metalowej siatki przed wejściem. Był krępy, miał gęste czarne włosy, a bujna broda zakrywała dolną część twarzy. Ponieważ stał plecami do światła, widziała tylko błysk jego oczu. Miał na sobie sfatygowaną zieloną kurtkę wojskową, dżinsy i niemodne białe tenisówki.

- Pani Hart? Eee... sędzina Hart? - zapytał, kierując wzrok za nią, zapewne na Gelinsky'ego, po czym przeniósł spojrzenie ponownie na jej twarz.

- Tak? - Odruchowo uniosła rękę do szyi. Czyżby złe wieści? Podobno tak to



się właśnie odbywa: policjant puka do drzwi i... Dobry Boże, błagam, tylko nie to, modliła się bezgłośnie. Nie Jessica...

- Detektyw Dominik Marino z policji hrabstwa Franklin. Mam w samochodzie młodą kobietę, zdaje się, że to pani córka.

- Co? - Ulga, jaką odczuła, była tak intensywna, że ugięły się pod nią kolana. Mocniej zacisnęła dłoń na gałce, jakby potrzebowała takiej podpory, ale po chwili cofnęła rękę. - Dzięki ci, Boże! Nic jej nie jest?

Minęła go szybkim krokiem, nie czekając, aż odpowie i odsunie się na bok, po czym pobiegła na podjazd. Detektyw Marino odprowadził ją wzrokiem.

- W zasadzie nic - zawołał za nią.

Wiatr przybrał na sile; mimo zaaferowania Grace zdała sobie z tego sprawę, biegnąc chodnikiem w stronę radiowozu i zaparkowanego tuż za nim sponiewieranego niebieskiego camaro. Na radiowóz nie zwracała teraz najmniejszej uwagi, stał tu już przedtem. Przyjechali nim Gelinsky i Ayres. Kiedy dopadła wreszcie camaro, szarpnęła najpierw klamkę przednich, potem tylnych drzwiczek po stronie kierowcy, a kiedy zorientowała się, że jedne i drugie są zamknięte, nachyliła się, aby zajrzeć do środka przez szybę.

We wnętrzu panował mrok, trudno było cokolwiek dostrzec.

Przednie drzwiczki po stronie pasażera otworzyły się nagle i z samochodu wysiadł ciemnowłosy mężczyzna w skórzanej kurtce lotniczej. Zanim zdążyła otworzyć usta, nieznajomy powiedział:

- Jeśli to pani córka, ta w środku, radziłbym mieć ją bardziej na oku. Ile ona ma lat? Czternaście, piętnaście? O tej porze powinna spać grzecznie w domu, a nie włóczyć się po ulicach.

Zbita z tropu Grace nie odpowiedziała, przez chwilę tylko patrzyła na mężczyznę. Wydał się jej tak samo niechlujny jak tamten gliniarz na ganku. I taki typ miałby ją oceniać?

- Mógłby pan otworzyć tylne drzwi?

Zajrzała ponownie do samochodu i z wrażenia aż wstrzymała oddech. Mężczyzna, otwierając drzwi, włączył oświetlenie wewnętrzne, co umożliwiło zobaczenie Jess: leżała skulona na tylnym siedzeniu, w dżinsach, tenisówkach i kusym niebieskim sweterku. Sięgające ramion włosy z jaskrawo-różowymi pasemkami opadły na bok, odsłaniając twarz, głowa spoczywała na niebieskiej poręczy przedzielającej siedzenie, oczy pozostawały zamknięte, ręce zwisały bezwładnie, niemal dotykały podłogi. Sądząc po wyglądzie, dziewczyna spała lub była nieprzytomna i tylko zapięty pas utrzymywał ją na siedzeniu.

Lęk, który ustąpił miejsca uczuciu ulgi na wieść o odnalezieniu Jess, powrócił ze zdwojoną siłą.

- Jessica? - Grace ponownie i tak samo jak przedtem bezskutecznie szarpnęła tylne drzwiczki. Zastukała w szybę. - Jessica?

Żadnej odpowiedzi. Mała lampka w suficie auta dawała światła akurat tyle, aby Grace mogła dostrzec ożywione różem policzki córki. Nikły blask żarówki wyostrzał delikatne rysy szczupłej twarzyczki. Rozchylone wargi wydawały się spierzchnięte; nie były takie parę godzin wcześniej, kiedy dziewczyna kładła się spać.

- Jessica! - powtórzyła Grace. Niemal natychmiast wyprostowała się: - Proszę otworzyć te drzwi!

Ostatnie słowa skierowała do policjanta - przypuszczała, że to policjant - ale tym razem zabrzmiały one jak polecenie. Do tej pory tylko przyglądał się jej, gdy próbowała nawiązać kontakt z córką, teraz spojrział jej prosto w oczy, ale w półmroku nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy.

- Niech pani nie wpada w panikę. Ona nie jest martwa, tylko pijana - mruknął sucho.

- Córka jest chora na cukrzycę. - Grace znowu poczuła ten okropny ucisk w

piersi, promieniujący na boki z taką siłą, że przerodził się szybko w ciasną żelazną obręcz wokół płuc. Miała wrażenie, że traci oddech, zaczęło brakować jej powietrza. Musiała jednak wziąć się w garść, zapanować nad emocjami i sytuacją. Dla dobra Jess. Ciche szcęknięcie oznajmiło jej, że zamek został odblokowany. Grace otworzyła tylne drzwi, wsunęła się do samochodu, dotknęła zarumienionego policzka córki. Charakterystyczny zapach jej oddechu, oznaka podwyższonego poziomu cukru we krwi, był wyczuwalny tak dobrze jak woń alkoholu.

- Jessica! Jess! - Grace chwyciła córkę za ramiona i potrząsnęła nią. Rzęsy dziewczyny drgnęły.

- Mama? - Jej głos był senny, niewyraźny.

- Jess!

Jessica zamknęła oczy, jej ciało zwiotczało. Grace potrząsnęła nią ponownie, lekko klepnęła dłonią w twarz.

- Jess!

Tym razem nie doczekała się żadnej reakcji.

Drzwi z drugiej strony otworzyły się nagle.

- Jezu, jeśli ona jest cukrzykiem, nie powinna jej pani puszczać tak samopas.

- Policjant spoglądał na Grace ponad bezwładnym ciałem Jess z nieskrywaną dezaprobatą. Miał czarne włosy, smagłą cerę, wydawał się nieogolony i nieuczesany. Brwi nad zmrużonymi w tej chwili oczami były grube i krzaczaste, niemal stykały się nad nosem. - To czyste zaniedbanie, jak dwa i dwa cztery.

- Nie puściłam jej samopas. - Jess wymagała natychmiastowej pomocy, nie było czasu na bezsensowną wymianę słów z tym kretyńcem. - Niech pan posłucha, córka ma teraz podwyższony poziom cukru we krwi. Muszę ją zawieźć na pogotowie. Natychmiast. Mógłby pan pomóc przenieść ją do mojego auta?

Policjant przyjrzał się jej uważnie.

- Niech pani wsiada do mojego. Zawieziemy was. Dom!

Grace usadowiła się na tylnym siedzeniu tak blisko córki, jak tylko to było możliwe. Skóra Jess była chłodna i sucha, nieco szorstka, jak u węża, inna niż zazwyczaj.

Boże, spraw, aby wszystko skończyło się dobrze!

Trzeba ją zawieźć do szpitala? - Policjant, który stał dotychczas na ganku, Dominik jakiś tam, zajrzał do samochodu przez otwarte tylne drzwi. Jego burkliwy partner sadowił się w fotelu pasażera.

- Tak - odparła krótko Grace. Doszła już do siebie.

- Proszę zapiąć pas - polecił burkliwy, kiedy Dominik jakiś tam zatrzasnął tylne drzwiczki i zajął miejsce za kierownicą. W aucie znowu zapadła ciemność. Grace zapięła pas i wyciągnęła rękę, aby ująć nieruchomą dłoń córki.

- Straciła przytomność lub coś w tym rodzaju? - zapytał Dominik niepewnym głosem. Zerkając na Grace w lusterku wstecznym, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył alejką. Widocznie jego partner przekazał mu informację o cukrzycy, kiedy, wsiadał do auta.

- Nie... Och, zapomniałam zamknąć drzwi w domu! - Przypomniała sobie o tym, dopiero kiedy znaleźli się na ulicy. W innych okolicznościach wcale by się tym nie przejęła, Bexley było bardzo spokojną i bezpieczną miejscowością, ale z uwagi na wydarzenia ostatniej nocy...

- Są tam nasi ludzie i z pewnością dopilnują, aby wszystko zostało solidnie pozamykane - pan Burkliwy, mówiąc to, ściągnął z siebie skórzaną kurtkę. - Proszę, niech ją pani okryje.

Podał kurtkę górną, nad oparciem; zachowała jeszcze ciepło jego ciała i nikły zapach mężczyzny. Spotkali się wzrokiem. Grace poczuła niemal namacalnie dezaprobatę.

- Dzięki.

- Nie ma za co. - Pan Burkliwy obrócił się tak, aby móc obserwować je obie. Dominik nadal zerkał na Grace w lusterku.

- Bardzo z nią źle?

Powinien raczej patrzeć na jezdnię, pomyślała mimo woli. Jego zadanie teraz to dowieźć nas bezpiecznie do szpitala, a nie sprawdzać moje kwalifikacje matki.

- Nie wiem.

Uprzytomniła sobie, jak wiele trudu kosztuje ją zachowanie spokoju. Rzuciła okiem na skuloną córkę. Nie wiedziała nawet, czy ona śpi, czy straciła przytomność. Gdyby Jess wiedziała, co się dzieje, gdyby zdawała sobie sprawę, że jedzie do szpitala, na pewno nie leżałaby tak spokojnie. Zawsze była przeciwna uleganiu swojej chorobie w jakiegokolwiek formie, łącznie z poddawaniem się leczeniu szpitalnemu.

- Nie wie pani? - Pan Burkliwy nie krył zaskoczenia.

- Nie jestem specjalistką, jeśli chodzi o cukrzycę. Wolę więc nie wypowiadać się na ten temat. - Grace przeniosła wzrok z córki na obu mężczyzn. Światła ulicy tylko chwilami rozjaśniały wnętrze samochodu, wyczuła więc raczej niż dostrzegła wymowne spojrzenia, jakie wymienili policjanci. - Wiele zależy od tego, czy w porę wzięła insulinę i kiedy jadła. Nie mam pojęcia, w jakim stopniu jej obecny stan jest efektem spożycia alkoholu, a w jakim choroby. Nie sądzę, żeby to była śpiączka, ale nie wiem na pewno. Niczego nie wykluczam i nie chcę ryzykować.

- Słusznie - przytaknął z przekonaniem w głosie Dominik. Mocniej wcisnął pedał gazu.

## Rozdział czwarty

Stanowy Szpital Uniwersytecki w Ohio stanowił kompleks niebotycznych budynków w stylu lat pięćdziesiątych, zajmujący okazałą część rozległego miasteczka uczelnianego. Łatwo było dojrzeć go nocą: rzęście oświetlony, odcinał się na tle atramentowego nieba niczym pochodnia, odbijając się świetliście w mrocznej toni pobliskiej Olentangy. Kiedy dojechali na miejsce, sprzed izby przyjęć ruszał właśnie cicho przysadzisty biało-pomarańczowy ambulans, z którego chwilę wcześniej przeniesiono do szpitala człowieka. Pielęgniarki w nieskazitelnie czystych kitlach niemal biegiem wprowadzili wózek z nieruchomą, okrytą białą postacią przez suwane drzwi i zniknęli z pola widzenia. Nad wejściem widniał czerwony napis: POGOTOWIE RATUNKOWE.

- Wysadzę was tutaj i zaparkuję wóz - powiedział Dominik, zatrzymując samochód pod wiatą osłaniającą podjazd przed szerokimi drzwiami z metalu i szkła, opatrzonymi ostrzeżeniem: TYLKO DLA AMBULANSÓW. Grace odpięła najpierw swój pas, potem córki.

- Jess? - Delikatnie odgarnęła kilka kosmyków włosów, które opadły na twarz córki. - Jess, jesteśmy na miejscu.

Dziewczyna nie reagowała. Leżała bez ruchu i chociaż oddychała regularnie, nawet drgnieniem powiek nie zdradziła, że słyszy głos matki lub czuje dotyk jej dłoni. Grace poczuła odradzający się lęk, opanowała go jednak. Byli już przecież w szpitalu, gdzie mogli liczyć na fachową pomoc. Uleganie panice tylko by zaszkodziło Jessice. Ale co zrobić, skoro panowanie nad sobą staje się niemożliwe?

- Jess! - Łagodnie potrząsnęła córkę za ramiona, ale ona nawet się nie poruszyła. - Jess!

Pan Burkliwy wysiadł z samochodu, otworzył tylne drzwi z prawej strony i spojrzał na Grace. Teraz, gdy lampka pod sufitem znowu rozświetliła wnętrze, zobaczyła wreszcie jego oczy. Miały złocistopiórną barwę.

- Idziemy. - Nie czekając na pielęgniarzy ani na jakąkolwiek zachętę ze strony Grace, wziął dziewczynę na ręce i ponióśł w stronę izby przyjęć - nadal bezwładną, z głową odchyloną do tyłu, ze zwisającymi rękoma i nogami, zupełnie pozbawioną czucia.

- Chwileczkę!

Zaskoczona Grace wygramoliła się pośpiesznie z samochodu i pobiegła za policjantem, który niewzruszenie kroczył przed siebie z jej córką na rękach. Widok bezbronnej Jess w ramionach obcego mężczyzny uświadomił jej jeszcze dobitniej to, o czym wiedziała już przedtem, lecz wołała nie myśleć: że Jess jest przewlekle chora. Dopadła ją ta przeklęta choroba, ze wszystkimi swoimi konsekwencjami, które będą ją gnębić już do końca życia.

Najgorsza jest tu świadomość, że nie można nic zrobić, nie można pomóc.

Z drugiej strony... rozpacz nic nie da. Ani jej, ani Jess. Zdawała sobie z tego sprawę. Pozostaje tylko mieć nadzieję.

Cukrzyca to poważna choroba, tak, ale przecież można ją kontrolować. Problem polega na tym, że Jessica jest bardzo młoda. Nie chce pogodzić się z ograniczeniami, jakie narzuca cukrzyca. Nie chce dbać o swoje zdrowie i ma za złe jej, swojej matce, iż próbuje wymusić na niej odpowiedni tryb życia.

Nadużywanie alkoholu jest dla cukrzyka tym samym, czym dla kogoś innego uporczywe spożywanie potrawy, na którą jest szczególnie uczulony. Konsekwencja takiego postępowania jest z góry przesądzona: nasilenie objawów chorobowych, nieraz śpiączka, nawet śmierć.

Zgoda, picie alkoholu przez piętnastolatkę to rzecz naganna, zasługująca na surową karę. Ale przecież nie na karę śmierci.

Czy Jessica nie zastanawia się w ogóle nad tym, co robi?

Szpitalna woń, mieszanina zapachów rozmaitych środków dezynfekcyjnych i leków, uderzyła Grace już w progu, kiedy podwójne drzwi rozsunęły się przed nimi cicho. Ten zapach wręcz prześladował ją ostatnio! Nieoczekiwanie ogarnęły ją dreszcze. Przycisnęła ręce do piersi, usiłując zwalczyć uczucie zimna. Może już nigdy nie zaznam ciepła, przyszło jej do głowy.

Na plastikowych bordowo-szarych krzesłach ustawionych pod ścianami poczekalni siedziało niewiele osób: jakiś mężczyzna przyciskał sobie do głowy zakrwawiony gałganek, kobieta tuliła niemowlę w biało-błękitnych śpioszkach, elegancko ubrana para w średnim wieku przeglądała zgodnie ilustrowane magazyny, inna kobieta starała się poskromić swojego zbyt ruchliwego szkraba.

Głośny chichot dziecka, które niezmordowanie łąziło po krzesłach, podczas gdy jego matka raz po raz podejmowała bezskuteczne próby posadzenia go na miejscu, wydał się Grace rażącym dysonansem, dźwiękiem niepasującym do tego miejsca lęku i cierpienia. Nieco dalej człowiek w uniformie stróża zmywał mopem szarą posadzkę z terakoty, a tuż obok niego pusta kabina windy niemal bezszelestnie przemknęła w górę, kontynuując swoją niekończącą się podróż. Prosta melodyjka, która nieprzerwanie sączyła się z głośników, drażniła nerwy Grace.

Rejestratorka patrzyła na nich wyczekująco, kiedy szli ku niej. Miała ciemne, niezbyt długie włosy, które wymagały już chyba ponowienia trwałej ondulacji, oraz pulchną, gładką twarz, a na sobie różowy kitel z szarym identyfikatorem. Napis na nim informował: Liz Barnes, rejestratorka. Duży zegar wiszący na szarej ścianie nad jej głową wskazywał godzinę 3.25.

Policjant, który trzymał Jess na rękach, odezwał się pierwszy:

- Jestem funkcjonariuszem policji. Mamy tu ostry przypadek cukrzycy. -



Mówił zwięźle, rzeczowo, przekonująco.

- Chwileczkę. - Kobieta spojrzała badawczo na bezwładne ciało dziewczyny, podniosła słuchawkę stojącego przed nią telefonu, przycisnęła jakiś klawisz i zaczęła mówić coś szybko cichym głosem.

- Zaraz się nią zajmą - poinformowała policjanta, odkładając słuchawkę.

Zaledwie wypowiedziała ostatnie słowo, podwójne drzwi z lewej strony rozsunęły się, a do poczekalni weszła Mary Morris, pielęgniarka dyplomowana, jak informował jej identyfikator.

- Cukrzyca? - spytała policjanta, przykładając jednocześnie palce do szyi tuż pod lewym uchem dziewczyny. - Typ I?

- Tak - odparła Grace i podeszła bliżej. Ochronnym gestem objęła córkę. - Ona piła alkohol, ale nie wiem, czy dużo. Ma chyba podwyższony poziom cukru we krwi i...

- Zmierzyła go pani?

Grace zaczerpnęła głęboko powietrza i potrząsnęła głową.

- Chciałam przywieźć ją tu jak najprędzej.

Pani Morris skończyła badanie, zdjęła słuchawki stetoskopu z uszu. Przeniosła wzrok na policjanta i znowu spojrzała na Grace.

- Jesteście państwo jej rodzicami?

- Jestem jej matką.

Policjant potrząsnął głową.

- Funkcjonariusz policji. Posterunek w hrabstwie Franklin.

- Proszę ją przenieść na oddział.

Pani Morris odwróciła się i ruszyła ku podwójnym drzwiom, dając policjantowi znak, by szedł za nią. Grace podążyła za nimi.

- Proszę pani, przepraszam bardzo... proszę pani... zechce pani podejść tu na moment, podać mi dane... - usłyszała wołanie. Spojrzała za siebie; rejestratorka

uśmiechała się do niej ze skruszoną miną, jakby chciała przeprosić za fatygę. No tak, trzeba dopełnić formalności, żeby szpital mógł potem otrzymać zapłatę za wykonaną usługę. - To zajmie tylko parę minut - pocieszyła ją rejestratorka.

Grace wróciła do niej, podczas gdy Jessica, nadal na rękach policjanta, zniknęła za szarymi drzwiami, które zasunęły się znowu.

- To zajmie tylko parę minut - powtórzyła rejestratorka kojącym tonem, widząc zboląły wzrok Grace skierowany na drzwi. - Poproszę o pani legitymację ubezpieczeniową.

Grace spojrzała na ekran monitora i uprzytomniła sobie, że w całym tym rozgardiaszu zapomniała zabrać z domu legitymację lub cokolwiek innego. Przetarła twarz dłonią i z trudem powstrzymała się od krzyku rozpacz. Musiała teraz zachować spokój. Tego wymagało dobro jej samej i Jess.

- Zostawiłam torebkę w domu. I legitymację - wyznała. Stała jak na szpilkach, nie mogła się już doczekać, kiedy znowu zobaczy Jess. - Na pewno ma pani nasze dane w komputerze. Przyjeżdżamy tu co jakiś czas.

W ciągu ostatnich piętnastu miesięcy, odkąd stwierdzono u Jess cukrzycę, były tu już pięć razy. Właściwie sześć, jeśli liczyć też pierwszą wizytę, podczas której lekarz postawił tę nieszczęsną diagnozę; wtedy znalazły się tu z powodu zapaści, której Jess dostała pewnego pięknego majowego dnia na boisku.

- Nazwisko?

Grace podała niezbędne dane tak szybko, jak tylko to było możliwe - na szczęście wszystkie informacje były zapisane w komputerze - i podpisała odpowiedni formularz. Następnie już bez sprzeciwu ze strony rejestratorki pobiegła na oddział.

## Rozdział piąty

Oprócz paru kobiet w białych kitlach i mężczyzny w białym fartuchu laboratoryjnym, który podążał dokądś szybkim krokiem, na oddziale nie dojrzała nikogo. Jej wzrok napotykał wszędzie jedynie białe zaciągnięte zasłony.

- Mogę w czymś pomóc? - Jedna z kobiet, zapewne pielęgniarka, która stała zbyt daleko, aby można było odczytać z plakietki jej nazwisko, spojrzała na Grace pytająco.

- Szukam córki. Jessica Hart. Przed chwilą ją tu przyprowadzono. Niósł ją mężczyzna.

- Chora na cukrzycę?

Grace kiwnęła głową.

- Sala B. - Pielęgniarka wskazała kierunek. - Właśnie zakończono badanie.

Podobnie jak resztę pomieszczeń, również salę B oddzielała od korytarza sięgająca niemal podłogi biała kotara zawieszona na metalowym pręcie. Grace widziała jedynie czarne sportowe trzewiki ze skóry, a nad nimi lekko postrzępione u dołu nogawki džinsów.

Odchyliła zasłonę, tylko na tyle, by móc podejść, i z obawą spojrzała na córkę. Jessica leżała na białym prześcieradle, miała zamknięte oczy, wąska opaska przytrzymywała kłębek waty w zgięciu łokcia prawej ręki; rękaw niebieskiego sweterka był podwinięty. Aż po pachy okrywał ją szary koc, który podkreślał bladość szczupłych rąk. Ktoś zdjął już z niej kurtkę policjanta oraz buty; leżały na krześle.

W jaskrawym świetle szpitalnych lamp Jessica wyglądała gorzej, bardziej niepokojąco niż w samochodzie. Rumieńce zmieniły się w niezdrowe wypieki,

silnie spierzchnięte wargi sprawiały wrażenie obolałych.

- Pielęgniarka odeszła przed chwilą. Zmierzyła ciśnienie tętnicze i temperaturę, pobrała też krew. Powiedziała, że zaraz ktoś się zjawi z wynikami - relacjonował beznamiętnie policjant.

Stał z prawej strony łóżka, ręce trzymał w kieszeniach swoich sfatygowanych dzinsów, nogi w czarnych sportowych trzewikach miał lekko rozstawione. Nosił zieloną kraciastą koszulę z flaneli. Jego wiek Grace oceniała na jakieś czterdzieści lat; wskazywały na to zaczątki zmarszczek wokół oczu i ust i nitki siwizny, które tu i ówdzie przetykały czarne włosy.

Zwróciła na niego uwagę dopiero, kiedy się odezwał; do tej pory widziała jedynie Jess. Jego wzrok nadal zdawał się wyrażać dezaprobatę.

- Dziękuję. - Poświęciła mu jedynie ten ułamek sekundy, po czym podeszła do łóżka i przyłożyła dłoń do czoła córki. Charakterystyczny, ostry zapach jej oddechu dominował nawet nad silną wonią szpitala i wyraźnym odorem alkoholu. Grace nie odrywała dłoni od czoła Jess; temperatura ciała córki wydała się jej normalna, chociaż nie potrafiłaby tego stwierdzić z całą pewnością. Nie знаła się na tym. Po chwili zsunęła dłoń niżej i zacisnęła ją na zimnych palcach Jess, spoczywających bezwładnie na puszystym kocu. W tej chwili nie umiała nic dla niej zrobić, wiedziała o tym. Mogła jedynie czekać na diagnozę lekarską.

- Co pielęgniarka powiedziała... czy ustaliła już przyczynę takiego stanu? To ma związek z cukrzycą czy... - Żałowała, że musi pytać właśnie jego, ale nie było tu nikogo innego.

- Nic nie mówiła - odpowiedź zabrzmiała lakonicznie, prawie nieuprzejmie.

- Dziękuję.

Grace rozejrzała się, nogą przysunęła sobie plastikowe krzesło i opadła na

nie ciężko, nie puszczając dłoni Jess.

- Powiadomiła pani jej ojca?

- Nie - odparła szorstkim tonem. Postawa tego człowieka irytowała ją coraz bardziej.

- Nie sądzi pani, że należałoby to zrobić?

Zmierzyła go ostrym wzrokiem.

- Jej ojciec przebywa w Nowym Meksyku. Jesteśmy rozwiedzeni, i to ja sprawuję opiekę nad dzieckiem. Mój były mąż założył nową rodzinę i może mi pan wierzyć, że nie ma najmniejszej potrzeby, abym zrywała go telefonem w środku nocy w takiej sprawie jak ta. W porządku?

- Jeśli o mnie chodzi... - Jego postawa, wyraz twarzy, ton, w ogóle wszystko w nim wyrażało potępienie. - Ale dla niej to niezbyt korzystna sytuacja, jak sądzę.

Wezbrał w niej gniew. Miała za sobą ciężką noc i nerwy zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Rzuciła mu gniewne spojrzenie i już, już otwierała usta, ale w ostatniej chwili zdołała zapanować nad sobą. Skoro jest nieokrzesanym gburem, to jego problem, nie jej.

Myśli obrały momentalnie inny kierunek, kiedy Jessica się poruszyła. Jej nogi drgnęły, palce, które Grace ścisnęła kurczowo, zatrzepotały lekko.

Jest taka chuda... zbyt chuda, pomyślała Grace. I ten bezruch... nietypowy dla niej. Zawsze była jak żywe srebro. Może dlatego nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka się stała wątła i krucha...

Z całą pewnością nie była taka wątła piętnaście miesięcy temu.

- Mamo?

Jessica otworzyła oczy. Jej zazwyczaj kryształowobłękitne tęczówki były teraz mgliste, zmacone. W jasnym świetle źrenice wydawały się mikroskopijnie małe.

- Jestem tu, Jess. - Grace ścisnęła mocno dłoń córki i przysunęła się bliżej.

Ich spojrzenia spotkały się. Źrenice dziewczyny odzyskiwały normalną wielkość, widać było, że wraca jej świadomość.

- Mamo, niedobrze mi. - Szept był cichy, niewyraźny.

- Ćśś, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy w szpitalu. Wszystko będzie dobrze. Jess, czy wstrzyknęłaś sobie insulinę?

- Chyba tak. Ale... nie jestem pewna. Nie pamiętam. - Usta Jess drgnęły; zmarszczyła nos w sposób, który Grace знаła już dobrze. Gorączkowo rozejrzała się dokoła i podniosła z podłogi niewielki kosz na śmieci z plastikowym workiem wewnątrz w tej samej chwili, kiedy Jess uniosła się na łokciu i przechyliła głowę za łóżko, aby wymiotować.

- Mogę w czymś pomóc? - Policjant postąpił krok do przodu, patrząc na nie obie z wyraźnym niesmakiem.

- Nie.

Parę minut później Jessica opadła z powrotem na poduszkę. Okropny odór, który dobywał się z kosza, przyprawiał również Grace o mdłości. Zamknęła szczelnie niemal pełen worek, wyniosła go na korytarz i podała pielęgniarzowi, który przechodził akurat w pobliżu. Umyła ręce, zmoczyła papierowy ręcznik i wróciła do córki, aby przemyć jej twarz i usta.

- Czy to z powodu cukrzycy? - W głosie dziewczyny, na której czole Grace rozłożyła papierowy ręcznik, zabrzmiały lęk i odraza. Nie cierpiała swojej choroby.

- Wydaje się, że tak. Ale alkohol też zrobił swoje.

- Mamo...

- Piłaś. A przecież wiesz, że nie powinnaś. - Przysunęła się bliżej, ponownie ścisnęła dłoń córki. Jej głos był cichy, przeznaczony wyłącznie dla uszu Jess, ale jednocześnie natarczywy. - Po pierwsze, masz dopiero piętnaście lat. Ale nawet gdybyś była już dorosła, też nie wolno ci pić. Nigdy nie będziesz mogła pić alkoholu w dużych ilościach, tak jak nie zjadasz tuzina tabliczek czekolady naraz.

Wiesz o tym dobrze. Musisz odżywiać się zgodnie z zaleceniami lekarza, nie przekraczać dozwolonych ilości, zważać na to, co jesz i brać insulinę. Po prostu nie możesz nadużywać alkoholu ani objadać się słodyczami, bo rozchorujesz się bardziej. W twoim przypadku...

- Boże, mamó, nie panikuj. Robisz wokół tego za dużo hałasu.  
- Jessica zamknęła oczy, próbowała zabrać rękę.

Grace umilkła w pół zdania, zacisnęła usta. Nabrzmiwał w niej ból. Nieustępliwie ścisnęła dłoń córki. Co jej powiedzieć, jak do niej dotrzeć? Gdyby Jess zechciała jej wysłuchać! Trzeba znaleźć jakieś słowa, które ona zrozumie...

Ale nie była to pora ani miejsce na taką rozmowę, chociaż wydawała się ona niezbędna. Wróć do tematu, kiedy Jess poczuje się lepiej. Będzie to poważna rozmowa; należy ustalić zasady i określić ewentualne konsekwencje złamania tych zasad.

Bycie matką okazało się stokroć trudniejsze niż wyobrażała to sobie Grace. Odpowiedzialność była olbrzymia, nagroda - rzadka. Nawet bezgraniczna miłość do córki wiązała się z dotkliwym bólem.

- Jesteście tutaj? - Drugi z policjantów, Dominik, wsunął głowę do pokoju, odchylając nieco zasłonę. Jego głos, nieprzyzwoicie donośny w tym miejscu, sprawił, że Grace natychmiast podniosła na niego wzrok.

Przeniosła spojrzenie na jego partnera, który tak jak przedtem stał obojętny, oparty o ścianę. Przez chwilę zapomniała o jego obecności. Wydawał się blady pod warstwą opalenizny, bardziej blady niż niedawno, gdy wchodzili do szpitala. Mimo woli zastanowiła się, czy tak nagła zmiana w karnacji to efekt ostrego oświetlenia czy raczej widoku - lub zapachu - chorej Jess.

Miała nadzieję, że chodzi o to drugie; to by jej sprawiło jakąś okrutną satysfakcję. Na krótką chwilę ich spojrzenia się zetknęły i znowu odniosła wrażenie, że on ją osądza i potępia.

Dominik, widząc, że znalazł właściwe pomieszczenie, wszedł, a Grace ten niewielki pokój wydał się raptem zatłoczony.

- Jak mała? - zapytał Dominik tym swoim donośnym, dźwięcznym głosem.

Jego partner wzruszył ramionami.

- Niedługo mają być wyniki analizy krwi - powiedziała Grace.

Policjanci wymienili spojrzenia, a potem, jak na komendę przenieśli wzrok na Grace. Uprzytomniła sobie, że ma dość tych taksujących spojrzeń.

- Nie musicie panowie czekać - powiedziała uprzejmie. - Z pewnością macie mnóstwo innych obowiązków.

Tamci ponownie wymienili spojrzenia.

- Taak, czas już na nas - mruknął Dominik, a Grace odniosła wrażenie, jakby zwracał się nie do niej, lecz do partnera.

- Na pewno nie będziemy już pani potrzebni? - zapytał tamten.

- Na pewno. - Grace powiodła wzrokiem po nich obu. Gdy tak stali obok siebie, wydawali się podobni: wysoki wzrost, ciemne włosy, na twarzach wyraz dezaprobaty. Czyżby byli spokrewnieni? Nie wiedziała tego i zresztą było jej to najzupełniej obojętne. Zwykła uprzejmość i uczciwość kazały jej dodać: - Dziękuję za wszystko, co panowie dla nas zrobili.

- Proszę bardzo.

W jej podziękowaniu zabrakło widocznie czegoś, gdyż odpowiedź z ust gburowatego policjanta zabrzmiała bardzo lakonicznie. Dominik kiwnął głową i skierował na partnera wymowne spojrzenie, a tamten odsunął się nareszcie od ściany i ruszył do wyjścia. Za nim poszedł Dominik. Burkliwy policjant zatrzymał się niespodziewanie, jakby coś mu nagle przyszło do głowy, i rzucił przez ramię:

- Gdyby pani chciała, żebyśmy odwieźli ją do domu...

- Nie, dziękuję. - Znowu z nimi? To chyba żart! Prędzej zdecydowałyby się na wspólną jazdę z członkami hiszpańskiej Świętej Inkwizycji! - Znam kogoś, kto



może mnie odwiedzić. Ale dziękuję za dobre chęci.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Dobrze. Będziemy w kontakcie.

Po ich wyjściu zasłona falowała jeszcze przez moment. Grace odetchnęła z ulgą. Odkąd pierwszy z nich przekroczył próg jej domu, czuła dotkliwie brzemię złej opinii na swój temat jako matki.

Westchnęła ciężko. Patrząc na córkę, która najwidoczniej zapadła w normalny sen, musiała zadać sobie pytanie: Jaki popełniłam błąd?

Jessica była podobna do niej. Wydatne kości policzkowe, szerokie usta i - zmora jej życia - długi nos z lekkim garbem; to były ich cechy wspólne. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że widzi przed sobą matkę i córkę. Obie miały takie same niebieskie migdałowe oczy i długie gęste rzęsy. Natomiast ostro zaznaczony podbródek i piegi rozrzucone wokół nosa miała tylko Jess.

Grace z tkliwością patrzyła na piegi. Ułożyły się w kształcie motyla. Anielskie pocałunki, tak określiła je parę lat temu, kiedy Jess wróciła do domu zapłakana, bo wyśmiała je koleżanka. Pomysł z anielskimi pocałunkami spodobał się Jess. Natychmiast pobiegła do koleżanki, aby wyjaśnić jej, co oznaczają owe „plamy”: to ślady po pocałunkach aniołów, dla których ona jest kimś niezwykłym.

Ale teraz ta twarz, którą Grace знаła lepiej niż własną, była już twarzą młodej kobiety. Minęły czasy, kiedy można było ucałować małą córeczkę i w ten sposób odpędzić jej troski lub wymyślać bajeczki, aby maskować surową rzeczywistość.

Nie można było sprawić, aby znikła cukrzyca, ani wziąć ją na siebie. Pod tym względem cała miłość matczyna świata nie mogła niczego zmienić.

Co mogę zrobić?, rozmyślała Grace. Jedynie pamiętać, że przerażająca perspektywa powikłań cukrzycowych, jak niewydolność nerek, utrata wzroku lub

konieczność amputacji nóg, to jedynie ewentualność, straszliwe widmo - i nic więcej. Posepna perspektywa potencjalnych tragedii, do których wcale nie musi dojść. Ale to Jessica mogła nie dopuścić do tego, aby stały się one rzeczywistością. Grace nie.

Nasuwało się więc pytanie: czy Jessica zadba o samą siebie? Czasem sprawiała wrażenie, jakby umyślnie działała na własną szkodę. Do tej pory Grace sądziła, że rozmaite incydenty wywołujące u córki stany krytyczne, odkąd wykryto u niej cukrzycę, były jedynie wynikiem młodzieńczej bez troski.

Nagle zaczęła w to wątpić.

Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że sprzeciw wobec ograniczeń narzucanych przez chorobę może być ze strony córki wyrazem buntu nastolatki przeciw matce.

Miała nadzieję, że nie.

Jessica poruszyła się, jej palce, które spoczywały ufnie w dłoni matki, drgnęły. Grace, patrząc na nią, poczuła bolesny ucisk w sercu.

Zasłona przy wejściu rozsunała się i do pokoju wszedł szczupły mężczyzna w okularach i w białym kitlu. Na szyi zawiesił sobie stetoskop, w ręku trzymał szarą papierową teczkę, która pewnie zawierała wyniki badań Jess.

- Pani Hart?

Kiwnęła głową.

- Jestem doktor Corey. Wygląda na to, że mamy pewien problem...

## Rozdział szósty

- I jak, stary, w porządku? - zapytał Dominik Marino. Klepnął brata po ramieniu, kiedy przez szerokie podwójne drzwi szpitalne wychodzili na zewnątrz, w zbawienną świeżość nocy. Księżyc, drobny i blady, sunął wysoko w górze, raz po raz ginąc z oczu za wstęgami chmur. Granatowe niebo było upstrzone drobnymi punkcikami gwiazd.

- Tak.

Odpowiedź zabrzmiała wyjątkowo lakonicznie, ale w tych okolicznościach Tony nie mógł się zdobyć na inną. Czuł, że znowu ogarniają go mdłości. Rześkie powietrze sprawiało mu ulgę, chłodziło wilgotną skórę. Tam, w tamtym szpitalnym pomieszczeniu, oblał się zimnym potem; to doświadczenie było dla niego wstrząsem, nie mógł uwierzyć, że szpital wywrze na nim tak silne wrażenie.

A już myślał, że wreszcie się uodpornił.

Nie, nie myślał; miał taką nadzieję.

Widocznie nigdy się na to nie uodporni.

- Matka tej dziewczyny to istna zołza, co?

Ręka Dominika nadal spoczywała na jego ramieniu, kierowała go w stronę parkingu. Poddał się jej; gdyby nie brat, poszedłby na oślep przed siebie, w mrok nocy; dzięki niemu mógł skupić się na własnych emocjach, odzyskać panowanie nad sobą.

- Tak.

Wszystko przez ten zapach, pomyślał, ten okropny, trudny do opisania szpitalny zapach.

Albo przez to, że widział, jak cierpi inna młoda dziewczyna.

Halogenowe oświetlenie na niemal pustym parkingu emitowało jakiś niesamowity żółtawy blask, w którym kłębiły się roje owadów.

Mała biała ćma obrała kierunek wprost na niego z precyzją pilotującego bombowca kamikadze. Tony uchylił się, ale i tak poczuł na policzku muśnięcie miękkich skrzydełek.

- Cholerne robale - mruknął. Machnął ręką, ale nie trafił. Ćma poleciała dalej.

- Pojedziesz jutro do matki tej dziewczyny, czy wolisz, żebym ja to zrobił? - zapytał Dominik, kiedy stanęli przed autem. Machinalnie, nie uzgadniając tego z Tonym, skierował się do drzwi kierowcy. Naturalnym prawem starszego brata jest kierowanie samochodem, pomyślał.

Zresztą Tony nie miał nic przeciw temu. Dominik wyciągnął go kiedyś z najmroczniejszego zakątka piekła, doprowadził do porządku i utrzymał przy życiu. Teraz mógł decydować; skoro chciał prowadzić, proszę bardzo.

- Ja się tym zajmę.

- Na pewno?

- Tak.

Wsiedli do auta. Wewnątrz było duszno, Tony nadal czuł mdlący szpitalny zapach. Nie wiedział, czy to tylko złudzenie, czy może rzeczywiście nim przesiał, przebywając na oddziale; w każdym razie musiał się go pozbyć, żeby nie rozchorować się na dobre. Opuścił szybę i chciwie wciągnął do płuc wilgotną woń pobliskiej rzeki, gryzący zapach świeżo kładzionego gdzieś niedaleko asfaltu oraz utrzymujące się w powietrzu spaliny z jakiegoś grata, który wytoczył się z parkingu dwa rzędy samochodów dalej.

Lepszy już taki zapach niż ten szpitalny.

- Wszystko w porządku? - dopytywał się Dominik.

- Tak - odparł Tony, tym razem bardziej zdecydowanie.

Wyjechali z parkingu, nie widząc już białej ćmy, która lotem nurkowym wleciała do środka przez opuszczoną szybę. Po chwili na tylnym siedzeniu zjawiała się postać młodej, może jedenastoletniej dziewczyny. Drobna i szczupła, o prostych czarnych włosach do pasa, miała na sobie białą sukienkę z falbankami, białe skarpetki i czarne pantofelki. Dłonie trzymała złożone grzecznie na kolanach.

Duże, ciemne, udręczone oczy pełne smutku utkwiała w mężczyźnie siedzącym obok kierowcy. Siedziała tak nie dłużej niż parę sekund, potem zaczęła blaknąć i w czasie, jaki wystarczyłby zaledwie na zaczerpnięcie powietrza, stała się ledwie cieniem. Potem zniknęła.

Nie dostrzegł jej żaden z mężczyzn.

Tony ponownie i tak jak przedtem bezskutecznie zamachnął się na małą białą ćmę, ta jednak przemknęła, niemal ocierając się o jego policzek, wymknęła się na zewnątrz przez otwarte okno i wleciała wyżej, kierując się ku bezkresnemu nocnemu niebu.

## Rozdział siódmy

Dochodziła czwarta trzydzieści po południu. Grace z coraz większym trudem koncentrowała się na sprawie, po której na szczęście czekała ją dziś już tylko jedna. Sala sądowa była duszna, czuło się niemiły zapach starego dywanu i zemocjonowanych ludzi. Górne jarzeniówki niemal oślepiały swoim jaskrawym blaskiem. Wszystko to potęgowało i tak dokuczliwy ból głowy.

- Moja babcia umarła, wie pani, a ja nie mogłem potem chodzić do szkoły i...

- Chwileczkę, panie Boylan. Nie widzę związku między śmiercią babci lub niemożnością uczęszczania do szkoły a faktem, że dokonał pan kradzieży samochodu - przerwała wywody stojącego przed nią szesnastolatka. Był wysoki, mógł mieć blisko 180 centymetrów wzrostu, ale nie była tego pewna; ze swojego miejsca na podwyższeniu nie potrafiła stwierdzić tego precyzyjnie. Miał na sobie luźny biały podkoszulek z emblematem jakiegoś zespołu rockowego, workowate dżinsy i tenisówki z niezawiazanymi sznurówkami. Brudne blond włosy zwisały do ramion.

Moja babcia umarła. Jeszcze jedna wymówka w stylu: Pies pożarł moje wypracowanie domowe. W trakcie swojej trzyletniej pracy w sądzie słyszała podobne tłumaczenia tyle razy, że przestała się nimi przejmować.

Speszony jej surowym spojrzeniem, młodzieniec oblizał wargi i rzucił nerwowe spojrzenie w stronę reprezentującego go adwokata, młodej, ciemnowłosej Helii Shisler.

- Robert był bardzo przywiązany do swojej babci... - zaczęła pani Shisler.

Grace potrząsnęła głową.

- Chcę to usłyszeć z jego ust. Panie Boylan, proszę mi łaskawie wyjaśnić związek między śmiercią babci i zerwaniem ze szkołą, a także między obu tymi faktami i dokonaną przez pana kradzieżą samochodu.

Chłopiec przygryzł dolną wargę i dopiero po chwili wyjąkał:

- No... eee... moja babcia podwoziła mnie zawsze tu i tam, a kiedy umarła, nie mogła już tego robić... a ja musiałem się dostać do szkoły, wie pani...

Tylko przez parę chwil Grace rozważała logikę tego tłumaczenia.

- Proszę mnie poprawić, panie Boylan, jeśli się mylę, ale czy nie ukradł pan tego auta w sobotni wieczór? Nie wiedziałam, że o tej porze w szkołach odbywają się zajęcia.

- Odbywała się zabawa taneczna - wyjaśnił młodzieniec.

Pani Shisler skrzywiła się z dezaprobatą.

- To był samochód jego ojczyma, Wysoki Sądzie. I właściwie nie został skradziony. Chłopiec po prostu zapomniał zapytać, czy może go pożyczyć. A jego ojczym zdenerwował się i zawiadomił policję. To nie powinno się było wydarzyć.

Grace przeniosła wzrok z chłopca na kobietę, która zerwała się ze swojego krzesła na sali i podbiegła do barierki. Przysadzista, farbowana blondynka o rumianej, szerokiej twarzy, mniej więcej trzydziestopięcioletnia. Czarne elastyczne spodnie i różowa kwiecista bluzka były przynajmniej o jeden numer za małe. Bluzka rozchyłała się między górnymi guzikami i pod obfitym biustem, pozwalając dostrzec solidny biały stanik. Kobieta wyglądała na zmęczoną życiem, miała podkrążone, nabiegłe krwią oczy.

- Pani jest jego matką?

- Tak jest. - Kobieta mówiła tak cicho, że Grace musiała nadstawiać ucha, żeby słyszeć cokolwiek. - To dobry chłopak, Wysoki Sądzie. Nie powinien był brać samochodu Gordona... to znaczy, mojego męża... ale on go nie ukraść. Naprawdę.

Nieoczekiwanie Grace poczuła współczucie dla tej kobiety.

- Czy on był już karany? - zapytała szorstko Herba Pruitta, oskarżyciela.

- Raz, za kradzież w sklepie, Wysoki Sądzie. Poza tym jest notorycznym wagarowiczem. W tym roku opuścił już dziewięć dni.

Tak wysoka absencja musiała robić wrażenie; zajęcia w szkole rozpoczęły się zaledwie przed miesiącem.

- Samochód rzeczywiście należy do jego ojczyma?

Oskarżyciel zajrzał do notatek.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- To nie była kradzież, Wysoki Sądzie. Gordon nieraz pozwalał mu brać samochód. A tym razem po prostu się wściekł. - Ton głosu kobiety, jak również jej

wzrok wyrażały żarliwe błaganie. - Robby to dobre dziecko. On po prostu... czasem nie myśli o tym, co robi...

Zazwyczaj Grace nie pozwalała na tego typu wystąpienia rodziców w sądzie. Szczyciła się tym, że potrafi utrzymać wszystkich w ryzach. Ale jako matka uwikłana w problemy wychowawcze poczuła nieoczekiwanie, że coś ją łączy z tą kobietą. Ta myśl sprawiła jej jednak przykrość, odrzuciła ją więc zdecydowanie. Nie ma przecież żadnego porównania między tym chłopcem i Jess.

Owszem, nie ma. Na razie.

To drobne podstępne zastrzeżenie zagnieździło się w jej głowie, zanim jeszcze zdołała się oderwać od własnych problemów. Stłumiła westchnienie.

- No dobrze. - Zmierzyła młodocianego winowajcę ostrym spojrzeniem. - Korzystanie z samochodu bez zgody jego właściciela jest pospolitą kradzieżą, panie Boylan, niezależnie od tego, czy ów właściciel jest ojczymem czy też kimś obcym. Chcę, aby było to jasne. Jednak dam panu szansę. Jedną szansę, nie więcej. I stawiam parę warunków: uczęszczamy do szkoły regularnie, każdego dnia, bez względu na pogodę, nawet gdyby lało i grzmiało lub gdyby świeciło piękne słońce. Po drugie: trzymamy się z dala od wszelkich kłopotów, aby nie być na bakier z prawem. Wystarczy jedna kradzież w sklepie, jedna kradzież samochodu lub coś w tym rodzaju, a pożegna się pan z rodziną i posiedzi w domu poprawczym do ukończenia osiemnastu lat. Rozumiemy się?

- Jasne. - Na twarzy chłopca malowała się ulga, a kiedy pani Shisler trąciła go w bok, dodał: - Tak, proszę pani... eee... Wysoki Sądzie.

- Kurator będzie się co tydzień kontaktował ze szkołą, aby sprawdzić, jak się pan sprawuje, i natychmiast mnie informował o nieobecności na zajęciach. Jeśli zaś znajdzie się pan ponownie na tej sali, panie Boylan, nie będzie pan mną zachwycony, to pewne.

Był to jej stały sposób ostrzegania młodych podsądnych, ale każdorazowo,



gdy wypowiadała te słowa, oczekiwała niemal, że któryś z bardziej wygadanych chłopców zareaguje na nie stwierdzeniem w rodzaju: Ja już teraz nie jestem panią zachwycony. Jak dotąd jednak nikt nie odezwał się do niej w ten sposób.

- Tak, proszę pani... Wysoki Sądzie - powtórzył chłopiec i uśmiechnął się szeroko.

Grace przyszło na myśl, że on pewnie uważa ją za frajerkę. Spojrzała na jego matkę; ta nie kryła już łez, raz po raz ocierała je wierzchem dłoni.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - powiedziała.

Popatrzyły na siebie przez chwilę. Grace kiwnęła głową. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że właśnie rozbudzone w niej współczucie wobec tej kobiety uratowało chłopca przed zasłużoną chyba karą. I nie wiedziała, jak ocenić tę nietypową dla siebie pobłażliwość.

- Zamykam sprawę.

Na moment opuściła powieki i uniosła palce ku skroniom, podczas gdy Boylan i jego matka padli sobie w ramiona, po czym opuścili salę w towarzystwie obojga prawników. Bolała ją głowa. Kiedy wróciła ze szpitala do domu, dochodziła siódma, o dziewiątej, mimo nieprzespanej nocy, była już w sądzie i od tej pory pracowała pilnie, z godzinną przerwą na lunch.

- Następna sprawa - powiedziała, otwierając oczy.

Był to przeciągający się spór o opiekę nad dziećmi, spór prowadzony w wyjątkowo brzydkim stylu: ojciec, dobrze sytuowany dentysta, oskarżał eks-żonę i była higienistkę o niewywiązywanie się z obowiązków matki, gdyż - jak twierdził - była ona alkoholiczką, a poza tym sprowadzała do domu rozmaitych mężczyzn, na domiar złego gościła ich w obecności dwóch córek. W odwecie kobieta oskarżała go, iż jest nieodpowiednim ojcem, gdyż - jak twierdziła - znęcał się nad nią oraz córkami psychicznie, a nawet wykorzystywał je seksualnie. Obie strony zeznawały już w sądzie przeciw sobie przynajmniej pół tuzina razy i wreszcie dziś Grace

uznała, że nie wierzy żadnej z nich. Na dzisiejszej rozprawie ojciec wnioskował o obniżenie kwoty alimentacyjnej na dzieci, jak bowiem uznał, obecnie zajmuje się nimi znacznie częściej, niż określało to orzeczenie rozwodowe.

Argumenty adwokatów nie zrobiły na Grace wrażenia.

- Doktorze Allen - powiedziała w końcu - nie sądzę, aby fakt, iż dzieci przebywały u pana ostatnio przez cały weekend, gdyż pańska eks-żona musiała wyjechać na parę dni z miasta, stanowił wystarczające uzasadnienie wniosku o obniżenie kwoty alimentacyjnej. Dlatego orzekam niniejszym na korzyść pozwanej. Zamykam sprawę.

Dentysta prychnął gniewnie, jego była żona wyglądała na zadowoloną.

- Chwileczkę, Wysoki Sądzie. - Adwokata doktora Allena, Colina Wilkersona, Grace znała nawet lepiej niż jego klienta: w przeszłości popełniła błąd, spotykając się z tym człowiekiem przez trzy miesiące, wiosną i wczesnym latem. Dopiero później zmądrzała. - Czy mogę podejść?

Potraktował widocznie swoje słowa jako pytanie retoryczne, gdyż nie czekając na odpowiedź, zbliżył się do niej. Za jego plecami sala powoli pustoszała.

- O co chodzi? - zapytała Grace ze znużeniem. Colin był wysokim, jasnowłosym, łysiejącym już lekko mężczyzną o wydatnych rysach i długim nosie. Kiedyś uważała, że jest przystojny, przypominał jej trochę Williama Hurta. Miał na sobie granatowy, jak zwykle wytworny garnitur. Błękitną koszulę i krawat dobrał z pewnością pod kolor swoich oczu, które w tym momencie mrużył gniewnie. Ręce trzymał opuszczone wzdłuż boków, palce drgały nerwowo w sposób, jaki zauważyła u niego kilkakrotnie już wcześniej.

- Ten werdykt to chyba nic osobistego, nieprawdaż, Wysoki Sądzie? - zapytał cicho. Wykrzywił usta w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Co?

Chyba właśnie dlatego przestała się z nim spotykać. Ten człowiek do niczego nie podchodził z dystansem, wszystko było dla niego sprawą życia lub śmierci. Nawet to, dokąd pójść na obiad lub do którego kina, albo czy pogoda jest odpowiednia na wyprawę kajakową.

Życie wydawało się jej za krótkie, by zмагаć się codziennie z tego rodzaju stwarzanymi na własne życzenie problemami. Wystarczały jej sprawy, z jakimi miała do czynienia na sali sądowej.

- Odkąd przestaliśmy się spotykać, orzekasz każdorazowo na niekorzyść moich klientów. Nie sądzę, że to tylko zbieg okoliczności.

Zmierzyła go baczным wzrokiem.

- A jednak tak jest, panie Wilkerson. Zapewniam pana.

- Nie wierzę. Co takiego zrobiłem, że jesteś na mnie tak cięta, Grace? Nie podobały ci się moje krawaty? Woda po goleniu? Sposób, w jaki prowadzę auto? Nie myśl, że ma to jeszcze dla mnie jakieś znaczenie. Chcę cię tylko prosić, abyś nie przenosiła swoich osobistych animozji na moich klientów.

- Jest pan w tej chwili bardzo bliski dopuszczenia się obrazy sądu, panie Wilkerson. - Jej ton był lodowaty, podobnie jak wzrok. Co mi strzeliło do głowy, pomyślała, żeby zadawać się z człowiekiem tego pokroju, choćby na krótko?

W porządku, czuła się samotna. Ale jak się już przekonała, samotność bywa lepsza od swojego przeciwieństwa. A życie nadal utwierdzało ją w tym przekonaniu.

- Słusznie, osłaniaj się swoją sędziowską togą. Ale ostrzegam: nie pozwolę, abyś krzywdziła moich klientów tylko dlatego, że masz jakieś pretensje do mnie. Wniosę na ciebie skargę.

- Proszę bardzo, ma pan do tego prawo. Ale ja też ostrzegam: jeśli nie opuści pan tej sali natychmiast, oskarżę pana o obrazę sądu i spędzi pan dzisiejszą noc w areszcie.

Patrzyła na niego zimnym wzrokiem, on zaś zacisnął pięści. Twarz nabiegła mu krwią, potem zmieniła barwę z czerwonej na purpurową. Jednak po chwili Wilkerson obrócił się na pięcie i szybkim krokiem ruszył do wyjścia, zatrzymując się tylko na moment, aby zabrać ze sobą klienta.

Dopiero gdy ciężkie dębowe drzwi w końcu sali zamknęły się za nimi, przyszła pora na odprężenie.

- Ciężki dzień - mruknął ze współczuciem woźny, którego Grace uważała za swojego dobrego przyjaciela. Walter Dowd miał sześćdziesiąt dwa lata, pomarszczoną twarz upodabniającą go do baseta i masywną budowę ciała zawodnika drużyny futbolowej.

- Tak jak zawsze - uśmiechnęła się ze znużeniem Grace.

Nie mogła się już doczekać chwili, kiedy wreszcie usiądzie wygodnie w swoim gabinecie i napije się kawy, potrzebnej jej teraz jak powietrze. Pozwoli sobie na dziesięć minut relaksu. Potem musi zatelefonować na policję i zapytać o postępy śledztwa w sprawie tajemniczego intruza, który znalazł się poprzedniej nocy na terenie jej posiadłości. Wracając do domu, zatrzyma się przy pralni i wpadnie do sklepu spożywczego. Potem kolacja i praca domowa Jess. Wieczorem musi znaleźć czas na poważną rozmowę z córką. Perspektywa tej rozmowy wcale jej nie cieszyła.

Stare porzekadło o tym, że praca kobiety nigdy się nie kończy, potwierdzało się również w jej wypadku. Widocznie jej przeznaczeniem jest los człowieka wiecznie zaganianego.

Drzwi otworzyły się nagle, do cichej w tym momencie Sali wszedł nieznajomy mężczyzna. Walter, który zamierzał właśnie zamknąć drzwi na klucz, zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na przybysza.

- Dziś sąd już nie obraduje. - Starał się zawsze chronić Grace, co ona potrafiła docenić. Głos Dowda był szorstki, surowy wzrok miał odstraszyć intruza.

- Wiem. Ale miałem nadzieję, że zastanę jeszcze sędzinę. - Nieznajomy spojrział ponad głowę Waltera na Grace, która nie opuściła jeszcze swojego miejsca. - Mogę zająć jedną minutę?

Poznała go od razu: Pan Burkliwy we własnej osobie. Zmrużyła oczy i zacisnęła usta, ale kiwnęła głową.

- Już dobrze - uspokoiła Waltera. - Wpuść tego pana. Możesz pozamykać wszystko i iść do domu. Wiem, że ci się śpieszy. My wyjdziemy tylnymi drzwiami.

- Dziękuję.

Żona Waltera, czterdziestoletnia Mary Alice, dochodziła powoli do zdrowia po operacji stawu biodrowego i obecność męża w domu miała dla niej duże znaczenie; Grace wiedziała o tym. Mijając Waltera, który znowu skierował się ku drzwiom, policjant już szedł w jej stronę.

- Czym mogę służyć? - zapytała chłodno, kiedy stanął przed nią. Przewyższał ją o pół głowy, mimo że nosiła buty na wysokich obcasach, a w dżinsach i sfatygowanej kurtce wojskowej wyglądał tak samo niechlujnie jak ostatniej nocy. Powiódł po niej badawczym wzrokiem, ona natomiast pomyślała z satysfakcją, że w czarnej sędziowskiej todze prezentuje się zupełnie inaczej niż kilkanaście godzin wcześniej, gdy była po prostu udręczoną, przerażoną matką. Teraz wygląda naprawdę jak ktoś godny szacunku.

- Przykro mi, że niepokoję panią o tak późnej porze - odezwał się policjant. W jego głosie usłyszała nutkę ironii i zmarszczyła brwi. Ale może uległa złudzeniu? Nie była tego pewna, on zaś kontynuował: - Pomyślałem sobie, że może chce się pani dowiedzieć, w jakich okolicznościach znaleźliśmy w nocy jej córkę.

Westchnęła w duchu. Oczywiście, że chciała się dowiedzieć. Nie, poprawka: wcale tego nie chce. Ale powinna. Oto radości macierzyństwa.

- Przejdźmy do mojego gabinetu - zaproponowała zrezygnowana i wyszła pierwsza tylnymi drzwiami.

## Rozdział ósmy

Szumne określenie „gabinet” odnosiło się w rzeczywistości do zwykłego pokoju biurowego. Podłogę pokrywało upstrzone brązowym deseniem linoleum, ścian nie wytapetowano, lecz po prostu pomalowano na beżowo, masywne meble - biurko, trzy krzesła, gablotka i dwa oszklone regały - były z ciemnego orzecha. Pod ścianą z drzwiami stała czarna skórzana staroświecka kanapa, na biurku lampa z zielonym abażurem, a nad kanapą wisiała ładnie oprawiona, lecz wyblakła już reprodukcja obrazu w tonacji brązu, czerwieni i zieleni, przedstawiającego scenkę z odległego w czasie polowania na lisa. Poza kilkoma rodzinnymi fotografiami i pamiątkami, ustawionymi na półeczkach, oraz zdjęciem Grace i jej córki zdobiącym róg biurka pokój nie miał żadnych akcentów osobistych.

- Napije się pan kawy? - Grace zerknęła za siebie, kierując się wprost w stronę ekspresu na gablotce tuż za biurkiem. Padnę tu za chwilę, jeśli nie łyknę natychmiast trochę kofeiny, pomyślała.

- Nie, dziękuję. Ale proszę sobie nie przeszkadzać. - Stał zaledwie parę kroków za progiem i rozglądał się po pokoju.

Grace naląła sobie filiżankę - już za sam jej aromat była gotowa oddać życie - ujęła ją oburącz i upiła łyk. Boże, taka mocna kawa o tak późnej porze! Czując, jak wracają jej siły, upiła jeszcze trochę i nagle poczuła na sobie jego wzrok, tak

samo taksujący jak ostatniej nocy. Co jest z tym facetem, pomyślała z rosnącą urazą. Usiadła za biurkiem i postawiła filiżankę na szklanej płycie osłaniającej drewniany blat. Jeśli była najgorszą matką, z jaką zetknął się w swoim życiu, z pewnością nie wiedział o życiu zbyt wiele.

Podniosła na niego wzrok.

- Obawiam się, że nie dosłyszałam w nocy pańskiego nazwiska.

Jej głos był chłodny, sposób bycia typowy dla człowieka świadomego swojej wartości i pozycji.

- Tony Marino. Detektyw.

Marino. Tak samo nazywa się ten drugi policjant, który poinformował ją pierwszy o odnalezieniu Jess. A więc jednak bracia! Grace nie była tym faktem zaskoczona. Byli do siebie podobni i mieli takie same maniery. Może nawet ten był bardziej nieprzyjemny.

Ktoś zapukał do drzwi. Oboje spojrzeli w tamtą stronę: w progu stanęła Nancy Lutz, jedna z sekretarek zatrudnionych w sądzie.

- Czy będę jeszcze potrzebna?

Nancy była smukłą i atrakcyjną dwudziestokilkuletnią blondynką, skórą do uśmiechu. Teraz obdarzyła nim gościa Grace. Niedawno rozwiedziona, nie ukrywała rozbudzonego na nowo zainteresowania męskim rodem.

- Nie, dziękuję, Nancy, możesz już iść. Dobranoc.

Jakimś cudem Grace zdobyła się na nikły wprawdzie, ale widoczny uśmiech.

- Dobranoc.

Nancy odwróciła się i wyszła, kołysząc ponętnymi biodrami, obleczonymi dopasowaną czarną spódniczką. Jej długie blond włosy falowały na ramionach. Marino pochłaniał ją wzrokiem tak bezceremonialnie, że uśmiech Grace zgasł. Kiedy policjant powrócił do niej wzrokiem, z miną nadal wyrażającą uznanie dla

dostrzeżonej przed chwilą urody, Grace zaprezentowała lodowate spojrzenie i mocno zaciśnięte usta.

Szowinistyczna męska świnią, pomyślała, upijając łyk kawy.

- Mogę zamknąć drzwi? - zapytał.

- Proszę bardzo.

Zamknął je i ponownie odwrócił się do niej. Pod rozpiętą kurtką nosił jak i wczoraj flanelową kraciatą koszulę, ale tym razem brązowo-niebieską. Jednodniowy zarost przyciemniał szczupły podbródek i policzki. Czarne włosy, dość długie, przycięte po bokach, były zmierzwione. Ogólnie rzecz biorąc, facet jest wystarczająco przystojny, by zasłużyć na zachęcające kręcenie pośladkami, pomyślała Grace, o ile kobieta gustuje w nieskomplikowanych typach. Ona osobiście nigdy nie przepadała za takimi byczkami. Przekonała się niejednokrotnie, że zazwyczaj są to ludzie prymitywni. I arogancy. I nastawieni krytycznie do kompetentnych, odnoszących sukcesy kobiet.

- Proszę usiąść.

Ton jej głosu zadawał kłam szczerości zaproszenia. Był zbyt obcesowy, podobnie jak towarzyszący mu ruch głową, a jednak Marino usiadł na jednym z krzeseł stojących przed biurkiem i nachylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Po wyjściu Nancy uśmiech znikł z jego twarzy. Nie sprawiał już wrażenia przyjaźniej usposobionego niż Grace.

- Chciał pan porozmawiać o mojej córce - przypomniała mu.

Przytaknął ruchem głowy.

- Ona chodzi do Hebron, tak?

- Owszem.

Hebron była dużą szkołą publiczną, przedmiotem dumy miasta, gwiazdą jego systemu edukacyjnego. Grace wolałyby umieścić córkę w jakiejś mniejszej prywatnej szkole, ale Jess wyblagała zgodę właśnie na tę. Grace, jak zwykle, uległa



jej.

- Dużo pani wie o jej znajomych? - zapytał Marino. Pytanie zabrzmiało jak oskarżenie.

- Chwileczkę. - Grace uniosła dłoń, urywając dyskusję. Zmierzyła swojego rozmówcę sędziowskim wzrokiem, doskonałym przez trzy lata pełne doświadczeń i zdolnym sparaliżować zatwardziałego grzesznika, przykuwając go na dowolnie długi okres do miejsca niczym motyla w gablotce. - Ani słowa więcej. Jak widzę, lubi mnie pan besztać, detektywie Marino. Za kogo się pan uważa, aby osądzać mój sposób wychowywania córki?

Przez moment milczał, wpatrując się w nią bez ruchu.

- Jestem tajniakiem, który ostatniej nocy nie przymknął pani córki - powiedział w końcu w miarę łagodnym tonem. Wyprostował się i sięgnął do kieszeni kurtki. - Chociaż akurat w momencie zatrzymania ona kupowała to. Zapłaciła dwadzieścia dolców.

Wyciągnął z kieszeni plastikową torebkę i podniósł wyżej, tak aby Grace mogła ją dokładnie zobaczyć. Przezroczysta torebka zawierała niewielką ilość czegoś, co wyglądało na zaszuszoną trawę.

Widok zupełnie niewinny, chyba że ktoś wie, co to naprawdę jest. A Grace wiedziała. Siedziała jak skamieniała, niema, wpatrzona w tę okropną, ohydną torebkę, którą policjant trzymał w dłoni.

- Jak widzę, orientuje się pani, co to jest - mruknął Marino. Wsunął torebkę z powrotem do kieszeni. - Towar najwyższej jakości, z Meksyku, jeśli to panią interesuje.

- O mój Boże - szepnęła Grace. Oddychała z największym trudem.

Marino skinął głową.

- Jeszcze pięć lat temu szkoła Hebron była w porządku. Potem ktoś

zorientował się, że te dzieciaki stać na narkotyki. No i bingo! Teraz Hebron ma poważny problem z narkotykami, a Dom i ja otrzymaliśmy zadanie wyłapania łajdaków odpowiedzialnych za tę sytuację. Mam nadzieję, że pani córka może nam w tym pomóc.

- O mój Boże! - Grace miała wrażenie, że się dusi. Jessica zażywa narkotyki! Ostatniej nocy była pijana. Wszystkie wspaniałe marzenia dotyczące jej przyszłości zaczęły rozwiewać się niczym zwykły miraż. Jeszcze jeden fałszywy ruch i znikną na zawsze. - Mój Boże!

Obserwował jej reakcję z mocno zaciśniętymi ustami i zmrużonymi oczyma.

- Pocieszę panią trochę: nie sądzę, aby Jessica tkwiła w tym bardzo głęboko. - W jego głosie pobrzmiwała teraz nuta współczucia. - Jeszcze nie. W ciągu paru ostatnich tygodni nie widziałem jej ani razu, a natknąłbym się na nią z pewnością, gdyby bywała tam regularnie.

- Jak... - Grace przełknęła ślinę. - Gdzie pan ją znalazł?

- Ostatniej nocy obserwowaliśmy samochód pełen dzieciaków z Hebron. W parku Brandeis spotkali się z inną grupą, także przybyłą autem. Pani córka wysiadła z pierwszego samochodu, podeszła do drugiego, podała przez okno banknot dwudziestodolarowy i dostała tę torebkę. Kiedy wracała do swojej grupy, nagle padła na ziemię. Jakiś wóz patrolowy, który krążył w pobliżu, włączył koguta i wtedy oba auta momentalnie zmyły się z piskiem opon, zostawiając pani córkę. Jeden z naszych wozów pojechał za nimi, a Dom i ja zajęliśmy się dziewczyną. Akurat gdy wsadzaliśmy ją do naszego samochodu, centrala poinformowała przez radio, że zaginęła dziewczyna. Rysopis się zgadzał, zawieźliśmy ją więc do domu.

- I jest pan pewien, że właśnie ona kupiła... to. - Grace spojrzała przelotnie na kieszeń jego kurtki. Instynkt prawnika nakazywał szukać jakiejś luki, odnaleźć za wszelką cenę jakieś usprawiedliwienie dla córki. Instynkt matki dostrzegał drugą stronę medalu: konieczność poniesienia przez Jess konsekwencji tego, co uczyniła.

- Jestem pewien.

- A dlaczego nie zatrzymał jej pan w areszcie? - Wypowiedziała te słowa z wielkim trudem.

Na ułamek sekundy odwrócił od niej wzrok. Potem spojrzał jej prosto w oczy.

- Jak już mówiłem, nigdy jej tam przedtem nie spotkałem. Jest w tej grupie nowa, a oni wykorzystują ją bez skrpułów. Zresztą nie jeździmy tam z Domem po to, by zatrzymać kilkoro dzieciaków. To płotki, a nam chodzi o rekina, faceta, który sprzedaje narkotyki drobnym dealerom, którzy z kolei rozprowadzają je wśród uczniów. Mam nadzieję, że pani córka da się namówić do współpracy z nami.

- Miałyby wam pomagać? W jaki sposób?

- Na początek mogłaby podać nam nazwiska kolegów, z którymi jechała tamtym autem. Część z nich znamy, ale nie wszystkich. Mogłaby też powiedzieć, kto ustala warunki transakcji. Komu dała pieniądze. A jeśli się orientuje, to również komu ten ktoś oddaje otrzymane pieniądze.

- Inaczej mówiąc, miałyby zostać waszym informatorem.

- Potrzebujemy jej pomocy.

- A więc albo ona wam pomoże, albo wysuniecie przeciw niej oskarżenie, taki chcecie ubić interes? - Przypomniała sobie o kawie i zacisnęła dłoń na filiżance, ale zabrakło jej sił, aby podnieść ją do ust.

- Wcale nie. Po prostu zapomnimy o tym, co wydarzyło się w nocy. Nie oskarżymy jej. Od niej zależy, czy nam pomoże czy nie. Ale na pani miejscu dobrze bym sobie przemyślał, co oznacza to „nie”. Jeśli Jessica odmówi współpracy z nami, handel narkotykami będzie nadal kwitł w szkole, a tam ona jest najbardziej narażona. Tym razem nie była naćpana, nie zażyła żadnych narkotyków. Następnym razem, czy będziemy to my, czy inni, kto wie? Wtedy

może trafić do celi albo spotka ją coś jeszcze gorszego.

- Wypiszę ją z Hebron... - mruknęła Grace, raczej do siebie niż do niego.

Marino wzruszył ramionami.

- Jeśli pani uważa, że to rozwiąże problem.

- Umieszczę ją w prywatnej szkole, będę nad nią czuwać, wynajmę kogoś, żeby był w domu zawsze o tej porze, gdy ona wraca po zajęciach i...

- I będzie ją pani miała bezustannie na oku, dwadzieścia cztery godziny na dobę? - dokończył za nią. - To niemożliwe. Wczoraj wymknęła się z domu mimo pani obecności. Już po raz trzeci w ciągu... ilu? Chyba w ciągu trzech ostatnich miesięcy.

Zbita z tropu wpatrywała się w niego bez słowa. Rzeczywiście, nie może pilnować Jess na okrągło do czasu osiągnięcia przez nią pełnoletności. To się nie uda, chyba że zamknęłaby ją w więziennej celi. Zresztą Jess ma taki charakter, że im więcej ograniczeń, tym większa determinacja z jej strony, aby w sposobnej chwili stawić opór.

- A w jaki sposób współpraca z wami może jej pomóc? - zapytała wreszcie.

- Dzięki niej moglibyśmy rozbić gang handlarzy narkotykami, to po pierwsze. To by nam umożliwiło pozbycie się tamtych łajdaków. Poza tym ona sama, mając świadomość, że zainteresowała się nią policja, wystrzegłaby się od tej pory niewłaściwych kroków.

Patrzyła na niego, rozważając w duchu jego argumenty. Kiedy studiowała prawo, cechowała ją zdolność prawidłowego analizowania, ale w tej chwili czuła się sparaliżowana przez paniczny lęk. A gdy umysł zaczął wreszcie znowu funkcjonować jak dawniej, jedna myśl wyparła wszystkie inne:

- Moja córka znalazłaby się w poważnym niebezpieczeństwie! Gdyby ktoś się dowiedział, że z wami współpracuje, mogłoby to skończyć się dla niej bardzo źle!

Ściągnął brwi.

- Znalazłaby się pod naszą ochroną. Gwarantuję to.

Parsknęła śmiechem. Krótkim, urywanym, pozbawionym wesołości.

- Jakim cudem? Pan również nie może czuwać nad nią na okrągło, przez całą dobę. Myśli pan, że nie wiem, co się dzieje z dzieciakami, które zdradzają dealerów? Spójrzmy prawdzie w oczy. Jestem sędzią, na miłość boską! Widziałam już niejedno, widziałam okropne rzeczy! - Odetchnęła głęboko. - Nie. Dziękuję bardzo za wyrozumiałość, za pozostawienie mojej córki na wolności, ale nie. Ona nie może wam pomóc. Bardzo mi przykro.

Przez chwilę przetrawiał jej słowa. Jego wzrok stwardniał.

- Pani wybór. - Wstał i ruszył do wyjścia. Na progu obejrzał się przez ramię.

- Ale proszę pamiętać: dla każdego klienta mam tylko jeden miły gest.

Wyszedł z pokoju. Drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaskiem.

## Rozdział dziewiąty

Grace czuła się jak juczny wielbłąd, kiedy pchnęła ramieniem tylne drzwi i weszła do kuchni. W jednej ręce dźwigała trzy plastikowe reklamówki pełne zakupów oraz torebkę, w drugiej aktówkę i przytrzymywane dwoma palcami wieszaki z odebraną z pralni odzieżą w ochronnych workach, które przerzuciła sobie przez ramię. Worki ustawicznie ześlizgiwały się niżej, a ona musiała się przechylać coraz bardziej na lewy bok; gdyby nie to, świeżo wyprane ubranie znalazłoby się niebawem na podłodze.

- Cześć, ciociu Grace! - powitał ją piskliwy głos, kiedy zrzuciła wreszcie torby z zakupami, torebkę i aktówkę na biały owalny stolik, przy którym zazwyczaj jadła z córką. Z westchnieniem ulgi wyprostowała się i powiesiła rzeczy z pralni na zabytkowym wieszaku stojącym pod ścianą.

- Cześć, Courtney.

Kręcąc ramionami, aby pozbyć się skurczu, konsekwencji dźwigania pakunków w tak niewygodnej pozycji, Grace uśmiechnęła się do czteroletniej siostrzenicy, uczesanej w koński ogon, w różowym ubranku z dzianiny. Następnie powiodła wzrokiem po swej uroczej staroświeckiej kuchni i zobaczyła siostrę; siedziała na jednym z ustawionych przy barku taboretów, pogrążona w rozmowie z Pat Marcel, kobietą, która przychodziła tu raz w tygodniu sprzątać.

- Cześć, Jackie. Cześć, Pat.

- Nareszcie w domu - zawołała Jackie, przerywając rozmowę z Pat, która zazwyczaj wychodziła o czwartej; za dzisiejsze dwie dodatkowe godziny miała dostać ekstra wynagrodzenie. Grace poprosiła ją, aby zaczekała na jej powrót z sądu, tak aby Jessica nie musiała siedzieć w domu sama. Kiedy nad ranem opuszczały szpital, Jess czuła się już znacznie lepiej, między innymi dzięki odpowiedniej dawce insuliny. Nie poszła jednak do szkoły i otrzymała polecenie, aby dobrze się wyspać.

- Cześć, ciociu Grace!

Paul, jej sześcioletni siostrzeniec - wysoki, chudy, o rudawych włosach i upstrzonej piegami twarzy - przemknął obok niej, ślizgając się w samych skarpetach po lśniącym parkiecie. Miał sporą dziurę na kolanie dżinsów, a szeroki uśmiech od ucha do ucha odsłaniał lukę w miejscu, gdzie jeszcze parę dni temu tkwił jeden z jego przednich zębów.

- Cześć, Paul. On zgubił ząb - poinformowała siostrę Grace, jakby tamta sama tego nie wiedziała. Wyjęła zakupy z reklamówek i wraz z torebką umieściła

na blacie wyłożonym białymi kafelkami. Powierzyła zakupy zwinnym dłoniom Pat, sama zaś wyjęła z torebki książeczkę czekową i długopis.

- Tak, dziś rano. Wypadł mu, kiedy szykowaliśmy się do wyjścia. Cóż to było za zamieszanie! Na pewno nie spotkałaś się jeszcze nigdy z czymś takim. Leciała mu krew - powiedziała z naciskiem Jackie i sięgnęła po białe pudełko z celofanowym okienkiem, przez które można było dojrzeć pół tuzina jagodzianek. Położyła pudełko na blacie, otworzyła je i poczęstowała się ciastkiem. - A teraz Paul jest cały w nerwach, bo wieczorem ma przyjść czarodziej od zębów. Ale, skoro już jesteśmy przy takich sprawach... słyszałam, że miałaś w nocy przykre przejścia. Cukrzyca u Jess znowu szaleje?

Grace, wypisująca czek dla Pat, kiwnęła głową. Szczegóły tego wydarzenia nie były przeznaczone dla uszu Pat. Grace nie wiedziała nawet, czy powinna opowiedzieć o wszystkim siostrze. Głos wewnętrzny doradzał zachowanie tej kłopotliwej, niepokojącej prawdy dla siebie.

- Jak się czuje Jess? - zapytała, podając wypełniony czek Pat.

- Od rana jest cicha jak myszka, ale chyba czuje się już lepiej. Teraz jest u niej jakaś koleżanka. Powiedziała, że przyniosła zadanie domowe dla Jess, pomyślałam więc, że można ją wpuścić na górę.

Pat miała pięćdziesiąt pięć lat, jej krótkie ciemne włosy przyprószyła już w kilku miejscach siwizna, a głębokie zmarszczki pomiędzy brwiami i wokół ust stwarzały wrażenie ustawicznego zatroskania. Kiedy zgłosiła się do pracy, Grace, patrząc na nią, nabrała niemal pewności, że lada chwila usłyszy od niej jakąś złą wiadomość. Dopiero potem się zorientowała, że ta zatroskana mina to stały wyraz twarzy Pat.

- To dobrze. - Postanowiła zaaprobować fakt wpuszczenia na górę koleżanki Jess. - Dziękuję, że zostałaś.

- Ciociu Grace, czy kupiłaś jakieś cukierki? - U jej boku wyrosła nagle

Courtney; duże niebieskie oczy, rodowy znak rozpoznawczy, spoglądały błagalnie. Dziewczynka miała blond włosy, była wysoka i szczupła, podobnie jak jej brat, ciocia i siostra cioteczna. - Mamusia zawsze przynosi słodkości, kiedy wraca z zakupów. Dlatego jest taka gruba.

- Nie, kochanie, nie kupiłam cukierków - odparła Grace i aby pocieszyć dziewczynkę, czule pogłaskała ją po głowie, natomiast Jackie przełknęła kęs jagodzianki i zrobiła groźną minę.

- Bądź cicho, berbeciu, bo mamusia wrzuci cię do kosza na śmieci, zamknie wieko i wezwie śmieciarzy!

- Nie, mamusiu! - Courtney uciekła z piskiem, tłumiąc chichot.

- Chyba już pójdę. - Pat zdjęła kurtkę z wieszaka i założyła ją. - Jeśli będę potrzebna jeszcze w tym tygodniu, zadzwoń, Grace.

- Dobrze, Pat. Do widzenia. Jeszcze raz dziękuję.

- Do widzenia - powtórzyła jak echo Jackie.

Pat pomachała ręką na pożegnanie. Drzwi nie zamknęły się za nią do końca i Grace zmarszczyła brwi, nie było jednak innej rady; musiała podejść do nich i zatrzaskać je porządnie. Były już stare i tylko w ten sposób mogła sobie z nimi poradzić. A po ostatniej nocy wolała nie ryzykować i zachować wszelkie środki ostrożności.

Już od rana prześladowała ją myśl, że tajemniczy intruz dostał się do środka przez niedokładnie zamknięte tylne drzwi.

- Naprawdę jestem za gruba, co? - westchnęła Jackie, kiedy Grace wróciła i zajęła się układaniem zakupów w lodówce. Zamierzała właśnie opowiedzieć siostrze o niektórych wydarzeniach minionej nocy (historię z marihuaną postanowiła jednak przezornie zachować dla siebie), ale to pytanie odwróciło przelotnie jej uwagę od tamtych spraw.

- Jesteś piękna.



Jackie była rzeczywiście nieco zbyt pulchna, ale za to wysoka, o kształtach proporcjonalnych na tyle, że można było określić ją raczej mianem „apetyczna” niż „gruba”. Jasnokasztanowate włosy, przetykane gdzieś tam blond pasemkami, opadały łagodnymi falami na ramiona. Miała ładną twarz i duże niebieskie oczy o łagodnym spojrzeniu. Natura oszczędziła jej charakterystycznego dla reszty rodziny długiego nosa z niewielkim garbem; jej nos był krótki i zadarty nad kształtnymi, zazwyczaj uśmiechniętymi ustami. Miała dwadzieścia osiem lat i zawsze budziła w Grace, starszej od niej o osiem lat, silny instynkt opiekuńczy.

- Stan mówi, że jeszcze trochę, a zacznę wyglądać jak zapaśnik sumo. Że jeśli nadal będę dużo jeść, powinnam potem wyjechać do Japonii, gdyż tam zrobiłabym karierę, a on nie musiałby już pracować.

Stan był mężem Jackie.

- Stan to dupek. - Grace aż zatrzęsała się z gniewu, słysząc o afroncie, jaki spotkał jej siostrę. Włożyła do pojemnika na chleb świeże pieczywo i z trzaskiem zamknęła wieczko.

- Po prostu chciał mi stworzyć motywację do zrzucenia wagi - mruknęła niepewnie Jackie.

- A moim zdaniem jemu chodzi o to, żebyś miała gorsze samopoczucie. Wtedy on poczułby się lepiej. Znalazł sobie wreszcie jakąś pracę?

Przed ośmioma miesiącami Stan został zwolniony z fabryki Hondy, ale dopiero od paru tygodni, kiedy przestano mu wypłacać zasiłek dla bezrobotnych, uznał, iż powinien się rozejrzeć za jakimś zatrudnieniem. W tym czasie Jackie troszczyła się o utrzymanie rodziny, pracując w ośrodku opieki dziennej. Nie zarabiała tam dużo, ale mogła zabierać ze sobą Courtney, a Paul dołączał do nich po szkole. Stan nie zajmował się dziećmi, choć pozostawał bezrobotny. Zawsze twierdził, że jest zbyt zajęty.

Może to i dobrze, pomyślała Grace. Jej szwagier nie potrafił nigdy okazać

cierpliwości własnemu potomstwu.

- Cały czas szuka.

Grace chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Jackie z pewnością nie zechce słuchać o tym, że jej mąż to niezdara. Zresztą mówiła jej to już niejednokrotnie, niestety bezskutecznie.

- Zostaniecie na kolację? Dziś mamy kurczaka z ryżem i sałatkę - zaproponowała. Jackie i jej dzieci jadali z nimi dwa, trzy razy w tygodniu, zazwyczaj wtedy, gdy Stan umawiał się ze swoimi kumplami, by pograć w kregle, pokera lub coś w tym rodzaju.

Jackie potrząsnęła głową.

- Wpadliśmy tylko na chwilę, żeby się przywitać.

- Mamusiu! Mamusiu! Ratunku! - Courtney z piskiem wpadła do kuchni. Rzuciła się w stronę matki, usiłując ukryć się między nią a taboretym.

- Jestem śmieciarzem! Jestem śmieciarzem! Jestem śmieciarzem! - Paul, niemal zgięty w pół, wymachiwał gwałtownie rękoma, usiłując pochwycić siostrę.

- Paul, nie drażnij się z nią! Courtney, wiesz dobrze, że on nie jest śmieciarzem!

- Właśnie że jest! Mamusiu, sama mówiłaś, że naślesz na mnie śmieciarza, bo powiedziałam, że jesteś gruba! I to właśnie jest on!

- Jestem śmieciarzem! Jestem śmieciarzem! Jestem...

- Przestańcie natychmiast! - krzyknęła Jackie. - Jeśli w tej chwili nie pójdziecie stąd i nie będziecie grzeczni, zrobię z wami...

Nie musiała kończyć groźby. Widząc, że przebrały miarę i naprawdę wyprowadziły matkę z równowagi, dzieci czym prędzej wybiegły z kuchni.

- Wybacz, że podniosłam głos - mruknęła Jackie, najwyraźniej zakłopotana.

- Nie masz za co przepraszać - powiedziała Grace z przekonaniem. Kochała siostrzeńca i siostrzenicę, ale zdawała sobie sprawę z tego, że czasem są oni -

łagodnie mówiąc - zbyt głośni.

- Ty nigdy nie krzyczysz na Jess, prawda? - W głosie Jackie zabrzmiała skrucha. - W ogóle czymkolwiek się zajmujesz, robisz to dobrze. Cokolwiek by mówić, jesteś sędzią. I wspaniałą matką. I jesteś szczupłą, i...

- O co chodzi, Jackie? - szepnęła Grace. Doskonale знаła siostrę, wiedziała wszystko o jej życiu i potrafiła wyczuć, kiedy gryzło ją coś naprawdę poważnego. Teraz Jackie unikała jej wzroku, potrząsnęła za to głową.

- O nic. Nic mi nie jest. Ale... Nieraz to nie takie proste być siostrą kogoś tak idealnego jak ty.

- Och, daj spokój. Powiedz, w czym rzecz? - Grace napełniła garnek wodą na ryż, po czym spojrzała badawczo na Jackie. - Brakuje ci pieniędzy? Pożyczyć ci?

Jackie nie odpowiedziała od razu. Oparta łokciami o lśniące kafelki blatu, od którego Grace wstała i podeszła do zlewu, nie zwracała już uwagi na jagodziankę; zjadła ją tylko do połowy i odsunęła na bok, gdy Courtney nazwała ją grubą. Zerknęła nieśmiało na siostrę.

- Jest mi tak głupio...

- Kochanie, jesteś moją siostrą. Jeśli potrzebujesz trochę pieniędzy, powiedz. Ile?

Cichym głosem, jakby z zażenowaniem, Jackie wymieniła kwotę.

- To rachunek z elektrowni - wyjaśniła. - Jeśli nie zapłacę do jutra, wyłączą nam prąd. A pensję dostanę dopiero w piątek.

- Nie ma sprawy.

Książeczka czekowa i długopis leżały nadal na blacie. Grace zakręciła wodę, wytarła ręce papierowym ręcznikiem i wypisała czek.

- Dziękuję, siostrzyczko. - Jackie schowała czek do kieszeni. - Gdybym kiedykolwiek stała się bogatsza od ciebie - mruknęła, siląc się na bez troski ton - co z pewnością nigdy nie nastąpi, zawsze będziesz mogła liczyć na pomoc finansową

z mojej strony.

Grace roześmiała się; również ona robiła co mogła, aby okazać bez troskę, ale w rzeczywistości dręczyła się sytuacją siostry. - Będę pamiętała.

- Mamusiu, mamusiu!

- Uciekaj, Courtney! Jessica to śmieciarz! Zabierze cię ze sobą!

- Mamusiu!

Pierwsza pojawiła się Courtney; piszcząc, jakby ją obdzierali ze skóry, biegła ku matce. Tuż za nią pędził Paul, uśmiechnięty od ucha do ucha. Potem nadeszły Jessica i jej koleżanka, obie z wyrazem niesmaku na twarzach. W duchu Grace odetchnęła z ulgą. Wyglądało na to, że Jess doszła już do siebie: odzyskała kolory, skóra i usta utraciły tę niezdrową suchość.

- Mamusiu, Jessie mnie ściga!

- Mówiłem, że ona jest śmieciarzem i cię stąd zabierze!

- Ruszali mój komputer, mamo.

Jessica i jej koleżanka, obie wysokie i smukłe, w wyblakłych dżinsach i kusych sweterkach, stanęły obok lodówki. Jess spojrzała przez ramię na Jackie. - Cześć, ciociu.

- Cześć, Jess. Cieszę się, że już ci lepiej. No, dobrze, dzieciaki, dosyć już.

Wracamy do domu.

Jackie wstała, a Jessica otworzyła lodówkę. Wraz z koleżanką z zainteresowaniem oglądały jej zawartość.

- Nie, jeszcze nie, mamusiu! Myśmy się tylko bawili!

- Mamo, jeszcze nie!

- Zaraz będzie kolacja - powiedziała Grace do córki, mając nadzieję, że w ten sposób zapobiegnie podjadaniu między posiłkami. Przeniosła wzrok na koleżankę Jess: - Witaj, Allison. Jess, nie przedstawiś przyjaciółki ciotce i rodzeństwu?

- Ach, tak, oczywiście. Ciocia Jackie, Allison. Te szczeniaki to Paul i Courtney.

Sposób prezentacji pozostawiał wiele do życzenia, ale Grace nauczyła się już dawno temu nie dzielić włosa na czworo.

- Nie jesteśmy żadnymi szczeniakami! - zaprotestował Paul.

- Czyżby? - Jessica wyjęła coś z lodówki i zamknęła drzwiczki. Grace zerknęła na dłoń córki: dietetyczna pepsi. W porządku.

- Właśnie! - pisnęła Courtney.

- No to potwory.

- Jess! - zganiła ją Grace. Wzięła rondel przygotowany już wcześniej, zanim wypisała czek dla Jackie, i postawiła go na dużym ogniu. Niezaprzeczalną zaletą zarówno ryżu, jak kurczaka było to, że jedno i drugie przyrządzało się bardzo szybko. A Jessica musiała jeść regularnie, o czasie.

- Było mi miło, Allison - powiedziała uprzejmie Jackie, zaganiając do wyjścia rozwrzeszczane dzieciaki. - Dzięki, siostrze. Całuję. Ciebie też, Jess.

- Do widzenia, Jackie. Do widzenia, Courtney, Paul.

- Do widzenia, ciociu. Trzymajcie się, szczeniaki. - To Jessica oczywiście, ktoś by inny.

Jackie pomachała jeszcze raz i drzwi zamknęły się za nią. Grace ułożyła w gorącej brytfance dwie piersi z kurczaka, wsunęła ją do piekarnika, następnie wysypała ryż do rondelka z wrzącą wodą.

- Jezu, ależ te bachory są rozwrzeszczane! - Oburzenie Jess płynęło z głębi serca. Usiadła na taborecie zwolnionym przez Jackie i upiła prosto z puszkii łyk dietetycznej pepsi. - Nie wiem, jak ciocia Jackie to wytrzymuje.

- Ty też byłaś głośna swego czasu, moje dziecko. I pij ze szklanki.

- Wcale nie byłam głośna. - Jessica zignorowała szklankę, którą podsunęła jej matka. Upiła następny łyk wprost z puszkii.

- Ależ tak, kochanie, byłaś, możesz mi wierzyć. I pij ze szklanki.

Jessica niechętnie napełniła szklankę i wypijała. Allison siedziała obok niej na drugim taborecie, gryząc jabłko. Miała ciemne faliste włosy do ramion, z wplecionymi u końców jaskrawozielonymi tasiemkami. Była ładną dziewczyną o oliwkowej karnacji i ciemnych oczach, ale malowała się w sposób - przynajmniej zdaniem Grace - okropny. Niebieskie cienie, intensywne jak u clowna, pokrywały powieki aż po brwi, rzęsy natomiast upodobniły się za sprawą tuszu do złowieszczych kolców. Usta zdobiła czarna szminka. W porównaniu z nią Jessica - bez makijażu, wyłącznie z pojedynczym różowym pasemkiem we włosach - wyglądała jak uosobienie skromności.

Allison była nową przyjaciółką Jessiki. Grace widziała ją nie więcej niż trzy razy i nadal nie wiedziała, co o niej sądzić. Ciekawe, czy i ona siedziała w jednym z tych dwóch samochodów, o których opowiedział detektyw Marino.

- Miło z twojej strony, że przyniosłaś Jess pracę domową - powiedziała Grace. Z górnej szafki wyjęła miseczkę, następnie otworzyła lodówkę, aby przygotować sałatkę.

Allison wzruszyła ramionami.

- I tak tędy przechodziłam.

- Jesteś chyba w pierwszej klasie, prawda? Dużo masz wspólnych zajęć z Jess?

Dziewczyna ponownie wzruszyła ramionami.

- Angielski - odparła za nią Jessica, gromiąc matkę wzrokiem. - Algebra. I chór.

Przed domem odezwał się klakson.

- To po mnie. - Allison zeskoczyła żwawo z taboretu i podeszła szybkim krokiem do drzwi. Ogryzek jabłka zostawiła na blacie. - Zobaczymy się jutro w szkole, Jess. Do widzenia, pani Hart.

Grace odprowadziła ją do wyjścia; niby żeby zamknąć porządnie drzwi, ale w rzeczywistości chciała zobaczyć samochód oraz osobę, która przyjechała po Allison. Zapewne ojciec lub matka. Grace zawsze starała się poznać rodziców koleżanek Jess. Znając rodziców, łatwiej zrozumieć dziecko - taką wyznawała zasadę.

Okazało się jednak, że to żadne z rodziców. Zdezelowany czarny jeep z młodym chłopcem za kierownicą skręcił z podjazdu w ulicę, po czym pomknął z piskiem opon.

Grace zamknęła drzwi i wróciła do kuchni. Jess przyrządzała sałatkę, szatkując liście sałaty i szpinaku. Czując na sobie wzrok matki, podniosła na nią oczy.

- Boże, naprawdę musiałaś bawić się z Allison w to przesłuchanie?

Grace, zaskoczona tym wybuchem, zaniemówiła na długą chwilę. Potem zmierzyła córkę surowym spojrzeniem.

- Jess, musimy porozmawiać - oświadczyła.

## Rozdział dziesiąty

Kiedy Jessica usnęła, Grace wśliznęła się ostrożnie do jej sypialni. Światło było zgaszone, paliła się jednak lampa w hallu, tak jak poprzedniej nocy. Smuga światła padała wprost na łóżko Jess. Grace podążyła za nią, a potem przez chwilę spoglądała na córkę. Jess spała, obejmując oburącz poduszkę, wygięta pod kołdrą w literę S. Włosy splotła w warkocz i związała niebieską wstążką. Miała na sobie

ulubioną piżamę w drobne niebieskie groszki, z falbankami przy dekolcie i na rękawach; wyglądała w niej jak mała słodka dziewczynka. Ciszę panującą dookoła mącił jedynie szmer jej oddechu i bezustanny terkot kołowrotka, w którym biegł niezmordowany Godzilla.

Lekarz z pogotowia potwierdził przypuszczenia Grace: Jessica nie przestrzegała diety i zaleceń odnośnie do przyjmowania insuliny. To oraz słabość córki do alkoholu i marihuany zmobilizowały Grace do działania. Jako matka musi przecież sprawować kontrolę nad własną córką.

Nachyliła się, aby okryć Jess szczelniej kołdrą i wtedy dostrzegła na policzku ślady łez. Ten widok sprawił jej ból. Zapragnęła objąć ją, utulić w ramionach, zapewnić, że wszystko będzie w porządku, że nikt nie kocha jej tak jak ona. Nie mogła jednak tak postąpić. Po wydarzeniach ostatniej nocy musi wytrwać, pozostać twarda. Środki dyscyplinarne, które sama zarządziła, obowiązują. Nie można teraz okazać słabości.

Dla dobra Jess.

Bezwiednie wydeła usta. Dla dobra Jess: czy nie jest to przypadkiem historia jej własnego życia?

Powiodła wzrokiem dookoła; wszystko wydawało się w porządku. Zasłony zaciągnięte. Drzwi do przyległej łazienki zamknięte. Plecak Jess leży obok łóżka, otwarty, ale wypchany podręcznikami i zeszytami na jutro jak należy. Obok plecaka tenisówki. No tak, środa, a więc zajęcia sportowe.

Wszystko na miejscu, nic podejrzanego. A jednak coś budziło jej niepokój. Ale co?

Powoli, bardziej dokładnie niż przedtem, rozejrzała się po sypialni. Komputer wyłączony, plecak przygotowany, buty na miejscu. Godzilla jak zwykle biega. Budzik nastawiony; świadczyła o tym czerwona dioda świecąca w mroku.

Grace przeniosła wzrok na pluszowego misia, rozpartego swoim zwyczajem



na nocnej szafce obok budzika. Na honorowym miejscu, skąd mógł czuwać nad śpiącą Jess. Światło z hallu ledwie go muskało, rozzarzyło jednak jego czarne śleпка, tak że wydawały się żywe.

Grace zadrżała. Dopiero po chwili domyśliła się, że to Pat musiała zabrać misia z kanapy w salonie i przenieść go tu, na jego stałe miejsce. Nie ma w tym nic dziwnego ani podejrzanego.

Uprzytomniła też sobie, co niepokoi ją w tym pokoju: poprzedniej nocy zakradł się tu ktoś obcy. Ktoś obcy stąpał po tym dywanie, dotykał rzeczy Jess. Niczego nie ukradł. Nic nie zginęło prócz ukochanego misia Jess, wyrzuconego potem na drodze jak zwykły śmieć.

I tylko ona, Grace, jest przekonana, że taki właśnie był przebieg wypadków.

Policja nie znalazła żadnych śladów włamania. Gelinsky, a potem jego zwierzchnik, wysłuchali jej cierpliwie, było jednak jasne, że nie zamierzają wszczynać dochodzenia w sprawie, której ich zdaniem nie było. Zwłaszcza że jedyną rzeczą, którą według niej skradziono, był pluszowy miś. A i on się odnalazł.

Grace nie powiedziała Jess o intruzie. Nie chciała jej niepokoić. Wspomniała jedynie, że znalazła przy drodze misia i zapytała, czy to Jess wyniosła go z domu, albo czy wie, jak on się tam znalazł. Jessica nie potrafiła tego wyjaśnić. Według niej był na swoim miejscu, kiedy wychodziła z pokoju.

Tak więc szczegóły nocnej eskapady misia pozostawały wciąż tajemnicą, a Grace zaczęła się już oswajać z myślą, że nic się pod tym względem nie zmieni. Zresztą, nikt prócz niej nie wydawał się tym szczególnie zainteresowany; ostatecznie nie stało się nic złego.

Ale teraz, patrząc na pluszowe zwierzątko, czuła się nieswojo. Odruchowo obeszła łóżko i podniosła misia z miejsca, gdzie zawsze siedział. Jak zwykle, był puszysty i miękki, lecz sprężysty. Ileż to już razy, odkąd na świat przyszła Jessica, podnosiła go i brała w ręce? Setki, tysiące razy.

Czarne oczy misia połyskiwały w mroku. Grace zadrżała mimo woli i natychmiast wyzwała siebie od idiotek. Mimo wszystko wzięła go ze sobą i przed pójściem do łóżka umieściła go na najwyższej półce.

Sama nie wiedziała, skąd się u niej wzięło dziwne wrażenie, że nie jest to ten sam miś. Że został zamieniony... nie, raczej zbrukany dotykiem czegoś - lub kogoś - złego.

Minęło sporo czasu, nim zdołała zasnąć.

## Rozdział jedenasty

Caroline miała czarne włosy, niebieskie oczy, urocze dołeczki w policzkach, migotliwe jak gwiazdy na zachmurzonym niebie, oraz doskonałe ciało. Krótko mówiąc: prawdziwa seksowa. Patrząc na dziewczynę brata, która siedziała na kanapie z gołymi nogami podwiniętymi pod kusą spódniczką, czuł potężną niemal do bólu erekcję. Jedyne, co mógł zrobić, to nie opuszczać wzroku na swoje dzinsy, aby sprawdzić, czy ona może zauważyć. Gdyby dostrzegła, co się z nim dzieje, jego upokorzenie nie miałoby granic!

Caroline chichotała, oglądając jakiś kretyński sitcom na olbrzymim ekranie telewizora, który stanowił punkt centralny w salonie. Z dłonią przyciśniętą do ust kołysała się lekko do przodu i w tył, jej ramiona dygotały ze śmiechu.

Była taka apetyczna! Najchętniej schrupałby ją całą, wylizałby jak miseczkę po swoim ulubionym ryżowym deserze.

- To jak, braciszku, przywieźć ci coś? W drodze powrotnej mogę wpaść do Mickey Dee's, jeśli chcesz. - Do pokoju wtargnął Donny, świeżo spod natrysku.

Blond włosy połyskiwały jeszcze wilgocią, skóra była zaczerwieniona od mocnych strumieni wody. Donny był wysoki, z dziesięć centymetrów wyższy od niego, a do tego atletycznie zbudowany, jak przystało na sportowca. Mijała właśnie dziesiąta trzydzieści wieczorem, Donny wrócił niedawno z treningu koszykówki, na którym Caroline wraz z koleżankami ćwiczyła dopingowanie, wykapał się, a teraz miał odwieźć dziewczynę do domu.

Nietrudno się było domyślić, dlaczego Donny chciał koniecznie wziąć natrysk przed odwiezieniem dziewczyny.

Sceny, jakie podsuwała wyobraźnia, jeszcze wzmogły erekcję.

- Eee... - zaczął, ale zanim zdążył sformułować jakąś sensowną odpowiedź (wiedział doskonale, dlaczego potrzebuje teraz znacznie więcej czasu na zebranie myśli niż zazwyczaj: Caroline właśnie wstała z kanapy, co sprawiło, że jej piersi naparły wyzywająco na sweterek), do pokoju weszła matka.

- Twój brat zjadł już kolację. Nie powinien więcej jeść - zwróciła się do Donny'ego.

Oczywista aluzja do jego nadwagi; na domiar złego w obecności Caroline! W jednej chwili oblała go fala obezwładniającego chłodu, a nabrzmiąły penis sflaczał jak przekłuty balon.

- Jezu, mamó! - mruknął Donny. W jego oczach, kiedy spojrzał na brata, widniało współczucie.

Boże, jakie to okropne wiedzieć, że Donny lituje się nad nim. Nienawidził go, podobnie jak wszystkich innych, litujących się nad nim. A współczuli mu wszyscy. Wszyscy prócz mamy. Jej nienawidził najbardziej.

- Idź już, odwieź Caroline - powiedziała. Nie przebrała się jeszcze na noc, czekała, aż Donny wyjdzie z Caroline odprowadzić ją do domu, jak czynił to zwykle po treningu. W swoim nylonowym białym kombinezonie, który włożyła po pracy, z szerokim różowym pasem biegnącym w poprzek zapinanej na suwak

bluzy, wyglądała jak napompowana do oporu opona. Co za ohyda!

Często się zastanawiał, czy matka nie dlatego robi tyle szumu wokół jego nadwagi, że jest podobny do niej. Szpetni jak trolle, ona i on. Matka powtarzała to często, bez końca.

- W porządku - mruknął Donny.

- Dobranoc - powiedziała Caroline do matki. Stała u boku Donny'ego, a on objął ją w pól. Następnie ponad ramieniem Donny'ego spojrzała wprost na niego i uśmiechnęła się tak wdzięcznie, że dołeczki w jej policzkach zatańczyły. - Dobranoc, braciszku.

A więc widzi w nim jedynie młodszego brata Donny'ego. Mimo że jest uczennicą młodszej klasy, jak on, a nie starszej, jak Donny. Mimo że on kocha się w niej już od ósmej klasy. Mimo że Donny traktuje ją jak przedmiot, podpórkę, na której można oprzeć ramię, podczas gdy on... on traktowałby ją jak królową, gdyby tylko dała mu szansę.

A jednak dla niej istnieje tylko Donny. Podobnie jak dla wszystkich innych.

- Dobranoc, Caroline - mruknął ochryple. Patrzył za nią i za swoim cudownym bratem, którego ramię władczo obejmowało jej wiotką kibić. Wpatrywał się w ciemny hall, dopóki nie usłyszał trzaśnięcia drzwi samochodu, a potem odgłosu włączanego silnika.

Dopiero wtedy wziął się w garść i powiódł wzrokiem dokoła. Matka patrzyła na niego z wymownym błyskiem w oczach. Ona wie, uprzytomnił sobie i ogarnęła go panika. Ona wie, co czuje do Caroline.

- Gdybyś zrzucił parę kilo i zrobił coś z cerą... Dlaczego nie używasz żadnych środków przeciwtrądzikowych? Podobno są skuteczne. Wtedy mógłbyś się postarać o własną dziewczynę, zamiast się gapić na Caroline - powiedziała.

- Nie spotkałem jeszcze kogoś bardziej zgryźliwego - odburknął i wstał. Nie planował dziś żadnego wyjścia, ale teraz poczuł, że dusi się w tym domu. W

obecności matki, mając jeszcze w pamięci blask Donny'ego i ciało Caroline, nie potrafił oddychać.

- Nigdzie nie pójdziesz - powiedziała matka. Ona również wstała. Znała go wystarczająco dobrze, aby przewidzieć, co zamierza. - Jutro musisz wstać wcześniej do szkoły.

- Jakie to ma znaczenie? I tak nie otrzymam dyplomu z wyróżnieniem, bez względu na to, czy będę wyspany czy nie. Wiemy o tym oboje, ty i ja. Nie jestem taki jak Donny.

- Istotnie - mruknęła ze smutkiem w głosie. - Nie jesteś taki jak Donny.

Otóż to. Kropla przepelniająca kielich goryczy. Gwóźdź do trumny. Z pewnością tak właśnie będzie brzmiało epitafium na jego grobie.

Nie jesteś taki jak Donny.

Odwrócił się plecami do matki i wyszedł z domu, zatrząskując za sobą drzwi, aby odgrodzić się wreszcie od tego nienawistnego głosu.

Zatrzymał się przed garażem i stał tak przez minutę, starając się ochłonać i dojść do siebie. Wieczór był bardziej chłodny i mroczny niż poprzednim razem, po niebie sunęły grube chmury, zza których raz po raz wyzierały nieśmiało księżyc i gwiazdy.

Ciemność wchłonęła go, przytuliła, niemal czuł na sobie jej opiekuńcze ramiona. Stopniowo bolesny skurcz serca mijał, a on odzyskiwał oddech.

Odwrócił się i wszedł do garażu. Kiedy wyłonił się stamtąd, czuł się lepiej, wsparty mocą energii maszyny, którą dosiadł i ścisnął teraz mocno kolanami.

To on, nie Donny, był panem nocy!

## Rozdział dwunasty

Żywopłot z ligustru stanowił skuteczny parawan, zasłaniający widok z ulicy na cały dom prócz górnego piętra, co Grace zauważyła następnego wieczoru, kiedy przez otwartą żelazną bramę wjechała swoim szarym volvo na podjazd. Niemal natychmiast musiała hamować: przejazd blokowała zaparkowana tu czarna honda accord. Kilka metrów dalej, tuż przed garażem połączonym z domem zadaszonym przejściem, grała w koszykówkę niezwykła para: Jessica i Tony Marino, Pan Burkliwy.

Dzień był wietrzny, ale ciepły, do zmroku pozostały jeszcze co najmniej dwie godziny. Na ziemię opadały leniwie tu i ówdzie złote liście dębu, buku i wiązu. Na lewo od garażu uderzała w oczy intensywna czerwień trzech krzewów. Żołędzie i kasztany zaścielały szczelnie ziemię. Przez opuszczoną szybę w aucie wdzierał się do wnętrza zapach mięsa pieczonego na ruszcie i palonego węgla drzewnego; widocznie któryś z sąsiadów urządzał u schyłku sezonu przyjęcie na wolnym powietrzu.

Tu natomiast toczyła się gra jeden na jednego. Jessica, z rozwianymi włosami, w przydługich dzinsach, zręcznie obiegła z piłką Marina, potem okręciła się dokoła, wykonując zwód, i rzuciła piłkę. Żółty, sięgający zaledwie pasa sweterek podjechał przy tym wyżej, obnażając brzuch, a Grace uprzytomniła sobie ponownie, jak chuda jest jej córka.

- Jest! Dwa punkty dla mnie! - Jessica uniosła zaciśniętą pięść, a Grace mimo woli uśmiechnęła się lekko. Jej córka była jak zawsze żądna zwycięstwa. I uwielbiała koszykówkę.

Grace zaparkowała za hondą i wysiadła.

- Cześć, mamó! - zawołała Jessica, zaszczycając ją przelotnym spojrzeniem. W tym momencie liczył się dla niej tylko przeciwnik, atakujący kosz. Rzucił - był to modelowy rzut jedną ręką - ale piłka odbiła się od obręczy i spadła na ziemię. Jessica aż zapięła triumfalnie.

- Jest naprawdę dobra.

Marino przerwał grę w prosty sposób: chwycił i przytrzymał piłkę. Odwrócił się do Grace. Miał na sobie niebieską koszulkę z krótkimi rękawami i dżinsy oraz te same czarne buty, jakie nosił tamtej nocy. Swobodny strój uwydatniał szeroki tors, opalone muskularne ramiona, wąskie biodra i długie nogi. Miał potargane włosy, a szeroki uśmiech pozwalał dojrzeć białe, równe zęby. Grace musiała znowu, choć niechętnie, przyznać w duchu, że jest bardzo przystojny - o ile ktoś gustuje w tego rodzaju mężczyznach. Nie był w każdym razie w jej typie.

- W poprzedniej szkole grała w drużynie koszykówki. W tym roku chce się dostać do reprezentacji Hebron.

Jeśli jej głos nie zabrzmiał zbyt przyjaźnie, to trudno. Najchętniej zapytałaby go wprost, o co mu chodzi. Jego wizyta nie wróżyła nic dobrego.

Z aktówką i torebką w dłoni, w szarej spódnicy do kolan i tegoż koloru żakiecie, pod którym nosiła białą bluzkę, w pantoflach na wysokich obcasach, szła w stronę ich obojga bez uśmiechu na twarzy. Było już wpół do szóstej, a ona miała za sobą ciężki dzień i czuła się zmęczona. Nie miała ochoty na dyskusje z Tonym Marino.

- Co pan tu robi? - zapytała obcesowo.

- Przyjechałem po swoją kurtkę. Zakładam, że jest u pani. Zostawiłem ją w szpitalu tamtej nocy.

Miał ujmujący uśmiech, roziskrzone piwne oczy spoglądały na nią ciepło.

- A tak, istotnie. - Rzeczywiście miała jego kurtkę, skórzaną kurtkę

lotniczą, którą podał jej wtedy w samochodzie, aby okryła nią Jess, kiedy jechali do szpitala. Teraz wisiała w hallu. Zostawiła ją tam, kiedy obie wróciły do domu, a przypomniała sobie o niej dopiero teraz. Ale ten uśmiech i iskierki w jego oczach wydały się jej podejrzane. Mogłaby się założyć, że nie chodzi mu tylko o kurtkę. - Proszę chwilę poczekać. Tylko się przebiorę i zwrócę ją panu.

- Dziękuję - odparł w tej samej chwili, kiedy Jessica z okrzykiem triumfu wybiła mu piłkę z rąk. Gra potoczyła się od nowa, a Grace weszła do domu przy akompaniamencie stuku piłki uderzającej o płyty chodnikowe i bojowych okrzyków.

Zazwyczaj korzystała z tylnych drzwi, które wychodziły na łącznik wiodący do garażu. Dziś, ponieważ zaparkowała tuż za bramą, weszła od frontu, zabierając po drodze świeżą korespondencję. W kuchni Pat, która zgodnie z jej życzeniem zjawiała się dopiero po południu, spojrzała na nią zaskoczona.

- Nie słyszałam, kiedy przyjechałaś.

- Wszystko przez ten zgiełek - odparła Grace, mając na myśli kontynuowaną przed domem grę.

- Nie masz nic przeciw temu, że Jess nie siedzi w domu? - Głos Pat wyrażał obawę, podobnie jak jej stała już mina. - Były tu jej koleżanki, ale powiedziałam, że nie wolno jej wychodzić, więc sobie poszły. A potem Jess powiedziała, że będzie odrabiać pracę domową na ganku... to znaczy, na huśtawce. Pomyślałam sobie, że chyba nie ma w tym nic złego, zwłaszcza że mamy taki piękny dzień, ale zanim się spostrzegłam, był tu już ten człowiek i zaczęli grać w piłkę. Nie wiedziałam, czy mam ją zawołać do domu czy nie. Postąpiłam trochę na ganku i poobserwowałam ich, ale wydało mi się, że mogę jej na to pozwolić. Gdyby grała z kolegą ze szkoły, zawołałabym ją albo kazałabym jemu odejść, ale...

- Już dobrze, Pat. To... nasz znajomy.

Grace wypisywała właśnie czek dla Pat i tylko przez ułamek sekundy



zastanawiała się nad tym drobnym kłamstwem. Co miała powiedzieć? Że Marino jest policjantem, który na szczęście nie zatrzymał Jess za posiadanie narkotyków? Nie mogła tego zrobić. Pat pracowała nie tylko u niej, ale również u kilku sąsiadów i cała ta historia obiegała Bexley z szybkością błyskawicy.

- Zapisałam tu dla ciebie parę wiadomości - powiedziała Pat. Wzięła czek i spod magnesu na drzwiach lodówki wyciągnęła kartkę papieru. - Są trzy: dzwoniła pani Gillespie i przekazała, że eliminacje do koszykówki przesunięto na sobotę o dziewiątej; Ruth Ann pyta, czy masz ochotę na wieczorne spacerowanie jak przedtem. Telefonował też twój były. Nie mówił, w jakiej sprawie, ale rozmawiał z Jess. Zapisałam tu wszystkie numery. Ach, jeszcze coś: parę razy ktoś odłożył słuchawkę. Bez żadnego słowa.

- Dziękuję, Pat. - Grace wzięła od niej kartkę, przejrzała pobieżnie zapiski i odłożyła na bok. A więc Craig zadzwonił i rozmawiał z Jess... Ciekawe, o czym. Jessica miała odwiedzić go ponownie dopiero w Święto Dziękczynienia. - Znalazłaś już kogoś dla mnie?

Nie chcąc, aby Jessica siedziała po szkole w domu sama, Grace poprosiła Pat, aby rozejrzała się za kimś, kto mógłby pracować u niej w dni powszednie od trzeciej do szóstej, a nawet do wpół do siódmej.

Pat potrząsnęła głową.

- Ale postaram się.

- Doskonale. - Grace obdarzyła ją uśmiechem. - I dziękuję, że przyszłaś. Pójdę teraz na górę się przebrać.

- Dobranoc.

Pat pomachała jej na pożegnanie i skierowała się do tylnych drzwi, ale Grace zawołała za nią:

- Na twoim miejscu wyszłabym frontowymi drzwiami. Chyba że chcesz oberwać piłką.

Pat zachichotała i skręciła do głównego wejścia, Grace natomiast weszła na górę. Jej pokój znajdował się naprzeciw sypialni Jess, a okno wychodziło na obszerne podwórze. Ściany miały kojący odcień zieleni, szerokie łóżce było nakryte różowo-zieloną kapą, na oknach wisały zasłony w seledynowe paski oraz przejrzyste firany. Do pokoju przylegały łazienka wykładana białą glazurą oraz pakamera. Kiedy sześć lat wcześniej Grace kupiła ten dom, w pierwszej kolejności przebudowała górę, redukując liczbę sypialni z czterech do trzech; jedna z nich pełniła teraz funkcję pokoju roboczego córki, do dwóch pozostałych natomiast przylegały obszerne osobne łazienki i pakamery.

To wszystko działo się wtedy, kiedy jeszcze zarabiała masę pieniędzy jako pewna siebie młoda prawniczka, robiąca karierę w prestiżowej kancelarii adwokackiej Madison, Graham & Loew. Miała wówczas cały świat u swych stóp...

Przynajmniej tak mi się zdawało, poprawiła się z kwaśnym uśmiechem, wieszając w pakamerze swoje urzędowe ubranie. Jessica była wtedy rozkoszną dziewięciolatką, przekonaną, że mamusia to człowiek idealny. Ona sama doszła już do siebie po koszmarze rozwodu; wyglądało na to, że i Jessica zniosła tę zmianę bez komplikacji. Grace była wtedy z siebie taka dumna! Miała już za sobą studia prawnicze, zatrudniła się w szacownej firmie, radziła sobie doskonale w wybranym zawodzie i czuła, że da radę zapewnić córce wspiane życie.

Była pewna, że wystarczy rzetelnie pracować, aby osiągnąć wszystko, co sobie zaplanowała.

Teraz wiedziała, jak bardzo się myliła. Wiedziała, że w życiu zawsze jest coś za coś. W kancelarii adwokackiej wymagano od niej pełnej dyspozycyjności, pracy po godzinach, tak więc Jessica coraz częściej i dłużej zostawała w świetlicy. Wiezorami zajmowała się nią wynajęta opiekunka - często zdarzały się imprezy, w których Jessica brała udział bez mamy, oraz wycieczki, na które musiała jeździć sama. Sama też - lub pod nadzorem obcych - musiała odrabiać prace domowe.

Grace kochała córkę i wiedziała, że Jess czuje jej miłość, miała jednak pełną świadomość faktu, że rzadko bywa przy niej, gdy jest jej potrzebna. Stopniowo... nie, nie stały się sobie obce, ale oddaliły się od siebie. Jessica przestała zwierzać się matce, przestała oczekiwać jej obecności, przestała nawet odczuwać potrzebę przebywania razem z nią. I to właśnie było najgorsze dla Grace. Zanim uświadomiła sobie w pełni rozmiar zła, jakie wkradło się w ich życie, Jessica skończyła dwanaście lat. Przełomem i jednocześnie katalizatorem zmiany stało się pewne popołudnie, kiedy Jessica i koleżanki z jej paczki zostały przyłapane na kradzieży w sklepie na Eastland Mall.

Grace w ogóle nie wiedziała, że Jess nie poszła tego dnia do szkoły. Nie wiedziała, że jej córka spędza w centrum handlowym każdą wolną chwilę. Nie znała nawet imion osób, z którymi została zatrzymana Jessica.

Właśnie wtedy uprzytomniła sobie, że powinna to wiedzieć.

Ów wstrząs sprawił, że zaczęła się rozglądać za firmą, która wymagałaby pracy w ściśle określonych godzinach. Chciała wracać do domu o stałej porze, przyrządzać regularnie posiłki, nadzorować Jess przy odrabianiu lekcji i w ogóle być przy niej. Szukała pracy przyjaznej rodzinie w większym stopniu niż ta, którą zajmowała się dotychczas.

Potem nieoczekiwanie zmarł Thomas Pierce i tak oto zwolniło się stanowisko sędziego do spraw nieletnich i rodziny. Dzięki poparciu swojego szefa w kancelarii, George'a Loewa, Grace objęła to stanowisko na okres pozostałych do końca kadencji Pierce'a pięciu lat. Od tego czasu minęły trzy lata i jak dotąd wykonywana praca wydawała się jej idealna. Doszła nawet do przekonania, że nie będzie musiała ubiegać się o reelekcję, kiedy kadencja dobiegnie końca, bo Jessica skończy już wtedy siedemnaście lat. Tak więc mogłaby spokojnie wrócić do Madison, Graham & Loew.

Niestety, rzeczywistość pokrzyżowała jej plany.

Wciągając na siebie wąskie spodnie w kolorze khaki, Grace westchnęła. Tak to już jest, że życie przeważnie płata ludziom figle. Włożyła przez głowę biały podkoszulek, a na wierzch bawełniany rozpinany sweter w kolorze morskim. Nie zapinając go, zbiegła w mokasynach na dół.

Dzięki normowanemu czasowi pracy znowu zbliżyły się z Jessicą. Wróciła rodzinna atmosfera sprzed lat i wtedy nagle zdarzyło się kilka rzeczy jednocześnie: Jessica stała się nastolatką, lekarze wykryli u niej cukrzycę, a jej ojcu i jego drugiej żonie urodziły się w Nowym Meksyku bliźniaki. Każde z tych wydarzeń z osobna mogłoby doprowadzić do buntu wrażliwą dziewczynę, wszystkie trzy razem musiały odnieść taki skutek. Grace próbowała przemówić Jess do rozsądku, przekonywała ją, błagała, przekupywała. Teraz, w obliczu tej ostatniej katastrofy, zdecydowała się na zmianę postępowania: zaoferowała Jess miłość, ale i wymagania. Wiedziała, że jeśli to nie da pożądaných efektów, będzie musiała skapitulować.

Chwilami odnosiła wrażenie, jakby mieszkała pod jednym dachem z miotanym przez hormony młodocianym wcieleniem doktora Jekylla i mister Hyde'a: w jednej chwili Jessica potrafiła przeistoczyć się z ukochanej córeczki w prawdziwego potwora. W ostatnich tygodniach, odkąd Jessica zaczęła uczęszczać do szkoły średniej, Grace wydawało się, że obie znowu stają się sobie obce, nawet bardziej obce niż kiedykolwiek. Córka była wobec niej skryta i obwiniała ją prawie o wszystko.

Grace westchnęła ciężko. Nie ma chyba na świecie nic trudniejszego niż być matką.

Jess i Tony Marino znajdowali się w kuchni. Kiedy tam weszła, oboje podnieśli na nią wzrok. Policjant sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego, co Grace zapisała mu na plus.

- Pani córka była na tyle miła, że poczęstowała mnie szklanką

wody. - Marino uniósł do góry szklanke, z której pił. Stał przy zlewie, oparty biodrem o jego krawędź.

- Idę pod prysznic - oświadczyła Jessica. Dopila swoją szklanke, odstawiła ją na bok i spojrzała na matkę. - Nie widziałas mojego pana Misia? Nie ma go na szafce.

- Zabrałam go, żeby umyć. Jego futerko było jakieś lepkie - skłamała Grace. Nie chciała wyznać, że schowała go w szafie, bo wydawało jej się, że miś został zbrukany. Takie wyjaśnienie zabrzmiałoby dość niedorzecznie, poza tym nie chciała wystraszyć córki.

- Aha. - Jessica przyjęła jej słowa bez zastrzeżeń. Obdarzyła Marina szelmowskim uśmiechem. - Nieźle pan gra jak na swój wiek.

- Ty też - odparł - jak na tak małą dziewczynkę. Może nawet wygrasz następnym razem.

- Może? Dobrze sobie! Wygram na pewno!

Naprawdę wierzy w siebie, pomyślała z dumą Grace. Jessica znowu spojrzała na nią.

- Musimy zjeść niedługo. O siódmej mam być u Maddie.

- Kochanie, masz szlaban na wyjście z domu, zapomniałaś?

Jessica, która była już przy drzwiach, zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na matkę otwartymi szeroko oczyma.

- Muszę tam iść! W piątek po szkole odbędą się eliminacje, przegład nowych talentów. Musimy przeprowadzić próbę. Będziemy tańczyć!

- Nic z tego, kochanie.

- Muszę iść! - Głos Jess przybrał piskliwe brzmienie, oczy jeszcze zognomniały na pobladłej twarzy. Zaciśnęła pięści. - Obiecałam dziewczynom, że przyjdę. Mamy wystąpić jako Spice Girls! Jeśli nie przyjdę, popsuję wszystko. Musimy wystąpić w piątkę!

- Bardzo mi przykro, ale nie możesz pójść.

- Muszę! Obiecałam im. Wezmą kogoś innego, jeśli się nie zjawię! Mamo, błagam!

- Nie.

- Mamo!...

- Jess, porozmawiamy o tym później. - Grace spokojnie, lecz stanowczo ucięła rozmowę, świadoma obecności Marina, który oparty o blat obserwował każdy ich gest i przysłuchiwał się tej wymianie zdań.

- Nie! Nie ma o czym rozmawiać! O siódmej idę do Maddie! I nie obchodzi mnie żaden szlaban! To bzdura! Co dobrego miałby dać taki zakaz? Myślisz, że mnie powstrzymasz? I tak będę robić to, na co mi przyjdzie ochota. Będę pić piwo, jeśli zechcę, palić trawkę i spotykać się w nocy ze znajomymi! I nic na to nie poradzisz!

- Jessico Lee Hart, dosyć tego!

- Nie powstrzymasz mnie, nie uda ci się!

- Zobaczymy! - wycedziła Grace przez zaciśnięte zęby. Wytrącona z równowagi, przeszywała córkę płomiennym wzrokiem. - Na początek, młoda damo, pójdiesz do swojego pokoju. Natychmiast.

- Nienawidzę cię! - zaszlochała Jessica. Okręciła się na pięcie i wybiegła na korytarz. Z zamkniętymi oczyma Grace wsłuchiwała się w tupot jej nóg na schodach. Po chwili gwałtowne trzaśnięcie drzwiami na górze zatrzęsło całym domem.

Dopiero po dłuższej chwili ochłonęła na tyle, aby obrócić się i spojrzeć na Marina. Przyglądał się czemuś za oknem, a jego twarz, zwrócona do niej profilem, pozostawała zupełnie obojętna, jakby nie był przed paroma sekundami świadkiem wydarzenia tak dramatycznego. Widocznie poczuł na sobie jej wzrok, bo spojrzał na nią.

- Nie wolno jej wychodzić z domu? - zapytał. - I sądzi pani, że taki zakaz odniesie skutek?

- To mój problem i moja sprawa - odparła oschle. Przeszła do hallu i sięgnęła do szafy. - Proszę - powiedziała po chwili, wracając do kuchni. Wyciągnęła rękę, w której trzymała jego skórzaną kurtkę.

Wiedziała, że nie zachowuje się teraz uprzejmie. Że nie on jest winien temu, co się wydarzyło. A jednak była na niego wściekła. Może dlatego, że patrzył na nią tak jakoś... dziwnie. Jakby oceniał jej kwalifikacje matki i uznał, iż nie są wystarczające. Znowu.

Może dlatego, że jednak nie mylił się pod tym względem.

- Dziękuję - powiedział, odbierając kurtkę.

- A więc, po co pan tu przyjechał? - zapytała. Udało jej się zachować spokojne brzmienie głosu, za to jej oczy ciskały błyskawice.

- Już mówiłem. Po to - wzrokiem wskazał na kurtkę, którą przewiesił sobie przez ramię.

- Bzdura.

Uśmiechnął się lekko, jakby rozbawiła go jej obcesowość, i wzruszył ramionami.

- No dobrze. Przyjechałem sprawdzić, co z pani córką, czy wszystko w porządku. I upewnić się, czy przypadkiem nie zmieniła pani zdania. Co do ewentualnej współpracy Jess z nami.

- A więc jednak. - Wiedziała od razu, że o to mu chodzi. - Nie, detektywie Marino, nie zmieniłam zdania. I nie zmienię. To zbyt niebezpieczne. Byłabym wdzięczna, gdyby zostawił pan moją córkę w spokoju.

- Nie uda się pani trzymać jej wiecznie z dala od przyjaciół.

- Jak już mówiłam, to moja sprawa.

- Tak, chyba tak.

Sięgnął ręką do tylnej kieszeni dżinsów, wyjął portfel, otworzył go i wyjął wizytówkę, którą następnie podał jej.

- Po co mi ona? - zapytała, patrząc na nią podejrzliwie.

- Gdyby zmieniła pani zdanie, na wizytówce jest numer mojego pagera. Wystarczy zadzwonić.

- Nie zmienię zdania.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Decyzja oczywiście należy do pani - powiedział wreszcie Marino, kierując się do wyjścia. Na progu obejrzał się. - Życzę powodzenia z tym szlabanem dla córki. Mam nadzieję, że wyjdzie jej to na dobre.

Ton jego głosu zdradzał, że wątpi, aby tak się stało. Grace zacisnęła zęby. Niebawem usłyszała odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Stała jeszcze parę chwil, oddychając głęboko. Chciała odzyskać kontrolę nad własnymi emocjami. Przyszło jej do głowy, że powinna wejść na górę i rozmówić się z Jess, jednak rozsądek doradzał coś innego: taka rozmowa jest niezbędna, ale lepiej poczekać, przeprowadzić ją na spokojnie.

Podeszła do drzwi, aby zamknąć je porządnie. Następnie wróciła do kuchni, włożyła wizytówkę Marina do torebki i włączyła ekspres. Bardziej niż czegokolwiek potrzebowała, teraz filiżanki mocnej kawy.



## Rozdział trzynasty

Siedząc na huśtawce w samej nocnej koszuli, bosy, z jedną nogą podwiniętą pod siebie, Jessica zaciągnęła się głęboko dymem z papierosa i od razu poczuła się lepiej. Boże, jak bardzo tego potrzebowała! Była na prawdziwym głodzie nikotynowym. Zaczęła palić tego lata, a już uwielbiała nikotynę, nie mogła bez niej żyć. Niestety, nawet proste palenie papierosów było dla niej tak samo skomplikowane jak odurzanie się narkotykami. Wszystko przez mamę, która ostatnio pilnuje każdego jej kroku. Po zajęciach w szkole (tam palenie nie nastęczało większych trudności, wystarczyło przejść się do toalety lub na boisko) i powrocie do domu musiała wymykać się jak przestępca, kiedy zachciało się jej palić. Mama miała węch jak pies myśliwski. Od razu by poczuła dym, a wtedy by się wściekła, to pewne. Lepiej wymknąć się na ganek, nawet nocą, jak teraz. Właśnie minęła północ, mama śpi na górze, a na całym bożym świecie nie ma nikogo prócz niej z papierosem i tej huśtawki, na której siedzi, i srebrzystych dźwięków dzwonek wietrznych, które brzmią jak nastrojowa muzyka, i ciemności wokoło.

Zaciągnęła się ponownie. Dym spłynął do gardła, skłębził się w płucach. Przez moment przytrzymała go tam, patrząc na rozżarzony czubek papierosa, po czym wypuściła go nosem w dwóch bliźniaczych strużkach, niczym z nozdrzy smoka.

Nauczyła ją tego Allison. Allison potrafiła wypuszczać kółeczka dymu, małe i większe, które żeglowały potem leniwie w powietrzu. Jessica próbowała ją naśladować, ale jakoś nie mogła dotąd pojąć, na czym polega sztuczka.

Do diabła, przecież jest już wystarczająco dorosła, żeby palić. Paliła

przedtem na ganku, kiedy zjawił się ten gliniarz. Zauważył papierosa, była tego pewna, ale nie zareagował. Nie palnął jej kazania, nie wydał jej też przed mamą, w przeciwnym razie byłby to temat numer jeden ich „pogawędki” przed snem. Zamiast tego rozmawiał z nią jak z dorosłą, powiedział „cześć”, zapytał, jak się czuje. Potem chwycił piłkę, zaczął rzucać do kosza, prowokując ją do gry, której o mało nie wygrała. Podczas gry gawędzili jak dwoje zwykłych ludzi, nie o narkotykach ani czymś takim, lecz o normalnych sprawach, takich jak pogoda, koszykówka czy przyjaciele.

Mama rozmawiała z nią zawsze inaczej. „Masz szlaban, nie wolno ci wychodzić z domu. Uważaj, policja ma na ciebie oko. Musisz postępować z rozwagą. Nie zażywaj narkotyków”.

Do diabła, nie jest już przecież małym dzieckiem! Tymczasem mama tak ją właśnie traktuje. A ta cukrzyca jeszcze wszystko pogarsza. Odkąd lekarze wykryli ją u niej, nie można nawet iść do toalety, żeby nie natknąć się na matkę i jej baczny wzrok.

„Wzięłaś już insulinę? Sprawdziłaś poziom cukru? Wiesz przecież, że nie powinnaś tego jeść. Musisz mieć więcej ruchu. Umrzesz, jeśli nie będziesz na siebie uważać”.

Zgoda, tego ostatniego mama nigdy nie powiedziała. Ale myślała o tym. I myśli nadal. Cały czas. Jessica była tego pewna.

Myśl o śmierci budziła w niej lęk. To nie w porządku, że już teraz musi myśleć o śmierci. Jest przecież bardzo młoda. Perspektywą śmierci zadręczają się ludzie starzy, nie takie dzieciaki jak ona!

Kiedy jej przyjaciele dowiedzieli się o cukrzycy, reagowali różnie. „Jessica, wolno ci to jeść?”, „Jessica nie może tego robić, bo jest chora”, „Jess, czy ty umrzesz?”. Zawsze i niezmiennie ten sam temat: śmierć. Wszyscy, którzy wiedzieli o jej chorobie, kojarzyli to sobie od razu ze śmiercią.

A ona chciała, aby ludzie traktowali ją normalnie, aby odnosili się do niej jak do wszystkich innych.

Rusty nie wiedział chyba nic o cukrzycy. W każdym razie nie zachowywał się tak, jakby o tym wiedział. Traktował ją, jakby nic jej nie dolegało, a nawet jakby ją lubił. Rusty był super. Na samą myśl o nim robiło jej się gorąco. Był wysoki i dobrze zbudowany, miał ciemne kasztanowate włosy o lekko rudawym odcieniu, co doskonale harmonizowało z jego imieniem\*, oraz błyszczące prawdziwie niebieskie oczy. Miał już prawo jazdy i własne auto, grał w szkolnej drużynie koszykarzy. Lubiała go też Becca i na swój sposób Allison. Madzie przyjaźniła się z dziewczyną, z którą on zerwał przed rokiem, i ona powiedziała, że jeśli się chce być jego dziewczyną, trzeba z nim sypiać.

Jessica przespałaby się z nim bez namysłu.

Ale jej matka odebrałaby sobie życie, gdyby się o tym dowiedziała. Myśli, że ma jeszcze córkę dziewicę. A ona już nią nie jest. Przeleciał ją minionego lata Drew Kennedy w domku na drzewie, na podwórzu Christy O'Connell. Dwukrotnie. Za każdym razem musiała wymykać się z domu, kiedy mama już spała. Robiły to wszystkie jej koleżanki, dlatego że ich rodzice byli beznadziejni, chcieli uczynić ze swoich dzieci takie wieczne niemowlaki, nie mogli się pogodzić z faktem, że one dorastają.

Ani Christy, ani Katie Morris, jej najlepsze koleżanki, nie dopatrzyły się w seksie niczego wielkiego. Przynajmniej w seksie z tym Drew. Prawdę mówiąc, trochę bolało, a także było jej potem smutno i trochę głupio. Nie chciałyby spotkać się z nim znowu ani wspominać, co z nim robiła. Ale to wszystko pewnie dlatego, że on miał dopiero piętnaście lat, nie wiedział jeszcze, jak do tego podejść, a ona tak naprawdę nie miała na niego ochoty, tak jak ma na Rusty'ego.

\* *rusty* (ang.) - rdzawy (przyp. tłum.).

Rusty miał siedemnaście lat. Nie był już małym chłopcem, jak Drew. Seks z Rustym wyglądałby inaczej. One też tak uważają: Allison i Becca, i Maddie.

Najważniejsze, że ona nie należy do naiwnych. Jest przygotowana. Zanim jeszcze przespała się z Drew, Christy odebrała matce całe opakowanie pigułek antykoncepcyjnych i dała jej z tego sześć. Gdyby Jessica chciała uprawiać seks więcej niż sześć razy, musi już sama postarać się o więcej pigułek, tak powiedziała jej wtedy Christy. Ale jak dotąd zużyła tylko dwie. Zdawała sobie sprawę, że zdobycie następnej porcji pigułek będzie problemem, bo nie przyjaźniła się już z Christy. Ale bardziej niepokoiło ją coś innego: czy przypadkiem w tych pigułkach nie ma jakiegoś składnika, który wchodzi w niepożądaną reakcję z insuliną. Wiedziała, że powinna uzgadniać z lekarzem zażywanie wszelkich leków na receptę, a do nich właśnie zaliczają się pigułki antykoncepcyjne, nie mogła się jednak zdecydować na taką rozmowę z lekarzem. Co by było, gdyby powtórzył potem całą rozmowę mamie?

Postanowiła więc odsunąć na bok wszelkie obiekcje, brać pigułki wtedy, gdy będzie to potrzebne, i mieć przy tym nadzieję, że nie stanie się nic złego. Jak dotąd, wszystko grało, jeśli nie liczyć niewielkich krwawień.

Przecież mnóstwo ludzi choruje na cukrzycę i uprawia seks. I te kobiety też stosują pigułki, może nie? A mimo to nie umierają. Tak więc nie ma się czym martwić.

Rozmyślenia przerwało jej nagłe szczekanie. To Bonnie, terier szkocki sąsiadów, dwa domy dalej. Ujadał wystarczająco głośno, aby niemal zupełnie zagłuszyć niesioną z wiatrem muzykę dzwonek wietrznych. Boże, czy ci Welchowie nie nauczą się wpuszczać psa na noc do domu? Dojdzie wreszcie do tego, że ktoś z sąsiedztwa straci cierpliwość i wezwie policję!

Na pewno w pobliżu kręci się lis lub jelen, lub inne zwierzę tak jak to się już tu w Bexley zdarzało przedtem kilkakrotnie; pies szalał nie na żarty. Jessica

napłuła na czubek papierosa, by go zgasić, następnie cisnęła go w rosnący tuż przy poręczy ganku i schodkach krzew kaliny. Mama na pewno go tu nie znajdzie, nawet za milion lat. Kalina rosła przed gankiem od dawna, była tu, zanim one się wprowadziły do tego domu. Chyba nikt już nie zwracał na nią uwagi, a mama na pewno nie.

Mama nie była typem ogrodniczki. Jeśli istnieli ludzie nie mający dobrej ręki do roślin, mama była najlepszym przykładem. Nie potrafiła nawet utrzymać kwiatów w domu, każdy z nich żółkł w krótkim czasie.

Jessica spojrzała w stronę domu Welchów. Ciekawe, co tak bardzo rozdrażniło teriera? Mrok był zbyt gęsty, by mogła dojrzeć coś więcej niż własne ogrodzenie. Rozpostarty w górze baldachim z wierzchołków drzew skutecznie zasłaniał widok na księżyc i gwiazdy, tworząc nieforemny, ruchomy układ cieni, który sprawiał, że jej ukochane podwórze przeistoczyło się w jakieś obce, mało przyjazne miejsce.

W pewnej chwili Jessica zatrzymała huśtawkę i zdrętwiała z wrażenia. Tuż przy żelaznej ławce parkowej pod olbrzymim dębem pośrodku podwórza dojrzała coś jakby przyczajonego... A może był to ktoś? Ruchome cienie pozwoliły jej ujrzeć to jedynie na mgnienie oka, aby już po chwili wchłonąć bezpowrotnie.

Odniosła wrażenie, że to mężczyzna. Albo pies lub raczej jeleń stojący na tylnych kończynach. Albo coś bardzo, bardzo niesamowitego - i nie z tego świata.

Utwierdziwszy się w straszliwym przekonaniu, że obserwują ją jakieś niewidoczne stąd oczy, poczuła, jak jeżą jej się włosy na głowie.

Błyskawicznie zeskoczyła z huśtawki, rzuciła się do wejścia, wbiegła do środka i starannie zamknęła za sobą drzwi. Przez kilka długich chwil stała tak z ręką na zasuwie, czekając, aż serce przestanie walić jak oszalałe, a oddech wróci do normy.

Jasne, to głupie. Kto mógłby tu teraz sterczeć, na jej podwórzu, w środku

nocy! Jeśli jest tam w ogóle jakaś istota żywa, może nią być co najwyżej jeleń. Na pewno nie jest to człowiek, mimo iż ma taki wygląd.

Nie? A może jednak?

Roztrzęsiona, sprawdziła ponownie, czy drzwi są należycie zamknięte, następnie wbiegła po schodach na górę, do sypialni matki. Także tu starannie zamknęła drzwi. Matka zajmowała lewą stronę łóżka, blisko budzika, spała na prawym boku, niemal zwinięta w kłębek, jak zwykle. Neonowy blask budzika pozwalał dostrzec zarys jej ciała, a równomierny oddech kołował nerwy i dawał pewne poczucie bezpieczeństwa. Ostrożnie, nie czyniąc hałasu, Jessica wśliznęła się do łóżka obok matki, tak jak robiła to w dzieciństwie, kiedy była chora lub wystraszona, i przytuliła się do jej pleców. Czowała, jak bardzo teraz potrzebuje tego dotyku.

- Jess? - wymamrotała Grace sennym głosem.

- Mhmm.

- Miałaś zły sen?

- Mhmm. - Gdyby wyjawiała prawdę, musiałaby również wyjaśnić, co robiła na ganku w środku nocy. Nic z tego.

- A teraz już wszystko w porządku?

- Aha.

- To dobrze. Teraz już śpij.

- Spróbuję. Dobranoc, mamo.

- Dobranoc, skarbie. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - szepnęła Jessica i przywarła do matki.

Jej równy oddech, jaki usłyszała po chwili, świadczył, że matka niemal natychmiast usnęła. Ona sama jednak potrzebowała jeszcze mnóstwo czasu, zanim poczuła się na tyle bezpieczna, by zamknąć oczy i zapaść w sen.

## Rozdział czternasty

Główną część posterunku stanowił pokój, w którym dominował kolor szary: otynkowane na szaro ściany, podłoga wyłożona terakotą o szarym deseniu, metalowe biurka o barwie węgla drzewnego na srebrzystych, połyskliwych nogach. Nawet wymodelowane plastikowe krzesła przy biurkach wydawały się poszarzałe ze starości, chociaż kiedyś musiały być w kolorze złamanej bieli. Jedynie krzesła dla starszych stopniem wyglądały inaczej: były obite czarnym winylem i z rodzaju tych bardzo wygodnych - obrotowe, z mechanizmem umożliwiającym bujanie się, na kółkach.

Jedno z nich zajmował Tony Marino. Odchylony nieco do tyłu siedział z dłońmi splecionymi na karku i skupiony wpatrywał się w ekran monitora na biurku: w jego górnym prawym rogu widniało zdjęcie łysego mężczyzny w średnim wieku, odzianego w pomarańczowy więzienny kombinezon. Nazywał się Lynn Voss i Tony znał go dobrze. Właściwie to dzięki niemu ten typek znalazł się za kratkami.

Tylko że nie wynikło z tego wiele dobrego. Voss został co prawda skazany za morderstwo na dożywocie i dodatkowo na dwadzieścia pięć lat za kierowanie gangiem narkotykowym, ale nadal, jeśli Tony dysponował pewnymi informacjami, kierował gangiem z celi więzienia federalnego.

- Hej, człowieku, co się dzieje, nie wybierasz się dziś nigdzie z bratem?

Do pokoju wszedł Darryl Withers, popychając przed sobą niskiego białego mężczyznę z kajdankami na rękach. Darryl, policjant w przebraniu, był wysoki, o atletycznej budowie ciała, czarny. Od dwóch tygodni działał w obyczajówce, obchodząc toalety publiczne w parkach, co nie należało do ulubionych zadań

funkcjonariuszy. Dziś miał na sobie granatową czapkę z wełny, nasuniętą głęboko na uszy, postrzępione džinsy i poplamioną kurtkę wojskową. Minęła już północ i - jak zwykle o tej porze - różnego rodzaju zboczeńcy wylegli licznie na ulice. Od godziny policjanci nieustannie sprowadzali ich do komisariatu.

- Już jedziemy - odparł Tony w tym samym momencie, gdy Darryl pchnął aresztanta na krzesło, wyćwiczonym ruchem otworzył jedną obręcz kajdanków i tak samo błyskawicznie zatrzęsął ją na metalowym uchwycie z boku biurka.

- Facet, popełniasz błąd! - zaprotestował zatrzymany. - Nie zrobiłem nic złego, tylko siusiałem! Widzisz, mam problem z prostatą i...

- Nie interesują mnie twoje kłopoty z prostatą - przerwał mu Darryl. Usiadł za biurkiem i włączył komputer.

- Kiedy ja naprawdę nie waliłem konia, tylko siusiałem. Ale to zawsze trwa u mnie długo, zanim...

- Człowieku, powiedz jeszcze słowo, a wpiszę tu, że jesteś podejrzany o morderstwo! Bóg mi świadkiem, że to zrobię.

- Tak nie można! Mówiłem już, że tylko siusiałem...

- Niech to szlag! - jęknął Darryl. - Jak ja nienawidzę tego zajęcia! - powiedział do Tony'ego, podczas gdy zatrzymany w kółko powtarzał swoją kwestię.

- Lepiej posłuchaj, co on mówi, Darryl, może się czegoś nauczysz - rzekł Tony z uśmiechem.

Darryl spiorunował go wzrokiem i zaczął stukać klawiszami, spisując bełkot aresztanta.

- Withers, masz coś? - zainteresował się kapitan Sandifer; wysunął głowę ze swojego biura, oddzielonego od pokoju przeszklonymi ścianami z opuszczonymi żaluzjami.

- Obnażanie się w miejscu publicznym - odkrzyknął Withers.



- Ja tylko siusiałem! - zaprotestował zatrzymany.

Sandifer wymienił spojrzenia z Tonym, skrzywił się i wrócił do swojego biura.

Dominik wyszedł wreszcie z toalety.

- Możemy już iść?

- Tak. - Tony wyłączył komputer i wstał. - Przyznaj się, czym Jenny nakarmiła cię dzisiaj?

W ciągu dwóch ostatnich godzin Dominik był w toalecie już trzykrotnie.

- Nie ma o czym gadać. Kocham tę kobietę, ale muszę przyznać, że gotuje do kitu.

Tony roześmiał się.

- Czy to nie ty zaprosiłeś mnie do was jutro na obiad? Chyba nie będę mógł przyjść.

Sandifer ponownie wyłonił się ze swojego biura.

- Słuchajcie, dowiedzieliście się w końcu czegoś od tej dziewczyny, którą zatrzymaliście wczorajszej nocy?

Nastała chwila ciszy. Wreszcie Tony potrząsnął głową.

- Ona się nam na nic nie przyda. Nie ma o niczym pojęcia.

Sandifer kiwnął głową i znikł za drzwiami.

- Dałeś jej nie lada szansę - mruknął Dominik, kiedy szli do samochodu. - A mieliśmy ją w rękę.

- Tak, wiem. - Tony wzruszył ramionami. - Ale to jeszcze dzieciak. Do diabła, gdybyśmy chcieli, moglibyśmy wsadzić za kratki połowę dzieciaków w tym mieście. Nie sądzisz, że lepiej skupić uwagę na grubszych rybach?

- Takich jak Voss?

- Właśnie. Takich jak Voss.

- Jej matka to babka ekstra, nie sądzisz? - zapytał Dom ze śmiechem i nie

czekając na odpowiedź, siadł za kierownicą niebieskiego camaro.

## Rozdział piętnasty

W środę dokładnie o wpół do czwartej Grace zadzwoniła ze swojego gabinetu w sądzie do domu; robiła tak codziennie, odkąd wydała córce zakaz wychodzenia po południu.

- Zakład poprawczy sędzi Hart dla krnąbrnych dziewcząt - rzuciła opryskliwie Jessica, podnosząc słuchawkę. Oczywiście widziała na wyświetlaczu telefonu, że dzwoni matka.

- Dobry wieczór, pensjonariuszko numer jeden. Zjadłaś już kanapkę?

- Tak.

- Sprawdziłaś poziom cukru we krwi?

- Tak.

- To dobrze. Jak było w szkole?

- Och, bajecznie - odparła Jessica słodkim tonem. - Nikt nie chce ze mną rozmawiać, ale to nic. Miło być w szkole dupkiem.

Grace roześmiała się.

- To nie jest wcale zabawne, mamó.

- Co masz zadane? - zapytała Grace, konsekwentnie ignorując gderanie córki. Jeśli ta „superpaczka” przestała ją akceptować, tym lepiej.

- Trochę z algebry i hiszpańskiego. A z angielskiego przeczytać krótkie opowiadanie.

- To lepiej weź się już do roboty.

- Dobrze. Mamo, ja nie żartowałam: w szkole wszyscy się teraz ode mnie odwracają. Myślałam, że skoro rozmawiałam z gliniarzami, to sypnęłam kogoś z naszych.

- Skąd im to przyszło do głowy?

- Bo po całej szkole rozniosło się już, że policja nakryła mnie na kupowaniu trawki i nie zatrzymała. Są pewni, że jako sędzia zawarłaś z gliniarzami układ.

- Nawet gdybym chciała, nie mam takich możliwości.

- Ale oni myślą, że tak właśnie było. Mamo, oni mnie nienawidzą, naprawdę. A dziś nawet ktoś mnie śledził, kiedy wracałam do domu.

- Co?!

- Przysięgam, że nie zmyślam. Cały czas, kiedy szłam do domu, czułam, że ktoś się za mną skrada. Co chwila rozglądałam się, ale nikogo nie zauważyłam. To znaczy, byli jacyś ludzie na ulicy, jak zawsze, ale nie potrafiłam stwierdzić, kto z nich idzie za mną. A jednak ktoś obserwował mnie cały czas. Czułam to. I to też przyprawiało mnie o gęsię skórę. Co gorsza, byłam sama, bo żadna z koleżanek nie poszłaby teraz ze mną. Mamo, to naprawdę okropne!

- Jess, może ci się jednak tylko wydawało?

Wybujała fantazja Jess, połączona z pragnieniem dokuczenia matce za trzymiesięczny areszt domowy, mogła skłonić dziewczynę do wymyślenia historyjki, która - jak dobrze wiedziała - mogła napędzić stracha.

- Klnę się na Boga. To było straszne.

- Jess, ostrzegam cię...

- Możesz mi nie wierzyć. Przekonasz się, że mówiłam prawdę, kiedy ktoś zamorduje mnie w drodze do domu.

Grace odetchnęła głęboko. Znała córkę wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że niezależnie od tego, czy naprawdę ktoś ją śledził, Jessica wierzy w to,

co mówi.

- Czy Linda jest z tobą?

Grace wynajęła na popołudnia studentkę, która miała je spędzać razem z Jess, aby nie było siedzenia w domu w pojedynkę i mnóstwa czasu bez nadzoru, co sprzyjało pakowaniu się w kłopoty.

- Jest w salonie, ogląda jakąś głupawą telenowelę.

- A ty gdzie teraz jesteś?

- Na górze, w sypialni.

- Drzwi są zamknięte?

- Skąd mam wiedzieć? Chyba tak.

- Sprawdź od razu po odłożeniu słuchawki. I nie wychodź z domu.

Nastąpiła chwila ciszy. Grace czuła rosnący niepokój córki nawet na odległość.

- Traktujesz poważnie to, co mówiłam, czy tak, mamo?

- Chyba tego właśnie chciałaś, Jess? Pamiętaj: natychmiast po odłożeniu słuchawki sprawdź drzwi i nie ruszaj się z domu. Odrób lekcje. Gdyby ktoś zapukał...

- Mam nie wpuszczać nikogo do domu, wiem. Mamo, nie jestem już pięcioletnim dzieckiem.

- Gdybyś ujrzała kogoś, kto wyda ci się podejrzany, na przykład gdyby koło domu kręcił się ktoś, kogo nie znasz, dzwoń od razu pod 911.

- Och, mamo, chyba wyolbrzymiasz to wszystko, jak zwykle.

- Możliwe. Ale jednak...

- Wiem. Lepiej dmuchać na zimne niż się sparzyć.

Grace bez problemów mogła sobie wyobrazić minę, jaką Jess zrobiła przy tych słowach.

- Właśnie. A teraz poproś do telefonu Lindę.

- Ona jest na dole - zaproponowała Jessica.
- Muszę z nią porozmawiać. Poproś ją.
- Boże, mamo, ależ ty stwarzasz problemy. Na razie.
- Na razie - odparła Grace, wątpiła jednak, czy Jess słyszy jej słowa. Po

chwili w słuchawce rozległ się głośny okrzyk:

- Linda, telefon!

Rozmowa z Lindą nie trwała długo. Grace powtórzyła jej to samo, co przekazała już córce: żeby sprawdzić drzwi i nie wpuszczać nikogo do domu. Następnie zajęła się pracą. Rejestr sądowy obejmował jeszcze pół tuzina spraw przewidzianych na ten dzień.

Przez całe popołudnie rozmyślała z niepokojem o tym, co powiedziała Jess. Czyżby śledził ją ktoś przekonany, że dziewczyna współpracuje z policją? Może jednak jest zamieszana w narkotyki bardziej, niż przypuszczała? Bo jeśli nie, to kto może ją obserwować? O czym w ogóle świadczą ostatnie wydarzenia? Fakty, jak dotąd, nie prowadzą do jakiegoś logicznego wniosku: Jessica została przyłapana na kupowaniu trawki, nie zatrzymano jej jednak; ona sama próbowała w tym samym czasie dogonić kogoś, kto wtargnął do ich domu, a pluszowy miś leżał porzucony na poboczu drogi. Takie były fakty. Reszta to tylko ich interpretacja i domysły.

Mimo to nie potrafiła się uwolnić od uczucia niepokoju - do tego stopnia, że w końcu zdecydowała się skontaktować z Tonym Marino.

Kiedy oddzwonił do niej, prowadziła właśnie sprawę w sądzie. Potem ona zadzwoniła, ale uzyskała jedynie połączenie z jego pagerem. Pat.

Podjeżdżając do domu, zauważyła samochód zaparkowany na podjeździe. Natychmiast rozpoznała czarną hondę, nie widziała jednak nigdzie Tony'ego.

Zaparkowała tuż za hondą, wysiadła i skierowała się do domu.

Za progiem powitał ją Godzilla. Szybko i zwinnie mimo szpilek i wąskiej

spódnicy odskoczyła w bok, aby nie nadepnąć na chomika, toczącego się po podłodze jadalni. Pikantny aromat pieczeni i warzyw, które zostawiła rano w glinianym garnku, przypomniał jej, że jest głodna. Ten właśnie zapach oraz odgłosy rozmowy przerywanej raz po raz śmiechem zwabiły ją do kuchni.

No tak, był tam Marino. I najwyraźniej czuł się jak u siebie w domu. Oparty o blat gryzł z apetytem jabłko, a odziany był w dzinsy i biały podkoszulek, na który narzucił niebiesko-złotą flanelową koszulę.

Jessica, również w dzinsach, jak zwykle, oraz w lekkiej jak mgiełka bluzce koszulowej w kolorze fuksji, siedziała na taborecie. Przed nią leżał otwarty podręcznik z tekstami hiszpańskimi, a tuż obok zapomniany ołówek na notatniku. Jessica trzymała w dłoni nieprzewidziane w jej jadłospisie jabłko. Na drugim taborecie siedziała Linda, zanosząc się od śmiechu.

Jessica pomachała ręką z jabłkiem.

- Cześć, mamó.

- Pani sędzino.

W tonie głosu Marina Grace dopatrzyła się nuty sarkazmu.

- Pani Hart... - Linda wydawała się nieco zdenerwowana, jakby obawiała się, że śmiech podczas godzin pracy może się wydać jej chlebodawczyni niestosowny.

Trzy bardzo różne powitania, trzy bardzo różne głosy. Trzy pary oczu utkwione w niej i każda z nich wyraża coś innego.

- Cześć, kochanie. Dzień dobry, Lindo, detektywie Marino - odparła; każda z tych odpowiedzi wyrażała skalę odczuwanej przez nią życzliwości i przyjaźni. Ciepły uśmiech, jakim obdarzyła córkę (postanowiła, że nie będzie jej czynić wyrzutów z powodu tego jabłka), przerodził się w surowe spojrzenie, zanim przeniosła wzrok na Marina. Jakby zaintrygowany tym, uniósł brwi, nie odezwał się jednak.

- Boże, to już tak późno? - Linda zerknęła na zegar wiszący nad drzwiami spiżarni, zerwała się z miejsca i ruszyła do wyjścia.

Atrakcyjna, krótko ostrzyżona brunetka, miała dziś na sobie zielony szpitalny fartuch, modny ostatnio w środowisku studenckim. Grace polubiła ją od pierwszej chwili, podobnie jak Jessica, co w znacznym stopniu ułatwiało sytuację. Wprawdzie należało się tego spodziewać wcześniej czy później, ale do tej pory Jess nie oskarżyła jeszcze matki, że wynajęła Lindę jako jej strażniczkę więzienną.

- Muszę iść - oświadczyła Linda i zdjęła z wieszaka myśliwski plecak. - O siódmej mam zajęcia.

- Cześć, Lindo! Dzięki za pomoc w hiszpańskim! - zawołała za nią Jessica.

Zanim jeszcze Linda wyszła, przez otwarte drzwi wbiegł Paul, omal nie wpadając na nią. Dziś nosił džinsy i fioletową koszulkę z wizerunkiem tygrysa, miał krótkie, lecz potargane włosy, w jego niebieskich oczach migotały figlarne iskierki. Tuż za nim podążała Courtney; blond włosy splotła w dwa warkoczyki, czarną koszulkę ozdobił rysunek Myszki Miki, na nogach miała czarno-białe legginsy w groszki.

- Cześć, ciociu Grace! Byliśmy w McDonalddie! - zawołał Paul.

- Chciałam kupić frytki dla ciebie i Jess, ale mama powiedziała, że nie lubicie tak niezdrowego jedzenia - dodała poważnie Courtney.

- Ja lubię - zaproponowała Jessica. - Ale mama mi nie pozwala.

W tym momencie Paul dostrzegł Godzillę; chomik sunął po podłodze w swoim kołowrotku, hałaśliwie zdążając z jadalni do salonu.

- Zobacz! - zawołał Paul i poleciał za ruchliwym zwierzątkiem.

- Co to? Co to? - Courtney nie odstępowała brata nawet na krok. - Paul, daj popatrzeć!

- Godzilla! - krzyknęła Jessica; zeskoczyła z taboretu i rzuciła się za kuzynami.

- Boże! - jęknęła Jackie, która stanęła właśnie w drzwiach z dwiema małymi torbami w ręku. Miała na sobie luźną dzinsową bluzę w haftowane kwiaty oraz czarne elastyczne spodnie i czarne tenisówki. - Co tu się dzieje?

Przeniosła wzrok z Lindy na Grace, następnie dostrzegła Marina i jej oczy zognomniały.

- Cześć - mruknęła Grace. - Oni po prostu gonią chomika, Jess. Wejdz, proszę.

- A mnie już nie ma - zawołała Linda. Pomachała ręką żegnającemu ją chóralnie towarzystwu i wyszła.

- Jest na wolności? Mam na myśli chomika. - Jackie zamknęła za sobą drzwi i podeszła do Marina, rzucając ponownie szybkie spojrzenie na Grace. Wzdrygnęła się ostentacyjnie. - Coś takiego wywołuje we mnie zawsze gęsią skórę.

- W pewnym sensie. Jest w swoim kołowrotku, co pozwala mu poruszać się swobodnie po całym domu. Jackie, to detektyw Marino. Moja siostra, Jackie Foster.

- Witam - powiedziała Jackie, kładąc torebki z zakupami na blacie, i uśmiechnęła się do Marina.

Wygląda na zmęczoną, pomyślała Grace, patrząc na cienie pod oczami, których nie zamaskował szeroki uśmiech, oraz na nienaturalną bladość twarzy. Znowu poczuła gniew na szwagra, który nie robił nic, aby zapewnić żonie i dzieciom łatwiejsze i przyjemniejsze życie.

- Miło mi panią poznać. - Marino odwzajemnił uśmiech.

Ma nawet sympatyczny uśmiech, uświadomiła sobie nie po raz pierwszy Grace. Przeniosła wzrok na siostrę. Znała ją tak dobrze, że potrafiła teraz odgadnąć bez trudu jej myśli. Jackie trapiła się od dawna jej samotnością. Od rozvodu upłynęło już dziesięć lat, a ona niezmordowanie zastanawiała się nad sposobem



znalezienia dla Grace nowego partnera. Czy nie taką sytuację mają na myśli ludzie, mówiąc o towarzyszach niedoli?

Zapomnij o tym, Jackie, prosiła w duchu Grace, starając się przekazać tę prośbę wzrokiem.

Bezgłośną wymianę myśli przerwał pisk, a potem odgłos uderzenia, po którym rozległ się donośny tupot nóg. Paul wpadł do pokoju i podbiegł do matki. Na jego twarzy malował się komiczny wyraz trwogi.

- Ona chce mnie zabić!

- Kto? - Jackie objęła go oburącz, jakby chciała osłonić przed ciosem.

- Jessica! Chce mnie zabić! Urwie mi głowę i rzuci na pożarcie robakom!

Wyrwie mi serce! Nie pozwól, aby mnie zabiła, nie pozwól jej!

Jego skłonność do przesadnego tragizowania była już dobrze znana w całej rodzinie, ale Marino wydawał się przejęty rozgrywającą się na jego oczach sceną.

- Mamo, pomóż! - rozległ się z sąsiedniego pokoju krzyk Jess.

Zawtórowała jej Courtney:

- Ratunku! Ratunku!

- Coś znowu zbroił? - Głos Jackie wyrażał rezygnację.

- Ja tylko kopnąłem ten beznadziejny kołowrotek...

Grace, nie słuchając już dalszego ciągu spowiedzi Paula, pobiegła do sąsiedniego pokoju.

Jessica i Courtney klęczały na podłodze po obu stronach kanapy i zagłądały w ciemną przestrzeń pod nią, odchylając narzutę. Pośrodku perskiego dywanu leżała połowa plastikowego kołowrotka. Druga część leżała pod ścianą.

- Wielki Boże! - zawołała Grace. W jednej chwili pojęła powagę sytuacji.

- Godzilla jest pod kanapą! - W głosie Jess brzmiała panika. - Mamo, klęknij obok Courtney, nie daj mu uciec... To on!

Rozległ się pisk. Courtney krzyknęła i odskoczyła od sofy, umykając widocznie przed chomikiem. Puściła przy tym narzutę.

- On ucieka! Ucieka! Mamo, łap go! Idzie!

Jessica zerwała się na równe nogi, a spod kanapy, tuż obok niebieskich pantofelków Grace, wystrzelił puszysty złocistobiały kłębuszek i z szybkością błyskawicy pomknął w stronę regałów ustawionych pod przeciwległą ścianą. Grace odruchowo odskoczyła.

- Jezu, nie lubię takich sytuacji! Jess, on chyba nie gryzie, co?

Mimo lęku Grace, która nie miała nic przeciw Godzilli, dopóki siedział w klatce, ale nie przepadała za nim, kiedy był na wolności, zamachnęła się i... chybiła.

- Łap go, mamo! Łap go!

Grace, prawie zgięta wpół, rzuciła się za gryzoniem, który zwinnie umykał przed jej ręką, kryjąc się to pod stołem, to za drewnianym bujakiem, to znów za zieloną donicą.

- Ja go złapię, ciociu Grace! - Courtney pośpieszyła z pomocą, wsuwając ręce za donicę. Jednocześnie uderzyła głową o kant regału i z okrzykiem bólu padła na wznak, przyciskając dłoń do bolącego miejsca.

- Zagroź mu drogę, mamo! Zaraz go schwytam! Zagoń go w moją stronę!

Jessica była już u jej boku, a raczej na wysokości kolana, i sięgnęła ręką po chomika przy akompaniamencie lamentów Courtney, na które nikt nie zwracał uwagi. Jess chybiła, a Godzilla ponownie ruszył w stronę Grace.

- Och, Jess, to okropne! - jęczała Grace, ale dokładnie stosując się do instrukcji córki, opuściła ręce, aby zagrozić gryzoniowi drogę do regałów. Niestety, wbrew jej nadziejom chomik nie skręcił ku Jess, lecz parł niewzruszenie do przodu. Grace zebrała się na odwagę, chwyciła go i podniosła do góry, ściskając oburącz drobne, ciepłe, zwinne ciało na tyle delikatnie, aby nie zrobić

mu krzywdy. Mimo to chomik ugryzł ją w palec.

- Mamo, złapałaś go! Och, puściłaś!

- Bo mnie ugryzł!

- Mamo, puściłaś go! Courtney, łap go! Mamo, już go miałaś! Dlaczego go puściłaś?

- Ugryzł mnie!

- Takimi drobnymi ząbkami? To na pewno nie boli! Godzilla gryzł mnie setki razy! Paul, nie!

Ostatnie słowa Jessica wykrzyknęła wniebogłosy, widząc kuzyna, zamachującego się na Godzillę rondlem.

Chomik pisnął raz i umilkł.

- Paul, coś ty zrobił! Zejdź mi z drogi, ty mały...

Odepchnęła go na bok tak gwałtownie, że chłopiec zatoczył się na duży telewizor stojący pod przeciwległą ścianą. Na szczęście udało mu się w porę odzyskać równowagę. Grace odetchnęła z ulgą, natomiast Jessica padła na kolana. Była wściekła, ale w duchu musiała oddać kuzynowi sprawiedliwość: jego metoda okazała się skuteczna: dostał chomika w swoje ręce - żywego lub nie.

Na samą myśl o tej drugiej ewentualności Grace skrzywiła się jakby z bólu.

Jessica ostrożnie uniosła rondel z jednej strony i zajrzała pod niego, po czym opuściła go z powrotem.

- Courtney, podaj mi kołowrotek.

Grace wywnioskowała z tych słów, że Godzilla żyje. Courtney podniosła z podłogi obie części kołowrotka i podała je Jess, która wzięła je, piorunując surowym spojrzeniem swoje cioteczne rodzeństwo.

- Mamo, unieś rondel, kiedy powiem „już”.

Grace kucnęła przy niej; obie dłonie trzymała w pogotowiu na chłodnym dnie rondla.

- Już! - zawołała Jessica, a Grace uniosła naczynie. Jess błyskawicznie nakryła chomika jedną połową kołowrotka i korzystając z jego osłupienia, podsunęła drugą. Zwycięstwo!

- Nie stało mu się nic złego? - zapytał Paul.

Jessica zmierzyła go wzrokiem, zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, Grace objęła chłopca ramieniem.

- Chyba nie. Jess, wsadź Godzillę do klatki. Jackie, zdaje się, że przyniosłaś coś od McDonalda? Może nakarmimy dzieciaki, co ty na to?

Spojrzała na siostrę. Jackie i Marino stali w progu, między kuchnią i salonem. Jackie, zakrywając dłonią usta, krztusiła się ze śmiechu. Marino uśmiechał się szeroko.

## Rozdział szesnasty

Grace wyprostowała się. Dopiero teraz zauważyła, że poleciało jej oczko w rajstopach. Nie, właściwie nie było to oczko, lecz wielkie oko: zaczynało się od sporej dziury na prawym kolanie i przechodziło niżej w długi ciąg dziurek aż do kostki. Widać było przez nie jasną skórę prawie całej łydki. Na domiar złego piekła ją twarz, włosy miała w nieładzie i była spocona.

Nie wspominając już o krwawiącym palcu.

Zupełne przeciwieństwo wizerunku dystygowanej kobiety, jaki chciała zaprezentować temu Marino.

- Biedne maleństwo - szeptała Jessica do ucha Godzilli, przechodząc do

hallu i kierując się ku schodom. Chomika wraz z kołowrotkiem trzymała troskliwie w dłoniach.

- Nie rozumiem, dlaczego nie kupisz jej jakiegoś normalnego zwierzątka domowego - szepnęła do siostry Jackie, tak aby nie usłyszała jej Jessica. - Ten stwór jest ohydny, wygląda jak szczur z uciętym ogonem.

- Godzilla jest normalnym zwierzątkiem domowym - odparła Grace spokojnie. Odszukała wzrokiem Courtney i wskazała jej drzwi do kuchni. - Przejdźcie tam, kochani. Jackie, jeśli chcesz nakarmić swoją dwójkę, pospiesz się, bo wszystko, co przyniosłaś, wystygnie. Detektywie Marino, przepraszam, że stracił pan przez to zamieszanie tyle czasu. Chciałabym porozmawiać z panem przez chwilę.

- Nie ma problemu - odparł. Uśmiech znikł już z jego twarzy, za to w oczach czaiły się figlarne iskierki. - Od dawna się zastanawiałem nad skuteczną metodą chwytania zbiegłych chomików. Teraz już wiem: wystarczy nakryć uciekiniera odwróconym do góry dnem garnkiem. Jeśli zrobi się to precyzyjnie, nie zamieniając chomika w rozjechaną na drodze pizzę, sukces murowany.

- Dzieci, chodźcie jeść.

Jackie pierwsza przeszła do kuchni, za nią szedł Marino, orszak zamykały Grace, Courtney i Paul.

Kiedy Jackie podawała do stołu, Grace oderwała z rolki nad zlewem trochę papierowego ręcznika, zmoczyła go pod kranem, wyżeła i owinęła nim pogryziony palec. Następnie poprosiła Marina na ganek. Było to jedyne miejsce, gdzie mogła porozmawiać z nim swobodnie, bez obawy, że ktoś im znowu przeszkodzi.

- Pani siostra mieszka w pobliżu? - zapytał Marino, zamykając za sobą drzwi.

- W Whitehall.

Columbus było dość luźnym zlepkiem mniejszych miasteczek. Dzielnice

bogate to Bexley, Worthington i Górny Arlington. W Whitehall mieszkali głównie robotnicy; zajmowali tam małe, przeważnie parterowe domki, stłoczone ciasno jeden obok drugiego. Ludzie z Whitehall najmowali się często do pomocy w domach mieszkańców Bexley.

Marino uniósł brwi, ale Grace nie zamierzała rozwodzić się nad życiem siostry. To, że Jackie nie zdecydowała się skończyć studiów, wybrała sobie nieodpowiedniego męża i jakby tego było jeszcze mało, w wieku dwudziestu kilku lat miała już dwoje dzieci, które bardzo kochała, ale nie mogła sobie na nie pozwolić, nie powinno obchodzić jej gościa.

- Chciałam porozmawiać z panem o mojej córce.

Na moment odwróciła od niego wzrok, a on czekał cierpliwie tuż przy drzwiach. Zapadał już zmierzch. Niebieskofioletowe i szare cienie sunęły po podwórzu, odbierając kształtom kontury, a barwom wyrazistość. W powietrzu unosił się już zapach jesieni. Chłodne porywy wiatru potrząsały resztkami kolorowych liści na okazałych dębach, wiązach i bukach; kilka opadało właśnie na ziemię, wirując w powietrzu. Na zachodnim nieboskłonie gęstniały fioletowe chmury, zapowiadając deszcz jeszcze przed świtem. Zresztą, samo powietrze było niczym deszcz: ciężkie, przesycone wilgocią. W kącie ganku huśtawka kołysała się łagodnie na łańcuchach tam i z powrotem, jakby popychał ją ktoś niewidzialny. Wiszący za nią dzwonek wietrzny z oksydowanej miedzi, w kształcie koguta z długim ogonem i pięcioma cienkimi metalowymi rurkami zwisającymi z jego pazurków, pobrzękiwał melodyjnie. Wiecznie zielone liście kaliny szumiały zgodnie. Ulicą przejechał zielony ford explorer; skręcił na podjazd Taylorów i znikł za kępą wysokich jałowców, które oddzielały ich podwórze od posiadłości Welchów.

- Jessica twierdzi, że ktoś ją śledził w drodze ze szkoły do domu. - Grace skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała swemu rozmówcy prosto w oczy. -

Podobno żadna z koleżanek w szkole nie chce teraz mieć z nią do czynienia. Wiedzą, że policja złapała ją, kiedy kupowała marihuanę, a jednak nie trafiła do aresztu i nie została oskarżona. Według niej koleżanki są przekonane, że wyszła z tego obronną ręką, bo współpracuje z policją w dochodzeniu dotyczącym handlu narkotykami.

- A więc myślą, że pani córka współpracuje z nami, tak?

Stał w lekkim rozkroku, z dłońmi wetkniętymi głęboko w kieszenie dżinsów. Sprawiał wrażenie człowieka będącego na luzie i tak też z nią rozmawiał. Zbyt swobodnie, jak na jej gust.

- Tak myślą - odparła. - A ja myślę, że pod moją nieobecność wyciągnął pan od niej nazwiska jej koleżanek. Chcę, aby pan wiedział, że wiem o tym. A także, że moim zdaniem naraża pan moją córkę na niebezpieczeństwo, wykorzystując ją w ten sposób. Nie pozwolę na to.

- To, że Jessica podała mi nazwiska swoich przyjaciółek, jest nieszkodliwe, nie sądzi pani? Po prostu wymieniła kilka z nich w trakcie rozmowy, tak jak uczyniłaby to, rozmawiając z kimkolwiek. Nie ma w tym nic niezwykłego. Skoro już o tym mowa: sprawdziłem te dzieciaki. Część z nich bierze twarde narkotyki. Jessica zadaje się z nimi, ale nie jest taka jak one. Jeszcze nie.

Grace odruchowo podniosła rękę do szyi.

- Proszę posłuchać: nie chcę, aby miała z tym cokolwiek wspólnego. To dobre dziecko. Naprawdę. Po prostu... ona nie chce odstawać od reszty. To taki okres. Rozmawiałam z nią. Zakazałam wychodzenia po szkole z domu. Myślę, że już zrozumiała, w jak niebezpieczną historię się wpakowała. Chcę, aby wyłączył ją pan z tego wszystkiego. I żeby zostawił ją pan w spokoju.

- Przecież to pani zaczęła tę rozmowę. Jeśli o mnie chodzi, wyłączyłem pani córkę z tej sprawy.

- Ona twierdzi, że ktoś szedł za nią, kiedy wracała do domu. - Grace znowu skrzyżowała ręce na piersiach. - Boję się. Czy to może być prawda? Czy możliwe, że któryś z handlarzy chce mieć Jess na oku, bo sądzi, że ona ich wydała policji?

Marino wzruszył ramionami.

- Nie można tego wykluczyć, ale nie wiem, dlaczego ktoś miałby tak sądzić. Na ich miejscu nie podejrzewałbym dziewczyny tylko dlatego, że nie została aresztowana. Często darujemy takim dzieciakom karę, jeśli jest to ich pierwszy raz i mają niewiele narkotyku. Ograniczamy się wtedy do ostrzeżenia i dajemy znać rodzicom. Czy to, co mówi pani córka, jest wiarygodne? Czy ona ma bujną wyobraźnię?

- Chodzi panu o to, czy nie mogła zmyślić, że ktoś ją śledził? Nie. Potrafię wyczuć, kiedy jest czymś naprawdę przerażona. A teraz była. Czy możliwe, że jej się to tylko wydawało? Owszem. Ale jeśli tak było rzeczywiście? To mnie niepokoi.

Przez moment przyglądał się jej w milczeniu.

- Nie sądzę, aby miała pani powód do niepokoju. Jestem niemal pewien, że to wytwór jej wyobraźni. Może wyciągnęła niewłaściwy wniosek z faktu, że koleżanki w szkole odnoszą się do niej wrogo.

Tak, to możliwe. Bardzo możliwe. A jednak Grace nie mogła odegnąć od siebie uczucia niepokoju, które owładnęło nią, odkąd Jess powiedziała, że ktoś ją śledził. Czy była to intuicja, czy szósty zmysł - nazwa nie miała tu znaczenia, w każdym razie coś jej mówiło, że lęk jest uzasadniony.

Co jednak mogła powiedzieć teraz? Czego się po nim w ogóle spodziewa? Że napisze oświadczenie, które stwierdzałoby jednoznacznie, iż Jess nie współpracuje z policją?

Wróć na ziemię!

- Gdyby pan o czymś usłyszał, dowiedział się, że grozi jej coś...



- Wtedy na pewno otoczmy ją opieką i poinformujemy panią, proszę mi wierzyć.

Uznała, że to musi jej na razie wystarczyć.

- Dziękuję. - Powiedziała to niemal niechętnie.

- Nie ma za co. - Podszedł do schodków. - Pójdę już. Robi się późno. Jeśli zaniepokoi panią coś jeszcze, proszę się ze mną kontaktować.

- Dobrze - odparła tak agresywnym tonem, że parsknął śmiechem.

Patrzyła za nim, jak wyjeżdża z jej podjazdu na wstecznym biegu, a potem skręca na wschód w stronę Eastland Boulevard. Kiedy zniknął jej z oczu, odwróciła się i weszła do domu.

W kuchni zastała tylko Jackie. Zza ściany dobiegały głosy z telewizora, domyśliła się więc, że Courtney i Paul są teraz w salonie. Nie dostrzegła nigdzie Jess. Zapewne woli posiedzieć w swoim pokoju.

- Skąd wytrzasnąłaś tak przystojnego gliniarza? - zapytała Jackie.

Czując palącą potrzebę podzielenia się z kimś swoimi troskami, Grace postanowiła zwierzyć się siostrze: opowiedzieć, kim jest Marino, jak go poznała i dlaczego znalazł się tego wieczoru w jej domu. Nagle zmieniła jednak zdanie. Przecież Jackie ma dość swoich problemów. Po co jej dodatkowe zmartwienia? A z pewnością zaczęłyby się lękać o bezpieczeństwo swojej siostrzenicy. Kochała Jess, tak jak Grace kochała Paula i Courtney, mimo ich rozhukania. Zresztą, po co mówić ukochanej ciotce Jess cokolwiek negatywnego właśnie o Jess? Na przykład to, że wymykała się z domu w środku nocy, upijała się, a nawet przyłapano ją na kupowaniu marihuany.

Nie bez znaczenia był też fakt, że Jackie uważała ją, Grace, za wspaniałą matkę. Po co psuć ten obraz, nawet jeśli jest iluzją.

- To nikt z moich znajomych, tylko oficer policji, z którym chciałam wyjaśnić pewną sprawę, a nie mogłam się z nim skontaktować w sądzie.

Odpowiedział mi na parę pytań i poszedł sobie - powiedziała, kierując się ku schodom na górę. W pewnym sensie jej wyjaśnienie było zgodne z prawdą. Nie wspomniała jedynie, że owa sprawa dotyczy Jess. - W glinianym garnku jest pieczeń, ziemniaki i marchew, a w pojemniku na chleb paszteciki z piekarni. Bądź tak dobra i wystaw wszystko na stół, a ja w tym czasie przebiorę się i sprowadzę Jess. Potem możemy zjeść.

## Rozdział siedemnasty

Kiedy Grace zeszła ponownie na dół, ubrana w znoszony szary dres, Jessica siedziała w kuchni, a na stole stało jedzenie. We trzy spożyły posiłek w miłej atmosferze, jak przystało na rodzinę, która lubi się spotykać i dzielić to wszystko, co dotyczy jej życia. Grace opowiadała ciekawostki ze spraw, które aktualnie prowadziła, Jackie opisywała figle, jakich dopuszczali się dzieci - jej własne oraz te z ośrodka opieki dziennej, gdzie pracowała - natomiast Jessica paplała o szkole i Godzilli. Nie wspomniała nawet jednym słowem o swoich kłopotach ani o tym, że koleżanki w szkole nie chcą z nią rozmawiać lub że w drodze do domu czuła się przez kogoś śledzona. Jej wstrzemięźliwość w tym względzie utwierdziła Grace w przekonaniu, że postąpiła właściwie, zachowując te problemy dla siebie.

Po posiłku Jessica pomogła sprzątnąć ze stołu; Jackie z dziećmi wróciła do siebie, więc Grace i Jessica wyszły pobiegać, tak jak robiły to często po kolacji.

Zapadł już zmrok. W Bexley nie było wiele latarni ulicznych, a te nieliczne znajdowały się głównie przy bardziej ruchliwych skrzyżowaniach. Za Spring Hill

Lane, gdzie nie było żadnego pobocza, obie korzystały w miarę możliwości z chodników. Wzdłuż jezdni parkowały tu gęsto auta osobowe, furgonetki i motocykle. Niebo pokrywały ciemne chmury, które skutecznie zasłaniały księżyc i gwiazdy. Prócz nielicznych spacerowiczów z psami i samotnego chłopca na rowerze, pedałującego zawzięcie (widocznie pragnął wygrać wyścig z czasem i jak najprędzej znaleźć się w domu), na ulicy nie było nikogo.

Mimo panującego dokoła spokoju Grace nie potrafiła zapomnieć ani o lęku córki, przekonanej, że ktoś ją śledził, ani o tym, że w ubiegłym tygodniu sama goniła jakiegoś intruza. Dzisiejsze bieganie nie przyniosło jej spodziewanego odprężenia. Jakiś wewnętrzny głos kazał jej zerkać na każdy mijany krzak lub samochód w obawie, że kryje się tam ktoś, kto obserwuje każdy ich krok. To było głupie, zdawała sobie z tego sprawę, i tym usilniej starała się nie zarażać Jess własnym lękiem.

Ramię w ramię, nie rozmawiając o niczym istotnym, biegły Spring Hill Lane do Bellewood, dalej wzdłuż torów kolejowych w stronę Hobbs Station Road, a potem przez Evergreen i Spring Hill Lane z powrotem do domu.

W sumie przebiegły ze trzy kilometry. Zwykle taki bieg był dla Grace czystą przyjemnością: ceniła możliwość odbywania go z Jess, bez żadnych sprzeczek i stresu; cieszyło ją zresztą już samo towarzystwo córki. Dziś jednak dręczący niepokój nie pozwalał jej delectować się tymi chwilami.

- Nareszcie! - jęknęła zadyszana, kiedy dotarły do ganku. Wyczerpana opadła na bujak.

- Starzejesz się, mamó - powiedziała Jessica pogodnym tonem. W minionym sezonie była czołową zawodniczką szkolnej drużyny koszykówki i najwidoczniej nie straciła kondycji. Oddychała normalnie i nie wydawała się ani trochę zmęczona. Uniosła właśnie nogę i oparła ją na poręczu, aby rozciągnąć mięśnie.

Ciekawe, czy ja też miałam dawniej tyle energii, zastanawiała się Grace, patrząc na nią.

- Och, zapomniałam ci powiedzieć. Dostałam dziś swój sprawdzian z hiszpańskiego. Zdobyłam dziewięćdziesiąt trzy punkty. Musisz to podpisać.

- Wspaniały wynik. Podpiszę z prawdziwą przyjemnością. Połóż na stole w kuchni.

Jessica zmieniła nogę.

- Mamo...

- Mmm?

- Jak to się dzieje, że ty i ciocia Jackie różnicie się tak bardzo? Przecież jesteście siostrami... i w ogóle. Zawsze myślałam, że siostry muszą być do siebie podobne.

- Ciocia Jackie jest znacznie młodsza ode mnie. O osiem lat.

- To chyba nie jest żaden powód. Chodzi mi o coś innego. Porównaj tylko was obie: ona jest gruba, ty szczupła. Ty odnosisz sukcesy we wszystkim, czym się zajmujesz, ona nie. Twoje małżeństwo nie było udane, więc przeprowadziłaś rozwód. Jej małżeństwo też nie jest udane, ale ona nigdy się nie rozwiedzie. Będzie z nim do końca życia. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Grace nie odpowiedziała od razu. W milczeniu kołysała się na fotelu, rozważając pytanie. Dzwonki wietrzne pobrzękiwały srebrzyście, bujak skrzypiał, liście kaliny szeleściły cicho. Rześkie powietrze przyjemnie łagodziło rozgrzaną skórę. Jessica niezmordowanie ćwiczyła z nogą na poręczy. Światło z hallu i kuchni, wydostające się złocistymi smugami przez okna i przeciwstawiające się mrokowi nocy, padało od tyłu na jej sprężyste ciało.

Jackie i ja miałyśmy odmienne dzieciństwo, wiesz? Chociaż jesteśmy siostrami. Miałam czternaście lat, a więc byłam o rok młodsza niż ty teraz, kiedy umarła moja mama. Jackie była wtedy sześciolatkiem brzdącem. Pamiętam taki

moment w domu pogrzebowym: mama leżała w trumnie, a Jackie chichotała i bawiła się z naszym rodzeństwem ciotecznym, swoimi rówieśnikami. Nie wiedziała, nie rozumiała, co się stało ani jaką ponieśliśmy stratę. Potem, zanim minął rok, tata ożenił się powtórnie. Jackie i Deborah szybko znalazły wspólny język. Muszę przyznać, że Deborah była dla Jackie bardzo dobra, traktowała ją prawie jak własną córkę. Ja nienawidziłam tej kobiety. Teraz, z perspektywy czasu, widzę, że byłam wobec niej niesprawiedliwa, ale wtedy sądziłam, że stoję w obronie mojej mamy, strzegę jej miejsca w rodzinie, chociaż tak naprawdę nie ma jej już z nami. Tata był na mnie wściekły, tak więc toczyliśmy ze sobą bezustannie wojnę. Sytuacja stała się nie do zniesienia i wreszcie opuściłam ten dom.

- I znalazłaś się na uczelni?

- Mhm.

Jessica opuściła nogę i zrobiła skłon, kładąc dłonie płasko na podłodze.

- Na co zmarła twoja mama? - zapytała. W tej pozycji jej głos brzmiał inaczej niż zwykle, był jakby trochę zduszony.

- Nowotwór jajników. - Nawet dziś, po tylu latach, Grace nie potrafiła myśleć o tym bez bólu.

- Ciężko to przeszłaś?

- Bardzo.

Tak naprawdę było to dla niej piekło. Śmierć matki nastąpiła szybko, brutalnie, nieoczekiwanie. Pewnego styczniowego dnia poszła na rutynowe badanie lekarskie i wtedy wszystko się zaczęło. Po sześciu miesiącach niezliczonych zabiegów chirurgicznych i wielogodzinnych cierpień zmarła. Grace poczuła się tak, jakby na niebie zgasło słońce. Jakby jej życie wchłonęła olbrzymia czarna dziura, z której nie ma już drogi ucieczki.

- Ale wyszłaś z tego.

- Tak, wyszłam. - Grace uśmiechnęła się lekko, czule, jakby ze smutkiem.  
- Ale właściwie zaczęłam dochodzić do siebie, dopiero odkąd mam ciebie. Byłaś pierwszą osobą, którą pokochałam tak gorąco jak własną matkę. Potem kochałam cię coraz bardziej. Bardziej niż cokolwiek na tym świecie.

Jessica wyprostowała się, wsparta pod boki spojrzała na matkę z uśmiechem.

- I byłam najpiękniejszym dzieckiem na tym świecie, czy tak?

- Cóż...

- Mamo, jeśli kochasz mnie tak bardzo, możesz przynajmniej powiedzieć mi, że byłam pięknym dzieckiem.

- Piękniałaś z upływem czasu. - Grace grała na zwłokę. Jessica uwielbiała słuchać o tym, jaka była długa i chuda, i pomarszczona, i - tak, tak - pospolita tuż po urodzeniu. Craig, w owym czasie dwudziestodwuletni idealista, spojrzał na nowo narodzoną córeczkę i natychmiast się rozplakał, wstrząśnięty jej brzydotą. Potem opowiedział jej o tym, ale na szczęście Jessica uznała to za rzecz zabawną.

- Kocham cię, mamo. - Jessica nachyliła się, cmoknęła Grace w policzek i wyciągnęła rękę. - Daj klucz. Pójdę pod prysznic.

- Będę tam za minutę. Nie zużyj całej ciepłej wody.

- Postaram się.

- Drzwi zatrzasnęły się za nią, a Grace jeszcze przez chwilę bujała się w wiklinowym fotelu, wpatrując się w ciemność. Tam właśnie czaiły się upiory przeszłości, którym pytania Jess nadały od nowa kształt i treść. Upiory, o których pamięć bolała. Nie mniej bolesne byłoby też jednak wymazanie ich z pamięci...

- Mamo! - Przerażliwy krzyk Jess dotarł do niej z góry, mimo zamkniętych drzwi. - Mamo!

Grace zerwała się na równe nogi, jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i przebiegła przez hall. Zanim dotarła do schodów, Jessica, okryta ręcznikiem, stała

już u ich podnóża, z twarzą białą jak papier i szeroko rozwartymi oczyma.

- Mamo, mamo! O Boże, mamo!

- Jess, co się stało? - Grace chwyciła ją za rękę. - Co się stało?

- Zobacz sama... w moim pokoju! - Jessica była jeszcze mokra po natrysku, jej ręka wydała się Grace zimna jak lód. - Boże, mamo, zobacz w moim pokoju! Musisz iść i zobaczyć!

## Rozdział osiemnasty

Pierwsi zjawili się mundurowi policjanci Phillip Peters i Aaron Stein. Grace zaprowadziła ich na górę do pokoju córki. Jessica, już w dzinsach i białym sweterku, poszła z nimi. Boi się zostać na dole sama, pomyślała Grace i poczuła bolesne ukłucie w sercu.

Na łóżku nadal leżało barwne watowane przykrycie na nogi, wykończone ozdobną krezą. O podglówek oparte były dwie poduszki pod kolor. Zasłony na oknie pozostały zaciągnięte, świeciła za to lampka przy łóżku. W sypialni panował idealny porządek, jeśli nie liczyć ubrania do joggingu, rzuconego w pośpiechu na fotel w kącie.

Jessica ścisnęła mocno dłoń matki, kiedy cała grupa skierowała się do łazienki. Policjanci otworzyli białe drzwi. Światło w środku paliło się nadal, rozjaśniając niewielkie, utrzymane w różowo-białej tonacji pomieszczenie, w którym mieściły się natrysk, umywalka i toaleta. Kabina była otwarta, para zdążyła się już rozwiać.

Biała porcelanowa umywalka na nodze stała dokładnie naprzeciw kabiny natryskowej. Nad umywalką wisiała prostokątna apteczka z lustrzanymi drzwiczkami; ich górna krawędź tworzyła łuk.

Stein wszedł do łazienki pierwszy, za nim Peters. Grace i Jessica szły za nimi, trzymając się za ręce.

- O, tu - wskazała ręką Grace. - Na lustrze.

Na szklanej tafli widniał schematyczny zarys grobowca, na którym można było odczytać napis: Jessica, a pod spodem: Niech spoczywa w pokoju.

Do wykonania rysunku i napisu użyto jakiegoś olejku, wszystko uwidoczniło się więc dopiero, kiedy para z kabiny natryskowej pokryła mgiełką resztę lustra. Teraz para zrzędała i rysunek nieco się zatarł, ale nadal można było dojrzeć go bez trudu.

- Wyszliśmy z domu pobiegać i pewnie w tym czasie ktoś dostał się do domu i to napisał - powiedziała Grace.

- Zamknęła pani porządnie drzwi przed wyjściem? - zapytał Stein.

- Oczywiście.

- Sprawdzimy okna i drzwi, poszukamy śladów włamania - oświadczył Peters. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat; sprawiał miłe wrażenie, był wysoki i szczupły, o regularnych rysach twarzy i kasztanowatej czuprynie. Stein - niższy i krępy - miał rumianą twarz i krótko przystrzyżone blond włosy.

- Ktokolwiek to był, mógł się dostać do środka tylnym wejściem. Tamten zamek nie działa jak należy - powiedziała Grace.

- Sprawdzimy to.

Cała czwórka wróciła na dół. Grace i Jessica przeszły do kuchni, czekając na wyniki oględzin drzwi i okien, czym zajęli się policjanci.

- Nigdzie nawet śladu włamania - oświadczył Stein parę minut później i



pokręcił głową. - Możemy tylko sporządzić raport.

- Wolałabym, żeby panowie zrobili coś więcej - odparła sucho Grace.

Mocniej ścisnęła dłoń córki. - Chcę, aby sprawca został zatrzymany.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - zapewnił Stein.

Rozległ się dzwonek u drzwi i Grace ujrzała Tony'ego Marina; za nim stał jego brat Dominik. Zadzwoiła pod numer pagera Marina, zanim jeszcze skontaktowała się z policją w Bexley.

Patrząc teraz na niego przez gęstą czarną siatkę, uprzytomniła sobie, zaskoczona, że cieszy ją jego przybycie. Przynajmniej on wie dostatecznie dużo, aby zrozumieć, co się wydarzyło naprawdę, pomyślała.

- Dzień dobry - powiedział, sięgając po klamkę siatkowych drzwi, mimo iż sama je otworzyła, a następnie wszedł do środka.

Za nim Dominik.

- Phil Peters, jeśli się nie mylę? - zapytał Tony, podchodząc do jednego z policjantów.

- Zgadza się. A to mój partner, Aaron Stein.

- Dominik Marino - przedstawił się drugi z braci i wszyscy podali sobie kolejno ręce. Potem Tony spojrzał na Grace.

- Co się stało?

- Ktoś dostał się do domu, gdy Jessica i ja uprawiałyśmy jogging, i napisał... - Grace zawahała się z uwagi na stojącą za nicórkę - coś bardzo przykrego na lustrze w jej łazience.

- Zagroził mi śmiercią - szepnęła Jessica. Jej dłoń, którą Grace ścisnęła cały czas, wciąż była lodowato zimna.

- Zagroził śmiercią? - Głos Marina zabrzmiał wystarczająco sceptycznie, aby zdenerwować Grace.

- Wejdźmy na górę, pokażę panu - mruknęła cierpkim tonem.

Ruszyła pierwsza. Za nią szła Jessica, następnie Tony i Dominik, na końcu Peters i Stein.

Sześć osób niemal wypełniło łazienkę. Grace oddychała z trudem. Stała tuż za Tonym Marino, przyciśnięta do córki. Zewsząd otaczali ją mężczyźni wyżsi od niej. Aby zobaczyć lustro, musiała zerkać ponad ramieniem Tony'ego, które znajdowało się na poziomie jej brwi. Zawsze szczyciła się tym, że jest kobietą w pełni kontrolującą swoje zachowanie; teraz świadomość bycia niższą od innych zbijała ją jakoś z tropu.

- Nie ma żadnych śladów włamania, detektywie Marino - pośpieszył z wyjaśnieniem Stein. - Sprawdzaliśmy już.

- Ale pani Hart twierdzi, że zamek w drzwiach kuchennych nie działa jak należy - dodał Peters. - Może intruz wszedł właśnie tamtędy.

- To mi wygląda na olej - mruknął Dominik. Dotknął rysunku na lustrze palcem, następnie potarł go drugim, aby sprawdzić konsystencję płynu. - Tak, to olej. Nie ma wątpliwości.

- Zróbcie zdjęcia. Weźcie próbkę oleju do analizy. Potem zbadajcie odciski palców. Wszędzie: w łazience, na klamce drzwi do sypialni, do kuchni i frontowych - polecił Tony policjantom w mundurach. Spojrzał przez ramię na stojącą za nim Grace. - Nie można wykluczyć, że to po prostu głupi żart. Wyjdźmy z tej łazienki, porozmawiamy na dole.

Grace nie puściła ręki Jess, schodząc po schodach. Na dole obaj umundurowani policjanci wyszli z domu po sprzęt, reszta skierowała się do kuchni.

- Nie sądzę, że to żart - powiedziała Grace. - Według mnie to dalszy ciąg tego, co wokół Jessiki dzieje się w szkole.

- Możliwe - mruknął Tony.

W uszach Grace słowa te zabrzmiały jednak jak „raczej nie”.

- Usiądź, kochanie - zwróciła się do córki i popchnęła ją delikatnie na

taboret. - Zrobię ci gorącej czekolady. - Spojrzała na braci Marino, stojących pośrodku kuchni. - Robię czekoladę dla córki i kawę dla siebie. Napijcie się panowie z nami?

- Poproszę o kawę - odparł Tony.

Dominik pokręcił przecząco głową.

- Ja dziękuję.

- Proszę usiąść.

Dominik zajął miejsce na taborecie obok Jess, natomiast Tony oparł się plecami o blat. Obaj mieli na sobie ciemne dresy i sportowe buty, jak do joggingu. Ciekawe, gdzie byli, przemknęło przez myśl Grace. Czyżby biegali, jak ona i Jess? Jakoś nie mogła w to uwierzyć. Napełniła dzbanek mlekiem z czekoladą i wstawiła go do kuchenki mikrofalowej. Następnie przyrządziła dwie filiżanki kawy.

- Śmietanka? Cukier? - zapytała Tony'ego w chwili, kiedy odezwał się brzęczyk kuchenki.

- Jedną łyżeczkę cukru - poprosił.

Grace wyjęła z kuchenki gorącą czekoladę i podała córce, potem posłodziła kawę Tony'ego.

- No więc - zaczął, upijając łyk i patrząc na Grace - według pani ktoś włamał się tu, gdy w domu nie było nikogo, i zostawił na lustrze tę wiadomość dla pani córki, czy tak?

- Tak - odparła Grace. Po trzech łykach kawy czuła się już zdolna do normalnego funkcjonowania.

- Jak długo była pani z córką poza domem?

Grace spojrzała na Jess.

- Jakieś... dwadzieścia minut?

Dziewczyna przytaknęła ruchem głowy.

- A więc ktokolwiek to był, miał dwadzieścia minut na dostanie się do środka, wejście do sypialni Jess i napisanie na lustrze tej swojej wieści olejem lub czymś w tym rodzaju. I cały czas musiał uważać, czy nie wracają domownicy - zastanawiał się głośno Tony. - Dwadzieścia minut to niewiele.

- Ale najwidoczniej wystarczyło - mruknęła posępnie Grace i znowu upiła łyk kawy.

- Owszem, to nie jest niemożliwe do wykonania. Jednak czasu było naprawdę niewiele.

- Po powrocie siedziałyśmy jeszcze parę minut na ganku, zanim weszłyśmy do domu - przypomniała sobie Grace. - Pięć... może nawet dziesięć.

- Chyba więcej niż pięć - wtrąciła Jessica. Jej głos brzmiał już mocniej. - Potem poszłam pod natrysk.

- I nie zauważyłaś w domu nikogo obcego ani czegoś podejrzanego? - zapytał Tony.

- Gdybym zauważyła, narobiłabym wrzasku na całą okolicę. - Dziewczyna obdarzyła go marną namiastką uśmiechu, ale Grace odetchnęła z ulgą: wyglądało na to, że Jess dochodzi do siebie.

- Tak właśnie myślałem. - Tony odwzajemnił uśmiech. - Czyli w momencie, gdy weszłaś do środka, napis musiał już być na lustrze, a sprawca zdążył się ulotnić. Wniosek jest jeden: ten typek musiał wcześniej obserwować ciebie i twoją mamę, aby wiedzieć, kiedy was nie będzie w domu. Czy jogging uprawiacie co wieczór o tej samej porze?

Grace i Jessica zgodnie potrząsnęły głowami.

- Nie, mniej więcej trzy razy w tygodniu, ale nie są to stałe dni ani godziny. Po prostu robimy to wtedy, gdy mamy chęć pobiegać - wyjaśniła Grace.

- A więc ten ktoś nie mógł wiedzieć z góry, kiedy dom będzie pusty?

- Skąd miałby wiedzieć?

- W takim razie pozostaje tylko jedno wytłumaczenie: pani i córka byłyście cały czas obserwowane.

Grace wzdrygnęła się.

- To straszne! - zawołała Jessica.

Tony wodził spojrzeniem od jednej do drugiej.

- Czy w domu jest jakiś olej, który mógł zostać wykorzystany do pisania na lustrze? - zapytał w końcu.

- Ja mam olejek do kąpieli - odparła Jessica. - Trzymam go w apteczce, ale jeszcze nie używałam. Zwykle biorę natrysk.

- Ja też mam jakiś olejek do kąpieli - przyznała Grace. - I taki dla niemowląt. Ach, jeszcze śmietankę do demakijażu.

Cała czwórka ruszyła na górę. Obaj detektywi weszli razem z dziewczyną do jej sypialni, Grace natomiast skierowała się do swojej łazienki, chcąc zabrać kosmetyki, o których wspomniała.

- Sfotografowaliśmy już to lustro - poinformował Tony'ego stojący w progu łazienki Peters. Stein pstrykał jeszcze w sypialni swoim aparatem małoobrazkowym, opuścił go jednak, kiedy weszła Grace.

- Zrobione - oznajmił, po czym odwrócił się do pozostałych.

- Jeszcze odciski palców z tylnych i frontowych drzwi - powiedział Tony. - A na końcu odciski z łazienki.

- Dobra.

Peters i Stein poszli na dół, natomiast bracia Marino do łazienki. Jessica czekała na ich powrót w pokoju; nie miała ochoty patrzeć znowu na lustro. Grace przyglądała się ich poczynaniom, tkwiąc między sypialnią i łazienką.

Poprzez ręcznik, starając się nie dotknąć niczego gołą ręką, Dominik otworzył apteczkę i wyjął plastikowy pojemniczek z kolorowym olejkiem do kąpieli.

Tony dotknął ostrożnie napisu na lustrze, powąchał palce i potarł je jeden o drugi. Dominik wziął na palec odrobinę olejku do kąpieli - obaj bracia skrzywili się, kiedy poczuli intensywny kwiatowy zapach.

- To nie ten olejek - orzekł zdecydowanie Tony. - Taki zapach poczulibyśmy z daleka. - Odwrócił się do Grace. - Sprawdźmy, co pani przyniosła. Podała mu kosmetyki.

Tony otworzył flakonik z przydymionego szkła i nalał sobie na palec troszkę olejku do kąpieli. Zapach lawendy nie był tak intensywny jak kwiatowego olejku Jess, ale i tu nie mogło być wątpliwości: to nie to.

Tony strząsnął sobie na wierzch dłoni kropelkę olejku dla niemowląt, sprawdził palcem jej konsystencję.

- Chyba znalazłem - mruknął. - A przynajmniej jest to coś w tym rodzaju. Żeby się upewnić, damy do laboratorium. Co o tym sądzisz, Dom?

Dominik dotknął olejku na lustrze, powąchał palec, następnie uczynił to samo z olejkiem dla niemowląt.

- Masz rację - powiedział. - Musimy zdjąć odciski palców z tej butelki.

- Ale nie możemy wykluczyć, że sprawca miał przy sobie inną butelkę takiego olejku.

- Słusznie.

Wytarli ręce ręcznikiem, którego Dominik użył przedtem, otwierając apteczkę, po czym wyszli z łazienki.

- Istnieje jeszcze jedna możliwość - powiedział Tony, wchodząc do sypialni.

- Jakaż to? - zapytała Grace, unosząc brwi.

- Że to stało się nie podczas waszego joggingu, ale wcześniej.

- Niemożliwe, zauważyłybyśmy! - zaproponowała Grace.

- Na pewno? Jessica, kiedy ostatnio brałaś natrysk?

- Rano. Przed szkołą.
- I nie zauważyłaś niczego na lustrze?
- Nie.
- A czy w ogóle patrzyłaś w lustro po wyjściu spod natrysku?
- Raczej tak, ale... nie jestem pewna.
- Oczywiście, że patrzyła. Ona zawsze przegląda się w lustrze - wtrąciła

Grace.

- Mamo, przestań - syknęła Jessica.
- Czyli mogło się to wydarzyć kiedykolwiek w ciągu dnia. Kto przebywał dziś w tym domu?

Grace zmarszczyła brwi.

- Chwileczkę, niech pomyślę... Linda, Jackie i jej dzieci. Pan. I oczywiście Jessica oraz ja. - Spojrzała z wahaniem na córkę.

- Nikt więcej nie przychodzi mi do głowy - oznajmiła Jessica.

- A może to sprawka tych dzieciaków? - zapytał Tony, patrząc na dziewczynę. - Widziałem je przedtem i sądząc po ich zachowaniu, mogłyby uznać tego typu kawał za bardzo zabawny.

Grace i Jessica, zaskoczone taką ewentualnością, wymieniły spojrzenia. Po chwili Grace przeniosła wzrok na Tony'ego.

- Nie wydaje mi się, aby tak było - potrząsnęła głową. - One są jeszcze za małe na takie żarty. Paul ma sześć lat, Courtney cztery. Prawdopodobnie nie potrafią jeszcze dobrze pisać, nawet gdyby chciały.

- Jest pani pewna? - wtrącił się do rozmowy Dominik. - Moja córka jest dopiero w pierwszej klasie, a pisze już bardzo ładnie.

- Zatelefonuję do Jackie, niech je zapyta. - Grace podeszła do drzwi. Wiedziała, że to niemożliwe. Że Paul nie umie jeszcze porządnie pisać. A jednak takie rozwiązanie zagadki ucieszyłoby ją, ukoilo nerwy...

- Mamo! - głos córki przerwał jej rozmyślenia. - Godzilla znikł!

Grace spojrzała na półkę, gdzie zazwyczaj stała klatka chomika. Jessica już obiegała łóżko.

- Otwarta! - Haczyk, który zabezpieczał klatkę przed niepożądanym otwarciem, był zdjęty z uszka. - A Godzilli nie ma!

Grace stanęła obok córki, spojrzała na dwupoziomową klatkę będącą domem chomika. Kołowrotek znajdował się w środku, podobnie jak pomalowany na czerwono pojemnik, w którym chomik lubił sypiać, jego drewniane gryzaczki, miseczka oraz butelka z wodą.

Grace sięgnęła ręką pod stertę papierowych serwet, pod którymi zwierzątko czasem się chowało. Wszystko w klatce znajdowało się na swoim miejscu - prócz chomika. Po Godzilli zaginął wszelki ślad.

## Rozdział dziewiętnasty

- Boże, na pewno zapomniałaś zamknąć klatkę - zawołała Grace.

- Wcale nie! Nigdy nie zostawiam klatki Godzilli otwartej! - usta dziewczyny dygotały, do oczu napłynęły łzy. Zbyt wiele się już nagromadziło powodów do lęku, by mogła to znieść ze spokojem.

- Godzilla? - zapytał cicho Dominik.

- To jej chomik - wyjaśnił takim samym głosem Tony.

- Aha,

- Nie ma obawy, znajdziemy go. - Grace opiekuńczym ramieniem objęła



córkę. Jessica z trudem powstrzymywała łzy. - Musi tu gdzieś być.

- Może być teraz gdziekolwiek w domu! - Jessica spojrzała na matkę z rozpaczą. - Drzwi do sypialni były otwarte cały czas!

- Znajdziemy go - powtórzyła Grace i nagle poczuła, że ktoś ściska jej rękę tuż nad łokciem.

Tony Marino. Kiedy spojrzała na niego, kiwnął głową na znak, że chce porozmawiać z nią na osobności w hallu, i wyszedł z pokoju Grace udała się za nim, Jessica natomiast uklękła obok łóżka aby pod nie zajrzeć. Dominik, najwyraźniej nie przejmując się zbytnio zaginięciem chomika, wszedł ponownie do łazienki

W hallu Grace przezornie stanęła tyłem do drzwi córki, tak aby Jess, wychodząc z pokoju, nie mogła dojrzeć jej miny, gdyby Marino miał złe wieści.

- Nie chcę skłócać pani córki z jej bratem ciotecznym, ale przypuszczam, że to on jest poszukiwanym przez nas sprawcą. - Detektyw zerknął na drzwi sypialni, jakby i on się obawiał, że Jessica pozna treść ich rozmowy.

- Paul? - Grace zmarszczyła brwi, założyła ręce na piersiach. Nadal miała na sobie szary dres z nadrukiem OSU na bluzie, który nosiła podczas joggingu. Ubranie było ciepłe, za ciepłe, by chodzić tak po domu, ją jednak raz po raz przeszywał zimny dreszcz. - Dlaczego pan tak sądzi?

- Taka wiadomość wypisana na lustrze to pomysł pasujący do dzieciaków w jego wieku. - Nieduży żyrandol, rozświetlający górny hall, zapalał we włosach Tony'ego srebrne błyski i pogłębiał pajączki zmarszczki w kącikach oczu i nieco wyraźniejsze okalające usta. - A teraz jeszcze to zaginięcie chomika...

- Po co Paul miałby to robić?

Tony wzruszył ramionami.

- Może chciał się zemścić, bo Jessica odebrała mu chomika? Albo wziąć odwet, gdyż przez nią znalazł się w kłopotliwej sytuacji? Lub po prostu dla

zabawy. Kto wie? Na pani miejscu przede wszystkim zadzwoniłbym do siostry i poprosił, żeby go zapytała.

Grace nie odpowiedziała od razu. To rzeczywiście możliwe, że Paul... Och, byłoby wspaniale, gdyby się okazało, że to naprawdę on!

- Dobrze, zadzwonię do niej.

Kiwnęła głową i podeszła do telefonu. Marino stanął obok. Gdy ona rozmawiała z siostrą, on wodził wzrokiem po sypialni.

Czekając na odpowiedź Jackie, która odeszła na moment od telefonu, aby porozmawiać z Paulem, Grace starała się spojrzeć na swój pokój oczyma Tony'ego Marina i poczuła przyływ dumy. Ostatecznie sypialnia to pomieszczenie bardzo osobiste, stanowi wymowny wizerunek właściciela.

Szerokie łóżce z baldachimem okrywała kwiecista różowo-zielona narzuta obszyta kremową koronką. Toaletka, szafka nocna i komoda były wykonane, podobnie jak łóżko, z kunsztownie rzeźbionego mahoni. Łagodna zieleń ścian harmonizowała z ciemnozielonymi abażurami dwóch mosiężnych lamp na toaletce i jednej na szafce nocnej, rozświetlających pokój ciepłym blaskiem. Na szerokim oknie za łóżkiem i jeszcze większym wykuszowym na przeciwległej ścianie wisały pasiaste seledynowe zasłony. Pod oknem wykuszowym stały dwa fotele obite materiałem identycznym z kapą, a między nimi mały stolik z pucharkiem z intensywnie różowymi jedwabnymi różami. Na nocnym stoliku stały zdjęcia rodzinne w srebrnych ramkach, a obok nich leżały trzy książki, które Grace właśnie czytała: biografia LBJ\*, którą Grace traktowała jako swoisty środek nasenny, powieść sensacyjna popularnego autora oraz poradnik medyczny „Chronicznie chore dziecko”.

\* Lyndon Baines Johnson, amerykański polityk z Partii Demokratycznej, wiceprezydent USA w latach 1961-1963, prezydent w latach 1963-1969 (przyp. tłum.).

Niebieskie czółenka, które zdjęła trochę wcześniej, leżały zapomniane pod łóżkiem na ciemnozielonym dywanie; jeden pantofel przewrócił się na bok. Spomiędzy niedokładnie zamkniętych drzwiczek komody wystawał rąbek koronkowej koszuli nocnej. Na toaletce, obok szczotki do włosów, leżały perłowe kolczyki.

Owalne lustro w mosiężnej ramie ukazało jej własne odbicie, kiedy tak stała z lekko przechyloną na bok głową i białą słuchawką przyciśniętą do ucha. Była blada, podkrążone oczy wyostrzały rysy; mocno zaciśnięte wargi wydobyły po obu stronach ust potrójne zmarszczki, których nie dostrzegła do tej pory. Pomiedzy brwiami zarysowała się następna zmarszczka, pionowa i drobna, ale widoczna. Zaszokowana swym wyglądem, Grace natychmiast rozluźniła mięśnie twarzy. Zmarszczki znikły, ale niewiele to zmieniło. Nadal - przyznała to w duchu z pewną dozą rozgoryczenia - była niezbyt atrakcyjną kobietą po trzydziestce, ubraną w znoszony dres, zbyt wysoką, zbyt chudą, ze zbyt długim nosem i z rozwianymi włosami.

Krótko mówiąc: daleko jej do uosobienia seksu.

Nic jednak nie mogła na to poradzić, przestała więc analizować swoje odbicie w lustrze. Znów rozejrzała się po sypialni, starając się patrzeć na nią oczyma Marina. Uchylone drzwi do łazienki pozwalały dojrzeć beżowy pikowany szlafrok na wieszaku, szczotkę do zębów w przeznaczonym dla niej uchwycie, oraz tubkę kremu na noc. W powietrzu unosiła się nikła woń kwiatów i owoców, wydobywająca się z małego porcelanowego puzderka stojącego na umywalce, w którym trzymała różne mydełka, po prostu dlatego, że to lubiła. Od dawna przestała zauważać ten zapach, ale dziś poczuła go wyraźnie, gdyż w jej sypialni znajdował się Tony Marino: stał obok jej łóżka, tam gdzie leżały czółenka, niedawno rzucone niedbale na podłogę, i zdawał się smakować powietrze, rozglądając się przy tym bez pośpiechu dokoła.

Stojąc w swoim ciemnoszarym dresie w blasku lampy, która czyniła jego skórę jeszcze bardziej smagłą i rzucała na przeciwległą ścianę niewiarygodnie wysoki i barczysty cień, sprawiał wrażenie istoty olbrzymiej, wszechmocnej i niepasującej do tego miejsca.

W pewnej chwili, jakby czując na sobie jej wzrok, Tony spojrzał jej prosto w oczy i Grace nieoczekiwanie przeszło pożądanie tak intensywne, że niemal sprawiało ból. Przerażona i wstrząśnięta, odwróciła się do niego plecami. Odetchnęła z ulgą, gdy w słuchawce odezwał się głos Jackie.

- Paul mówi, że to nie on pisał na lustrze - powiedziała, odkładając słuchawkę i mierząc Tony'ego chłodnym wzrokiem, jakby nie doświadczyła przed chwilą tego zaskakującego doznania.

Marino uniósł brwi.

- Sądzi pani, że mówi prawdę?

Wzruszyła ramionami. Odzyskała już pewność siebie; uprzytomniła sobie, że on z pewnością nie zna jej myśli ani odczuć. A jeśli budzi się w niej niekiedy ochota na seks w obecności przystojnego silnego mężczyzny, usprawiedliwiała się w duchu, to przecież nic złego. Ostatecznie jest kobietą, w dodatku wolną, a jej zmysły nie obumarły, nawet jeśli nie dbała dotychczas o ich zaspokajanie. Ten dreszcz, który przeszył jej ciało, gdy patrzyła na niego, był nieszkodliwy i niewinny. A nawet dość miły. Dopóki traktowała go jako reakcję czysto biologiczną, mogła nie obawiać się wyrzutów sumienia.

- Jackie uważa, że tak. I jeśli mam być szczerą, ja też nie sądzę, żeby zrobił to Paul. Po pierwsze, jest na to za mały. Nie potrafi jeszcze dobrze pisać. I w ogóle nie wpadłby chyba na taki pomysł.

- Ktoś jednak wpadł.

Odsunął się na bok, kiedy ruszyła do drzwi, a potem poszedł za nią. W hallu, pozbawionym tej intymności, która w sypialni wytrąciła ją z równowagi,

Grace poczuła się znowu silna.

- Niech pan posłucha: nie sądzę, aby był to po prostu niewinny psikus Paula czy kogoś innego. Według mnie ktoś próbuje nastraszyć Jess. To wszystko ma chyba związek z prowadzonym przez was dochodzeniem w sprawie narkotyków. Ktoś uznał, że Jessica stanowi dla niego zagrożenie, bo kontaktuje się z policją, postanowił więc ostrzec ją w ten sposób.

Kątem oka dostrzegła Petersa i Steina; obaj policjanci, wyposażeni w sprzęt, którego z tej odległości nie potrafiła zidentyfikować, wchodzili właśnie do sypialni Jess. Zauważył ich chyba również Marino, gdyż zerknął w tamtą stronę.

- Niewykluczone, że ma pani rację - powiedział powoli. - Ale ja widzę to inaczej. Po pierwsze, Jessica nie jest za bardzo wtajemniczona w te sprawy, nie stanowi więc dla nich żadnego zagrożenia. Moim zdaniem ktoś pozwolił sobie na głupi żart, ale możemy też rozważyć inne ewentualności. Mówiła pani coś o włamaniu do domu tej nocy, gdy Dom i ja zatrzymaliśmy Jess. Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Byłam... - zaczęła Grace, ale przerwała na widok córki, która wybiegła właśnie ze swojej sypialni.

- Mamo, Godzilli nigdzie nie ma! - zawołała. W jej lśniących od łez oczach widniała trwoga, twarz pokrywały wypieki.

- Nie zapomniałaś o wstrzyknięciu sobie insuliny?

Rumieńce na policzkach córki zaniepokoiły Grace. Nie byłaby zaskoczona, gdyby się okazało, że w całym tym rozgardiaszu zapomniała o leku.

- Nie zapomniałam - odparła ostro Jessica. - Możesz być też pewna, że zjadłam o właściwej porze i zmierzyłam poziom cukru. Ze mną jest wszystko w porządku. Ale może byś tak przestała na moment myśleć o mojej cholernej cukrzycy i pomogła mi odszukać Godzillę!

- Jessico Lee! - fuknęła Grace, ale dziewczyna zbiegała już po schodach na

dół.

Grace spojrzała na Marina, jakby chciała zachęcić go do skomentowania incydentu, on jednak nie uczynił tego, lecz wrócił do przerwanej rozmowy:

- A więc jak to było z tym włamaniem?

Westchnęła ciężko i zaczęła opowiadać. Reprimenda dla Jess za jej aroganckie zachowanie oraz pomoc w poszukiwaniu Godzilli muszą poczekać.

- ...wtedy podniosłam misia z ziemi, zaniiosłam do domu i zadzwoniłam na policję - zakończyła relację, czując zimny dreszcz na samo wspomnienie tamtych chwil.

Marino zdawał się rozmyślać intensywnie.

- Wie pani - odezwał się wreszcie - kradzież pluszowego misia z sypialni nie pasuje mi jakoś do dealera narkotyków, który chciałby nastraszyć dziewczynę.

- Więc co się za tym kryje? - rzuciła Grace, zdając sobie sprawę, że jej głos brzmi gniewnie. W rzeczywistości nie czuła wcale gniewu, lecz narastający lęk.

- Po pierwsze, nie zgadza się tu czas. Tamtej nocy najpierw wypłoszyła pani tego tajemniczego włamywacza ze swojego podwórza, a dopiero potem Jessica wpadła nam w ręce. Dlaczego ktoś miałby straszyć dziewczynę, zanim ją jeszcze schwytaliśmy?

- Nie mam pojęcia. Skąd mam wiedzieć? Tylko że... Jessica zadawała się już z tamtymi dzieciakami, kupowała marihuanę i może nawet wiedziała coś, czego nie powinna wiedzieć, lub ktoś tak sądził. Może chciał jej po prostu uświadomić, że nie jest nietykalna i że oni w razie czego potrafią dostać się do jej domu, nawet do sypialni, jeśli tylko zechcą. Może, ktokolwiek to był, chciał jej wyrządzić krzywdę, ale nie wiedział, że nie zastanie jej w domu. Albo wiedział, lecz chciał się upewnić, gdzie ona mieszka. Nie potrafię odgadnąć motywu jego działania, wiem jedynie, że tej samej nocy, kiedy Jessica wymknęła się z domu, piła alkohol, kupiła

marihuanę i została zatrzymana przez panów, ktoś włamał się do nas i zabrał z jej sypialni pluszowego misia. A dziś Jessica miała wrażenie, że ktoś ją śledził w drodze ze szkoły do domu. Parę godzin później, gdy wróciliśmy z joggingu, na lustrze był rysunek grobowca z jej imieniem i tym nieszczęsnym napisem. A to wszystko się dzieje, odkąd moja córka związała się z jakimiś narkomanami i kontaktuje się z panem.

Marino wzniosł ręce do góry, jakby odżegnywał się od czegoś złego.

- Wie pani, wszystko, co się wydarzyło, może być, jak już mówiłem, głupim żartem.

- Głupim żartem? - zawołała Grace. - Dobrze sobie! Przecież ja umieram ze strachu!

- Wiem. - Milczał przez chwilę, patrząc na nią ze współczuciem. - I wcale nie twierdzę, że pani reakcja jest przesadna. Ale co tu się naprawdę wydarzyło? W środku nocy wypłoszyła pani kogoś z podwórza. To mógł być ktokolwiek: nastolatek z sąsiedztwa, koleżanka, która chciała pogadać z pani córką, jakiś włóczęga, sąsiad, ktokolwiek. Nie ma dowodu na to, że ten ktoś wtargnął do pani domu: nie znaleźliśmy żadnych śladów włamania, nie zginęło nic wartościowego. - Uniósł rękę, nie dając jej dojść do słowa. - No dobrze, ktoś wyniósł z domu ulubionego misia Jess, a pani znalazła go na drodze. Tylko że miś mógł się tam znaleźć w jakiś inny sposób. Najmniej prawdopodobna, moim zdaniem, jest taka ewentualność: zgubił go ktoś, kto włamał się do pani domu, aby go skraść. Idźmy dalej. Jessica nie widziała dziś nikogo idącego za nią, a tylko miała wrażenie, że tak jest. Może koleżanka chciała zagrać jej na nerwach, może ciągnął się za nią nieśmiały wielbiciel z klasy, który bał się podejść bliżej. Może wreszcie to tylko wytwór fantazji. Przyznaję: ktoś napisał na lustrze to, co napisał, narysował też grobowiec. Ale czy to na pewno ostrzeżenie przed śmiercią? Wątpię. To po prostu

niewydarzony żart. Widziałbym tu raczej rękę pani siostrzeńca lub siostrzenicy, albo którejs z koleżanek Jess, niż handlarza narkotyków dyszącego żądzą zemsty.

- Nie traktuje pan tej sprawy serio - szepnęła Grace z niedowierzaniem. - Ktoś groził mojej córce, a pan nie raczy nawet podejść do tego serio.

- Nie w tym rzecz... - zaczął Marino, ale Grace nie dała mu dokończyć zdania.

- Niech pan już idzie. Żegnam pana. Jeśli nie zamierza pan traktować tych incydentów z należytą powagą, pańska obecność tutaj staje się dla mnie bezużyteczna. A więc proszę już iść. Opuścić ten dom. Natychmiast.

- Proszę posłuchać, wiem, że jest pani zdenerwowana, ale musimy być realistami... - zaczął znowu.

Z sypialni Jess wyszedł Dominik, a za nim umundurowani policjanci. Nieśli walizeczkę, aparat fotograficzny i resztę sprzętu.

- Zrobione - oświadczył Dominik, podchodząc do brata. Tony spojrzał na Grace i napotkał jej lodowaty wzrok.

- Idźcie już, zaraz do was dołączę - mruknął. Poczekał, aż zejda na dół, i zwrócił się do Grace: - Gdybym dostrzegał jakiegokolwiek zagrożenie pani lub jej córki, powiedziałbym to szczerze i nie spocząłbym, dopóki bym nie schwytał winowajcy - zapewnił. - Wiem, że jest pani innego zdania niż ja, ale według mnie winien jest jakiś niewydarzony żartowniś. Nie były to groźby na serio, lecz zwykłe wygłupy. Figle, do jakich zdolne są dzieciaki.

- Przyjmuję do wiadomości, że tak brzmi pańska opinia - odparła Grace lodowatym tonem, kierując się ku schodom. - I absolutnie się z nią nie zgadzam. Dziękuję za przybycie. A teraz żegnam.

- Proszę posłuchać... - Wzburzony Marino ruszył za nią na dół. - Gdyby wydarzyło się coś jeszcze, proszę się ze mną skontaktować. Nawet w środku nocy. Przyjadę. Gdyby usłyszała pani jakiś szmer za oknem, przyjadę natychmiast. Jeśli



ujrzy pani choćby cień na ścianie, przyjadę. Potrafię zrozumieć, jakie to nieprzyjemne dla pani i jej córki mieszkać tu samotnie, wiem też, że strach ma wielkie oczy. Sprawdzę wszystko, cokolwiek się zdarzy, i dopilnuję, aby wyjaśniono do końca tę sprawę z lustrem, bez względu na to, co sam o tym myślę. Zgoda?

Grace podeszła do drzwi frontowych i otworzyła je.

- Do widzenia, detektywie.

Tony zatrzymał się na krótką chwilę, spojrzał na nią i widząc w jej oczach gniew, zrobił minę, jakby chciał coś wyjaśnić, rozmyślił się jednak, pokręcił tylko głową i wyszedł.

Grace zamknęła za nim drzwi i z dłonią zaciśniętą na klamce czekała, aż opadną emocje; wołała, aby Jessica nie dostrzegła jej wzburzenia. Następnie upewniła się, czy dobrze zamknęła drzwi, na wszelki wypadek szarpnęła za klamkę, po czym obeszła cały parter, sprawdzając okna i tylne drzwi. Jessica siedziała w kuchni, kroїła jabłko na drobne cząstki.

Lekarz zalecił jej ostrożność w spożywaniu owoców, a dziś Jessica zjadła już jedno jabłko.

- Nie powinnaś tego jeść - powiedziała Grace i natychmiast pożałowała tych słów.

Jessica rzuciła jej gniewne spojrzenie.

- To dla Godzilli. Uwielbia jabłka. Przyszło mi na myśl, żeby włożyć te cząstki do klatki i postawić ją na podłodze...

- To dobry pomysł - powiedziała Grace.

Otworzyła kredens, wyjęła kilka podstawek i na każdą z nich położyła część jabłka. Następnie pomogła córce umieścić podstawki przy klatce, kołowrotku i czerwonym plastikowym domku.

Starła się nie okazywać tego córce, ale nadal odczuwała zarówno gniew,

jak i strach. Idąc spać, zdała sobie sprawę, że górę nad innymi odczuciami bierze w niej lęk. Tej nocy spały razem w jej szerokim łóżu, a ściśle mówiąc, spała jedynie Jessica, przytulona do jej boku. Grace leżała bowiem cały czas, wsłuchując się w odgłosy burzy za oknem i w deszcz, który zaczął w końcu bębnić o dach. Mimo że drzwi sypialni były zamknięte, bała się zamknąć oczy. Wiedziała już, że zamki w drzwiach nie mogą powstrzymać zła, które - coraz bardziej utwierdzała się w tym przekonaniu - czai się w pobliżu.

## Rozdział dwudziesty

Czuł nie lada satysfakcję, że potrafi grać z nimi w kotka i myszkę. Siedział przycupnięty w cieniu żywopłotu sąsiada i z uśmiechem odprowadzał wzrokiem policyjny radiowóz oraz drugie auto, niebieskie camarro, kiedy oba wyjechały z podjazdu i wolno oddalały się ulicą. Camarro też należało do policjantów, był tego pewien. Tyle że na cywilnych numerach. Ale on, chociaż jest tylko małym braciszkiem, nie jest głupi. Potrafi rozpoznać samochód gliniarzy.

Tamtej nocy, kiedy zaczęła go gonić sędzina, przeraził się początkowo nie na żarty, że zostanie schwytany. Zastanawiał się nawet, co by się wtedy stało. Matka zsikałaby się chyba ze strachu, ojciec patrzyłby na niego, jakby nie widział go nigdy przedtem, a Donny junior okazałby mu współczucie i chęć przyjścia z pomocą, zachowując się przy tym protekcyjnie. Rodzice jakoś by mu pewnie pomogli. Albo pozwoliliby wsadzić do więzienia, mając nadzieję, że będzie to dla niego porządna nauczka.

On jednak wcale nie został schwytany. Udało mu się uciec. Ogarnęło go radosne podniecenie. Nie dali mu rady. Ani sędzina, ani policja. Siedział tu cały czas i widział tych facetów w niebieskich mundurach. To było ekstra: wiedzieć, że sędzina przeraziła się do tego stopnia, iż wezwała policję; że skomplikował im życie tak, jak skomplikowane było jego własne; że policja szuka właśnie jego, nie wiedząc - i to była ta największa frajda - kogo szukają.

Prychnął wzgardliwie, wspomniawszy sędzinę biegnącą za nim, rozczochraną, w rozwianej koszuli nocnej. Przypominała stracha na wróble. Stare kobiety w koszulach nocnych wyglądają okropnie. Ale Jessica w swojej koszuli nocnej wygląda ekstra. Podobała mu się wtedy, na ganku, dlatego zakradał się bliżej i bliżej - żeby móc ją lepiej dojrzeć. I w końcu ona go zauważyła. Poczł nagły przyływ rozkoszy, kiedy przypomniał sobie, jak zeskoczyła z huśtawki jak oparzona, wbiegła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nawet z tak dużej odległości usłyszał szcęk zamka.

Czy oni nigdy się nie nauczą, że nie powstrzyma go żaden zamek?

Spodziewał się przyjazdu policji tamtej nocy, ale nikt się nie zjawił. Domyślił się, że Jessica nie powiedziała o niczym matce. Pewnie nie wolno jej wychodzić z domu o takiej porze, na wypadek gdyby w okolicy grasował jakiś zły duch.

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, że to on jest złym duchem. Ta myśl bardzo mu się spodobała.

Jessica nie była tak seksowna jak Caroline, ale wystarczająco ładna, aby go podniecić. Lubił to, lubił czuć podniecenie. Kiedy patrzył na nią, wiedząc, że ona nie ma pojęcia o jego obecności, podniecał się, podobnie jak w momentach, gdy chodził za nią, a ona nie wiedziała, że to on. Ale najbardziej podniecało go napędzanie jej stracha.

Tak, straszenie jej to prawdziwa frajda.

Z żalem uświadomił sobie, że na dziś zabawa skończona. Czekwały go inne sprawy. Zarzucił plecak na ramię i ruszył do zaparkowanego dwie ulice dalej motocykla. Za każdym razem, gdy był w ich domu, zabierał jakąś pamiątkę. Niestety, zgubił wtedy tego pluszowego misia, którego znalazł w sypialni Jess. Do dziś nie mógł przeboleć tej straty. Pamiątka z dzisiejszej wizyty była mała, puszysta i nieznośnie ruchliwa; wierciła się gorączkowo, próbując uciec z zamykanej na suwak kieszonki w plecaku.

Nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie dotrze do domu i będzie się mógł nią pobawić.

Może podrzuci ją do łóżka mamie, zagrzebie w pościeli, w nogach, tak aby poczuła ją najpierw palcami. Byłoby super! Ale by narobiła wrzasku! Albo włoży do lodówki, do tego przezroczystego schowka w drzwiach, gdzie zawsze leży masło. Wstając rano matka w pierwszej kolejności smaruje sobie masłem grzanekę. A może włożyć jej swoją pamiątkę do torebki? Na samą myśl o tylu możliwościach roześmiał się głośno. Po raz pierwszy od długiego czasu mały braciszek czuł się naprawdę szczęśliwy.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Chłopie, czy ty przypadkiem nie traktujesz tej żolzy zbyt serio?

Dominik zadał to pytanie szeptem, ledwie słyszalnym w zgiełku parkingu. Kierowcy otwierali i zamykali drzwiczki, śmiali się i rozmawiali, tu i ówdzie odzywały się silniki aut, jakiś wyrostek obsikiwał pobliskie drzewo. Bracia

Marino kryli się za zardzewiałym wrakiem na skraju parkingu. W powietrzu czuło się odór gnijących śmieci i moczu. Dochodziła pierwsza w nocy.

- A jaki gliniarz mógłby nie brać serio kobiety, która zgłasza na policji włamanie?

Tony klęczał obok brata; z aparatem fotograficznym gotowym do akcji wpatrywał się w wejście do zapuszczonej kamienicy nieopodal. Był to walący się dwukondygnacyjny dom z cegły, w którym mieściło się kilkanaście mieszkań. Mieli fotografować każdego, kto wchodził tam lub wychodził. Jedno z mieszkań w tym domu wynajął znany dobrze policji handlarz narkotyków, jeden z największych w Columbus; zapewne był to punkt kontaktowy, bo przecież mieszkał w pięknym domu z pięcioma sypialniami za miastem. Teraz handlarz znajdował się właśnie tutaj z kilkoma ochroniarzami i klientami.

- Takie sprawy są dobre dla mundurowych gliniarzy, nie dla nas. Pomyśl tylko, co takiego straszego mamy w protokole: skradziono pluszowego misia, ktoś podobno śledził jej córkę, kiedy wracała do domu, ktoś napisał coś olejkiem na lustrze... Co to ma wspólnego z prowadzonym przez nas dochodzeniem?

- Ona uważa, że ma. I to dużo.

- No więc?

- No więc daj mi spokój, dobrze? Co w tym złego, że idę do niej i sprawdzam, czy wszystko w porządku? To moja sprawa, nikomu nic do tego!

- Ona ci się podoba?

- Przymknij się, Dom.

- Na pewno ci się podoba. Dlatego lecimy do niej na każde zawołanie.

- Wiesz dobrze, gdzie możesz sobie pójść.

- Jezu, Tony, czy pomyślałeś choć raz, w co się pakujesz? Ta kobieta przywykła chadzać swoimi drogami. Będzie ci dyktować, co masz robić w łóżku.

- Odpieprz się, Dom.

- Teraz stajesz się... - Dominik urwał w połowie zdania, bo przed wejściem do kamienicy zatrzymał się biały ford Taurus rocznik 93 lub 94. - Wygląda na to, że zjawili się nowi klienci.

Tony wychylał się już zza osłony, pstrykając zdjęcie za zdjęciem. Kiedy drzwi samochodu otworzyły się, wypuszczając rozwrzeszczaną grupę nastolatków, Dom chwycił swój aparat i poszedł w ślady brata. Do drzwi dobijało się ośmiu pasażerów forda - o trzech więcej, niż wynosiła dopuszczalna ich liczba w aucie.

- Hej, ty tam, otwieraj! - wołał jeden z nich, nie przestając walić pięścią w drzwi.

Tony przyglądał się uważnie przybyłym nastolatkom. Pięciu chłopców, trzy dziewczyny. Takie przynajmniej sprawiały wrażenie te niższe osoby z długimi włosami jak u dziewcząt. W ciemności i z tak dużej odległości trudno jednak było rzecz przesądzić.

- Chcemy kupić trochę prochów!

Do drzwi przysunął się drugi chłopiec; on również zaczął walić w nie pięścią. Tony pokręcił głową, zdumiony tak oczywistą głupotą. Sądząc po głosach, pasażerowie forda byli już nieźle naćpani. Lokator tego domu, któremu z pewnością zależało na prowadzeniu swojej działalności w sposób dyskretny, raczej wykopie ich stąd na zбитy pysk, niż sprzeda cokolwiek.

- Otwieraj!

Chłopcy walili w drzwi coraz bardziej natarczywie. Tony i Dom wymienili spojrzenia. Jeszcze trochę i hałas ściągnie mundurowych gliniarzy, a wtedy nici z ich operacji.

- Otwieraj!

- Chcemy prochy!

Drzwi otworzyły się z trzaskiem, w progu stanął w szerokim rozkroku

jeden z ochroniarzy. Jego potężna postać wypełniła niemal całą szerokość wejścia. Jedną rękę trzymał na klamce, drugą na futrynie, blokując wstęp.

- A wy co? Odbiło wam, świry? - zawołał gniewnie. - Wynoście się stąd, ale już!

- Człowieku, chcemy prochów - odezwał się jeden z chłopców. Zachwiał się na nogach. - Mamy szmal.

- Nie wiem, o czym gadasz, frajerze. - Ochroniarz próbował zamknąć drzwi. - Wynoście się stąd.

- Nie! Chcemy prochów!

Najbardziej natrętny klient starał się sforsować przejście, dwaj inni pośpieszyli mu z pomocą.

- Chcemy prochów! Chcemy prochów! - wrzeszczeli pozostali zgodnym chórem, napierając na drzwi. Ochroniarz wycofał się przezornie, drzwi ustąpiły, a napastnicy wdarli się do środka, wpadając jeden na drugiego.

Odgłos wystrzałów poderwał Tony'ego i Doma.

- Rusz tyłek, człowieku! - syknął Tony.

Z pistoletami w dłoniach, zgięci przezornie wpół, ruszyli biegiem w stronę domu. Niczym odłamki skalne z krateru przebudzonego wulkanu przez drzwi domu wyprysnęły na zewnątrz postaci przerażonych, wrzeszczących wniebogłosy wyrostków. Za nimi pojawił się główny obiekt zainteresowania braci Marino, Tim Fulkerson, strzelając na oślep z czterdziestki piątki.

- Policja! Rzućcie broń! - krzyknął Dominik.

- Rzućcie broń! - zawtórował mu Tony, wybiegając na otwartą przestrzeń. Poruszał się szybko, usiłując jednocześnie chronić dzieciaki, robić przed nimi uniki i wziąć na muszkę Fulkersona. Handlarz wycelował broń w Dominika.

- Policja! Rzuć broń! - zawołał Tony i strzelił. Pocisk z hukiem uderzył w drzwi. Fulkerson odskoczył, Tony rzucił się w jego stronę, a ochroniarz, który

przedtem otworzył drzwi, wybiegł z domu, posyłając serię z automatu.

Tony dostrzegł niebezpieczeństwo w ostatniej chwili i w tym samym momencie, gwałtownie pchnięty od tyłu, padł twarzą na betonową nawierzchnię parkingu. Tuż nad jego głową świsnęły pociski. Przecięłyby go na pół, gdyby nadal stał. Tony przeturlał się, skoczył na równe nogi i oddał jeden strzał. Ochroniarz rzucił się do ucieczki.

Na parking z wyciem syren i piskiem opon wjechały trzy radiowozy.

- Jesteśmy z policji! Jesteśmy z policji! - krzyczeli na przemian Tony i Dominik, kiedy z samochodów wysypali się funkcjonariusze w mundurach. Podczas akcji z użyciem broni największe niebezpieczeństwo groziło policjantom w cywilnych ubraniach ze strony ich umundurowanych kolegów. Wiedział o tym każdy tajniak.

- Odłóżcie broń! Odłóżcie broń! - krzyczeli policjanci, podchodząc do obu braci z wycelowanymi w nich pistoletami.

- Jezu Chryste, my też jesteśmy z policji! - wrzasnął Tony. - Niech to szlag! Nie pozwólcie mu uciec!

Ochroniarz oddalał się z taką werwą, że niemal kopał się w pośladki.

Kiedy wreszcie zamieszanie ustało, można było sporządzić bilans starcia: dwóch ochroniarzy aresztowano, Tim Fulkerson uciekł, podobnie jak jego pomocnik, jeden z chłopców leżał na ziemi, postrzelony w udo, siedmioro pozostałych aresztowano. Mieszkanie okazało się magazynem marihuany, kokainy i cracku. Jak na ironię nie znaleziono żadnych prochów.

Potem, już w samochodzie, Dominik spojrzał na brata.

- Chłopie, myślałem, że już po tobie, kiedy ten typ zaczął walić do ciebie z automatu. Dobrze, żeś rzucił się na ziemię.

- Nie rzuciłem się na ziemię. Ktoś mnie popchnął.

Dominik potrząsnął głową.



- Akurat! Nie było przy tobie nikogo, kto mógłby cię pchnąć. Dobrze widziałem.

- Mówię ci: ktoś mnie pchnął. Poczulem na plecach czyjaś dłoń.

- A ja ci mówię, że w pobliżu nie było nikogo.

Przyjaźnie, bez najmniejszych oznak irytacji, spierali się tak przez całą drogę do komisariatu. Na tylnym siedzeniu niepokazny cień małej dziewczynki przysłuchiwał się ich rozmowie z uśmiechem.

## Rozdział dwudziesty drugi

Następnego dnia od rana bębniła o wydarzeniach nocy lokalna stacja telewizyjna, ale Grace dowiedziała się o wszystkim dopiero po dotarciu do sądu. W gmachu sądu hrabstwa Franklin, w samym centrum Columbus, panował ożywiony ruch. Przy bramkach z wykrywaczami metalu, ustawionych przed każdym wejściem, tłoczyli się ludzie, umundurowani pomocnicy szeryfa przetrząsali podejrzane torebki i teczki.

Grace nie musiała czekać; znano ją doskonale i pozwolono przejść bez badania na drugą stronę. W drodze do sali sądowej przeciskała się potem zatłoczonymi korytarzami i jechała zatłoczonymi windami. Miała za sobą nerwowy poranek: budzik nie zadzwonił (zapomniała widocznie odblokować przycisk), przez co drastycznie skurczył się jej czas. Obie z Jess robiły potem co mogły, żeby

nadrobić stracone minuty, w pośpiechu ubrały się, zjadły śniadanie i wykonały nadto sto i jedną niezbędną czynności, zanim wreszcie były gotowe do wyjścia. Jessica wymogła jeszcze kilka minut na szukanie Godzilli; jak się niestety okazało, bezskuteczne, gdyż wbrew oczekiwaniom chomika nie zwabił zapach obranego i pokrojonego jabłka.

Po wyjściu z domu Grace, zamiast jak zwykle pozwolić córce iść do szkoły pieszo, zawiozła ją samochodem. Dogodnym pretekstem był uporczywy deszcz, ale obie wiedziały, że nawet gdyby była piękna pogoda, nawet gdyby miały jeszcze mnóstwo czasu, Jess nie poszłaby do szkoły pieszo. Nie pozwoliłaby na to Grace. Zdążyła też poprosić Lindę, aby po szkole przywiozła jej córkę do domu.

Nie chciała zostawić Jess samej choćby na minutę. Instynkt matki mówił jej wyraźnie, że coś tu nie jest w porządku. Bez względu na to, jak podchodzili do ostatnich wydarzeń policjanci, Grace traktowała je bardzo poważnie i zamierzała chronić córkę wszelkimi środkami.

Po skontaktowaniu się z Lindą zatelefonowała do firmy ochroniarskiej, której przedstawiciel obiecał, że w najbliższy poniedziałek ich ekipa zainstaluje w jej domu system alarmowy. Trzeci telefon wykonała do ślusarza: chciała, aby wymienił zamki w drzwiach.

Jeszcze cztery dni, a potem będą już w swoim domu bezpieczne.

- Myślałem, że pani się dziś spóźni z powodu tego, co się zdarzyło w Hebron... i w ogóle - powitał ją Walter i obrzucił współczującym spojrzeniem. Zamek błyskawiczny jej togi był zasunięty trochę za wysoko i musiała się z nim zmagać, używając całej siły. Dlatego też była nieco zaczerwieniona i rozdrażniona i nadal usiłowała wyłożyć jak należy biały koronkowy kołnierz bluzki na czarną szatę, symbol pełnionego przez nią urzędu.

- A co się dzieje w Hebron? - Spojrzała na Waltera zaskoczona. Czyżby zapomniała o czymś, nie poszła na jakieś zebranie rodzicielskie czy coś w tym

rodzaju? Ale jeśli tak, to skąd wie o tym Walter?

- Heca z narkotykami. Psy, policja i takie tam. Przecież pani wie.

Grace stanęła jak wryta.

- Nie, o niczym nie wiem. Opowiedz mi.

- Trąbią dziś o tym w każdym dzienniku. Nazwali to doniesieniami z ostatniej chwili. Chyba ich pani nie przegapiła?

- Przegapiłam.

- Nie słyszała pani o tym dzieciaku postrzelonym w nocy?

- Nie!

- Z całym szacunkiem, proszę tak nie krzyżeć - szepnął Walter. Rozejrzał się z wymowną miną, przypominając jej, że znajdują się na sali sądowej. Lallie Baker, reporter sądowy, siedział już za swoim niedużym biurkiem, gotów do rozpoczęcia pracy. Publiczność zajmowała mniej więcej połowę miejsc, jak zwykle w czwartki. Wszyscy czekali na nią, ten i ów nawet patrzył na nią wyczekująco.

Ale w tej chwili liczyło się dla niej coś innego.

- Walterze, błagam, opowiedz mi o wszystkim - szepnęła. - Pośpiesz się, bo za chwilę oszaleję.

- Jasne, pewnie, że opowiem - odparł nieco zaskoczony. - No więc tak... Tej nocy grupa dzieciaków z Hebron pojechała do handlarza kupić narkotyki i jednego z nich postrzelono. Chłopca. Nie pamiętam nazwiska, ale kiedy o tym usłyszałem, pomyślałem sobie od razu, że Jessica na pewno go nie zna, chociaż oboje są z Hebron, bo on chodzi już na wyższy semestr. Leży teraz w Szpitalu Uniwersyteckim, jego stan jest poważny. W każdym razie wynik jest taki, że policja robi dziś rano nalot na szkołę. Wzięli psy i mają przeszukać wszystkie szafki. Podobno działa tam cały gang narkotykowy. Oczywiście jestem pewien, że Jessica nie ma z tym nic wspólnego. Ani ona, ani jej przyjaciółki.

- Mój Boże!

Grace była wstrząśnięta. Dlaczego Marino nie powiedział jej o niczym? Na pewno jest doskonale zorientowany, wie, co się dzieje. W zaistniałych okolicznościach powinien zadzwonić do niej, poinformować o wszystkim. Wtedy ona nie puściłaby Jess do szkoły.

Nie była już pewna, co martwi ją bardziej: to, że mogą znaleźć narkotyki w szafce Jess, czy raczej to, że któryś z uczniów - lub dorosłych - mógłby przypisać jej winę za nalot policji na szkołę.

Chociaż nie, dobrze wiedziała, co może być bardziej groźne. Gdyby aresztowano Jess za samo posiadanie narkotyków tylko do własnego użytku, byłoby to wykroczenie, które w najgorszym razie przyniosłoby przymusowe skierowanie do poradni dla narkomanów; stosowne adnotacje w aktach zostałyby zresztą po pewnym czasie usunięte. Gdyby natomiast zainteresował się nią ktoś z gangu, mogłoby to skończyć się bardzo źle - nawet śmiercią.

- Jessica jest teraz w szkole? - zapytał Walter.

- Tak, odwiozłam ją. Było już późno... śpieszyliśmy się i jakoś nie zwracałam na nic uwagi. Nie zauważyłam nawet radiowozów policyjnych, a pewnie było ich dziś na ulicach więcej niż zazwyczaj.

- Może w telewizji robią wokół tej sprawy więcej szumu, niż na to zasługuje.

- Walterze, muszę jeszcze szybko zatelefonować. Zaraz wrócę.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła do swojego gabinetu. Uważaj, uważaj, Grace Hart, odezwał się znowu ostrzegawczo wyjątkowo czujny ostatnio instynkt matki.

- Jasne, pani sędzino.

Nie dostrzegła nawet licznych par oczu patrzących na nią, gdy w rozwianej todze pędziła do gabinetu. Zamknęła za sobą drzwi, z torebki wyjęła wizytówkę Tony'ego Marina i wykręciła jego numer. Nie zastała go; tłumiąc furie,

nagrała wiadomość. Następnie zadzwoniła do Hebron. Pani Page, dyrektorka szkoły, zawsze bardzo miła dla niej i Jess, zapewniła ją, że mimo uciążliwych niewątpliwie rewizji w szafkach uczniowskich zajęcia odbywają się zgodnie z planem. Tak, z Jess wszystko w porządku. A gdyby coś ją jeszcze niepokoiło, do czego oczywiście nie ma żadnego powodu, z pewnością ucieszy ją wiadomość, że szafka córki została już przeszukana i nie znaleziono w niej niczego niewłaściwego.

Doskonale. Świetnie. Dziękuję. Miłego dnia. Co jeszcze mogła powiedzieć? Natychmiast przyjeżdżam odebrać córkę? Przecież tu, na sali sądowej, czekają ludzie, a według pani Page Jessica ma się dobrze. Gdyby odebrała ją wcześniej ze szkoły, ściągnęłaby na nią uwagę kolegów, może nawet tych z gangu. Odłożyła powoli słuchawkę, przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, wreszcie wróciła na salę rozpraw.

- Proszę wstać...

Jeszcze przed przerwą na salę wszedł Tony Marino i zajął miejsce w ostatnim rzędzie. Jego widok ucieszył Grace do tego stopnia, że poczuła się tym wstrząśnięta. Odniosła wrażenie, jakby ujrzała nagle przyjaciela, sojusznika, jednym słowem kogoś, na kim może polegać. Ale po chwili przypomniała sobie, że jest przecież na niego wściekła, nawet pamiętała dlaczego - i radość rozwiała się natychmiast, a ona skupiła się znowu na sprawie.

Tym razem miała przed sobą mężczyznę, który wtargnął do domu byłej przyjaciółki i pobił ją. Wcześniej owego dnia kobieta uzyskała w sądzie prawo do ochrony przed nim i właśnie to - jak się wyraził - „publiczne zmieszanie go z błotem” stało się bezpośrednim powodem napaści.

- Panie Harmon, sąd uznaje pana za winnego pogwałcenia sądowego nakazu ochrony i dokonania napaści pierwszego stopnia oraz skazuje na sześć miesięcy więzienia - oświadczyła Grace po wysłuchaniu zeznań obu stron. Los

oskarżonego przypieczętowała podana przez niego wersja wydarzeń; nie zaprzeczał, że pobił byłą przyjaciółkę, twierdził jednak uparcie, że uczynił to, gdyż ona go poniżyła, ujawniając publicznie ich prywatne sprawy.

- Co? Co? - zawołał, kiedy Walter wraz z pomocnikiem zakładali mu kajdanki na ręce. - Nie możesz wsadzić mnie za to do paki, ty suko! Mam swoje pieprzone prawa!

- Ma je także kobieta, którą pan pobił - odparła Grace, zamykając sprawę.

- Pożałujesz, suko!

Pokrzykiwał jeszcze prowadzony do wyjścia dla skazanych, ale Grace przeglądała już rejestr spraw, które miała rozstrzygać tego dnia.

Była jedenasta trzydzieści pięć. Następna sprawa, dotycząca przyznania opieki nad dzieckiem, wyglądała na dosyć skomplikowaną. W dodatku powoda reprezentował Colin Wilkerson i ten fakt, w połączeniu z obecnością na sali Tony'ego Marina pomógł jej w podjęciu decyzji. Uderzyła młotkiem w drewniany blat.

- Jest jeszcze dość wcześnie, ale ogłaszam teraz przerwę na lunch. Sąd wznowi obrady o trzynastej - oświadczyła. Ponad głowami tłumu wyłowiła spojrzeniem wzrok detektywa. Wiedziała, że zrozumieli się bez słów. Że Marino przyjdzie za chwilę do jej gabinetu.

- Proszę opuścić salę - zawołał Walter, kiedy Grace wstała z miejsca. Kątem oka dostrzegła zbliżającego się Wilkersona. I co teraz? - pomyślała, zstępując z podwyższenia. Niech lepiej uważa!

- Grace, Grace, poczekaj chwilę! - zawołał Colin. Dogonił ją w połowie drogi do gabinetu.

- O co chodzi? - zapytała zrezygnowana.

Ku jej zaskoczeniu uśmiechał się, w jego niebieskich oczach dostrzegła ciepło i jakby tkliwość. Na krótką chwilę przypomniała sobie, co pociągało ją

kiedyś w tym człowieku.

- Chcę przeprosić za swoje zachowanie - oświadczył. Ujął jej rękę w obie dłonie, długie, wąskie i ciepłe. Kiedyś lubiła ten dotyk. Teraz już nie. - Straciłem panowanie nad sobą.

- Zauważyłam - odparła, demonstracyjnie cofając rękę. Dać się nabrać raz, to nic złego, pomyślała. Za drugim razem zrobiłabym z siebie idiotkę. - Ale przyjmuję przeprosiny. A teraz muszę już iść...

- Miałem nadzieję, że pozwolisz zaprosić się na lunch.

Najwidoczniej chciał ją oczarować. Nie wiedziała po co, ale że nie bez powodu, była pewna. Postanowiła na wszelki wypadek baczniej przyjrzeć się jego klientowi.

- Dziękuję, ale jestem już umówiona - odparła chłodno.

- Ale... - zaprotestował Colin, zerkając przez ramię na zbliżającego się właśnie Tony'ego.

- Witam - powiedziała Grace, zwracając się do detektywa.

Marino miał dziś włosy porządnie zaczesane do tyłu i nieco pofalowane - zapewne po deszczu. W swojej nieodłącznej kurtce lotniczej narzuconej na koszulkę i w dżinsach, postawny i barczysty, tworzył interesujący kontrast z eleganckim, wymuskanym Colinem.

Jak to możliwe, że uznałam kiedyś Colina za przystojnego mężczyznę, skoro na świecie są jeszcze faceci tacy jak Marino, pomyślała.

- Witam - odparł Tony.

Colin spojrzał na niego ponownie, palce u jego rąk drgnęły nerwowo. Widocznie przyszło mu do głowy, że Grace jest umówiona z tym człowiekiem, i ta myśl nie przypadła mu do gustu.

Trudno, uśmiechnęła się w duchu Grace. To, co chodziło po głowie Colinowi Wilkersonowi, nie miało już dla niej znaczenia.

- Przepraszam, muszę już iść - mruknęła do niego lekko, lecz uprzejmie. Przeniosła wzrok na Marina. - Przejdźmy do mojego gabinetu.

- Tak jest, proszę pani - odparł. Jego pseudopoddańczy ton stanowił odwet za jej szorstkość; wiedziała o tym.

W gabinecie zamknęła drzwi, oparła się o nie plecami i spojrzała na niego.

## Rozdział dwudziesty trzeci

- Nie poinformował mnie pan - powiedziała gniewnie.

- Nie mogłem. To była tajna akcja policji.

Nawet nie próbował udawać, że nie wie, o czym mówi Grace. Z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie dżinsów, kołysząc się lekko na podszewkach swoich czarnych sportowych butów, sprawiał wrażenie faceta zabójczo nonszalanckiego.

- Bzdura.

- To prawda. Co według pani powinienem zrobić? Zadzwoń z samego rana i powiedz: Pani sędzino, właśnie wyjeżdżamy zrobić nalot na szkołę pani córki, proszę się przygotować? Po pierwsze, gdyby Jess trzymała w szafce trawkę lub coś w tym rodzaju, a pani ją uprzedziła - jestem gotów założyć się o wszystko, co posiadam, że tak właśnie by pani postąpiła - dziewczyna miałaby szansę pozbyć się niewygodnego towaru, a to stanowiłoby kpiny ze sprawiedliwości. Po drugie, ona lub pani miałyby czas przekazać tę informację komuś innemu i zapewne uczyniłyby to, co z kolei postawiłoby pod znakiem zapytania sukces nalotu. Jestem



profesjonalistą, podobnie jak pani. Nie mogłem pani o tym powiedzieć.

- Kiedy wczoraj zapewniał mnie pan tak żarliwie, że nic nie wskazuje na to, aby istniał ktoś, kto chciałby nastraszyć Jess lub wyrządzić jej krzywdę, wiedział już pan o planie przeprowadzenia tej akcji. I że jednak będą powody do niepokoju. Teraz już wiem, dlaczego na lustrze pojawiła się ta wiadomość! Właśnie przez ten nalot!

Była naprawdę wściekła; głos, jaki wydobywał się z jej gardła, przypominał raczej gniewny syk. Stoicki spokój Marina, który najwidoczniej nie czuł się skruszony czy bodaj w najmniejszym stopniu przejęty jej wzburzeniem, tylko dolewał oliwy do ognia.

- Znowu pokręciła pani czasy. Napis na lustrze pojawił się przed naszą akcją.

- Ale ktoś mógł się dowiedzieć, że macie taki zamiar!

- Nikt nie mógł. Wszystko odbyło się zbyt szybko. Kiedy wczoraj byłem u pani, niczego jeszcze nie planowano. Katalizatorem okazał się ten ranny dzieciak. I świadomość, że nie możemy dopuścić do tego, aby uczniowie szkoły padali ofiarą strzelaniny. Musieliśmy jakoś zakończyć to wszystko. Stąd decyzja o nalocie na szkołę.

- Pan i pański... właściwie kim on jest dla pana? bratem? kuzynem? przybranym dziadkiem?... w każdym razie obaj byliście w ciemnych dresach, kiedy przyjechaliście do mnie w nocy. Byliście ubrani na akcję. Nie może pan temu zaprzeczyć.

- Dominik jest moim bratem. Starszym o trzy lata. To miłe, że zainteresował panią stopień naszego pokrewieństwa. A co do dresów... Nie przyszło pani do głowy, że ubraliśmy się w ten sposób, bo podobnie jak pani z córką chcieliśmy trochę pobiegać?

- Bzdura! - powtórzyła Grace.

Skrzyżował ręce na piersi i przechylił głowę w jej stronę. Z rosnącą furia dostrzegła iskierki rozbawienia w jego oczach.

- Coś mi się zdaje, że ta paranoja u pani narasta. Może warto by było coś z nią zrobić?

To przeważało szalę. Grace ruszyła ku niemu z oskarżycielsko wzniesionym palcem.

- Niech pan posłucha, detektywie, pańskie wyskoki zagrażają bezpieczeństwu mojej córki, a ja nie pozwolę na to. Rozumiemy się? Nie pozwolę! Zna pan doskonale sytuację w moim domu, wie, że z powodu narkotyków ktoś śledzi Jess i grozi jej śmiercią. Przeprowadzenie nalotu na jej szkołę bez powiadomienia mnie o tym, tak abym mogła zadbać o jej bezpieczeństwo, to przejaw skrajnej nieodpowiedzialności! Mam chęć zadzwonić do prokuratora okręgowego, komendanta policji i do wydziału spraw wewnętrznych policji i złożyć ostry protest w sprawie stosowanej przez pana taktyki działania!

Każde słowo podkreślała, dźgając powietrze palcem; cała aż dygotała z gniewu. Zatrzymała się dopiero tuż przed nim. Była wysoka, ale on górował nad nią. Wyciągnął rękę, pochwycił jej dłoń i przytrzymał. Dotyk jego silnych, ciepłych palców zaciśniętych na jej szczuplejszych i chłodniejszych, wstrząsnął nią i wytrącił z równowagi. Ich spojrzenia spotkały się nad złączonymi rękami.

- Proszę mi powiedzieć, czy pani zawsze tyranizuje swoich rozmówców, czy też z jakichś względów tylko mnie spotyka ten zaszczyt?

Wyrwała rękę z jego uścisku, gniew niemal w niej kipiał. Z trudem wzięła się w garść. Odetchnęła głęboko i zaciśnęła usta, aby powstrzymać słowa cisnące się jej na wargi. Dobrze wiedziała, że tajemnica wymuszania respektu tkwi w umiejętności zachowania kontroli nad sobą. Jej utrata oznacza, że górę bierze druga strona.

- Domagam się ochrony dla córki - powiedziała swoim zwykłym głosem

sędziowskim, czyli zimnym, dobitnym, nieznoszącym sprzeciwu. - Chcę, aby ktoś został wysłany do jej szkoły i czuwał nad nią przez resztę dnia. Chcę, aby Jess i dziewczynę, która odbierze ją ze szkoły, eskortowano potem aż do domu. Chcę, aby przydzielono nam policjanta do ochrony, dopóki nie upewnię się, że Jessica jest bezpieczna. Jeśli nie ma pan stosownych uprawnień, załatwię to ponad pana głową i znajdę odpowiednią osobę.

Przez parę sekund patrzył na nią w milczeniu, jakby zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- Pani sędzino - powiedział wreszcie powoli i wyraźnie, jakby miał przed sobą kogoś szczególnie tępego. - Proszę się dobrze zastanowić nad tym, o co pani prosi. Jak dotąd nic nie wskazuje na to, aby ktokolwiek w Hebron lub gdziekolwiek kojarzył pani córkę z prowadzonym przez nas dochodzeniem w sprawie handlu narkotykami. Wszelkie groźby pod jej adresem są albo efektem pani pobudzonej wyobraźni, albo dziełem zbiegu okoliczności. Jeśli otoczmy pani córkę policyjną eskortą, stanie się dokładnie to, czego tak bardzo chce pani uniknąć. Właśnie takim postępowaniem daliśmy sygnał - niezgodny z prawdą - że ona jest naszym informatorem. Jeśli chce pani mojej rady, proszę nie czynić żadnych kroków, które ściągnęłyby uwagę wszystkich na nią.

Patrzyła na niego, bijąc się z myślami. Jej też przyszło już to do głowy, ale nie potrafiła przełamać obawy o córkę. Może jednak jestem przewrażliwiona, pytała samą siebie, zdesperowana. Może jednak... och, ale to takie trudne!... nie powinnam teraz nic robić, tylko czekać, przekonać się, co z tego wyniknie, i mieć nadzieję, że nie stanie się nic złego.

Marino westchnął i kontynuował:

- Jeśli poczuje się pani przez to lepiej, dopilnuję, aby ktoś jechał za pani córką i jej opiekunką w drodze ze szkoły do domu. Dopilnuję też, aby wieczorem okolice pani domu patrolował co jakiś czas nasz radiowóz. Zna pani mój numer

telefonu oraz telefonu posterunku policji; pani i Jessica możecie dzwonić, gdy tylko cokolwiek wzbudzi wasze podejrzenia i gdy poczujecie się zagrożone. Ale jestem pewien, że nie ma powodu do niepokoju. A nawet gdyby, powtarzam: gdyby nasze dochodzenie w sprawie narkotyków w Hebron stanowiło dla pani córki jakieś ryzyko, to i tak niebezpieczeństwo minęło, bo jest już po wszystkim. Rozumie pani? Po wszystkim.

Patrzyła na niego, a on nie odwracał oczu. Dostrzegła w nich mieszaninę rozdrażnienia, wesołości i zrozumienia. Znane już jej poczucie komfortu psychicznego, zrodzonego z wrażenia, że może zaufać temu człowiekowi, zmagало się w niej z tym, co podpowiadała intuicja. Ale może rzeczywiście on ma rację, pomyślała, a ta rozhisteryzowana intuicja macierzyńska w tej chwili błądzi?

Zawsze miała skłonność do nadopiekuńczości, gdy w grę wchodziło dobro córki.

- W porządku - mruknęła. - W porządku. Linda... pamięta pan Linde?... odbierze Jess po zajęciach ze szkoły. Jeździ beżowym fordem escortem. Proszę tylko, żeby ktoś dopilnował, aby dojechały bezpiecznie do domu. I byłoby dobrze, gdyby jakiś radiowóz pokazał się kilkakrotnie na naszej ulicy po południu i wieczorem.

- Dopilnuję tego - obiecał. Ton jego głosu i wyraz twarzy świadczyły, że Marino dostrzegł u niej wreszcie efekt działania rozsądku. - Proszę się nie martwić. Ja...

Ktoś zapukał do drzwi i zanim Grace zdołała się odezwać, do gabinetu zajrzał Owen Johnston. Żonaty, spokojny pan po pięćdziesiątce, z bujną czupryną siwych włosów, o ujmującym wyrazie twarzy, był członkiem kolegium sędziowskiego do spraw rodziny. Grace spotykała się z nim i trzema innymi sędziami zawsze w czwarty czwartek każdego miesiąca.

- Idziesz na lunch, Grace? - zapytał.

Grace miała jeszcze na sobie sędziowską togę, za nią stał Marino. Owen przeniósł wzrok na policjanta, potem spojrzał znowu na nią, marszcząc lekko brwi, jakby obawiał się, że zostanie uznany za intruza. - Przepraszam, nie chciałem przeszkodzić...

- Za chwilę będę do dyspozycji, Owen - zapewniła go Grace z uśmiechem, a on kiwnął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy spojrzała znowu na Marina, uderzył ją zmieniony wyraz jego twarzy, trudny do określenia.

- Zajmę się wszystkim, pani sędzino - rzekł zwięźle i bez dalszych słów wyszedł. Patrzyła za nim z lekko zmarszczonymi brwiami, dopóki delikatne pukanie do drzwi nie przypomniało jej, że czekają na nią. Szybko zdjęła togę i dołączyła do kolegów.

Postanowiła zapomnieć o tym rozkosznym dreszczyku, który przeszył ją całą, kiedy Tony Marino ujął jej rękę.

Dwa następne dni upłynęły bez większych emocji, a nawet okazały się dość przyjemne. Kiedy z lękiem (miała nadzieję, że dobrze maskowanym) zapytała córkę o sytuację w szkole, Jessica odparła, że w szafkach jej koleżanek nie znaleziono narkotyków, nie zatrzymano więc żadnej z nich. Aresztowani i ten ranny chodzili do jej szkoły, ona jednak ich nie знаła. Była uszczęśliwiona, bo większość uczniów znowu zaczęła z nią rozmawiać, chociaż byli też tacy, wśród nich Allison, którzy nadal zadzierali nosa. A więc jednak Tony Marino miał rację, pomyślała z ulgą Grace. Może niebezpieczeństwo rzeczywiście minęło, zwłaszcza że dochodzenie w sprawie narkotyków w Hebron zostało zamknięte.

Eliminacje do reprezentacji koszykarskiej odbywały się w sobotę rano. Grace zawiozła Jess na miejsce o ósmej i została, aby popatrzeć na nią. Siedziała jak na szpilkach, nerwowo zaciskając kciuki w bardziej pasjonujących momentach. „Biedronki” z Hebron należały do najlepszych dziewczęcych drużyn stanowych,

a walka o wejście w jej skład była zażarta. Jessica, jako nowicjusz w tej szkole, miała przed sobą niełatwe zadanie, ale najwyraźniej wkładała w to wiele serca.

- Dobrze się spisuje - mruknęła z uznaniem Ann Millhollen, kiedy Jessica na sześć wolnych trafiła sześć. Ann siedziała obok Grace; jej córka, Emily, była przyjaciółką Jess.

- Dzięki. Emily też jest bardzo dobra - odparła Grace. Emily miała cztery trafienia na sześć rzutów. Była bardziej krępa i nieco mniej zwinna.

- Dziś rano była bardzo spięta. A Jessica?

- Jessica nigdy nie jest spięta - odparła Grace, nerwowo zacierając dłonie. - Pozostawia to mnie.

- Och, proszę spojrzeć! - zawołała Ann.

Grace skierowała wzrok na parkiet i poczuła bolesny ucisk w dołku, widząc córkę biegnącą ze zdobytą właśnie piłką; Jess złożyła się do rzutu - i w ostatniej chwili piłkę wytrąciła jej z rąk Tiffany Driver. Trenerzy, pełniący funkcję sędziów, nie dopatrzyli się w tym zagranie faulu. Jessica puściła się w pogoń za piłką, a wyraz jej twarzy nappełnił Grace dumą i jednocześnie lękiem. Jess postanowiła dostać się do drużyny i zabrała się za realizowanie tego zamierzenia z całym sercem. Podskoczyła, aby zablokować rzut Tiffany i odepchnięta przewróciła się na podłogę. Grace zagryzła wargi.

Po zakończonych eliminacjach Grace zawiozła córkę do domu, aby mogła się przebrać. Trzymiesięczny zakaz wychodzenia z domu po szkole obowiązywał wprawdzie nadal, ale dziś wyjątkowo wolno jej było wybrać się do centrum handlowego na lunch i do kina z koleżankami, które uczestniczyły w eliminacjach.

Czasem trzeba pójść na ustępstwo, usprawiedliwiała się w duchu Grace. Zwłaszcza po tym stresie ostatnich dni Jess potrzebuje drobnego odprężenia.

Poza tym niebezpieczeństwo właściwie przestało już zagrażać. Od dwóch dni nie dzieje się nic podejrzanego. Sprawa z narkotykami została zakończona.

Przyjaciółki Jess znowu rozmawiają z nią w szkole. A do centrum handlowego wybierają się całą grupą, do tego w biały dzień.

Właściwie to nic nie stoi na przeszkodzie, by też udać się do tego centrum i niepostrzeżenie czuwać nad bezpieczeństwem córki. Ale Jess by się wściekła, gdyby to odkryła.

Wjeżdżając do garażu, Grace uśmiechnęła się na myśl o tym, że mogłaby czaić się za jakimś stoiskiem, starając się nie tracić z oczu córki. Jess wysiadła z samochodu i zawahała się przez chwilę. Normalnie pobiegłaby natychmiast do domu, cisnęła w kąt torbę ze strojem sportowym i poszła pod natrysk, ale po ostatnim doświadczeniu z lustrem w łazience wolała nie wchodzić do środka sama. Nie musiała tego tłumaczyć; Grace rozumiała ją doskonale. Mimo sporadycznych spięć nadawały na tych samych falach. Może dlatego, że już od dawna były zdane wyłącznie na siebie.

Jessica wyprzedzała ją nieznacznie, kiedy weszły do domu tylnymi drzwiami. Odłożyła torbę obok wieszaka i znieruchomiała.

- Mamo, kupiłaś mi tort? - zapytała z niedowierzaniem, wpatrując się w kuchenny stół.

- Co takiego?

Grace, z torebką i zakupami w rękach, odsunęła ją na bok, spojrzała na stół i również zamarła.

Pośrodku stołu prezentował się wspaniale okazały tort, okryty ozdobną serwetką i przystrojony jak na przyjęcie urodzinowe białym lukrem, złotymi różyczkami z zielonymi liśćmi i cząstkami moreli. Grace podeszła bliżej i zobaczyła na wierzchu tortu wyżłobiony w warstwie lukru rysunek piłki wpadającej do kosza. Pod rysunkiem widniał napis: „Powodzenia, Jessico”.

Grace nie zamawiała tortu, nie upoważniła też do tego nikogo. Ani ona, ani Jessica nie jadały prawie nigdy tortu. Co najważniejsze, kiedy obie wychodziły

rano, na stole nie było żadnego ciasta. A podczas ich nieobecności nikt nie powinien przebywać w domu.

## Rozdział dwudziesty czwarty

- Tort. - Marino trzymał dłonie na oparciu jednego z pomalowanych na zielono kuchennych krzeseł. Spojrzał na Grace, która stała po drugiej stronie stołu i nie spuszczała z niego wzroku. - Dlaczego pani sądzi, że tort z napisem „Powodzenia, Jessico” oznacza groźbę?

Obok niego stali od dziesięciu minut policjanci Gelinsky i Ayres. Pierwszy z nich nie ukrywał znużenia, Ayres natomiast, podobnie jak Marino, mierzyła Grace surowym spojrzeniem.

- Nie zamawiałam go. W ogóle nie jadamy tortów. I nie było go tu, kiedy wychodziłyśmy rano - wyjaśniła po raz drugi Grace, czując, że jej cierpliwość kurczy się w zastraszającym tempie.

- Pewnie kupiła go pani siostra. Na miłość boską, to bardzo miły gest. Kupienie komuś tortu nie jest żadnym przestępstwem, nawet jeśli uczyniono to bez upoważnienia.

- Moja siostra wie, że Jessica i ja nie jadamy tortów. Nie ona go przyniosła, jestem tego pewna. Nie przyniósł go nikt, kto nas zna. Jessica jest diabetykiem. Nie jadamy słodczy - powtórzyła Grace z naciskiem. Zdawała sobie sprawę, jakie sprawia wrażenie: oto nie wiadomo dlaczego reaguje z wyraźną niechęcią na coś, co miało być miłą niespodzianką dla jej córki. Ale ten tort nie wróżył nic dobrego.



Czuła to każdą najdrobniejszą cząstką, a na pięknie przystrojone ciasto patrzyła z lękiem, jakby była to tykająca złowrogo bomba.

Tort podrzuciła ta sama osoba, która zostawiła wiadomość na lustrze, była tego pewna.

- To wcale nie koniec - powiedziała i skrzyżowała ręce na piersiach. Miała na sobie spodnie i niebieski wełniany blezer, pod nim biały golf, a jednak zimny dreszcz przenikał ją na wskroś. I był to ten rodzaj chłodu, który nie miał nic wspólnego z zachmurzonym niebem na zewnątrz ani z uporczywą mżawką.

- Co? - zdziwił się Marino i spojrzał na nią zrezygnowany.

Również dziś jego czarne włosy układały się w fale, co potwierdzało jej podejrzenia, iż to z powodu deszczu. Odniosła wrażenie, że Marino przyszytył je trochę, bo na karku i na wysokości uszu wydawały się krótsze niż ostatnim razem. Podobnie jak ona miał na sobie tweedowy beżowy blezer i brązowe, dobrze skrojone spodnie z wełny. Założył nawet krawat z beżowego jedwabiu w cienkie czarne paski. Jakiś drobny zakątek jej umysłu, nieogarnięty jeszcze strachem, zaczął się zastanawiać, dokąd to wybierał się Tony Marino, kiedy do niego zadzwoniła.

- To wcale nie koniec - powtórzyła, walcząc wciąż z uczuciem chłodu. - Powiedział pan, że sprawa została zakończona, a wcale tak nie jest. Tort to sprawka tej samej osoby, która zostawiła wiadomość na lustrze i wyniosła z domu pluszowego misia.

- Jezu! - Marino pokręcił głową. - To już się staje naprawdę paranoją, wie pani?

- Nie jestem żadną paranoiczką. - Grace starała się zapanować nad narastającą w niej histerią, zależało jej na tym, aby mówić spokojnie, rzeczowo, przekonująco. - Chyba widzi pan ten tort? On tu jest naprawdę, na stole w kuchni, chociaż nie było go, kiedy wychodziłam z domu. Podobnie istniał naprawdę ten

napis na lustrze i naprawdę pluszowy miś leżał nie wiadomo dlaczego przy drodze, zamiast w sypialni mojej córki. Naprawdę biegłam za kimś obcym, kto był na moim podwórzu tej samej nocy, kiedy znalazłam misia. Proszę mi więc łaskawie wyjaśnić, jak się mają te wszystkie wydarzenia do mojej rzekomej paranoi.

- Grace, to tylko tort.

Po raz pierwszy wymówił jej imię, może nawet bezwiednie, ale Grace była w tym momencie zbyt załęczniona, aby zdobyć się na coś więcej niż tylko zarejestrowanie w umyśle, że odezwał się do niej w ten sposób.

- Nie, to groźba.

Na podjeździe odezwał się klakson. Grace drgnęła, Marino i policjanci spojrzeli w stronę, skąd dobiegł ich dźwięk.

- Mamo, mamo, to oni!

Jessica wbiegła do kuchni, odświeżona po natrysku i gotowa do wyjścia, co jak zwykle oznaczało dzinsy wraz z dyndającymi kolczykami, torbę na ramię oraz czarną skórzaną kurtkę stylizowaną na minitrencz z paskiem zapiętym na filigranowej talii. Nie chcąc niepokoić córki, Grace bagatelizowała znaczenie tajemniczego tortu, miała jednak nadzieję, że Jessica zrozumie, iż ten incydent wyklucza możliwość pójścia z koleżankami do centrum handlowego.

- Jess... - zaczęła bezradnie. Nie wiedziała jeszcze, jak jej powiedzieć, że jednak cofa swoją zgodę.

- Och, mamo, proszę... - Jessica musiała odgadnąć jej zamiar z wyrazu twarzy. - Błagam! Tak bardzo mi na tym zależy! Od tygodni nigdzie nie wychodzę, a przecież sprawowałam się dobrze i zaczynam już wariować przez ten areszt domowy, i z moimi koleżankami jest już wszystko w porządku, nie chciałabym więc znowu tego popsuć... Błagam!

- Jess, skarbie, wiem, że pozwoliłam ci pójść z nimi, ale...

- Nie obchodzi mnie ten idiotyczny tort! - zawołała Jessica. - Ani tamten

napis na lustrze, ani cokolwiek innego! Ta sprawa rujnuje mi życie, a ja nie chcę, żeby zniszczyła je do reszty. Nie mogę tkwić wiecznie w tym domu. Mamo, ja też mam swoje życie!

Klakson odezwał się ponownie.

- Mamo, proszę cię, błagam! - Jessica złożyła dłonie jak do modlitwy.

Grace bezwiednie spojrzała na Marina. Przyglądał się im z sarkastycznym uśmiechem, wymowniejszym od słów: w jego oczach miękła wobec córki jak ugniatany w rękę kit. I co z tego? Jego opinia i tak nie ma dla niej znaczenia!

- Mamo!

Jessica zaklinała ją błagalnym spojrzeniem i Grace poczuła, że jej opór zaczyna słabnąć. I tak nie może trzymać córki wiecznie pod ochronnym kloszem, nawet gdyby chciała. Dla niej też nie był to łatwy okres, kiedy musiała odmawiać Jess wszystkiego.

- Obiecujesz, ale tak z ręką na sercu, że będziesz cały czas z koleżankami, bez względu na wszystko?

- Och, mamo, jasne! Dziękuję, mamo! Jesteś najlepszą matką na całym świecie!

Biorąc pytanie matki za przyzwolenie, co zresztą było zgodne z prawdą, chociaż Grace potwierdziła to jedynie milczeniem, Jessica cmoknęła ją w policzek i aby nie przeszkadzać Gelinsky'emu, który sprawdzał zamek przy tylnych drzwiach, pobiegła do frontowych.

Czy przypadkiem nie popełniam właśnie strasznego błędu? - przemknęło Grace przez głowę. Wyraz twarzy Marina świadczył, że i on ma podobne wątpliwości, chociaż z innego powodu. Spojrzenie, jakie mu rzuciła, stanowiło wyzwanie: jej córka, jej decyzja.

- Przepraszam na moment - powiedziała. - Zamienię tylko słowo z matką, która prowadzi.

Wybiegła za córką. Ann, która odwoziła dziewczęta do centrum handlowego, płoneła oczywiście z ciekawości, widząc radiowóz policyjny na podjeździe. Grace powiedziała jej więc, nie wdając się w szczegóły, że mieli włamanie. Uzyskała oczywiście obietnicę Ann, że będzie czuwać nad Jess. Rozmowa nie trwała długo, gdyż dziewczęta chciały jak najprędzej wyruszyć w drogę i nie kryły zniecierpliwienia, ale swoje zrobiła: kiedy samochód odjechał, uspokojona Grace nie żałowała już, że uległa prośbie Jess.

Do domu miała zaledwie kilkanaście kroków, ale i tak deszcz zdążył osiąść na jej włosach perlistymi kropelkami i zmoczyć ubranie. Zamknęła za sobą drzwi i natychmiast otuliło ją ciepło jak gruby koc, a znajomy zapach, w którym rozpoznawała środek do czyszczenia mebli i czyścik do dywanów, używany przez Pat w każdą środę, wydał jej się kojący jak nigdy przedtem. W hallu minęła Ayres, która zmierzała właśnie do wyjścia. Kiwnęła jej głową i kobieta odwzajemniła ten gest, jednak bez uśmiechu. Podobnie jak za pierwszym razem, gdy tu przyjechała, jej postawę cechowała rutyna granicząca z nieuprzejmością.

- Nigdzie nie ma śladów włamania - meldował właśnie Tony'emu Gelinsky, kiedy Grace weszła do kuchni.

Mimo wczesnego popołudnia górne oświetlenie było już włączone, aby rozproszyć mrok sączący się przez okna. Ze swoją ciepłą kolorystyką i schludnym, funkcjonalnym umeblowaniem kuchnia nie wyglądała na pomieszczenie, w którym toczy się właśnie policyjne dochodzenie.

- A co z odciskami stóp? Przez cały dzień padało, więc gdyby ktoś wszedł do domu, musiałby zostawić jakieś ślady - powiedział Marino.

- Nie znalazłem żadnych śladów - odparł Gelinsky i spojrzął na podłogę.

Nawet gdyby rzeczywiście znajdowały się tu przedtem jakieś ślady, i tak byłoby teraz za późno na ich znalezienie, pomyślała Grace. Za dużo osób kręciło się po domu: najpierw ona i Jessica, potem jeszcze troje policjantów, którzy

wchodzili tu i wychodzili kilkakrotnie, w ogóle nie troszcząc się o ewentualne ślady. Podłogę wokół stołu kuchennego i w hallu pokrywały gęsto mokre plamy po zabłoconych butach, ale na pierwszy rzut oka widać było, że z tego gąszczu śladów nie da się wyodrębnić żadnego pojedynczego.

- Na pewno zamknęła pani drzwi po wyjściu z domu? - zapytał Marino, spoglądając na Grace wytrząsającą z włosów krople deszczu. Odwzajemniła spojrzenie.

- Oczywiście.

- Którędy pani weszła?

- Tylnymi drzwiami.

- Były zamknięte?

- Tak.

- Czy to nie te same drzwi, w których zamek nieraz szwankuje?

- Owszem. Ale tym razem działał prawidłowo. Musiałam użyć klucza, aby wejść.

- Jest pani pewna?

- Tak.

- Ale to też nie znaczy wiele. - Marino zmarszczył brwi, analizując coś w myślach. - Gdyby ktoś odkrył, że drzwi są niedokładnie zamknięte, mógłby bez przeszkód wejść, potem wyjść, a zamek zaskoczył dopiero potem.

Do kuchni weszła Ayres. Włosy i ubranie miała przemoczone jak Grace, buty wydawały co krok kląskający dźwięk. Trzymając w ręku polaroid, zaczęła fotografować tort. Powtarzający się trzask migawki zdawał się rozbrzmiewać w cichym domu szczególnie donośnie.

Marino odsunął się na bok, aby jej nie przeszkadzać, oparł się biodrem o bufet i machinalnie począł bębnić palcami po jego wykładanym kafelkami blacie.

Nie odrywał przy tym wzroku od Grace, która stała nieopodal, obok zlewu.

Mimochodem zauważyła w zlewie miseczkę z resztką płatków owsianych, która nie trafiła jeszcze do zmywarki. Jessica jadła na śniadanie płatki.

- Kto ma klucze do tego domu? Prócz siostry.

- Allenowie. To nasi sąsiedzi.

Odruchowo przełożyła miseczkę do zmywarki, w której była już reszta naczyń, ale nie uruchomiła jej; czekała na pełen ładunek.

- A gosposia?

- Ach, rzeczywiście. Pat też ma klucze.

Zamknęła drzwiczki zmywarki i odwróciła się do Marina.

Jego spojrzenie było bardzo wymowne: skoro zapomniała, że gosposia ma klucze do mieszkania, to może zapomniała również o kimś innym?

- Kto jeszcze? Może opiekunka córki?

- Linda? Nie. Jessica ma własne klucze.

Grace również oparła się o bufet, czuła pod dłonią jego chłodny i śliski blat.

- Aha. - W tej jednej sylabie mieściło się bezdenne olśnienie. - Jessica... Ciekawe, kto ma do nich dostęp?

- Co pan ma na myśli?

- Może któraś z przyjaciółek Jess dorobiła sobie wtórnik klucza?

- Nie sądzę... Po co miałyby to robić?

- Żeby móc potem pisać na lustrze lub podrzucać ukradkiem tajemnicze torty - odparł sucho Marino.

- Och.

Do tej pory Grace nie brała w ogóle takiej ewentualności pod uwagę. Teraz musiała przyznać w duchu, że to wyjaśniałoby wiele pytań.

- Właśnie: „och”. Mamy więc znacznie poszerzoną listę osób z dostępem do

klucza, podejrzanych o przyniesienie tego tortu. Pani siostra. Sąsiedzi. Gospoia. Którakolwiek z koleżanek Jess lub jej znajomych i tak bez końca.

- W poniedziałek wymienią mi zamki. I zainstalują system alarmowy. -  
Mówiąc to, czuła przez skórę, że osoba, którą goniła tamtej nocy, gdy znalazła na drodze pluszowego misia, nie należy do grona koleżanek Jess. A przynajmniej nie tych, które ona zna.

- Dobry pomysł.

- Mam już odbitki - oznajmiła Ayres. Trzymała dwa zdjęcia, machając nimi w powietrzu, aby szybciej wyschły. Inne leżały na stole.

- Świetnie.

Marino podszedł bliżej, przez chwilę patrzył na fotografię. Ayres dotknęła jego ręki i szepnęła coś z uśmiechem. Grace po raz pierwszy widziała na jej twarzy uśmiech. A więc Ayres flirtuje z detektywem Marino! Ale dlaczego to ją dziwi? Jest atrakcyjną kobietą, młodą, to przecież normalne, że zainteresował ją Marino. Chcąc nie chcąc, Grace musiała przyznać w duchu, że ten człowiek podoba się również jej.

Jednak Marino wydawał się nieświadomy tego, co się dzieje. Zamiast odwzajemnić uśmiech Ayres, rzeczowym tonem zwrócił się do Grace:

- Chciałbym, aby zatelefonowała pani teraz do siostry, do sąsiada i do gospoia, zapytała ich, czy przypadkiem nie zgubili kluczy i czy ktoś z nich nie sprawił pani córce prezentu w postaci tortu. - Uniósł dłoń do góry, nie dopuszczając jej do słowa. - To tylko tak, na wszelki wypadek, zgoda?

- Dobrze, zrobię to.

Zadzwoiła najpierw do Allenów. Judy zapewniła, że klucz wisi nadal na gwoździu w spiżarni, ona sama nie zdejmowała go od miesięcy, a sądząc po pokrywającej go warstwie, nie robił tego też nikt inny. Nie wie też nic o żadnym torcie. Pat oświadczyła, że skorzystała z klucza jak zwykle w środę i tylko wtedy.

Klucz wisi nadal na kółku, a co do tortu, nie przynosiła żadnego. Jackie nie było w domu.

Gdy Grace telefonowała, policjanci oglądali inne pokoje. Kiedy próbowała powtórnie skontaktować się z Jackie, do kuchni wszedł Marino.

- Nikt z nich nie przyniósł tego tortu. Jackie nie ma w domu, ale i tak wiem, że ona tego nie zrobiła - poinformowała go Grace, odkładając słuchawkę.

Marino kiwnął głową.

- Wszystko tu wygląda normalnie, nikt nie zaczął się w szafie ani pod łózkami i chyba nic nie zginęło. Ale lepiej niech pani sprawdzi sama.

Krótki obchód domu z nieodstępującym jej na krok Tonym przekonał Grace, że naprawdę nie ma powodu do obaw. Wróciwszy do kuchni, zastali Ayres i Gelinsky'ego; rozmawiali o czymś cicho.

- Jedyne, co możemy zrobić, to sporządzić jeszcze jeden protokół - zwrócił się do Grace Gelinsky. Sprawiał wrażenie człowieka nieco zakłopotanego, skorego nawet do przeprosin.

Zacisnęła usta. Pisanie protokołu nie miało sensu.

- Chcę, abyście schwytali osobę, która to robi - powiedziała, patrząc na Marina. Rozmowa z tamtymi była, o czym się już zdążyła przekonać, stratą czasu.

- Już to pani mówiła - odparł detektyw. - I proszę mi wierzyć, że robimy wszystko, co w naszej mocy. Wyślę zaraz kogoś, żeby objechał okoliczne cukiernie i sprawdził, czy gdzieś przyrządzono ostatnio taki tort i dla kogo. Prawdopodobnie kupiono go w jednej z pobliskich cukierni. Jeśli nie ma pani nic przeciw temu, zabiorę ten tort i oddam do analizy, żeby się upewnić, czy nie został zatruty lub coś w tym rodzaju.

Taka ewentualność nie przyszła jej jakoś do głowy.

- To chyba dobry pomysł.

- Okay. - Wziął ciasto, spojrzął na nie z namysłem i przeniósł wzrok na



Grace. - Ma pani coś, w czym mógłbym go przewieźć? Jakies pudełko?

Potrząsnęła głową. Pudełko po butach nie pomieściłoby tortu, a większego nie miała w domu.

- Nie, ale mogę panu dać arkusz celofanu. Przynajmniej krem się nie rozmaże.

- A może worek na śmieci? Taki duży, plastikowy?

- Proszę bardzo.

- Jeśli nie jesteśmy już potrzebni, detektywie... - odezwał się Gelinsky.

Marino potrząsnął głową.

- Nie, możecie iść. Ja zajmę się tortem, a prócz tego nie mamy tu już nic do roboty.

- Gdyby potrzebna była panu jakaś pomoc... - zaoferowała się Ayres z ujmującym uśmiechem i Grace natychmiast poczuła do niej antypatię. Ale Marino tylko potrząsnął głową i wreszcie Gelinsky i Ayres opuścili dom; policjantka uczyniła to z wyraźną (takie przynajmniej wrażenie odniosła Grace) niechęcią.

- Ma pani wykałaczki? - zapytał Marino.

- Chyba tak.

Grace przeszła do spiżarni, znalazła pudełko z wykałaczkami, którymi zwykle nadziewała oliwki, po czym wróciła do stołu. Marino wysypał na blat kilkanaście wykałaczek i powtykał je w tort.

- Po co pan to robi? - zdziwiła się Grace.

- Żeby plastik nie stykał się z lukrem - wyjaśnił i uśmiechnął się przelotnie, jakby z zakłopotaniem.

- Dobry pomysł. - Była pod wrażeniem; nie tylko pomysłu z wykałaczkami, ale także tego uśmiechu.

- Moja matka piekła mnóstwo ciast. Ciągle zdobywała za nie nagrody. Może mi pani wierzyć, znam się na transportowaniu ciast. Proszę przytrzymać ten

worek, żeby się nie zamknął, dobrze?

Zastosowała się do jego prośby, a on zrećźnie wsunął tort do środka. I rzeczywiście: wykałaczkę spełniły swoje zadanie. Marino wziął ze stołu pozostawione tam przez Ayres zdjęcia, przejrzał je pobieżnie i wetknął do kieszeni.

- Muszę już iść. - Ostrożnie podniósł tort, przezornie podtrzymując zawiniątko od spodu. - Za - przeniósł wzrok na zegar wiszący na ścianie - pół godziny zaczyna się chrzest mojej bratanicy.

- Chwileczkę! - Patrzyła na niego z niedowierzaniem, zaciskając dłonie na poręczy krzesła. - To już wszystko, co zamierza pan uczynić? Parę zdjęć, kilka pytań i już? A co z osobą, która włamuje się do mojego domu i terroryzuje córkę i mnie?

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Grace - powiedział wreszcie. - Dopilnuję, żeby sprawa z tortem i te inne zostały solidnie przeanalizowane. Obiecuję. Ale muszę też przyznać, że nie mamy tu wiele do roboty. Tort podrzucony w prezencie, napis nagryzmołony na lustrze i skradziony pluszowy miś to za mało, aby mobilizować do akcji całą policję.

- Każdy z tych incydentów to kierowana pod adresem mojej córki groźba. - Jej głos drżał z gniewu.

- Możliwe - odparł zgodnie i ruszył ku drzwiom. W progu obejrzał się przez ramię i dodał: - Zrobię, co należy. A na razie proszę zamykać dokładnie wszystkie drzwi.

- To chyba niewiele daje, nieprawdaż? Ani to, ani powiadomienie policji.

- Przecież przyjechaliśmy od razu, czyż nie?

- I od razu wracacie do siebie! - zawołała Grace. - Nie robiąc nic, aby rozwiązać problem. Po prostu, jak już mówiłam, bagatelizuje pan sprawę.

- Po prostu - skorygował ją - staram się zachować zdrowy rozsądek. - Ruchem głowy wskazał na drzwi. - Mogłaby pani otworzyć?

- Znakomicie. - Kiedy z wyraźną niechęcią otworzyła mu drzwi, poczuła powiew rześkiego powietrza, przesyconego wilgocią, zapachem mokrej ziemi i liści; usłyszała też jednostajny szum ulewy. - Będę o tym pamiętać. Świadomość, że potrafi pan zachować zdrowy rozsądek, poprawia mi z pewnością samopoczucie, kiedy z powodu pańskiego dochodzenia moja córka jest śledzona i straszona.

Marino, wyszedłszy na ganek, odwrócił się do niej. W kącikach ust błąkał się nikły uśmiezek. Na tle szarej ściany deszczu jego barczysta postać wydała jej się nagle bardzo solidna i pewna; uprzytomniła sobie nieoczekiwanie, jak gorąco pragnie, aby nie zostawiał jej teraz samej.

- W porządku, wyraziła się pani jasno - powiedział. - Nie lekceważę tej sprawy, ale naprawdę nie sędzę, aby pani lub jej córce groziło realne niebezpieczeństwo. Bez względu na to, czy mamy tu do czynienia z głupimi żartami, rzeczywistymi groźbami czy po prostu z dziwnym zbiegiem okoliczności, nikt nie zaatakował was bezpośrednio. I nie sędzę, aby do tego w ogóle doszło.

- Chciałabym, żeby miał pan rację.

Odwrócił się.

Patrzyła za nim bezradna, zirytowana, kiedy schodził z ganku. Po chwili skręcił w lewo na podjazd i znikł za rosnącym w tym miejscu krzewem kaliny, a ona zacisnęła usta, zamknęła drzwi i sprawdziła zamek.

Idąc do kuchni po filiżankę kawy, której łaknęła teraz jak powietrza, zdała sobie nagle sprawę z tego, jak bardzo jest słaba i bezbronna, sama w tym olbrzymim pustym domu.

## Rozdział dwudziesty piąty

Jess, zobacz, Rusty Curran! Tam, razem z Toddem Williamsem, Andrew Sykesem i Jasonem Olshakerem! - Emily, rozemocjonowana, szturchnęła Jessicę łokciem w bok. Tak się wydziera, że słyhać ją pewnie na kilometr, pomyślała z niechęcią Jessica i spojrzała w stronę matki Emily, Ann, zajętej zakupami.

- Ćśś! - syknęła, odsuwając się trochę, aby uniknąć następnej sójki w bok, i zerkając jednocześnie ukradkiem tam, gdzie wskazała Emily. Rzeczywiście, to był Rusty, w workowatych spodniach koloru khaki i flanelowej koszuli wyłożonej na wierzch, roześmiany, brylujący w grupie podobnie ubranych kumpli. Wyglądało na to, że właśnie wyszli z kina, mieszczącego się w samym środku tej części centrum handlowego. Przed nimi i za nimi płynął nieprzerwany strumień ludzi.

- Szybko, schowajmy się tu. - Jessica wepchnęła Emily i pozostałe koleżanki, Tiffany Driver i Polly Wells, do najbliższego sklepu; był to butik z biżuterią, a sam krok okazał się fatalnym błędem. W środku stały przed lustrzaną ścianą Allison i Maddie, przymierzając kolczyki. Jessica dostrzegła je od razu i chciała się wycofać, ale było już za późno; one też zauważyły ją w lustrze.

- Czy mnie oczy nie mylą? To naprawdę Jessica? - zaszczębiotała słodko Allison. Nie ona jedna obarczała Jess winą za to, że policja zainteresowała się uczniami ich szkoły. Gdyby Jessica była normalna - czytaj: gdyby nie chorowała na cukrzycę - i nie zemdląta tamtej nocy w Brandeis Park, rozumowała, wszyscy kupiliby sobie tyle trawki, ile potrzebowali, i wynieśliby się stamtąd bez żadnych konsekwencji. A tak, przez tę całą hecę, w Hebron rozpętało się piekło i nic już nie można było przynieść bezpiecznie do szkoły.

Jessica przywitała się z nimi bez entuzjazmu. Jaskrawoniebieski kolczyk, który Allison nosiła w jednym uchu (drugi kolczyk trzymała w ręku), był niemal tego samego koloru co jej cienie na powiekach, sięgające od rzęs po brwi. Mimo woli Jessica poczuła podziw dla efektu jej starań. Wszystko, poczynając od sandałków na grubych platformach, poprzez czarną obcisłą miniówkę, aż po pasemka we włosach w kolorze dyni sprawiało, że Allison wyglądała wyjątkowo odłotowo. Jessica wiedziała doskonale, że nawet za milion lat nie osiągnie tak oszałamiającego wyglądu.

Żeby tylko pokonać stres tej chwili i zachować zimną krew! Nagle zapragnęła papierosa. Nie dlatego, że potrzebowała nikotyny, lecz po prostu, bo to by wyglądało jak należy. Nie miała jednak przy sobie papierosów. Winstony zostawiła pod poduszką na siedzeniu huśtawki.

- Zadajesz się teraz z tymi pakierkami? - zapytała Maddie protekcjonalnym tonem. Miała blond włosy do pasa, a przytrzymywała je cętkowana jak skóra lamparcia przepaska pod kolor szarfy, zastępującej pasek w czarnych obcisłych dżinsach. Maddie była ładną dziewczyną, może nawet najładniejszą w szkole, nie cieszyła się jednak takim powodzeniem jak Allison i była w pełni świadoma swojego miejsca w szeregu. Na Emily, Tiffany i Polly patrzyła teraz z jawną wzgardą. W hierarchii obowiązującej w Hebron takie jak one, mocno zbudowane dziewczęta, znajdowały się tylko o szczebel wyżej niż spaślaki. Nie były warte uwagi.

- Cześć, Allison - powiedziała cicho Emily. Tiffany i Polly ograniczyły się do kiwnięcia głowami. Emily była szeroka w ramionach, miała umięśnione ręce i nogi, płaską klatkę piersiową i sprężysty chód. Tiffany miała niemal metr osiemdziesiąt wzrostu i była chuda. Polly należała do dziewcząt nieśmiałych i cichych, była płaska i nosiła okulary oraz aparat korekcyjny. Wszystkie trzy nie miały u chłopców najmniejszych szans. Dla Allison i Maddie tego typu odmienicy

w ogóle się nie liczyli.

Jessica dobrze wiedziała, że ze względu na swoją cholerną cukrzycę została zaliczona do niższej kasty uczniów Hebron.

- Jessica gra w kosza, nie wiedziałas o tym? - zwróciła się Allison do Maddie. Zignorowała całkowicie pozostałe dziewczyny, skupiając się wyłącznie na Jessice.

- Nie, nie miałam zielonego pojęcia - odparła Maddie takim tonem, jakby pytanie Allison dotyczyło wszy we włosach Jess.

- I jest w tym bardzo dobra - odezwała się lojalnie Tiffany, nie wiedząc, że Jessica najchętniej zapadłaby się teraz pod ziemię. - Na pewno dostanie się do drużyny.

- Wspaniale! - zagruchała Allison. - Ja też w nią wierzę!

- Coś podobnego, popatrzcie tylko: Rusty Curran z paczką - powiedziała Maddie, dostrzegłszy chłopców przez szybę.

- Rusty podoba się Jessice, czy nie tak, Jess? - Allison obdarzyła ją złośliwym uśmiechem. - Ciekawe, czy on wie, że tu jesteś. Założę się, że przyszedł tu z nadzieją, że cię spotka.

- Powiedzmy mu, że ona tu jest - zaproponowała Maddie, a kiedy Allison zaaprobowała pomysł ruchem głowy, wybiegła ze sklepu, zanim Jessica zdążyła ją powstrzymać.

- Muszę już iść - zawołała Jessica. Nie obchodziło jej, co pomyśli o niej Allison; najważniejsze to nie dać się ośmieszyć w oczach Rusty'ego. Niemal biegiem opuściła sklep, za nią wybiegły Emily, Tiffany i Polly.

- Poczekaj, jest tu Rusty! - usłyszała głos Maddie. Mimo woli obejrzała się za siebie; rzeczywiście, stał tuż za Maddie, która chichocząc uwiesiła się jego ramienia i ciągnęła go za sobą. Jego koledzy zostali w tyle. Rusty patrzył na Jessicę ze zmarszczonymi brwiami. Nie dziwiło jej to. Pewnie nieczęsto mu się zdarzało,

aby dziewczyna uciekała przed nim.

Nieoczekiwanie potknęła się, zamachała bezradnie rękoma i upadła jak długa. Przez chwilę, która wydała się jej wiecznością, leżała twarzą na zimnej terakocie, a przed jej oczyma przelatywało scena po scenie całe dotychczasowe życie. To, co odczuwała w tej chwili, można by nazwać upokorzeniem, tak intensywnym, że aż bolesnym.

- Nic ci nie jest, młoda damo?

Obok niej ukląkł mężczyzna w kurdybanowych butach i szarych spodniach. Dotknął dłonią jej pleców.

- Jessica! Jess, nic ci się nie stało?

Emily, Tiffany i Polly podbiegły do niej. W polu jej widzenia pojawiły się postrzępione dzinsy i tenisówki Polly.

- Może wezwać kogoś z ochrony?

Kobiety głos. Beżowe pończochy, ładne czarne czółenka. Jessica dźwignęła się, stanęła o własnych siłach.

- Nic mi nie jest - wykrztusiła. Nogi dygotały silnie, uginały się jeszcze w kolanach. Omal nie osunęła się z powrotem na ziemię. - Naprawdę, wszystko w porządku.

Siwowłosego mężczyzna w okularach, kobieta w czarnych czółenkach, pulchna sprzedawczyni z butików i inni gapię rozeszli się, uspokojeni.

- Jesteś pewna? - zapytała Emily, ale Jessica nie słyszała już tych słów. Zbliżał się do niej Rusty, uśmiechnięty od ucha do ucha, długie włosy odgarnął do tyłu. Szedł między Maddie i Allison, które uczepliły się jego rąk, rozchichotane. Żadna z nich nie sięgała mu nawet do ramienia. Postawny i władczy, tak się o nim mówiło w szkole. Sam jego widok oszałamiał.

- To było takie śmieszne! - wykrztusiła Allison. - Musiałaś to przedtem dobrze przećwiczyć!

- Trzeba być nie lada fajtlapą, żeby przewrócić się o ławkę w centrum handlowym - dodała Maddie i rzuciła Jess złośliwe spojrzenie.

- Przymknijcie się, laleczki, może Jessica naprawdę zrobiła sobie coś złego - odezwał się Rusty. Nadal uśmiechał się szeroko, ale w jego oczach Jessica dostrzegła ze zdumieniem szczere zainteresowanie, kiedy spojrzał na nią.

- Nic mi nie jest - powtórzyła cicho. Nie do wiary! Rusty Curran patrzy na nią w taki sposób! Rusty Curran, bohater jej marzeń i fantazji! Jest taki... super i nikt nie ma bardziej niebieskich oczu niż on!

- Jeśli chcesz, podrzucę cię do domu - zaproponował. - To znaczy, jeśli coś cię boli i nie chcesz już robić zakupów.

Maddie i Allison, zaszokowane, wymieniły spojrzenia. Przyjaciele Rusty'ego, którzy podeszli już do niego, nie ukrywali zaskoczenia. Emily, Tiffany i Polly stały z otwartymi ustami.

Nikt jednak nie był bardziej zdumiony niż sama Jessica.

Rusty Curran, najpopularniejszy facet w Hebron i z pewnością najprzystojniejszy, przynajmniej jej zdaniem, proponuje, że odwiezie ją do domu! Nie do wiary! Coś takiego może się wydarzyć jedynie w najśmielszych marzeniach!

Ponownie przed jej oczyma przemknęło całe życie. A raczej ostatnie tygodnie. Brandeis Park. Areszt domowy. Napis na lustrze. Tort. Obiecała mamie, że za nic na świecie, pod żadnym pozorem, nie odłączy się od dziewcząt.

- Nie, dziękuję - odparła, czując, że pęka jej serce.

Rusty wzruszył ramionami.

- Jak chcesz.

Najwyraźniej jej odpowiedź nie zepsuła mu dobrego humoru. Zaskoczone odmową były natomiast dziewczęta - od Allison do Polly. Jessica jednak nie zwracała na nie uwagi. Widziała jedynie odchodzącego Rusty'ego.



Jasne, pomyślała, moja zgoda lub odmowa nie mają dla niego i tak żadnego znaczenia. Zapropował, że mnie odwiezie, bo po prostu jest uprzejmy. Nie tylko boski facet, ale również prawdziwy dżentelmen.

- Ach, przy okazji... - Rusty nieoczekiwanie zatrzymał się i odwrócił do niej. - Dziś urządzamy imprezę u tego tu Olshakera. - Klepnął Jasona po ramieniu. - Jego starych nie będzie w mieście, a dla nas szykują się niezłe piwowalia. Przyjdź, jeśli możesz.

- Dzięki - wykrztusiła z trudem Jessica. - O... o której?

- Chyba nie zaczniemy przed dziesiątą - powiedział Jason. - A potem będziemy się bawić do świtu.

- Jeszcze jak! - dodał Todd Williams.

- Ja... spróbuję - wyjąkała. Boże, on daje jej drugą szansę!

- Postaraj się. - Uformował dłoń w pistolet: trzy pierwsze palce zgięte, pionowo wyprostowany kciuk, a palec wskazujący wycelowany w nią. - Na razie - rzucił i na czele swojej gromadki oddalił się wolnym krokiem.

Jessica jeszcze długo nie mogła dojść do siebie; jej całe ciało pławiło się w fali ciepła, chciało jej się śmiać, wzlecieć do góry i szybować tam niczym ptak, czuła się lekka jak piórko i piękna jak gwiazda, kiedy wraz z przyjaciółkami, oszołomiona, krążyła po centrum handlowym od sklepu do sklepu.

W jednej krótkiej chwili cały świat uległ czarownej przemianie.

Rusty Curran chciał odwieźć ją do domu i zaprosił ją na imprezę!

Mama nie pozwoli, nigdy w życiu! Jessica była tego pewna, w stu procentach. A jednak, tak czy inaczej, zamierzała pójść. Rusty Curran. Rusty Curran. Rusty Curran.

Bądź cicho, serce.

## Rozdział dwudziesty szósty

Grace zmieniła zamiar: zamiast do kuchni, poszła na górę. W sypialni zamknęła za sobą drzwi - choć zazwyczaj nie robiła tego, będąc w domu sama - zapaliła wszystkie lampy i przebrała się w niebieski dres. Następnie zapaliła światło w pakamerze, stanęła na krześle i zaczęła przeszukiwać najwyższą półkę. Chciała znaleźć pistolet, kupiony przed laty, po przeprowadzeniu separacji z Craigiem, gdy zostały same, ona i malutka jeszcze Jessica. Czuła się wtedy samotna i zalekniona i ten nastrój spędzał jej sen z powiek. Kiedy zaś wreszcie zasypiała, śniły się jej koszmary pełne włamywaczy, gwałcicieli i morderców, którzy wdzierali się do domu z pierwszym brzaskiem dnia. Z czasem udało jej się pokonać ów lęk. Niestety, odżył przed paroma dniami.

Pistolet znalazła w najodleglejszym kącie półki; musiała stanąć na palcach, aby go dosięgnąć. Dłonią wyczuła chłodny metal, zacisnęła ją na smukłej lufie i pociągnęła broń ku sobie. Był to stary pistolet, automatyczny, kaliber 22, z długą czarną lufą i wyjmowanym magazynkiem, który można było napełnić nabojami i wsunąć z powrotem na miejsce.

Upłynęło co najmniej sześć lat, kiedy po raz ostatni miała ten pistolet w ręku. Z trudem przypomniała sobie, gdzie są naboje: trzymała je w dolnej szufladzie komody. Teraz wyjęła je, naładowała pistolet i sprawdziła, czy jest zabezpieczony.

Otworzyła drzwi i zeszła na dół; z bronią w ręku czuła się trochę lepiej. Przynajmniej nie muszę już się kulić ze strachu jak mała myszka, pomyślała. Jeśli okaże się to konieczne, sama obronię córkę.

Zajrzała na moment do sypialni Jess, aby sprawdzić, czy Godzilla nie dał

wreszcie za wygraną i gnany głodem nie wrócił do klatki, gdzie czekały na niego woda i pokarm, a przede wszystkim jego przysmak: jabłko. Nic z tego. Klatka pozostawała nadal bez lokatora. Grace zaczęła już wątpić, by chomik kiedykolwiek wrócił do sypialni. Ale gdzie on się może ukrywać przez tyle dni? Trudno, trzeba się uzbroić w cierpliwość, wcześniej czy później trafią na jego ślad: odchody lub okruszki po zdobytym w spizarni pokarmie. W każdym razie żyje, bo po tylu dniach czułaby już odór. A dom pachnie jak zwykle.

Grace wzruszyła ramionami, zdecydowana nie zaprzętać sobie dłużej głowy tą sprawą, i zeszła na dół. Minęła dopiero czwarta, ale z powodu ulewy schody i znaczna część domu prócz kuchni i sypialni tonęły już w mroku. Jessica powinna być w domu mniej więcej za półtorej godziny, a wtedy zasiądą do kolacji i...

Rękaw zaczepił o coś, zatrzymując ją w pół kroku. Zaskoczona, rozejrzała się bacznie, szukając przyczyny. Ściana przy schodach była obwieszona fotografiami rodzinnymi w drewnianych ramkach; wśród nich wisiały zdjęcia Jess z okresu dzieciństwa. A rękawem zaczepiła o gwóźdź, na którym wisiało jedno ze zdjęć.

Wisiało do tej pory. Grace odczepiła rękaw, wolnym krokiem zeszła na parter, podniosła rękę do włącznika, zapaliła światło na schodach i ponownie weszła wyżej. Brakowało jednej z trzech fotografii, na których była razem z Jess. Sama je tu wieszała. Brakowało tej wiszącej najniżej i najświeższej; pochodziła sprzed niespełna roku. Pozostał po niej tylko gwóźdź.

Od kiedy nie ma tu tego zdjęcia? Czyżby ktoś - na przykład koleżanka Jess albo któreś z dzieci Jackie - niechcący stracił je ze ściany i potem schował gdzieś, zamiast się przyznać, że je zniszczył?

Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy widziała je po raz ostatni. Gdyby nie wisiało tu od dawna, pewnie by to zauważyła. Ale może nie?

Zdjęcie zabrała ta sama osoba, która podrzuciła tort, przyszło jej nagle do głowy i poczuła, że krew zastyga jej w żyłach.

W pierwszym odruchu chciała zadzwonić do Marina.

Zaczerpnęła głęboko tchu, aby odzyskać panowanie nad sobą, i zeszła na dół. Wchodząc kolejno do każdego pomieszczenia, zapalała wszystkie lampy i zaciągała zasłony, ani na chwilę nie odkładając pistoletu. Następnie udała się do kuchni i przyrządziła sobie filiżankę kawy.

A więc brakuje jednego zdjęcia, powiedziałby Marino i wzruszyłby ramionami. Zdjęcia jej i Jess, nieprzedstawiającego żadnej wartości dla kogoś obcego. Już nawet tajemnicze pojawienie się tortu w zamkniętym domu może się wydać bardziej złowieszcze.

Zniknięcie jednego oprawionego zdjęcia ze ściany, gdzie wisi jeszcze kilkanaście innych, podobnych do tamtego, nie wydaje się wcale czymś złowróżbnym. Nie, z taką sprawą nie może się zwrócić do Marina ani do kogokolwiek innego.

Grace upiła łyk kawy i bezskutecznie usiłowała się skupić na lekturze gazety. Może zniknięcie tej fotografii rzeczywiście nie oznacza nic złego?

Ale jakoś nie mogła w to uwierzyć.

Rezygnując z dalszego czytania, zatelefonowała do Jackie, ale nadal nie było jej w domu. Grace włożyła pistolet do szafki, skąd mogłaby w razie potrzeby wyciągnąć go w jednej chwili i gdzie Jessica raczej nie zaglądała, po czym wzięła się za przyrządzanie kolacji. Kiedy o wpół do szóstej córka wróciła do domu i weszła do kuchni, Grace sprawdzała właśnie, czy brokuły są już gotowe. Napiecie, w jakim pozostawała, nie pozwalało jej nawet na uśmiech.

- Cześć, kochanie. Dobrze się bawiłaś?

Za odpowiedź wystarczył wyraz twarzy dziewczyny. Jej oczy błyszczały, a nawet się żarzyły, widniało w nich szczęście, jakiego Grace nie mogła się u niej

dopatrzeć od dawna. A więc jednak podjęła słuszną decyzję, pozwalając jej pojechać z przyjaciółkami.

- Tak, było fajnie.

Jessica zdjęła kurtkę i powiesiła ją na wieszaku. Jej włosy nie były mokre, lecz tylko wilgotne, co oznaczało, że deszcz ustawał.

- Co kupiłaś?

- Och... nic. - Na twarzy Jessiki odmalowało się przelotne zaskoczenie, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, że miała coś kupić. - Właściwie oglądaliśmy tylko wystawy.

- Nie robiłaś żadnych zakupów?

- Nie muszę kupować czegoś za każdym razem, kiedy tam jadę - zaoponowała dziewczyna.

No tak, ale skąd w takim razie to nieobecne spojrzenie? Życie nauczyło Grace, że odpowiedź może być tylko jedna: chłopiec.

- Czy wydarzyło się coś interesującego? - zapytała jakby mimochodem, starając się nie spłoszyć córki. Zdawała sobie sprawę, że szanse, aby Jessica otworzyła się przed nią, są niewielkie. Mniej więcej przed rokiem Jessica zaczęła strzec tak pilnie swojego prywatnego życia, jakby był to niezwykle cenny skarb, do którego nawet matka nie ma dostępu.

- Raczej nie. - Jessica weszła do kuchni, wietrząc zapachy z kuchenki. - A w ogóle, dlaczego się nie przebierasz?

- Po co?

- Jeśli dobrze pamiętam, miałaś się wybrać wieczorem na jakąś imprezę dobroczynną. - Kłęb pary wzbił się w górę, kiedy Jessica uniosła pokrywkę garnka i z widoczną satysfakcją spojrzała na bulgoczący w nim gulasz.

- O mój Boże! - Grace upuściła trzymany w ręku widelec; patrzyła na córkę ze zgrozą. - Zupełnie zapomniałam!

- Linda ma przyjść o szóstej. - Jessica zerknęła na zegar. - Masz jeszcze dwadzieścia pięć minut.

- Nie mogę tam pójść. - Grace podniosła widelec z podłogi i wrzuciła go do zlewu, po czym przeniosła wzrok na zegar. - Nie pójdę. Już za późno, żeby odwołać Lindę. Kiedy przyjdzie, zapłacę jej, ale odeślę do domu. Muszę zadzwonić do Johna...

- To ten, z którym masz iść? - zapytała Jessica z zainteresowaniem. Oparła się o blat, żując marchew, którą ściągnęła z przygotowanej przez Grace salaterki pełnej warzyw. - John jak dalej? Jest przystojny?

- John Parson. Nie za bardzo. To sędzia, z którym pracuję. I nic się nie kryje za tym, że z nim wychodzę, tak więc twoja mina jest mocno na wyrost, moja panno. Po prostu oboje wspieramy George'a Loewa kandydującego do senatu, zbieramy fundusze na ten cel. Będzie to pierwsza taka impreza zorganizowana z myślą o nim, więc...

- Musisz iść - powiedziała stanowczo Jessica.

- Nie pójdę.

- Dlaczego? Linda posiedzi ze mną, nie będę sama.

- Po prostu nie idę.

Grace pomyślała o torcie, potem o brakującym zdjęciu i wzdrygnęła się mimo woli. Już miała zapytać Jess o tamtą fotografię, ale rozmyśliła się w ostatniej chwili. Córka wyglądała na taką szczęśliwą - po co ją denerwować niepotrzebnie? Wzięła książkę telefoniczną, odszukała literę P i wodząc palcem po kolumnach, szukała nazwiska Johna.

- Nie ma go w tej książce - mruknęła wreszcie zrezygnowana.

- No widzisz? Nie pozostaje ci nic innego, jak pójść... Mamo, wszystko będzie dobrze. Niedługo przyjdzie Linda, a zresztą i tak nie możesz mnie pilnować do końca życia.

Grace patrzyła na nią niezdecydowana. Nie chciała zawieść Johna; był nie tylko kolegą po fachu, lecz również przyjacielem, a dla kogoś z ambicjami politycznymi ta impreza znaczyła naprawdę wiele. Z drugiej jednak strony, Jessica stanowiła sedno jej życia.

- Słyszałaś kiedyś takie określenie: nadopiekuńczość? - zapytała niecierpliwie Jessica. - Możesz być pewna, że nic złego się nie zdarzy. A w razie czego Linda lub ja możemy wezwać policję.

Policja. Tony Marino. Grace pomyślała o nim i zachwiała się w postanowieniu, aby zostać w domu. Podobał się jej, a więc sytuacja była już dostatecznie niepokojąca. Co gorsza czuła, że gotowa jest mu zaufać. Ale dlaczego? On jest po prostu policjantem, przyjeżdża na wezwanie. Taką już ma pracę.

Potrzebowała nowego mężczyzny, na którym mogłaby się skupić. John może by się nawet nadawał. Dość przystojny, świeżo po rozwodzie, inteligentny, z poczuciem humoru, ma prestiżowy zawód...

Nawet jeśli nie jest tak seksowny jak Tony Marino; to nic, nie tego powinna szukać w mężczyźnie trzydziestosześcioletnia matka dorastającej nastolatki. I lepiej będzie, jeśli zarejestruje to sobie na trwałe w pamięci.

- Mamo, daj już spokój i idź się ubrać. Nie martw się o mnie. - W głosie Jess brzmiało wyraźnie zniecierpliwienie. Przypominała matkę przemawiającą krnąbrnej córce do rozumu.

Mimo woli Grace uśmiechnęła się.

- Na pewno dasz sobie radę? - zapytała. Jeszcze się wahała.

Jessica przewróciła oczyma.

- Mamo...!

- Już dobrze. Nie wrócę późno. Kolacja jest gotowa, trzeba tylko podać do stołu, tak że weź sobie i zjedz. Gdyby coś cię zaniepokoiło...

- Idź już pod prysznic, mamó.

Jessica, zdegustowana, pokręciła głową, założyła na dłoń rękawicę kuchenną i zajęła się garnkami.

Grace weszła na górę. Stojąc pod prysznicem, usłyszała dzwonek do drzwi, co - jak się domyśliła - oznaczało przyście Lindy. Włączyła suszarkę - krótko przystrzyżone włosy i żel na głowę to doprawdy zbawienie! - a potem przeszła do makijażu, kiedy dzwonek odezwał się ponownie.

John.

Przebiegła do sypialni, spiesznie założyła rajstopy z obciskającym pasem - ciekawe, dlaczego one z każdym rokiem coraz bardziej sprawiają wrażenie gorsetu? - i stanik, następnie wyjęła z szafy satynowy kostium i założyła go. Strój uzupełniła ciemnoszarymi bucikami i torebką pod kolor, do której przerzuciła całą zawartość torebki noszonej na co dzień, po czym zbiegła na dół.

John, w ciemnym garniturze jak przystało na prawnika i w białej koszuli z jedwabnym czerwonym krawatem, siedział w salonie na kanapie. Na jej widok odstawił kieliszek i wstał, obrzucając ją przesadnie zachwyconym spojrzeniem, któremu towarzyszył cichy gwizd uznania. Miał czterdzieści pięć lat, metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, dość krępą budowę ciała, krótkie rudawe włosy i pewny siebie uśmiech na twarzy.

Właśnie ten uśmiech podobał jej się w nim najbardziej.

- Za chwilę przyjdę - obiecała. - Tylko pożegnam się z Jess.

- Jasne. - Wzruszył ramionami i usiadł. - Tak na marginesie, wyglądasz wspaniale.

- Dziękuję.

Odwróciła się i poszła do kuchni. Jessica i Linda siedziały przy stole, jedząc i gadając jedna przez drugą. Grace chciała już zwrócić córce uwagę, że powinna zająć się gościem, przynajmniej do jej zejścia, ale machnęła na to ręką.



Dobrze przynajmniej, że Jess poczęstowała go - a może zrobiła to Linda? - drinkiem. Sądząc po barwie, z sokiem pomarańczowym.

- Świetnie wyglądasz, mamó - powiedziała Jessica, kiedy Grace podeszła do stołu.

- Naprawdę świetnie, pani Hart - zawtórowała jej Linda.

- Bardzo wam dziękuję. Lindo, biorę ze sobą komórkę. Jeśli będę potrzebna, mój numer jest na kartce pod telefonem. Zresztą Jess go zna na pamięć. Jest tam też numer telefonu sąsiada, pana Allena. Gdyby to było konieczne, Bob zjawi się tu błyskawicznie. Jess, siedźcie tu i sprawdźcie wszystkie drzwi. Gdyby coś was...

- Mamó, idź już. Wiem, jak mam się zachowywać. A w razie czego wezwiemy policję, nie przejmuj się.

- Wrócę wcześniej - obiecała Grace i wyszła.

Jak na randkę, ta przebiegała dość niewinnie. Siedzieli obok siebie przy jednym z dużych stołów, rozmawiali właściwie o niczym, a kiedy posiłek dobiegł końca, John ruszył w obchód po sali, a ona gawędziła z przyjaciółmi i znajomymi. O dziesiątej trzydzieści postanowiła wracać do domu, jednak oderwanie Johna od przyszłych potencjalnych sponsorów nie było sprawą łatwą. Dochodziła już jedenasta, kiedy wsiedli wreszcie do auta.

- Zawsze wychodzisz z przyjęć o tak wczesnej porze? - zapytał z przekornym uśmiechem John, skręcając w Spring Hill Lane.

- Przykro mi - mruknęła Grace - ale ze względu na córkę muszę wracać do domu.

- Ile ona ma lat? Szesnaście? Siedemnaście?

- Piętnaście.

- Mogę sobie wyobrazić, ile problemów stwarzają dzieci w tym wieku -

odparł ze współczuciem. Sam nie miał dzieci. Grace dowiedziała się o tym na dzisiejszym przyjęciu, zorientowała się także, że dzieci nie są jego ulubionym tematem rozmów.

A więc trzeba skreślić Johna z listy potencjalnych adoratorów, postanowiła w duchu.

- Tak, czasem bardzo wiele - przytaknęła. Znajdowali się już przy jej podejździe, minęli żywopłot i zatrzymali się za samochodem Lindy, skąpanym w blasku latarni ulicznej. Kiedy John otwierał drzwi, Grace, nie czekając, aż obejdzie auto i otworzy po jej stronie, wysiadła sama.

Deszcz już nie padał, ale światło odbijało się w licznych kałużach na chodniku i jezdni, a powietrze było rześkie i wilgotne. Po niebie sunęły chmury, zasłaniając księżyc i gwiazdy; przez nie świat wydawał się bardzo ciemny, z wyjątkiem niewielkich świetlistych kręgów na ziemi w pobliżu latarni. Grace zbierała siły na niezręczny, jak zwykle, moment kończący randkę.

- Nie musisz odprowadzać mnie do drzwi - powiedziała z uśmiechem. Rozstanie na chodniku przed domem było najtaktowniejszym sposobem pożegnania się, jaki obmyśliła, nie chcąc uchodzić za niedelikatną. Nie rozumiała, jak mężczyzna może oczekiwać od kobiety czegoś więcej wiedząc, że w domu czeka na nią nieletnia córka. A jednak ten się spodziewał. Jak większość z nich. Jeśli nie wszyscy.

- Jak widzę, nie zamierzasz zaprosić mnie do środka - zauważył John ze smutnym uśmiechem.

- Jessica... - wyjaśniła Grace, udając żal. Gdyby chciała być szczerą, musiałyby wyznać, że nie zaprosiłaby go i pod nieobecność córki. Lubiła go, ale jej nie pociągał.

- Może wybierzemy się gdzieś znowu wkrótce - mruknął, ujmując ją za ramię i przyciągając do siebie.

Wiedziała, że chce ją pocałować. Właściwie nie miała nic przeciw temu. Ostatecznie pocałunek stanowił pewną atrakcję w rutynowych stosunkach męsko-damskich.

Rzeczywiście pocałował ją, obejmując mocno i wdzierając się językiem w jej usta. I nawet sprawił jej przyjemność. Jego wargi były ciepłe i miękkie, język wykonywał przepisowe manewry, nie posuwając się jednak do brutalności, oddech pachniał lekko szkocką whisky. Grace odwzajemniła pocałunek łagodnie, co znaczyło, że nie odczuwała zbyt wielu emocji, a potem w sprzyjającym momencie uwolniła się z jego objęć.

- Może wybierzemy się w przyszłym tygodniu na lunch? - zapytał nieco ochrypłym głosem.

Grace szła już ku drzwiom.

- Sprawdzę w kalendarzu, kiedy mam czas. Zadzwoń, powiem ci, co i jak - odparła, obdarzając go przez ramię przyjaznym uśmiechem. Pomachała ręką. - Dobranoc.

- Dobranoc.

John wszedł do auta, a kiedy Grace weszła po schodkach na ganek, ruszył, przecinając mrok nocy snopami światła reflektorów. Dopiero teraz poczuła zmęczenie, a także ból w nogach od wysokich obcasów. Pas rajstop obciskał boleśnie biodra. Nie wyjdę już nigdy z Johnem, pomyślała, szukając w torebce kluczy. Jest nawet sympatyczny, ale...

Ciche skrzypnięcie kazało jej skierować wzrok w zacieniony kąt ganku, gdzie wisiała huśtawka. Odruchowo podniosła dłoń do szyi, serce załomotało gwałtownie. Huśtawkę okupował jakiś mężczyzna. Siedział z rozsuniętymi szeroko nogami i palił papierosa. W ciemnościach widziała jedynie zarys barczystych ramion i głowy. Czubek papierosa zajaśniał ostro, kiedy mężczyzna zaciągnął się, a po chwili ściemniał ponownie.

## Rozdział dwudziesty siódmy

- Omal nie umarłam ze strachu! - zawołała z furią Grace, rozpoznając Marina.

- Nie wiedziałem, że spotyka się pani z kimś.

A ja nie wiedziałam, że pan pali - odparowała, podchodząc bliżej. Jego nieodłączna skórzana kurtka była zapięta niemal pod samą szyję, nad głową unosił się dym z papierosa, biały i wiotki; jego zapach roznosił się wokoło.

- Wygląda na to, że niewiele wiemy o sobie, czy nie tak? - Znowu podniósł papierosa do ust, nie odrywając od niej wzroku. - Ładny strój, tak a propos.

- Właściwie co pan tu robi? - Nagle przeszła ją straszliwa myśl, serce załomotało gwałtownie. - Jessica...

- Z nią wszystko w porządku.

Marino zaciągnął się po raz ostatni i cisnął niedopałek papierosa przez poręcz, między gałęzie kaliny.

- Nie powinien pan tego robić. Łatwo w ten sposób wzniecić pożar - zaprotestowała Grace, choć myślami przebywała gdzieś indziej.

- Na to jest za mokro. A tak w ogóle, to chyba powinna pani wiedzieć, że to nie mój papieros. Kiedyś, dawno temu, paliłem, ale skończyłem z tym. Pudełko z dwoma papierosami i zapalniczkę znalazłem ukryte pod poduszką, kiedy tu usiadłem. Postanowiłem wypalić oba, aby się przekonać, czy smakują mi tak jak dawniej. Nie smakowały.

- Więc czyje...? - zaczęła Grace i urwała w pół zdania; prychnięcie z ust Marina było bardziej wymowne, niż gdyby ubrał swoją opinię w słowa. - Myśli pan, że to papierosy mojej córki?

- Chyba że pani tu siaduje, by palić.

- Ale ona nie... - Znowu urwała pod wpływem jego kpiącego wzroku. W duchu musiała, chociaż niechętnie, przyznać mu rację. Jeśli na ganku były schowane papierosy i zapalniczka, ich właścicielem mogła być tylko Jessica.

- Ale co pan tu robi? - powtórzyła pytanie. Sprawą papierosów zajmę się potem, postanowiła. Po tym wszystkim, co przeszłam ostatnio z córką, fakt, że pali po kryjomu, to małe piwo.

- Obiecałem, że potraktuję to wszystko serio, nieprawdaż? Przyszło mi na myśl, że jeśli ktoś naprawdę śledzi panią lub jej córkę, musi kręcić się często koło tego domu, warto więc posiedzieć tu po ciemku jakiś czas i przekonać się, czy zjawia się ktoś obcy.

Brzmiało nieźle. Nawet lepiej niż nieźle. Dlaczego nie wpadłam na to wcześniej? - pomyślała Grace. Ktokolwiek był sprawcą tego, co działo się ostatnio, musiał przecież obserwować ich dom bardzo dokładnie. A jeśli tak, schwytanie go nie powinno stanowić wielkiego problemu.

- I jak? Dostrzegł pan coś? - zapytała. Nagle poczuła się znacznie lepiej.

- Ani żywej duszy. To znaczy, dopóki nie nadjechał pani przyjaciel.

Na myśl o tym, że Marino był świadkiem ich pocałunku (rzuciła szybkie spojrzenie nad poręczą ganku, aby sprawdzić, jak wiele mógł zobaczyć, przy czym przekonała się, że naprawdę dużo, skoro całowali się w blasku latarni), poczuła się zakłopotana. To głupie, ofuknęła się w duchu. Ostatecznie jestem dorosła i mam prawo całować się, z kim chcę.

- John nie jest moim przyjacielem w takim sensie, jak pan myśli, lecz kolegą z sądu - powiedziała i natychmiast uprzytomniła sobie, że nie musi mu w ogóle niczego wyjaśniać.

- Ach! Nie przypuszczałem, że sędziowie mają w zwyczaju całować się na dobranoc. U gliniarzy na przykład tak nie ma, ale widocznie wśród sędziów jest

pod tym względem inaczej.

- Bardzo zabawne - mruknęła Grace.

- Staram się.

- A jak wypadły chrzciny bratanicy?

- Dobrze. Zjawiła się cała rodzina w komplecie, dwadzieścia siedem osób.

Dziecko wrzeszczało cały czas. Reszta oczywiście zachowywała się godnie.

- Ma pan tak liczną rodzinę?

Wzruszył ramionami.

- Jestem jednym z sześciu braci. Sami gliniarze, sami katolicy. Co jeszcze mogę rzec?

- O mój Boże.

- Niezłe podsumowanie.

- Rodzice żyją?

- Matka. Ojciec zmarł dwanaście lat temu. On też był gliniarzem.

- I cała rodzina mieszka tutaj w mieście? Matka i bracia? - Wydało jej się to fascynujące: liczna rodzina, wszyscy mieszkają tak blisko siebie, że bez problemu zjawiają się w komplecie na chrzcie dziecka. I wszyscy mężczyźni w policji. Biedna matka.

- Robby, najmłodszy, mieszka w Dayton, ale w razie potrzeby on też przyjeżdża ze swoimi.

- Które miejsce pan zajmuje w tej grupie?

- Drugie. Po Dominiku.

- A on jest o trzy lata starszy od pana. Pamiętam. - Grace uśmiechnęła się lekko.

- Naprawdę?

- Ile on ma lat?

- Dom? Czterdzieści dwa. Wynika z tego, że ja mam trzydzieści dziewięć, jeśli to panią interesuje.

Interesowało, nawet bardzo, ale za nic na świecie nie przyznałaby się do tego.

- Wejdzie pan na filiżankę kawy? - zapytała, zmieniając temat.

- Nie.

Huśtawka zaskrzypiała ponownie, kiedy zakołysał się na niej łagodnie. Dzwonki wietrzne odezwały się i ucichły. Noc nie była wietrzna, tylko wilgotna.

- Muszę wejść do środka i zwolnić Lindę.

- W porządku.

Grace odwróciła się, wyjęła z torebki klucze i weszła do domu. Powitały ją ciepło i swojski zapach mieszkania. Światła na dole były zgaszone we wszystkich pomieszczeniach prócz pokoju na tyłach domu, gdzie Linda, leżąc wygodnie na kanapie, oglądała film na HBO.

- Och, dobry wieczór, pani Hart - powiedziała na widok Grace i wstała. - Nie przypuszczałam, że wróci pani tak wcześnie.

Grace uśmiechnęła się.

- Byłam trochę zmęczona. Gdzie Jessica?

- Jeszcze przed dziesiątą poszła do łóżka.

- Wszystko w porządku?

Grace przeszła do kuchni, gdzie zostawiła na blacie torebkę. Linda przytaknęła i udała się za nią, ziewając. Grace zaparzyła kawy, zapłaciła dziewczynie i przez chwilę gawędziła z nią, nim wypuściła tylnymi drzwiami. Nie sądziła, aby Linda wiedziała w ogóle o Tonym, pełniącym wartę na ganku.

Weszła na górę, aby się przebrać i zajrzeć do Jess. Drzwi do sypialni córki okazały się jednak zamknięte na klucz. Grace zapukała cicho, ale nie doczekała się odpowiedzi. Usłyszała za to dudnienie basów jakiegoś zespołu rockowego.

Widocznie Jessica zasnęła, słuchając nagrań. Zazwyczaj nie zamykała się w swojej sypialni, ale Grace przypomniała sobie, że parę godzin wcześniej ona też zamknęła swoje drzwi na klucz.

Ta cała historia wytrącała je obie z równowagi.

Grace zamieniła wyjściowy kostium na niebieski dres, który miała na sobie wcześniej, zeszła do kuchni, naląła dwa kubki kawy i pamiętając o upodobaniach Marina, dosypała do jednego łyżeczkę cukru. Następnie ściągnęła z wieszaka brązową wełnianą budrysówkę, narzuciła ją na siebie i wyszła na ganek. Marino nadal siedział na huśtawce, z głową wspartą na poduszce, z twarzą zwróconą na podwórze, aby móc widzieć wszystko, co się tam dzieje.

Spojrzał na nią, gdy otworzyła drzwi. Było już, jak przypuszczała, po dwunastej, zrobiło się znacznie chłodniej. Wzmógł się też wiatr, dzwoneczki pobrzękiwały srebrzyście, akompaniując posepnie szeleszczącym liściom, trzeszczącym gałęziom i skapującym z dachu kroplom deszczu.

- Przyniosłam panu kawę - powiedziała i wyciągnęła do niego rękę z kubkiem.

Wyprostował się na huśtawce, wziął kubek.

- Dziękuję.

- Proszę nie myśleć, że tego nie doceniam - powiedziała cicho, stojąc przed nim. - To znaczy... że przychodzi pan tu. Na pewno ma pan inne sprawy na głowie.

- Żaden problem. - Upił łyk kawy i podniósł na nią wzrok. - Jestem gliniarzem, nie pamięta pani? Na tym polega ten zawód.

Usiadła na bujaku tak blisko huśtawki, że Marino dotknął przelotnie kolanem jej uda, kiedy zakołysał się lekko. Ujęła kubek w obie dłonie, delektując się jego ciepłem i aromatem kawy.

- Chyba nie zamierza pan przesiedzieć tu całą noc? - zapytała, upijając łyk.

- Zostanę tu tak długo, jak będzie trzeba - odparł.



- Jest chłodno. Przemarznie pan.

- Na pewno nie.

- Gdzie jest pański samochód? - zapytała, uprzytomniwszy sobie nagle, że podjazd jest pusty. Jej volvo stało w garażu.

- Kilka przecznic dalej. Zaparkowałem na ulicy, aby wyglądało, że pani i Jessica jesteście w domu same.

- A jeśli ten ktoś zjawi się dopiero jutrzejszej nocy, a nie dziś?

- Jutrzejszą noc też spędzę tutaj.

- Chyba nie spędzi pan reszty życia na moim ganku!

- Wcale nie mam takiego zamiaru. O ile dobrze pamiętam, w poniedziałek mają wymienić zamki w drzwiach i zainstalować system alarmowy, nieprawdaż?

Wpatrywała się w niego w ciemności. I nagle coś zrozumiała. Marino nie siedział na ganku w nadziei, że kogoś schwyta. Pewnie w ogóle nie wierzył w istnienie kogoś zasługującego na schwywanie. Marino siedział na ganku w tę zimną sobotnią noc, gdyż wiedział, że ona i Jessica boją się być w domu same.

- Chwilami bywa pan bardzo miłym facetem, detektywie Marino, wie pan o tym? - Posłała mu wyjątkowo ciepły uśmiech, rzadko widoczny na jej twarzy.

Spojrzał na nią uważnie, a potem odpowiedział charakterystycznym dla siebie krzywym uśmiechem.

- Jeśli uwieczni to pani na piśmie, oprawię tę wypowiedź i powieszę na ścianie. Nie usłyszałem jeszcze z pani ust nic przyjemniejszego.

Przez chwilę patrzyli tylko, uśmiechając się do siebie, ale potem Grace przypomniała sobie coś i powiedziała niemal niechętnie, nie chciała bowiem psuć nastroju tej chwili:

- Dziś, po pana wyjściu, zauważyłam brak jednej fotografii na ścianie przy schodach. Na tym zdjęciu byłam ja z Jess.

Upił łyk kawy i spojrzał na nią z namysłem.

- Co pani sugeruje?

- Myślę, że to on ukradł zdjęcie. Ten sam człowiek, który podrzucił nam tort i zostawił ten napis na lustrze. Teraz zabrał fotografię.

Marino wydał z siebie stłumiony dźwięk, który zabrzmiał jak westchnienie cierpiącego człowieka. Grace zjeżyła się, niemal natychmiast jednak uznała, że powinna uszanować jego sceptycyzm. Ostatecznie siedzi tu, na jej ganku, w środku nocy, choć chyba nie musi.

- Mogę zobaczyć?

Odstawiła swój kubek na stół i podniosła się z bujaka. Marino uczynił to samo, następnie wszedł za nią do domu. Idąc w stronę schodów, czuła jego obecność za plecami. Do hallu docierało niewiele światła z kuchni. Grace czym prędzej zapaliła żyrandol nad schodami i zamrugała oczami, oślepiona jaskrawym blaskiem żarówek. Dopiero po paru sekundach weszła wyżej.

- Fotografia wisiała tutaj - powiedziała.

Dotknęła palcem płaskiej główki gwoźdźcia i odwróciła się, aby spojrzeć na Marina. Mimowolnie musnęła przy tym dłonią jego piersi i poczuła chłodny dotyk skórzanej kurtki oraz twardość umięśnionego ciała. Zaskoczona uprzytomniła sobie, że on stoi tuż przy niej, tak blisko, że czuła ciepło jego ciała, a także zapach skórzanej kurtki i dymu tytoniowego. To krótkie spojrzenie wystarczyło jej, by dostrzec drobny kosmyk czarnych włosów na piersi u nasady szyi, obłóść dolnej wargi, pełniejszej od górnej, skośne łuki grubych czarnych brwi.

Stał na schodach dwa stopnie niżej, a jednak ich oczy znajdowały się niemal na jednym poziomie. Jego były lekko przekrwione, jakby w wyniku chronicznego niedospania, oraz nieznacznie zmrużone, gdy wpatrywały się we wskazywane przez nią miejsce.

Grace zdała sobie sprawę, zupełnie nieoczekiwanie, jak gorąco pragnie go dotknąć, położyć dłonie na tych szerokich ramionach, nachylić się ku niemu i...

A on, zamiast na gwóźdź, patrzył teraz wprost w jej oczy, a po chwili opuścił wzrok trochę niżej, na jej usta. Czyżby coś w wyrazie jej twarzy zdradziło, o czym myślała? Zmieszana, czym prędzej odwróciła się znowu do ściany, modląc się w duchu, aby Marino nie dostrzegł jej rumieńców.

- Powiesiłam tu trzy zdjęcia - powiedziała. - A teraz, sam pan widzi, wiszą tylko dwa. Na każdym z nich jestem razem z Jess, a zdjęcia były robione co trzy lata. To, które zginęło, jest mniej więcej sprzed roku. Naprawdę tu wisiało, widzi pan przecież, że jest jeszcze gwóźdź.

- Grace... - Wymówił jej imię przeciągle, w sposób, który wyrażał troskę i zarazem desperację.

A więc jednak uznał zniknięcie fotografii za incydent pozbawiony znaczenia! Znowu zaczął w niej narastać gniew.

- Moim zdaniem zdjęcie zabrała ta sama osoba, która podłożyła tu tort - powiedziała stanowczo.

- Nie twierdzę, że to niemożliwe, ale...

- Miałam wrażenie, detektywie, że zamierza pan podejść do tej sprawy poważnie! - Nie chcąc zbudzić Jess, Grace starała się nie podnosić głosu, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem.

Marino westchnął.

- I znowu próbuje mnie pani sterroryzować.

- Zapomnijmy o tym - powiedziała oschle. - To bez sensu. Pan i tak już wyrobił sobie zdanie na ten temat. Pana zdaniem nie dzieje się po prostu nic. Wszystko jest wytworem mojej wybujałej wyobraźni!

- Dodam do akt notatkę o zaginięciu tej fotografii, dobrze?

Jego głos brzmiał kojąco i ten fakt zirytował ją bardziej niż cokolwiek innego.

- Nieważne! Po prostu zapomnijmy o tym! - Ruszyła w dół pełna furii, z

impetem, omal nie spychając go niechcący ze schodów. Wyciągnęła rękę do kontaktu i zgasiła światło. - Niech pan wraca na ganek! - rzuciła przez ramię. - Albo w ogóle do domu! Jeśli nie dzieje się nic, to chyba nie ma sensu, aby kręcił się pan bez przerwy obok mnie, udając ochroniarza, co? Zresztą...

- Ćśśś!

Marino błyskawicznie znalazł się u podnóża schodów, gwałtownie objął Grace oburącz i przyciągnął do siebie, nakrywając jednocześnie jej usta dłonią. Jego działanie było tak nagłe, tak niespodziewane, że bezwolnie zastosowała się do polecenia: umilkła i zawisła w jego ramionach, nie stawiając żadnego oporu.

- Proszę spojrzeć! - szepnął jej do ucha, obracając twarzą w stronę salonu. Aby utrzymać się na nogach, Grace zacisnęła dłonie na obejmującej ją ręce. Skórę jej policzka drapał ostry zarost na jego podbródku. - Za oknem po prawej!

Przez chwilę tylko wodziła wzrokiem od cienia do cienia, zdezorientowana. Ale potem dostrzegła: w blasku światła na zewnątrz pojawiła się skradająca się postać, Jej kontury zarysowały się wyraziście na zaciągniętych zasłonach, aby po paru sekundach zniknąć.

## Rozdział dwudziesty ósmy

- Proszę tu zostać! - szepnął Marino. Puścił Grace, po czym sięgnął ręką za plecy, wyciągnął zza paska pistolet i niemal bezszelestnie wybiegł z domu frontowymi drzwiami.

Zostać tu? Jeszcze czego! Grace przebiegła do kuchni po swoją broń, mając

już w głowie gotowy plan: wyjdzie na zewnątrz tylnymi drzwiami i w ten sposób odetnie intruzowi drogę ucieczki.

Sama myśl o tym, że za chwilę przyczyni się bezpośrednio do schwytania przestępcy, który dybie na jej córkę, napełniła Grace uczuciem dzikiego tryumfu. W przeszłości zastanawiała się niejednokrotnie, czy byłaby zdolna strzelić do kogoś, gdyby zaszła taka potrzeba. Teraz wreszcie mam odpowiedź, pomyślała, wymykając się z domu z pistoletem w dłoni. Teraz wiem, że jestem do tego zdolna.

Tylne drzwi wychodziły na wybetonowaną ścieżkę wiodącą do garażu, długą na prawie cztery metry i szeroką na półtora, teraz moką od deszczu i śliską. Wzdłuż ścieżki rosła werbena, sięgająca niemal krawędzi dachu, tworząc zielony tunel. Po obu stronach pozostawiono w szpalerze luki, dostatecznie obszerne, aby umożliwić przejście na podwórze, tylne i frontowe. Przez jedną z nich Grace wyszła ostrożnie na poprowadzoną wokół podjazdu dróżkę wyłożoną płytami, nie przejmując się prysznicem z zimnych kropli deszczu, które strząsnęła, potrącając gałązki, ani podmuchem chłodnego powietrza. W dłoni ścisnęła kurczowo pistolet, wzrokiem przeczesywała otoczenie.

Wszędzie panował gęsty mrok, poza świetlistym kręgiem wokół latarni nieopodal. Miejsce, gdzie stała, osłonięte z jednej strony przez dom, a z drugiej przez garaż, okrywał cień. Grace widziała wyraźnie cały teren wzdłuż żywopłotu między podwórzem i podjazdem, ale resztę widoku zasłaniał dom. Z mocno bijącym sercem ruszyła do przodu.

Gdzie Marino? I gdzie się podział ten intruz? Kierunek, w którym przesuwiał się przedtem cień za oknem, dopuszczał tylko jedną odpowiedź: tylne podwórze.

Grace odwróciła się i w tym momencie ujrzała na dachu pasażu postać. Była ciemniejsza od szarego jak węgiel drzewny nieba, toteż na jego tle odcinała

się wyraźnie. Ktokolwiek to był, zamierzał najwyraźniej dostać się do domu przez dach, opadający nad tylnymi drzwiami na tyle nisko, że niemal stykał się z dachem pasażu. Stąd mógłby wypatrzeć jakieś niedomknięte okno na piętrze...

Paru następnych sekund Grace nigdy nie potrafiła potem wspominać bez dreszczu trwogi: uniosła pistolet, wycelowała...

- Stać! Policja! - krzyknął z podwórza Marino.

Głos wydawał się przytłumiony i odległy, ale rozkaz zabrzmiał jednoznacznie. Człowiek na dachu wyprostował się niczym kukiełka, której sznurek gwałtownie pociągnięto, i spojrzał w stronę, skąd dobiegł go głos, tracąc przy tym równowagę. Rozpaczliwie zamachał rękami i z cichym okrzykiem runął w dół.

Grace skamieniała. Ten głos rozpoznałaby zawsze i wszędzie.

- Jessica! - zawołała przerażona i co sił w nogach pobiegła w tamtym kierunku.

Na podwórzu ujrzała córkę leżącą na trawie z bezwładnie rozrzuconymi rękoma; obok niej klęczał Marino. Grace padła na kolana obok policjanta, nie bacząc na mokrą trawę. Zapomniała nawet o pistolecie, nadal ściskanym kurczowo w dłoni. Nachyliła się nad leżącą na wznak córką.

- O Boże, chyba nie zrobiłaś sobie nic złego?

- Jezu! - mruknął Marino, kiedy jej ręka z pistoletem opadła niemal na jego kolano. Błyskawicznie wyłuskał jej broń z dłoni. Grace chyba nawet tego nie zauważyła. Całą swoją uwagę skierowała na córkę, która - choć biała na twarzy jak śnieg - na szczęście otworzyła właśnie szeroko oczy.

- Cześć, mamó - szepnęła.

Grace poczuła, jak krew uderza jej do głowy.

- Cześć, mamó? - powtórzyła z niedowierzaniem głosem o kilka oktaw wyższym niż zazwyczaj. - Jessico Lee Hart, wyjaśnij mi łaskawie, co robiłaś na

tym dachu.

- Moim zdaniem znowu próbowała wymknąć się z domu - mruknął sucho Marino, widząc, że dziewczyna milczy.

Grace przeszywała córkę wzrokiem. Na moment zamknęła oczy, aby łatwiej opanować emocje; kiedy je otworzyła, Jessica wstawiała właśnie z ziemi, otrzepując sobie ubranie.

- Naprawdę jest mi bardzo przykro, mamó - szepnęła skruszona.

- Nic ci nie jest?

Pytanie zabrzmiało ostro. Jessica potrząsnęła głową.

- Idź do domu.

Grace wiedziała, jak nienaturalny jest jej spokój. Nie czuła w tym momencie nic, w głowie miała kompletną pustkę. Nic. Lodowaty chłód. Jestem w szoku, stwierdziła beznamiętnie. Ale może właśnie to było dla niej najlepsze w tej chwili.

Jessica weszła do ciepłej, jasno oświetlonej kuchni, tuż za nią Grace. Marino wszedł ostatni i zamknął za sobą drzwi. Częstką umysłu, będącą jeszcze w stanie rejestrować takie rzeczy, Grace dostrzegła, że Marino trzyma w dłoni jej pistolet. Swoją zatknął pewnie za pasek.

Jessica obeszła stół, zostawiając na podłodze grudki błota zmieszanego z trawą, i odwróciła się twarzą do matki. Dłonią z zielonymi paznokciami oparła się o blat przy zlewie, drugą odgarniała sobie z twarzy długie kosmyki jasnych włosów. Grace zauważyła, że soczystoróżowy dotąd kosmyk z przodu jest teraz fioletowy. Widocznie Jess przefarbowwała go, kiedy siedziała w domu z Lindą. Jej włosy i ubranie były mokre, umazane błotem. Miała na sobie dżinsy i czarną skórzaną kurtkę; te same, w jakich udała się przedtem do centrum handlowego. Grace zerknęła na wieszak. Przypomniała sobie teraz, że po powrocie z centrum Jess zdjęła kurtkę i powiesiła ją w hallu. Jak to się stało, że po spotkaniu z Johnem

nie zauważyła, że kurtki nie ma już na wieszaku? Nie zorientowała się nawet, że Jess wyszła z domu, gdzie mogła czuć się w miarę bezpiecznie!

- Gdzie byłaś? - zapytała cicho głosem tak opanowanym, że nawet jej samej wydał się nienaturalny. Podeszła do krańca bufetu, podobnie jak Jess oparła dłoń na chłodnych kafelkach i utkwiała wzrok w córce, jakby miała przed sobą istotę z innej planety.

Jak mogła tak postąpić? Wymknąć się z domu ponownie? Czyżby to wszystko, co przeszły, nie miało dla niej żadnego znaczenia? Na samą myśl o tym, że córka włóczyła się gdzieś w ciemnościach, bez ochrony, mimo iż ktoś czyhał na nią, Grace martwiała z trwogi. Czy Jessica zupełnie zwariowała? Czyżby zanikł u niej instynkt samozachowawczy?

- Mamo, przepraszam - powiedziała Jessica. Miała teraz twarz białą jak papier i nienaturalnie duże oczy, do których napływały już łzy. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Grace uprzytomniła sobie, że widok córki w rozpaczycie wcale jej nie wzrusza. Ani trochę.

- Gdzie byłaś?

Tym razem w pytaniu zabrzmiała taka furia, że Jessica nerwowo zamrugła oczyma.

- Na imprezie... Byłam na imprezie. Wiedziałam, że mnie nie puścisz, więc poszłam bez twojej wiedzy. Przepraszam.

Ostatnie słowo kłóciło się z jednoznaczną postawą: zadarta wysoko głowa, zaciśnięte pięści.

Grace czuła, że jej wściekłość rośnie.

- Zamknęłaś drzwi sypialni i wymknęłaś się przez okno, tak? Celowo zamknęłaś swoje drzwi na klucz i nastawiłaś głośno odtwarzacz, abym myślała, że jesteś w pokoju, kiedy przyjdę, a sama wyszłaś przez okno na dach i stamtąd po treliażu dostałaś się za garaż, tak? - Grace widziała oczyma wyobraźni trasę, którą



pokonała Jess, tak wyraźnie, jakby leżała przed nią mapa. - Czy zdajesz sobie sprawę z grożącego ci niebezpieczeństwa? Trzymałam w ręku pistolet, detektyw Marino też był uzbrojony. Myśleliśmy, że mamy przed sobą tego typu, która włamał się wtedy do nas. A gdyby któreś z nas strzeliło? Albo gdyby ten łajdak zaczął się na ciebie i korzystając z okazji, zaatakował? Gdybyś spadła z dachu? Gdyby...

- Och, mamó! - przerwała jej Jessica. - Według ciebie wszystko, co robię, jest niebezpieczne! Zło kryje się wszędzie tam, dokąd idę, we wszystkim, co jem, nawet wśród moich przyjaciół! Po prostu chcesz, żebym już do końca życia miała stale dziesięć lat! A to nie jest możliwe. Zresztą to moje życie i chcę je przeżyć po swojemu!

- Skoro tak, młoda damo, nie będziesz już wychodzić z tego domu!

- A co, zamkniesz mnie w nim na klucz? To na nic. I tak się wymknę.

- Jeśli to zrobisz...

- To co, mamó? W jaki sposób mnie ukarzesz? Nic na to nie poradzisz!

Nic!

Ostatnie słowa Jessica wykrzyczała prosto w twarz matki. Grace poczuła zapach piwa.

- Na domiar złego piłaś!

- Tylko trochę piwa! I co z tego? To była impreza, impreza z piwem. Trochę się napiłam, jak wszyscy. I wiesz, co jeszcze robiłam? Wypaliłam kilka papierosów i parę skrętów... Słyszysz pan, detektywie? Parę skrętów. Migdałiłam się też z fantastycznym chłopakiem! I będę to robić zawsze, gdy przyjdzie mi ochota, nie powstrzymasz mnie, mamó, na pewno nie!

Tego było już za wiele. Po raz pierwszy od lat Grace straciła panowanie nad sobą.

- Może się założymy? - odparowała i zanim do jej świadomości dotarło, co

robi, zamachnęła się i uderzyła córkę w twarz.

Ostry odgłos uderzenia i jęk dziewczyny odbiły się w ciszy donośnym echem. Grace poczuła pieczenie w dłoni, jej twarz pobladła gwałtownie.

Lewy policzek dziewczyny różowieł z wolna, w miarę jak napływała do niego krew, wypełniając ślad po dłoni Grace.

Przez długą chwilę matka i córka tylko wpatrywały się w siebie.

- Nienawidzę cię - wykrztusiła wreszcie Jessica, przyciskając dłoń do bolącego policzka. - Chcę mieszkać z tatą!

Ciało Grace ogarnął bezwład, świat zawirował jej przed oczyma. Ale teraz nie było już mowy o odwrocie, o wzięciu córki w ramiona, przeproszeniu. Nie mogła teraz rozplakać się wraz z nią, wspominać dawnej obietnicy, że będzie spełniać wszystkie jej życzenia. Jeśli musiała o czymś pamiętać, to tylko o prawdziwej stawce tej gry.

- Idź do swego pokoju - poleciła spokojnie. - Porozmawiamy jutro.

- Drzwi są zamknięte, zapomniałaś? - Mimo łez ciekących po twarzy i dłoni przyciśniętej do policzka Jess zdołała zademonstrować nastrój buntu. - Nie mogę tam wejść.

- Otworzę te drzwi. Chodźmy.

Marino, który podczas tej burzliwej wymiany zdań między matką i córką pozostawał niemym tłem, odezwał się teraz cicho, zanim Grace zdążyła cokolwiek odpowiedzieć. Ona zresztą była zbyt wstrząśnięta, aby zabierać głos. Musiałam popełnić milion błędów, skoro doszło już do tego, myślała. A jeśli nic się nie da naprawić, co wtedy? Co ma robić matka, kiedy dorosła już niemal córka przestaje jej słuchać? Przykuć ją łańcuchem do ściany?

Marino wyszedł z kuchni tuż za rozcierającą dłonią policzek Jess. Grace odprowadzała ją tęsknym wzrokiem. W jej pamięci odżyła nagle słodka dziewczynka, święcie przekonana, że najwspanialszą istotą na ziemi jest jej

mamusia.

Gwałtownie odwróciła się, zacisnęła na krawędzi blatu obie dłonie, przylgnęła czołem do górnej szafki i zamknęła oczy. Stała tak, kiedy Marino wrócił do kuchni. Nie wiedziała nawet, czy upłynęło pięć minut, czy pięćdziesiąt. Usłyszała jego kroki, poznała je, nie starczyło jej jednak sił, aby otworzyć oczy. Czowała się zmęczona i osłabiona. I smutna. Bardzo, bardzo smutna. Tak jakby utraciła Jess bezpowrotnie.

- Już w porządku?

Marino stanął za nią, położył jej dłoń na ramieniu. Chyba nigdy przedtem nie czuła tak delikatnego dotyku jak ten. Uświadomiła sobie nagle, że nadal ma na sobie tę paskudną budrysówkę, którą założyła parę godzin wcześniej, a od kolan w dół ma przemoczone spodnie, mokre ma też nogi i w ogóle płacze.

Nigdy nie płakała. Dawno temu przekonała się, że płacz to jedynie strata czasu.

- Tak, w porządku - odparła głosem, który nawet jej samej wydał się obcy.

Marino zacisnął dłoń na jej ramieniu.

- Grace...

- Nic mi nie jest - odparła ostrym tonem.

Marino zdjął rękę z jej ramienia i cofnął się trochę. Nadal kryła przed nim twarz. W budrysówce zrobiło się jej za ciepło, zaczęła więc odpinać drewniane kołeczki. Chciała zyskać w ten sposób na czasie i dojść jakoś do siebie. Szamocząc się z zapęciem, poczuła zaskoczona, że Marino usłużnie przytrzymuje budrysówkę. Potem odłożył ją na bok. Grace, dziwnie wzruszonej tym drobnym przejawem uprzejmości, znowu napłynęły do oczu łzy. Czym prędzej zacisnęła powieki; nie chciała, aby Marino był świadkiem jej słabości.

- Czy... otworzył pan te drzwi? - zapytała z ledwie zauważalnym wahaniem w głosie. Nadal nie odwracała się do niego i trzymała oczy zamknięte. Te cholerne

łzy nie przestawały płynąć.

- Tak - odparł. - To nie było trudne. Grace...

Ujął ją oburącz za ramiona tuż nad łokciami, a ona ponownie uświadomiła sobie kojącą bliskość jego ciała.

- Niech pan zostawi mnie w spokoju. Proszę - szepnęła, gdy zaczął obracać ją twarzą do siebie. Otworzyła oczy i zamrugała kilkakrotnie, usiłując samą siłą woli powstrzymać łzy.

Marino nie zamierzał spełnić jej prośby.

- Hej, nie jest wcale tak źle.

Nie zważając na jej opór, delikatnie, ale stanowczo obrócił ją do siebie. Duma kazała jej podnieść na niego wzrok i znowu, jak już parę razy w ciągu ostatnich dni, zdumiało ją, jak bardzo jest wysoki. Czubkiem głowy nie dosięgała mu nawet do nosa. Jego szerokie ramiona zasłaniały jej widok na kuchnię. Nachylił się ku niej, tak że mogła dostrzec najdrobniejsze żyłki w lekko przekrwionych piwnych oczach oraz najdrobniejsze zmarszczki wokół nich.

- Właśnie, że jest źle - odparowała i wierzchem dłoni wytarła sobie oczy. - Bardzo źle. Po raz pierwszy w życiu uderzyłam moją córkę.

- Straciła pani panowanie nad sobą. To się zdarza.

- Och, Boże, czuję się jak... wyrodna matka. - Znowu zbierało się jej na płacz. Nie chciała tego mówić, nie chciała się zwierzać, zwłaszcza jemu, człowiekowi, który od pierwszej chwili kwestionował jej zdolności wychowawcze. A jednak to było silniejsze od niej. Czuła się okropnie, strasznie, a on był przy niej i okazywał jej życzliwość w momencie, gdy przede wszystkim potrzebowała właśnie silnego ramienia, na którym mogłaby się oprzeć i wypłakać... - Proszę zostawić mnie w spokoju - szepnęła błagalnie, unikając jego wzroku i próbując bez przekonania uwolnić się z jego uścisku. - Proszę mnie zostawić, zanim zrobię z siebie kompletną idiotkę.

- Grace, nie jest pani wcale wyrodną matką. - Jego głos brzmiał łagodnie, ale dłonie przytrzymały ją stanowczo, nie pozwalając odejść. - Wie pani, kogo widziałem od pierwszej chwili? Widziałem kobietę, która kocha swoją córkę i chce dla niej jak najlepiej. Widziałem też córkę, która kocha swoją matkę, ale chwilowo nie potrafi dać sobie rady z wyobrażeniami o własnych prawach. Na miłość boską, to przecież młoda dziewczyna. W tym wieku to normalne i nie ma sensu robić z tego problemu.

Grace podniosła na niego wzrok i mimo woli zaszlochała jeszcze raz.

- Kim pan jest? Mamusią, która pociesza? - zapytała, chcąc rozładować nieco nastrój.

- Może.

Wyraz jego twarzy przypieczętował jej porażkę. Wyglądało na to, że naprawdę troszczy się o nią. I znowu łzy napłynęły jej do oczu, pociekły po twarzy. Nie przywykła do tego, aby ktoś patrzył na nią w ten sposób.

- Och, Boże - powiedziała z rezygnacją. Dając za wygraną, opuściła głowę i oparła czoło na jego piersi. Wcześniej zdjął kurtkę, toteż poczuła na twarzy dotyk miękkiej flanelowej koszuli. - Uprzedzałam, że zrobię z siebie idiotkę!

- Proszę bardzo - szepnął i przygarnął ją mocniej. - Mam mnóstwo czasu. Całą noc.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Grace zacisnęła dłonie na spranej flaneli, pachnącej dyskretnie markową wodą, chyba Downy; trzymała się koszuli Marina kurczowo, jakby chodziło o życie. On zaś obejmował ją, delikatnie i opiekuńczo.

- Więc słucham, proszę opowiadać - zaproponował, a ona, pociągając nosem i pochlipując, mówiła o wszystkim, co leżało jej na sercu.

Opowiadała o Jessice, o tym, jaka z niej była grzeczna dziewczynka, jak starała się pokonać swoją chorobę, a także o swoich późniejszych podejrzeniach, jakoby Jess celowo nie wstrzykiwała sobie na czas insuliny, nie odżywiała się prawidłowo i w ogóle nie dbała o siebie; w ten właśnie sposób miałyby się przejawiać jej bunt przeciw matce. Mówiła o swoich wyrzutach sumienia, które nie dają jej spokoju, zdaje sobie bowiem sprawę, że zaangażowała się zbyt zawodowo, kiedy Jess była mała i potrzebowała jej opieki.

Mówiła o rozwodzie i jego wpływie na psychikę córki, o swoim lęku, że Jess wpadnie w tarapaty przez narkotyki, że gang narkotykowy chce się zemścić na dziewczynie.

Marino słuchał jej cierpliwie, cały czas nie wypuszczając z objęć, i raz po raz mruzczał coś ze współczuciem. Wreszcie umilkła i pozostała tak w jego ramionach, z głową opartą o jego pierś, rozkoszując się poczuciem błęgiego spokoju.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego - szepnął jej do ucha, muskając zarostem policzek - że przez czterdzieści pięć minut opowiadałaś mi o Jessice? A ja chcę dowiedzieć się jak najwięcej o Grace.

Spojrzała na niego, odsuwając głowę od jego piersi i przechylając ją tak,

aby móc dojrzeć jego minę. Nadal zaciskała dłonie na koszuli, ale już nie tak kurczowo jak przedtem. Jego twarz była tak blisko, w oczach widziała ciepło; w kącikach ust błakał się lekko kpiący półuśmiech.

- Co chcesz wiedzieć o mnie? - zapytała, marszcząc brwi.

- Twoje całe życie obraca się wokół niej, prawda?

- Ona jest dla mnie wszystkim.

- Może nie powinna być. Może na tym polega problem. Może dla odmiany powinnaś pomyśleć o sobie.

Poczuła rodzący się gniew, ale zdławiła go w jednej chwili, zanim jeszcze zdążył się rozwinąć. W końcu to, co mówił Marino, nie odbiegało zbyt od myśli, jakie nawiedzały ją samą od pewnego czasu: rzeczywiście musi, przynajmniej w pewnym stopniu, oderwać się od Jess. Jednak głos rozsądku z trudem docierał do jej serca.

- To już tyle czasu... Nie wiedziałabym nawet, od czego zacząć.

Temu wyznaniu towarzyszył cień uśmiechu. Grace puściła wreszcie koszulę, a dłonie oparła płasko o pierś Tony'ego, rozkoszując się kontrastem, jaki stanowiły miękka flanela i twarde, umięśnione ciało pod materiałem. Jej dłonie wznosiły się i opadały rytmicznie na jego piersi wraz z oddechem - i również to sprawiało jej przyjemność.

Właściwie podobało się jej w nim wszystko, począwszy od zapachu (nie przypuszczała, jak podniecająca może być woń Downy zmieszana z zapachem mężczyzny), poprzez to, że był od niej wyższy, szerszy, twardszy i silniejszy, aż po okazywaną jej przez niego życzliwość i troskliwość. Wszystko to w sumie tworzyło niebezpieczną mieszankę - i Grace wiedziała o tym.

Wiedziała też, że jeśli ma dość oleju w głowie, powinna czym prędzej uwolnić się z jego ramion i sama jakoś dojść do siebie. Nie mogła się jednak na to zdobyć, jeszcze nie w tej chwili. Było jej dobrze: po raz pierwszy od lat czuła, że

ktoś troszczy się o nią.

- Mogłabyś zacząć ode mnie.

Napotkała jego wzrok i zmarszczyła brwi, zdezorientowana.

- Od ciebie? W jaki sposób?

Uśmiechnął się jakby ze smutkiem. Jest naprawdę bardzo przystojny, pomyślała. Te piwne roziskrzzone oczy, ten jego nieśmiały uśmiech...

- Nie zorientowałaś się jeszcze, jak bardzo mi się podobasz?

Spojrzała na niego podejrzliwie, mrużąc oczy. Znowu zacisnęła dłonie na jego koszuli.

- Nnie.

- Chyba nie sądzisz, że jestem na zawołanie wszystkich w tym mieście przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, co?

- Ja... Nie pomyślałam o tym.

- A więc proponuję, abyś to w końcu zrobiła.

Jego dłonie na jej plecach delikatnie przesunęły się wyżej, a Grace poczuła ich dotyk nawet przez grubą tkaninę dresu. Jej dłonie jeszcze bardziej kurczowo zacisnęły się na fałdach flaneli, jak zafascynowana wpatrywała się w jego oczy, które zbliżały się nieuchronnie. Ich złocistopiwna głębia pociemniała i po chwili Grace widziała jedynie czerń źrenic okolonych obwódkami. Uprzytomniła sobie, że Tony chce ją pocałować i niecierpliwie rozchyliła usta.

Boże, jakże gorąco pragnęła tego pocałunku!

Przesunęła dłonie wyżej, na jego barczyste ramiona, i wspięła się na palce, aby dotrzeć ust. Kiedy ich wargi zetknęły się, Grace jęknęła. Nagły poryw żądz sprawił, że przywarła do niego całym ciałem i zarzuciła mu ramiona na szyję.

Na krótką chwilę oderwał się od niej.

- Chciałem zrobić to już wtedy, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy - szepnął i znowu przywarł do jej ust twardymi, natarczywymi wargami.



- Nieprawda - zaprotestowała zadyszana, uwalniając się na moment, aby odzyskać panowanie nad sobą i jasność umysłu. Ale on, patrząc jej w oczy, uśmiechnął się, wycisnął na jej ustach następny szybki, pożądliwy pocałunek - i natychmiast pomysł odzyskania panowania nad sobą poszedł w niepamięć.

- Chciałem, i to bardzo. Pociągają mnie takie władcze kobiety - szepnął Tony.

Jedyną reakcją, na jaką się zdobyła, był uśmiech; cała płonęła z oczekiwania, pragnienie przyprawiało ją o zawrót głowy. Ich usta zetknęły się i w następnej chwili to Grace całowała go zachłannie. Jej wargi i język były nie mniej rozpalone i pożądliwe niż jego, przywarła szczelnie do jego ciała, spragniona dotyku jego dłoni na sobie, zespolenia ich ciał...

- Poczekaj! Poczekaj! - szepnęła nagle gorączkowo. Odsunęła się trochę, przytrzymując oburącz jego pokrytą już dość szorstkim zarostem twarz. Musiała przyhamować trochę to szybkie tempo, zebrać myśli. - Nie wiem nawet... jesteś żonaty?

Uniósł głowę, spojrzał na nią oczyma, w których głębi dojrzała ciepło i uśmiech, i silne, gorące pożądanie.

- Nie, nie jestem żonaty. - Jego głos był teraz niski, ochrypły z namiętności, zabrzmiała w nim też jednak nuta wesołości.

- To dobrze.

Grace pragnęła zapytać o wiele innych spraw, omówić to i owo przed poczynieniem następnych kroków, nie potrafiła jednak zebrać myśli, gdy Tony ją całował, a jego dłoń wkradała się pod bluzę dresu...

Krzyk Jess, nagły i rozpaczliwy, podziałał na nich jak oblanie kubłem lodowatej wody.

Dłoń Tony'ego znieruchomiała, usta oderwały się od ust Grace i przez chwilę oboje tylko wpatrywali się w siebie, zamroczeni namiętnością do tego

stopnia, że nie mieli nawet pewności, czy to, co usłyszeli, nie było złudzeniem.

Krzyk rozległ się ponownie.

Grace odepchnęła Marina w tej samej chwili, gdy on wypuścił ją z objęć, i oboje co sił w nogach popędzili na górę. Tony wyprzedził Grace, ale zanim dotarli do sypialni Jess, usłyszeli tupot nóg w górnym hallu i niebawem ujrzeli dziewczynę; w jasnobłękitnej koszuli nocnej i z rozwianymi bezładnie włosami przywodziła teraz na myśl małe słodkie dziecko. Stała oparta o poręcz schodów i szlochała histerycznie.

- Nic ci nie jest? Wszystko w porządku? - zawołał Marino.

- Jessica! Jessica! - Grace była już przy córce.

- Mamo! Och, mamó! Jest na moim łóżku!

- Zostańcie tu obie - polecił Tony i pobiegł w stronę sypialni. Jessica, łkając, padła matce w ramiona.

- Kochanie, co się stało? - zapytała Grace, obejmując ją mocno; wcześniejsze nieporozumienia poszły natychmiast w niepamięć. Jessica, rozdygotana i zapłakana, tuliła się do niej tak mocno, jakby już nigdy nie miała jej puścić.

- Och, mamó, jakie to okropne! I za co? za co? - szlochała niepowstrzymanie z twarzą ukrytą na ramieniu matki.

- Kochanie, co... - urwała, bo w progu sypialni stanął Marino. Nie trzymał już pistoletu w dłoni, co oznaczało z pewnością, że cokolwiek złego się tu wydarzyło, nie stanowiło w tej chwili zagrożenia.

- Grace - powiedział - myślę, że powinnaś to zobaczyć.

Miał surowy wyraz twarzy i taki też ton głosu. Nie mogła uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, który parę minut temu całował ją tak namiętnie. Nie mogła uwierzyć, że jeszcze parę minut temu ona całowała go tak namiętnie!

- Jess, pozwól, pójdę zobaczyć... - Grace delikatnie próbowała uwolnić się

z ramion córki, ale ta trzymała się jej kurczowo.

- Idę z tobą! - chlipnęła.

Poszły więc razem, splecione ramionami. Marino czekał na nie w progu, marszcząc brwi. Kiedy zbliżyły się do niego, potrząsnął głową.

- Ona nie powinna patrzeć na to po raz drugi - powiedział cicho do Grace.

- Poczekaj tu, kochanie - poprosiła córkę. Delikatnie uwolniła się z jej objęć i zostawiając ją tak, opartą o framugę, podeszła do Marina, który bez słowa poprowadził ją w stronę łóżka.

- Położyłam się, a kiedy wyprostowałam nogę, poczułam... - zaczęła Jessica, ale wzdrygnęła się i urwała.

W sypialni paliła się tylko mała lampka nocna. Ubranie Jess leżało porozrzucane na podłodze - niechybnie kolejny przejaw buntu. Łagodny krąg złocistożółtego światła sięgał obszytej koronką poduszki w poszewce w różowe pasy z dołkiem wygniecionym przez głowę Jess. Kołdra była odchylona i zwisała z łóżka na dywan.

- Spójrz.

Grace spojrzała tam, gdzie wskazywał ręką Marino, pod wiśniowy pasiasty materac. Początkowo nie zorientowała się, co tam jest. Dopiero po chwili zrozumiała i aż jęknęła z wrażenia.

Pod materacem, w zamkniętej plastikowej torebce napełnionej wodą, leżał Godzilla. Martwy.

## Rozdział trzydziesty

- Och , nie! - Grace z dłonią przyciśniętą do ust cofnęła się o krok. Przerażona wpatrywała się w łóżko. - Och, nie!

- Ktoś go zabił - odezwała się z progu Jessica zdławionym głosem.

Bosa, drobna i krucha stała w swojej błękitnej koszuli nocnej, oparta o framugę drzwi, a po jej twarzy spływały łzy. Grace podeszła do niej i obie przytuliły się do siebie, jakby szukając oparcia.

Marino patrzył na nie w milczeniu.

- Ktoś go zabił - powtórzyła Grace słowa córki.

- Biedny Godzilla. - Jessica nie próbowała nawet powstrzymać łez. - Dlaczego mu to zrobili? To przecież tylko... chomik!

- Nie mam pojęcia, kochanie.

Sama myśl o losie, jaki spotkał Godzillę, była okropna. Ale wyobrażać sobie jeszcze, jaki to człowiek mógł się dopuścić tak podłego czynu... Nie, to straszne, lepiej o tym nie myśleć!

- Już dobrze, moje panie, zejźmy na dół. Nie chciałbym zatrzeć nawet jednego śladu, dopóki nie zjawi się brygada śledcza - rzekł Marino, stając za nimi; ogarnął je obie ramionami, aby dodać choć odrobinę otuchy, i poprowadził do schodów. Nawet w tak trudnym momencie Grace doceniła ten jakże potrzebny im teraz gest. Z ulgą dostrzegła też, że Jessica zaakceptowała go jako zupełnie naturalny w tych okolicznościach.

- A mówiłam, żebyś potraktował to poważnie! - rzuciła przez ramię do Marina. Na półpiętrze odwróciła się i spojrzała na niego, mrużąc oczy. - Chyba nie sądzisz już, że to tylko głupie żarty, co?

- Nie, już nie - odparł. - Ale nadal nie wiem, co o tym myśleć. Przede wszystkim należy ustalić bezpośrednią przyczynę śmierci chomika: czy utopił się w tej torbie z wodą, czy raczej zdechł śmiercią naturalną i dopiero potem ktoś go tam włożył? Od tego zależy tryb dochodzenia. Najpierw muszę odbyć kilka rozmów przez telefon.

Wbiła w niego stalowy wzrok. Stawką w tej grze było bezpieczeństwo Jess; wiedziała o tym doskonale. I bez względu na to, co czuła do Marina - a nad tym musiała się dobrze zastanowić już niebawem - dobro córki miało absolutny priorytet.

- Nie, to ja muszę zadzwonić. Zatelefonuję do prokuratora okręgowego. Zażądam ochrony policyjnej dla Jess, od zaraz. I dopilnuję, aby ją dostała.

- A ja to co? - zapytał sucho.

- Chodzi mi o oficjalną ochronę policyjną.

- Chcesz działać ponad moją głowę, sędzino?

- Owszem, taki właśnie mam zamiar, detektywie.

Wytrzymała jego spojrzenie. Oboje zdawali sobie sprawę z napiętności, jaka rozgorzała między nimi, istotny jednak w tej chwili był fakt, że ona jako sędzia stała w hierarchii nad nim, policjantem.

- W porządku. Dzwon, do kogo chcesz.

- Mamo, naprawdę myślisz, że ktoś na mnie czyha? - zapytała z lękiem Jessica.

W pierwszym odruchu Grace chciała zaprzeczyć, ale nagle opadły ją wątpliwości. W tych okolicznościach nie należy chyba stwarzać córce iluzorycznego poczucia bezpieczeństwa... W jej pamięci żywa była jeszcze wieczorna ucieczka Jess przez okno. Musi zrobić wszystko, co w jej mocy, aby to się już nigdy nie powtórzyło.

- Nie wiem, kochanie.

- Boję się - wyznała Jess drżącym głosem.

- Ja też.

Marino poruszył się niespokojnie.

- Grace, zabierz Jess do innego pokoju i pozwól mi zająć się sprawą, dobrze?

- Domagam się ochrony policyjnej dla córki - odparła zdecydowanie.

- Postaram się, żeby ją dostała.

Wymienili spojrzenia.

- Świetnie. Więc zrób to - mruknęła Grace.

- Właśnie mam zamiar.

Wszedł do kuchni, podniósł słuchawkę i wystukał numer. Grace, choć niechętnie, wyprowadziła córkę do saloniku. Gdy Marino telefonował, obie siedziały na kanapie, przytulone do siebie. Jessica przestała już płakać, nadal jednak drżała, więc Grace zarzuciła jej na ramiona wełniany szal, leżący jak zwykle w nogach kanapy, sama zaś zrzuciła pantofle, podkuliła nogi i oparła głowę Jess na swoim ramieniu. W takiej pozie zastał je Marino, kiedy wszedł do pokoju.

- I co? - zapytała Grace niecierpliwie.

- Kawaleria jest już w drodze - odparł. W ręku trzymał dwa kubki, a przez ramię przerzucił sobie różowy szlafrok kąpielowy Jess.

- To znaczy?

- To znaczy, że idziemy na całość. Macie obie pełną ochronę policyjną - wyjaśnił, stawiając kubki na drewnianym stoliku obok kanapy. - A póki co... proszę, oto kawa, pani sędzio - spojrzał na Grace - i gorąca czekolada bez cukru dla ciebie - przeniósł wzrok na Jess - oraz szlafrok. Zapewne będą chcieli zadać ci parę pytań, jak już się tu zjawia. Więc pomyślałem, że zechcesz coś założyć.

- Dziękuję - powiedziała Grace. Jej uwagi nie umknęło to szczególnie zaakcentowane „pani sędzio”, nie dziękowała też tylko za kawę. Na moment ich

spojrzenia się zetknęły, Grace uśmiechnęła się prawie niedostrzegalnie, pojednawczo, a jego oczy złagodniały odrobinę.

- Nie ma za co - odparł i wrócił do kuchni.

Grace upiła łyk kawy, a Jessica założyła szlafrok. Jej twarz, nienaturalnie blada, nosiła jeszcze ślady łez, oczy i nos były zaczerwienione od płaczu. Nawet teraz, kiedy najgorsze już minęło, jej oddech raz po raz przerywało łkanie.

- Nie napijesz się gorącej czekolady? - zapytała Grace. Wiedziała, że to ulubiony napój córki, teraz jednak Jessica uniosła kubek, spojrzała na jego zawartość, wzdrygnęła się i odstawiła go z powrotem.

- Jak myślisz, czy Godzilla cierpiał przed śmiercią? - zapytała zduszonym głosem.

Grace poczuła znowu bolesne ukłucie w sercu.

- Nie wiem, kochanie. Mam nadzieję, że nie.

Do pokoju wszedł Marino; w rękę trzymał kubek dla siebie.

Salonik był urządzony w sposób raczej niewyszukany. Pod jedną ścianą stała kanapa, mając za sąsiada bujak z jednej strony oraz granatowy skórzany fotel z pojemnikiem na pościel. Przed kanapą ustawiono mały owalny stolik, a naprzeciw niego telewizor na szafce z taśmami i książkami. Jedna z krótszych ścian skryła się za regałami na książki, druga mieściła szerokie okno z zaciągniętą w tym momencie zasłoną. W pokoju jednak było widno, świeciły się bowiem miedziane lampy po obu stronach kanapy oraz oświetlenie górne.

- Ktoś chce mnie zabić, tak? - zapytała Jessica drżącym głosem, kiedy Marino usadowił się w granatowym fotelu. - Czy to ma coś wspólnego ze sprawą narkotyków w szkole?

- Nie sądzę - odparł Marino, zanim Grace zdążyła otworzyć usta. - Nie sądzę też, aby ktoś w ogóle zamierzał cię zabić. Raczej ktoś usiłuje cię po prostu nastraszyć, nie wiem jeszcze z jakiego powodu. Dowiemy się jednak, kto to robi i

dlaczego. W każdym razie zapewnimy wam bezpieczeństwo, tobie i mamie. Obiecuję.

Patrzyły na niego obie, kiedy pił kawę. Wierzę mu, uświadomiła sobie Grace i poczuła, że jej napięcie opada. Bez względu na to, co było lub czego nie było między nimi, wierzyła, że dopóki Marino znajduje się w pobliżu, obie są bezpieczne.

Jessica zmarszczyła brwi, jakby nieoczekiwanie coś jej przyszło do głowy.

- A w ogóle, co pan tu robi w środku nocy? - zapytała podejrzliwie. Spojrzała na matkę. - Nasyłasz na mnie gliny?

- Nie wiedziałam, że wymknęłaś się z domu, dopóki nie zleciałaś z dachu - odparła Grace z przekąsem. - Gdybym wiedziała, powiadomiłabym policję, możesz mi wierzyć. Ale nie wiedziałam. Detektyw Marino próbował wyjaśnić różne inne rzeczy, kiedy ujrzeliśmy za oknem twój cień.

Przy ostatnich słowach spojrzała na Marina. Wspomnienie pocałunków wisiało między nimi, niemal namacalne, jak upał w gorące sierpniowe popołudnie. Miała wrażenie, że on jest nadal tym samym pewnym siebie, nieznośnym macho, który pojawił się w jej domu przed paroma tygodniami. A jednak wraz z tymi pocałunkami zmieniło się między nimi bardzo wiele.

Rozmowę przerwało przytłumione nieco, bo odległe, pukanie do drzwi frontowych.

- Otworzę - zaofiarował się Marino, kiedy Grace odruchowo zerwała się z miejsca. - To pewnie nasi w mundurach. Zazwyczaj przyjeżdżają pierwsi. Jessico, musisz powiedzieć, gdzie byłaś w nocy i z kim. Nie tylko dziś, ale za każdym razem, kiedy wymykałaś się z domu. Bądź przygotowana na tego typu pytania.

Po tych słowach, wypowiedzianych niespodziewanie poważnym głosem, wyszedł z pokoju. Przypomniawszy wybryk córki, Grace też spoważniała i



spojrzała na Jess z wyrzutem.

- Mamo, naprawdę bardzo mi przykro, że wyszłam z domu - mruknęła dziewczyna. - Nie powinnam była tak się zachować, wiem. Nie powinnam też była robić wielu innych rzeczy. Po prostu... jest chłopak, który bardzo mi się podoba. Zaprosił mnie na imprezę, a ja wiedziałam, że mnie nie puścisz, więc...

- Jeśli chciałaś pójść na imprezę, trzeba mnie było zapytać, Jess.

- A zgodziłabyś się, gdybym zapytała?

Grace westchnęła. Naprawdę nie potrafiła gniewać się długo na własną córkę, którą kochała nade wszystko.

- Pewnie nie - przyznała.

- Więc po co miałabym pytać?

- Po pierwsze, nie zostałabyś ukarana za samowolne wyjście z domu dożywotnim szlabanem - zaczęła wyliczać Grace.

Jessica skrzywiła się.

- Tak właśnie zamierzasz postąpić?

- Zastanawiam się nad tym. Powiem ci, kiedy już postanowię coś konkretnego.

- Inne dziewczyny chodzą na przyjęcia. Dlaczego mam być gorsza? To nie w porządku!

- Nie wierzę, że wszystkie twoje przyjaciółki, na przykład Emily Millhollen albo Polly Wells, bawią się na imprezach z chłopakami. Zwłaszcza na imprezach, gdzie pije się piwo, pali papierosy i marihuanę, a rodzice są nieobecni - zauważyła sucho Grace.

- Jeśli nie chodzą na takie przyjęcia, to tylko dlatego, że nie są zapraszane - mruknęła Jessica.

- Jessico... - zaczęła Grace i urwała w pół zdania, zobaczywszy Tony'ego, który wszedł do pokoju w towarzystwie swojego brata, Dominika, oraz jeszcze

jednego mężczyzny, zapewne też policjanta, choć nie w mundurze. Odgłosy dochodzące z głębi domu świadczyły o obecności jeszcze wielu innych policjantów.

- Grace, to mój szef, kapitan Gary Sandifer.

- Pani sędzino.

- Panie kapitanie.

Grace wstała i podała rękę wysokiemu, szczupłemu mężczyźnie w beżowym trenczu; przywitał się z nią z szacunkiem należnym pełnionemu przez nią urzędowi. To dodało jej pewności siebie. Energicznie uściśnęła dłoń kapitana.

- Jak słyszałem, ma pani pewne problemy... - zaczął Sandifer.

Jeśli pan pozwoli, wolałabym pomówić o nich gdzie indziej - przerwała mu Grace. - Córka jest już i tak bardzo zdenerwowana.

- Naturalnie.

Skierowali się do kuchni, ale w progu Marino przytrzymał Grace za rękę.

- Dominik chce zdobyć zeznanie Jess - powiedział przyciszonym głosem. - Ma córkę w jej wieku i potrafi rozmawiać z dziećmi, mam więc nadzieję, że wyciągnie od niej coś sensownego. Tak na marginesie: kwalifikujemy tę sprawę jako próbę zastraszenia sędziego. Jessica, będąc osobą prywatną, nie mogłaby liczyć na taką ochronę jak ty.

- W porządku. Świetny pomysł.

Więc jednak załatwił to. Nie była pewna, czy takie rozwiązanie przyszło jej do głowy. Świadomość, że Marino wykonał coś lepiej niż ewentualnie ona, stanowiła dla niej niemiłe zaskoczenie, ale w pewnym sensie dodawała też otuchy. Niemal już zapomniała, jak to jest mieć w kimś solidne oparcie.

Zerknęła na Jess, która z nikłym uśmiechem wyjaśniała coś Dominikowi, i weszła za Sandiferem do kuchni. Marino zakręcił się i pomaszerował na górę; pewnie chciał dopilnować tam wszystkiego.

- Wiem już, że miały tu miejsce różne niepokojące wydarzenia, łącznie z zabiciem ulubionego zwierzątka pani córki - powiedział Sandifer, kiedy zostali w kuchni sami. - A my bardzo nie lubimy, gdy ktoś próbuje zastraszyć sędziego lub kogoś z jego bliskich. Nadamy tej sprawie rangę absolutnie priorytetową i zapewnimy pani oraz córce ochronę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, dopóki nie znajdziemy sprawcy. Stale będzie wam towarzyszył któryś z naszych policjantów, ktoś będzie też czuwał w waszym domu w nocy. Jak wiem, detektyw Marino dobrowolnie zajął się tą sprawą od samego początku, podjął się też pilnowania pani domu w nocy. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciw temu. - Spojrzał na nią badawczym wzrokiem, a ona mimo woli zastanowiła się, czy przypadkiem pocałunki Marina nie pozostawiły jakiegoś widocznego śladu na jej ustach. Tę myśl odrzuciła natychmiast jako nedorzeczną.

- Nie, nie mam nic przeciw temu - zapewniła.

Sandifer kiwnął głową.

- Świetnie. Jeśli natomiast chodzi o pani córkę, przypuszczam, że jej rozkład dnia nie ulegnie zmianie? Nadal będzie chodzić do szkoły i tak dalej?

- Szczerze mówiąc, nie miałam czasu o tym pomyśleć. Ale chyba tak.

Ponownie skinął głową.

- Przydzielimy jej kogoś, kto będzie chodził za nią krok w krok. Nawet do szkoły. Mamy kilka policjantek, które wyglądają bardzo młodo. Myślę, że będą się do tego idealnie nadawać.

- Najważniejsza w tym wszystkim jest Jessica. Zależy mi głównie na zapewnieniu bezpieczeństwa jej. To wokół niej dzieją się te wszystkie wydarzenia.

- To samo powiedział detektyw Marino. Proszę się nie martwić, zatroszczymy się o jej bezpieczeństwo. Dopóki nie rozwiążemy sprawy, będziemy ochraniać ją i panią.

- Doceniam to.

- Przepraszam, pani sędzino...

Grace spojrzała pytająco na policjanta, który stanął u jej boku. Był niewysoki, mniej więcej jej wzrostu, miał czarne, przerzedzone już włosy i czarne szczeciniaste wąsy. Jej uwagę przyciągnęło jednak coś innego: policjant nosił rękawiczki podobne do chirurgicznych, a w rękach trzymał niedużą plastikową torebkę i długą pęsetę.

- Przepraszam, pani sędzino, ale muszę wziąć próbkę pani tkanki. Potrzebna będzie też próbka tkanki pani córki.

Grace zmarszczyła brwi.

- Po co?

- Żeby porównać wyniki ich analizy z tymi, jakie ewentualnie zrobimy na podstawie znalezionych tu dowodów i wyeliminować panią i córkę jako ich źródło.

- Jakie dowody spodziewacie się tu znaleźć?

- Włosy, krew, ślinę, może skrawek skóry, jeśli sprawca się skaleczył... Coś w tym rodzaju.

- Rozumiem.

- Proszę tylko otworzyć usta...

Kiedy policjant włożył jej wacik między zęby i okręcił go dokoła, Sandifer zapytał:

- Znaleźliście już coś?

- Nie wiem. Ja tylko zbieram próbki - odparł policjant. Wrzucił wacik do plastikowej torebki, zamknął ją i wyszedł z kuchni.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Tony stał przy jednym z dużych okien w pokoju Jess i przyglądał się, jak Randy Zoller z brygady dochodzeniowej skrupulatnie odkurza dywan. Cała zawartość torby z odkurzacza miała być potem dokładnie przebadana; szukano włosów i włókien z materiału. Charlene Young z tej samej brygady trzymała w ręku mniejszy odkurzacz; obiektem jej zainteresowania była pościel na łóżku.

Do pokoju wszedł Dominik. Tony postąpił krok w jego stronę.

- Nadal uważasz, że traktuję jej skargi zbyt poważnie? - zapytał cicho.

- To tylko martwy chomik, Tony, a nie morderstwo. Nawet gdybyśmy złapali tego kogoś na gorącym uczynku, moglibyśmy najwyżej oskarżyć go o znęcanie się nad zwierzętami lub o wkroczenie na teren prywatny.

Tony potrząsnął głową.

- Źle to oceniasz, braciszku. - Uniósł rękę i zaczął wyliczać na palcach poszczególne wykroczenia: - Próba zastraszenia. Zakłócanie funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Ingerencja w działanie urzędnika państwowego w celu zablokowania wypełnianych przez niego... przez nią obowiązków...

- Zwracam ci uwagę na fakt - przerwał mu Dominik - że to wszystko było wymierzone w córkę pani Hart.

- Gdyby ktoś chciał nastraszyć ciebie, jaki sposób byłby skuteczniejszy? Groźenie tobie czy twojej córce Christy?

Dom spojrzał na niego przenikliwie.

- Punkt dla ciebie.

- Wyciągnąłeś coś od Jess?

- Oczywiście. Wiem, gdzie była, z kim, jakich ma wrogów... a według niej

wrogo jest nastawiona połowa uczniów z Hebron. Wyznała mi jeszcze coś: pewnej nocy, kiedy to wszystko się zaczęło, siedziała na ganku i nagle odniosła wrażenie, jakby ktoś ją obserwował, ktoś ukryty na podwórzu. Uciekła do domu. Była tak przerażona, że tej nocy spała z matką w jej łóżku.

- Więc jednak coś jest na rzeczy?

Tony znał dobrze swojego brata; czuł, że Dominik zaczyna wierzyć, iż obawy Grace nie są bezpodstawne.

- Może. - Dominik wzruszył ramionami. - No dobrze, rzeczywiście dzieje się tu coś dziwnego. Ale moim zdaniem ktoś wziął sobie na cel nie matkę, lecz córkę.

Przez chwilę obserwowali, jak Charlene Young składa prześcieradło.

- Mówiłem: gdyby ktoś chciał cię nastraszyć...

- Wiem, wiem. Ale nie możemy uzasadnić prowadzenia śledztwa w tej sprawie ani całodobowej ochrony, jeśli jakiś dziwak jedynie straszy dziewczynę. Możemy to uczynić tylko w przypadku, gdyby chodziło mu o twoją ukochaną, bo ona jest urzędnikiem państwowym.

Tony spojrzał na brata kosym okiem.

- Co ty bredzisz o jakiejś ukochanej? Jeśli o mnie chodzi, uważam, że celem tego szaleńca jest Grace. Musimy przeanalizować prowadzone przez nią sprawy, sprawdzić ludzi, których skazywała w przeszłości i tak dalej.

- Coś mi się zdaje, że zostawię ci wolną rękę, abyś mógł przejrzeć to wszystko razem z Grace.

Posepny wzrok Tony'ego rozjaśnił się trochę.

- Kiedy usłyszałeś od kogoś ostatnim razem, żebyś się odpieprzył?

Dominik zrobił minę, jakby się zastanawiał.

- Jakieś parę dni temu. I chyba usłyszałem to z twoich ust.

Tony roześmiał się.

- Słusznie. Ale tym razem mówię poważnie. Chodź, bierzemy się do roboty.

Kiedy policjanci opuścili dom, było już po czwartej nad ranem. Jessica drzemała na kanapie w saloniku, a Grace siedziała w granatowym fotelu obok niej. Ziewała akurat, kiedy do pokoju wszedł Marino; wypuścił właśnie ostatnich policjantów z dochodzeniówki i zamknął za nimi drzwi.

- Wyglądacie obie na wykończone, idźcie spać - powiedział z nikłym uśmiechem.

- A co... - zaczęła Grace i ziewnęła ponownie.

- Opowiem ci wszystko, ale nie teraz. Kiedy wstaniesz wyspana. Idź do łóżka.

Ku własnemu zaskoczeniu uznała tę sugestię za zbyt nęcącą, by mogła ją odrzucić.

- Dobrze, niech będzie.

Wstała, podeszła do kanapy i pociągnęła Jess za rękę.

- Chodźmy, kochanie.

- Ale jestem zmęczona - jęknęła dziewczyna.

- Pomóc ci? - zapytał Marino, kiedy Jessica zachwiała się na nogach i Grace objęła ją w pól.

- Nie, poradzę sobie. W moim gabinecie na górze stoi leżanka. Wszystko jest przygotowane, musisz tylko zrzucić z niej jaśki. Jeśli potrzebujesz dodatkowego koca... - Ziewnęła ponownie.

- Znajdę, nie martw się o mnie. Dobranoc - odparł nieco suchym głosem.

- Dobranoc - odparła. Czuła się zbyt zmęczona, by jeszcze troszczyć się o niego. Oczy zamykały się same, a każdy oddech przeistaczał w ziewnięcie.

Ale gdy leżała już w łóżku (swoim, razem z Jess, która nie chciała nawet

słyszeć o powrocie do swojej sypialni), uprzytomniła sobie resztkami świadomości, że dziś po raz pierwszy od chwili, gdy znalazła na drodze pluszowego misia córki, może zasypiać spokojnie, a ów komfort psychiczny bierze się z przeświadczenia, iż ona i Jessica są bezpieczne.

Wszystko dzięki temu, że Marino jest z nimi w tym domu i spędzi tu całą noc.

## Rozdział trzydziesty drugi

Jedyną zaletą matki była umiejętność przyrządzania najlepszego na świecie puddingu ryżowego. Wyskrobał łyżeczką resztki z szerokiej miski i oblizał ją z rozkoszą. Następnie zakrył pieczołowicie puste naczynie i wstawił je z powrotem do lodówki. Była to zemsta, której dokonał z prawdziwą satysfakcją: ojciec miał wrócić do domu nazajutrz przed lunchem, a matka przyrządziła pudding specjalnie dla niego. Właśnie dlatego zjedzenie całego deseru było dla niego tak wielką frajdą.

W domu panowałyby egipskie ciemności, gdyby nie sina poświata z telewizora i promyk światła z lodówki, który jednak rozświetlił mrok tylko na moment, kiedy lodówka była otwarta. Matka leżała w łóżku. Zasnęła jeszcze w trakcie programu Jaya Leno; dlatego właśnie telewizor był nadal włączony. Aż tu, do kuchni, docierały strzępy dialogów i odgłosy jakiegoś idiotycznego nocnego filmu.

Donny junior przestał już dymać Caroline na kanapie w suterenie i teraz



wyprowadzał ją z domu. Widział ich oboje przez okno w kuchni, jak wymykali się na zewnątrz i trzymając się za ręce, biegli do auta. Podsluchiwanie ich, kiedy się pieprzyli, też było zabawne. A raczej podniecające. Naprawdę podniecające.

Od jakiegoś czasu zakradał się nocami pod dom Caroline i podglądał ją, kiedy przebierała się do snu. Oczywiście nie miała pojęcia, że on stoi pod oknem. Jej sypialnia znajdowała się na parterze, a zasłony nie stykały się ze sobą szczelnie pośrodku okna, więc wystarczyło stanąć w odpowiednim miejscu i przyłożyć oko do szyby, aby mieć odlotowy widok.

Zastanawiał się przez chwilę, czy ma ochotę tam iść. Jej dom znajdował się niedaleko, przy następnej przecznicy, a on mógł jeszcze skrócić sobie drogę; na przelaj, przez podwórza, dostałby się tam w trzy minuty. Ale dziś miał już i tak pełno wrażeń. Właściwie to padał z nóg.

Tak, dzień był naprawdę wspaniały. Nie tylko podrzucił Jess swój prezent, a nawet dwa prezenty, lecz wziął i dla siebie coś na pamiątkę, a potem ukrył się w pobliżu i obserwował sędzinę, jak wzywa policję. Chętnie zostałby tam dłużej albo wrócił około jedenastej w nocy lub później, aby się przekonać, czy znaleziono już drugi prezent od niego (wtedy sędzina wezwałaby policję już po raz drugi tego dnia, co oznaczałoby rekord), ale potem rozpadało się, postanowił więc pójść do kina. Za cenę jednego biletu przesiedział na widowni trzy seanse, następnie wrócił do domu w samą porę, aby posłuchać, jak Donny junior i Caroline zabawiają się w suterenie, a przy okazji wykończyć pudding.

Deszcz ustał, może więc wybrać się jednak pod dom Caroline? Nie na długo. Nie byłoby go tu zaledwie jakieś dwadzieścia minut, a potem położyłby się z powrotem, oczekując niecierpliwie ranka; matka wścieknie się, kiedy odkryje, że ktoś wyzwał pudding. Nie będzie miała wątpliwości, kto to zrobił: Donny junior nie lubił puddingu.

Co u diabła! Ściągnął z wieszaka w hallu czapkę i kurtkę do baseballu, na

wypadek gdyby znowu zaczęło padać, i wymknął się z domu tylnymi drzwiami.

Na dworze panował chłód, trawa była wilgotna i za każdym razem, kiedy niechcący trącał jakąś gałąź, dostawał się pod istny prysznic lodowatych kropli. Jedno z ogrodzeń, na które musiał się wdrapać - drewniany parkan z palików - okazało się tak śliskie, że jego lewa stopa zsunęła się w dół, a całą pachwinę przeszył straszliwy ból, kiedy całym ciężarem opadł okrakiem na górną deskę.

Cały czas, idąc potem pod dom Caroline, utykał i kłął pod nosem. Kiedy przecisnął się przez lukę w żywopłocie, ujrzał ją i swojego brata; stali na chodniku przed domem, całując się i migdałąc trochę na dobranoc. Patrzył na nich z zazdrością, dopóki Donny junior nie zdołał wreszcie oderwać się od dziewczyny i pobiegł na ulicę, gdzie zostawił samochód. Gdy Caroline machała mu na pożegnanie, jego braciszek zajmował dogodną pozycję, aby uzyskać widok najlepszy z możliwych.

Caroline wróciła do domu, weszła do sypialni i zapaliła światło, a on z nosem przyklejonym do szyby mógł dojrzeć większą część pokoju, zamknięte drzwi i kontakt na ścianie. Ucieszył się, że widzi też jej szafę i łóżko od połowy. Tam właśnie, w nogach, leżał dziś jej kot, tłusty biały pers, który podobnie jak on spojrzał z wyteżoną uwagą, kiedy Caroline zaczęła się rozbierać.

Boże, jaka ona cudowna! To typowe dla Donny'ego juniora: poderwać najseksowniejszą dziewczynę w szkole! Zawsze zdobywał to, co najlepsze, przez całe życie. Kiedy matka przyrządzała na kolację steki, jemu właśnie dostawał się największy. „Należy mu się”, mówiła matka. Kupowała mu najlepsze i najdroższe ubranie, ponieważ, jak tłumaczyła, on wygląda w tym tak ładnie! Rodzice spłacili połowę samochodu Donny'ego łącznie z całym ubezpieczeniem, podczas gdy on musiał sam zaoszczędzić na swój motocykl i nie starczyło mu już na ubezpieczenie. Donny dostawał zawsze wszystko, czego zapragnął, on natomiast, jego brat, musiał się zadowalać odpadkami.

Sypialnia Caroline była utrzymana w tonacji niebieskiej; wiedział, że to ulubiony kolor dziewczyny, może dlatego, że pasował do jej oczu. Meble w sypialni były białe z drobnymi złotymi ozdobami na krawędziach, co zapewne oznaczało jakiś dziwaczny styl, ale on się na tym nie znał. Przed oczyma miał teraz jej toaletkę naprzeciw okna, a Caroline stała przed nią i rozczesywała sobie włosy. Chociaż była zwrócona do niego plecami, widział w lustrze jej twarz, a właściwie ją całą z przodu aż do pasa. Miał nadzieję, że Caroline rozbierze się do końca, stojąc tak właśnie, ale stało się inaczej.

Odwróciła się i przeszła w bok, znikając mu z oczu. Kiedy ujrzał ją znowu, miała na sobie tylko stanik i dzinsy. Boże, co za widok! Była taka szczupła i seksowna, z cyckami pęczniejącymi nad błękitnym jedwabiem stanika, z tą swoją kremową skórą!

Jedyne, co mąciło jego przyjemność, kiedy Caroline sięgnęła ręką do suwaka w dzinsach, to świadomość, że Donny junior mógł robić więcej niż tylko patrzeć. Mógł...

Dziewczyna znieruchomiała nagle z dłonią na pasku, jakby usłyszała coś niepokojącego. Nie mogła usłyszeć jego, bo przecież nie wydał żadnego dźwięku. I w ogóle patrzyła teraz na lewo, tam, gdzie stało jej łóżko. Przechylił głowę, aby zobaczyć, na co ona patrzy.

Wielki biały kot siedział na łóżku jak przedtem, ale teraz utkwiał wzrok w oknie. Patrzył na niego! Jakby wiedział, że on tu stoi.

Cholera! Nie zdążył odskoczyć, schylić się lub ukryć, kiedy tuż przed nim zasłony rozsunęły się i ujrzał twarz Caroline. Patrzyła na niego przez szybę.

Z wrażenia omal nie zsikał się w spodnie.

Błyskawicznie padł na ziemię, mając nadzieję, że dziewczyna nie rozpozna go w tych ciemnościach. Promyk światła z pokoju liznął trawę tuż przed jego głową i niemal natychmiast zgasł, kiedy Caroline zaciągnęła z powrotem zasłony.

Odetchnął głęboko. Gdyby przyłapała go na podglądaniu, byłoby kiepsko. A nawet jeszcze gorzej. Wszyscy uznaliby go za zbrojeńca. A rodzice...

- Donny? Donny, to ty?

Jak to się stało, że ona już wyszła z domu? Wybiega zza węgła, szuka go!

Nie, nie jego. Szuka Donny'ego juniora!

Umykając na czworakach wzdłuż bocznej ściany, uświadomił sobie, że ma na głowie czapkę brata, czarną zamszową czapkę z emblematem drużyny baseballowej Byki z Chicago, dużym czerwonym wizerunkiem byka na przodzie, nosi też jego kurtkę. A więc Caroline, kiedy dostrzegła go przez okno, pomyślała, że to Donny junior.

Dzięki Bogu nie zorientowała się, kto tu jest. Jeśli tylko uda mu się zwiać stąd jak najprędzej...

- Donny? Co ty wyrabiasz?

Do tylnej ściany domu przylegała blaszana szopa na narzędzia. Wczołgał się w jej cień, w kąt, jaki tworzyła z domem, i przycupnął obok zwiniętego węża ogrodowego, porozrzucanych donic, łopaty i motyki oraz dużego worka nawozu. Serce waliło jak oszalałe, dzinsy od kolan w dół były przemoczone od trawy. Gdyby teraz spróbował przebiec przez podwórze, na pewno by go zobaczyła. Mógł mieć tylko nadzieję, że zdoła się ukryć. Jeśli dopisze mu szczęście, ona przejdzie obok, nie widząc go, i...

Ale czy kiedykolwiek, choć raz w życiu, dopisało mu szczęście?

- Donny?

Odważył się podnieść wzrok. Zbliżała się. Szła prosto w jego stronę. Na pewno zauważyła go już, myśli jednak, że to Donny junior, bo podchodzi bez wahania.

- Donny?

Jej głos był cichy i słodki, i kuszący. Znowu miała na sobie sweterek;

musiała go założyć, zanim wybiegła z domu. Nie miał innego wyjścia jak tylko wstać.

- Myślałam, że już pojechałeś. Zapomniałeś czegoś? Ja... - Urwała w tym samym momencie, kiedy dotknęła jego ramienia. Zrobiła duże oczy. - To nie Donny - zawołała.

- Ja... - zaczął, ale nic więcej nie chciało mu przejść przez gardło.

Nie musiał nic mówić. Kiedy się już zorientowała, kogo ma przed sobą, ogarnęła ją złość. Gwałtownie cofnęła rękę.

- Szpiegowałeś mnie, prawda? Podglądałeś przez okno, jak się rozbieram? Może się mylę? Jesteś chory, wiesz? Chory i obrzydliwy, i wstrętny, i... Powiem o wszystkim rodzicom. A oni zawiadomią policję. I twoich rodziców. Donny zleje cię na kwaśne jabłko, zobaczysz, i to ci się należy, ty mały szczurze!

Odwróciła się, by wejść do domu, i wzgardliwie odrzuciła głowę do tyłu, potrząsając włosami; każdy cal jej smukłego ciała wyrażał furię.

- Caroline, poczekaj...

Chwycił ją za rękę. Nie mógł pozwolić, by tak odeszła, nie mógł dopuścić, by opowiedziała o tym policji, rodzicom i wszystkim innym. Musi ją powstrzymać, przemówić jej do rozsądku. Ale jak?

- Puść mnie, ty zboczeńcu!

Wyrwała mu się i pobiegła w stronę drzwi.

Nie może jej tak puścić, musi ją jakoś powstrzymać... W panice, gorączkowo rozglądał się na boki, jakby oczekiwał stamtąd pomocy. I nagle dojrzał łopatę... Ale nie, nie! Tylko gdyby musiał...

- Caroline... - Dogonił ją, gdy doszła już do węgła, znowu chwycił ją za ramię, odwrócił ku sobie. - Caroline, proszę, nie mów nikomu...

Parsknęła szyderczym śmiechem i on już wiedział, że będzie musiał to zrobić, że nie ma innego wyjścia, bo w przeciwnym razie wszyscy się dowiedzą.

W tej ostatniej chwili, gdy zamierzał się łąpata, aby zadać cios w głowę, wyczytał w jej oczach, że ona wie, co ją czeka, wie, że ma umrzeć, wie, że on ją zabije. Wyczytał, że się boi...

Trafił ją łąpata w tym samym ułamku sekundy, gdy otwierała usta do krzyku, a cios był tak silny, że łąpata odskoczyła od czaszki, tak jak piłka odbija się od ziemi. Dźwięk był donośny, brzydki; przypominał odgłos dyni pękającej na betonie. Nadal wsłuchiwał się w echo tego dźwięku, kiedy ona osuwała się na trawę.

A potem, na wszelki wypadek, uderzył ją w głowę jeszcze raz.

Wydawało mu się, że stoi tak całą wieczność, wpatrując się w nią, leżącą tak bezwładnie u jego stóp, broczącą krwią z nosa, ust, uszu i otwartej rany na głowie. Jakoś otrząsnął się z odrętwienia, zdjął kurtkę brata i owinał nią jej głowę. Nie wolno było zostawić żadnych śladów krwi na trawniku, bo policja mogłaby trafić na jego trop.

Trzeba na razie ukryć gdzieś ciało. Potem zastanowi się, co dalej.

Zalewał go pot, ściekał po twarzy niczym krople deszczu, plamiąc koszulę, a przecież nie było mu wcale gorąco. Wprost przeciwnie: czuł zimny dreszcz. Uniósł ciało Caroline, bezwładne, ważące chyba tonę, znacznie więcej, niż mógł się spodziewać po tak szczupłej dziewczynie, i zaniósł je dalej od domu, na wypadek, gdyby jej rodzice zbudzili się i zaczęli szukać córki.

Wszystko po kolei. Wyniósł ją poza żywopłot, następnie wrócił, przekopał miejsce, gdzie spoczywała przedtem jej głowa, aby usunąć ślady krwi, i rozsypał na nim świeżą ziemię z odległego zakątka sąsiedniego podwórza.

Kiedy skończył, wiedział już, co robić dalej. Uśmiechał się, nareszcie wolny od trosk, gdyż to, co zapowiadało się początkowo niewesoło, rysowało się teraz znacznie bardziej optymistycznie.

Mały braciszek obmyślił w końcu swoją drogę do tryumfu.

## Rozdział trzydziesty trzeci

W niedzielne poranki Grace wstawiała zazwyczaj skoro świt, aby nacieszyć się spokojem i ciszą. Schodziła na dół bosą i w nocnej koszuli, zabierała z ganku gazetę, wypijała dwie filiżanki kawy, zjadała rogalik i przeglądała gazetę, po czym wracała na górę wziąć natrysk i ubrać się. Dziś jednak, ze względu na obecność Tony'ego w domu, zaczęła od natrysku, a potem się ubrała: założyła jasne spodnie, czarny golf i czarne klapki. Umalowała się też, ograniczając jednak makijaż do niezbędnego minimum.

Kiedy weszła do kuchni, zbliżała się dziesiąta.

Marino siedział przy stole nad opróżnioną już do połowy miseczką z płatkami zbożowymi i szklanką soku pomarańczowego. Część gazety oparta była o filiżankę kawy, pozostałe strony leżały porozrzucone niedbale na stole. Najwyraźniej Tony zdążył już wziąć prysznic; jego czarne włosy były jeszcze wilgotne, poskręcane na skroniach i pofalowane na czubku głowy. Coś musiało go zainteresować w gazecie, bo wpatrywał się w nią, marszcząc brwi. Miał na sobie tę samą flanelową koszulę i te same dzinsy co wczoraj, a na szczupłym podbródku ciemniał jednodniowy zarost.

Nie przygotował się do spędzenia nocy w jej domu, to jasne. Przez moment zastanowiła się, czy miał w ogóle w czym spać, ale natychmiast odegnęła od siebie tego typu myśli.

- Dzień dobry - powiedziała, wchodząc do kuchni dziarskim krokiem, jakby w zaistniałej sytuacji nie było nic niezręcznego. Sięgnęła po dzbanek. Filiżanka Marina świadczyła, że kawa jest już gotowa. W powietrzu roznosił się jej wspaniały aromat.

- Dzień dobry - odparł. Spojrzał na nią znad gazety, a potem, jedząc płatki, obserwował ją, gdy nalewała sobie kawę; sam upił łyk gorącego napoju i uśmiechnął się, gdy napotkał znowu jej wzrok. - Zrobiłem sobie śniadanie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu.

- Jasne, że nie.

Odwzajemniła uśmiech krótko, bezosobowo i podeszła do lodówki. To, że pocałował ją wczoraj... nie, prawdę mówiąc, całowali się oboje - i to tak namiętnie, że na samo wspomnienie serce zabiło jej mocniej i szybciej - nie świadczy jeszcze, iż coś ich łączy. Powtarzała to sobie w duchu już wiele razy, odkąd wstała. Te pocałunki mogły znaczyć bardzo dużo albo też bardzo mało. Nie była nawet pewna, co sama o nich sądzi, podejrzewała natomiast, że Marino jest typem mężczyzny, który nie przepuści żadnej choćby tylko trochę atrakcyjnej kobiecie, jeśli uzna, że ma jakieś szanse.

Nie należy dopatrywać się czegoś tam, gdzie nie ma nic.

- Wezmę sobie rogalika. Podać ci? - zapytała uprzejmie.

- Nie, dziękuję, mam płatki.

On też jest uprzejmy, pomyślała, wyjmując z zamrażarki rogalik i wkładając go na wymagane czterdzieści pięć sekund do kuchenki mikrofalowej. Kiedy rozległ się brzęczyk, zniosła na stół rogalik, słoik dżemu truskawkowego i filiżankę kawy. Rezygnując ze swego stałego miejsca (to by oznaczało siedzenie tuż obok niego), wybrała krzesło po przeciwnej stronie stołu.

- Strona dla kobiet leży tu gdzieś - powiedział jakby od niechcenia, patrząc na rozrzucone części gazety.

- A ty co czytasz, sport? - zapytała Grace grzecznie, przyciągając do siebie pierwsze strony z głównymi wiadomościami, od których zawsze zaczynała lekturę.

Uśmiechnął się; całą swoją uwagę skupiał teraz na niej. Kiedy się tak uśmiecha, jest nawet przystojny, czarujący i bardzo ujmujący, pomyślała



zatrokana i świadomie, choć z trudem, powstrzymała się od uśmiechu.

- Wiedziałem, że to cię ruszy. Żartowałem tylko, Grace.

- To nie było zabawne, detektywie. - Wykorzystując swój zawodowy chłód jako tarczę, upiła łyk kawy i rzuciła okiem na trzymane przez niego strony. - I jednak rzeczywiście czytasz rubrykę sportową.

- Jestem fanem Pacersów i nic na to nie poradzę - odparł z uśmiechem; czytał coś z zainteresowaniem i dopiero po dłuższej chwili spojrzał na Grace. - Przy okazji, jeśli potrzebujesz specjalnej zachęty, aby zwracać się do mnie po imieniu, to czuj się zachęcona.

Celowo unikała wymawiania jego imienia. Wolała nie myśleć o nim w kategoriach zbyt osobistych. Całowanie się z nim i mówienie mu Tony oznaczałoby jej zgubę, upadek w przepaść. Ich wzajemny stosunek, zamiast zachować charakter służbowy, stałby się zbyt intymny, ona zaś nie była pewna, czy jest na to przygotowana.

- Co zrobiłeś z moim pistoletem? - zapytała, chcąc zmienić temat. Nie widziała swojej broni, odkąd ją jej odebrał.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Owszem.

- W takim razie zapytaj: Co zrobiłeś z moim pistoletem, Tony?

Zmarszczyła brwi.

- Czyżby przyszła pora na dziecinne wygłupy?

- Może. Powiedz to.

Upierając się, uczyniłaby z tego większą sprawę, niż zamierzała. Nie sądziła, że będzie to dla niego takie ważne.

- Co zrobiłeś z moim pistoletem, Tony?

- To nie było łatwe, co? - Pokręcił głową ze współczującą miną. - Ale udało się. I zrobiłaś to całkiem nieźle.

- Co z moim pistoletem?

- Jest na górnej półce w stołowym. Niezaładowany. Magazynek z nabojami położyłem na gablotce z porcelaną. Ale dopóki tu jestem, bądź tak dobra i nie ruszaj go stamtąd, zgoda? Sama świadomość, że w razie kłopotów chwycisz za broń, kosztuje mnie naprawdę sporo nerwów.

Zanim Grace zdążyła odpowiedzieć, do kuchni weszła Jessica. Najwidoczniej świeżo spod natrysku, z wilgotnymi jeszcze włosami odgarniętymi do tyłu i przytrzymywanymi spinką, miała na sobie dzinsy i obszerną fioletową bluzę z wypisanym na piersi różowymi literami pytaniem: „Gdzie jesteś, Leo?”. Powiodła wzrokiem od matki do Marina i z powrotem, po czym z mizernym „Cześć” na ustach poczłapała do lodówki.

Oboje odwzajemnili pozdrowienie, a Grace zdołała nawet powstrzymać się od komentarza, kiedy Jessica, rzucając na nią wyzywające spojrzenie, zasiadła do stołu z dietetyczną colą i plastrem sera.

- Dobrze spałaś, kochanie? - zapytała tylko.

Jessica kiwnęła głową, a potem potrząsnęła nią lekko.

- Tak sobie. Budziłam się kilka razy i myślałam o Godzilli. - Zerknęła na Marina. - Co się z nim... stało? To znaczy, z jego ciałem. Zabrała go policja?

- Tak. Trzeba wykonać różne badania. Dlaczego pytasz?

- Chciałam go pochować. Na podwórzu za domem, pod forsycją. Nie chcę, żeby go po prostu... wyrzucono.

Nie zjadła jeszcze ani jednego kęsa sera, nie upiła też nawet jednego łyka coli, pomyślała Grace i znowu poczuła bolesny skurcz serca na widok cierpienia córki. Ale mimo wszystko musi jeść.

- Skoro ci na tym zależy, dopilnuję, abyś dostała go z powrotem i mogła pochować - obiecał Marino.

Jessica kiwnęła głową i upiła trochę coli, a Grace zajęła się swoim

rogalikiem i kawą. Jessica zjadła ser, wstała od stołu i przeszła do spiżarni, po czym wróciła z pudełkiem płatków zbożowych. Grace starała się ukryć wrażenie, jakie zrobiło na niej to, że córka z własnej woli zdecydowała się na tak zdrowe pożywienie.

- Dużo masz zadane na jutro do szkoły? - zapytała.

Jessica wzruszyła ramionami i wzięła do ust łyżkę płatków.

- Niewiele. Trochę słówek z hiszpańskiego. Zadanie z algebry. Zrobię to wieczorem.

Grace kiwnęła głową, kończąc swój rogalik. Wieczorem zamierzała przeprowadzić z córką poważną rozmowę i wyznaczyć dla niej jakąś sensowną karę za ucieczki z domu. Na razie jednak czuła się zbyt zmęczona, aby o tym myśleć.

Widocznie utrzymywanie dyscypliny nie było jej mocną stroną.

- No dobrze, moje panie, może teraz porozmawiamy przez chwilę o programie na dziś - odezwał się Marino. Odłożył na stół gazetę z rubryką sportową i powiódł wzrokiem po nich obu. - Jeśli o mnie chodzi, muszę wpaść do domu, nakarmić psa, wziąć jakieś świeże ubranie i parę rzeczy, które mogą mi się przydać. A ponieważ nie mogę zostawić was bez opieki, proponuję, abyście pojechały ze mną. Jakież sprzeciwy?

- Ma pan psa? - zainteresowała się Jessica. - Jakiej rasy? To pies policyjny?

- Nie, Kramer to kundel.

- Kramer? - Grace spojrzała na niego zaintrygowana. Uprzytomniła sobie nagle, że chciałyby zobaczyć jego dom, jego psa i w ogóle to wszystko, co mogłoby zdradzić choć trochę jego charakter.

- Pamiętasz „Kroniki Seinfelda”? Nazwałem moją sukę Kramer, bo jej życie, tak jak i jego, to nieustanne pasmo nieszczęść. - Zrobił nieco zakłopotaną minę i Grace uśmiechnęła się mimo woli.

- Chętnie poznamy tę twoją Kramer - zapewniła.

- Jasne - zawtórowała jej Jessica.

- No to powiedzcie, kiedy będziecie gotowe. - Wstał, zaniósł swoje naczynia do zlewu, splukał je pod bieżącą wodą i wstawił do zmywarki. Grace i Jessica wzięły z niego przykład.

- Gdzie pan zaparkował? - zapytała Jessica piętnaście minut później, kiedy odjeżdżali spod domu.

Był piękny październikowy dzień, słoneczny i rześki, z błękitnym bezchmurnym niebem. O ostatnich kilkudniowych deszczach przypominały jedynie rzadkie kałuże. Grace czuła, jak wstępuje w nią nowe życie; dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo była ostatnio przybita i spięta. Zajęła miejsce za kierownicą, Jessica usiadła z tyłu. Marino chciał prowadzić, ale Grace zdecydowanie potrząsnęła głową, usiadł więc obok niej.

- Czy ktoś ci już kiedyś powiedział, że masz chyba bzika na punkcie sprawowania kontroli nad wszystkim dokoła? - szepnął jej do ucha i zanim zdążyła zareagować, odpowiedział na pytanie Jess: - Tam, za rogiem.

Kiedy Grace włączała się do ruchu, rozejrzał się na wszystkie strony, jakby to on kierował autem. Grace, widząc to, uśmiechnęła się kpiąco. I kto tu mówi o bziku na punkcie sprawowania nad wszystkim kontroli, powiedziała bezgłośnie, z uwagi na Jess. Marino najwidoczniej odczytał to, co powiedziała, z ruchu jej warg, bo odpowiedział uśmiechem, a potem dodał, zwracając się do Jess:

- Przetawię go później. Może w drodze powrotnej.

Jego dom mieścił się w Dzielnicy Wiktoriańskiej w pobliżu uniwersytetu. Był to atrakcyjny kompleks odnowionych stuletnich domów, interesująca mieszanina imponujących rezydencji i skromniejszych budowli, zamieszkaných przez najrozmaitszą społeczność, od prezesów firm, którzy wraz z rodzinami zajmowali olbrzymie murowane domy o wartości wyrażanej w sześciocyfrowych

kwotach, do niewielkich drewnianych bliźniaków, popularnych wśród studentów i ludzi samotnych, którzy dopiero pięli się w górę.

W takim właśnie domu, jednopiętrowym, dość szarym, z zadaszonym betonowym tarasem i jednym dużym oknem z wieloma szybkami wychodzącym na ulicę, mieszkał Marino. Przy sąsiednich drzwiach stała starsza kobieta i zamiatała taras. Kiedy Grace zaparkowała przy krawężniku - nie było tu podjazdów - kobieta odwróciła się do nich, przerywając sprzątanie.

- Jeszcze jedna noc za domem, co Tony? - zawołała.

Kiwnęła ręką i zachichotała, patrząc na niego, jak idzie za Grace i Jess wąskim popękany chodnikiem w stronę tarasu.

- Taka już moja praca, pani Crutcher. Ani chwili wytchnienia - odkrzyknął z pogodnym uśmiechem.

- Stara śpiewka. - Pani Crutcher zrewanżowała się podobnym uśmiechem i wróciła do swego zajęcia, Marino natomiast otworzył drzwi i wszyscy troje weszli do środka.

Na pierwszy rzut oka mieszkanie wyglądało na nieco zaniedbane, lecz schludne; czuło się nieco stęchły zapach, co wskazywało na potrzebę solidnego wietrzenia. Ściany były białe i niemal zupełnie pozbawione ozdób. Meble - brązowa tweedowa kanapa oraz beżowa amerykanka w saloniku - nosiły ślady wieloletniego użytkowania, znajdowały się jednak w znośnym stanie. Na podłodze leżał dywan supełkowy, w kącie stał telewizor, a parawan z miedzianego drutu osłaniał nieczynny kominek. Wnęki po obu jego stronach zabudowano regałami pełnymi książek w kieszonkowych wydaniach, nad gzymsem wisiało lustro ozdobione małą fotografią w ramce.

- A gdzie pies? - zapytała Jessica. W przeciwieństwie do Grace nie wykazywała żadnego zainteresowania wystrojem mieszkania.

- Na podwórzu za domem. - Marino uśmiechnął się tajemniczo. - Możesz

wyjsć przez kuchnię.

Ruszył przodem przez pokój przyległy do saloniku. Pierwotnie miał to być pewnie stołowy, pomyślała Grace, choć służy obecnie jako pokój do wypoczynku lub pracy, stąd biurko z krzesłem, komputer i wypełnione książkami półki. Przeszli do kuchni, małego kwadratowego pomieszczenia; na trzech ścianach wisiały tu białe szafki, białe blaty i biały sprzęt, na czwartej natomiast, wyklejonej czerwono-białą tapetą, znajdowały się oszklone drzwi i wysokie prostokątne okno ozdobione bawełnianą falbanką w czerwono-białą kratkę.

Pośrodku kuchni stały metalowy stół ze szklanym blatem i dwa metalowe krzesła z czerwonymi poduszczkami. Na stole piętrzył się stos korespondencji. Za kuchnią Grace dostrzegła dwa pomieszczenia o białych ścianach, w których nie było nic prócz łóżek; najwidoczniej były to sypialnie.

- To tam - Marino wskazał drzwi i Jessica, nie czekając na dodatkowe zezwolenie, otworzyła je, wpuszczając do środka powiew świeżego powietrza, po czym przestąpiła próg, witana ostrym szczeknięciem.

Marino stanął u jej boku.

- Już dobrze, Kramer, wróciłem - zawołał do niewidocznego lokatora podwórza i skierował się w stronę sypialni.

- Ogołę się raz-dwa i spakuję najpotrzebniejsze rzeczy, a wy w tym czasie rozgoście się, proszę - rzucił przez ramię do Grace.

- Szczeniak! - zawołała z zachwytem Jessica i wybiegła na podwórze.

Grace poszła za nią. Na moment przystanęła w progu i powiodła wzrokiem dokoła. Drzwi kuchni wychodziły na trzy pomalowane szarym lakierem drewniane stopnie, które wiodły na wąskie, porośnięte trawą podwórze boczne; dopiero nieco dalej rozrastało się ono we właściwe podwórze z pomalowanym na szaro garażem; z miejsca, gdzie stała Grace, widać było jedynie jego część. Tylne drzwi garażu wychodziły na podwórze, przednie natomiast, które zapewne stanowiły wjazd, na

drogę biegnącą za domem. W rogu podwórza wznosiły się ku niebu kolczaste łądygi najwidoczniej martwej już różanki, cały teren okalał parkan skryty pod chwastopodobną winoroślą.

Grace, która nie zeszła jeszcze ze schodków, skierowała wzrok w dół, gdzie klęczała Jessica, oblegana przez dwa liżące ją poddańczo psy, podobne do siebie jak dwie krople wody. Różniły się jedynie wielkością; jeden z nich sięgał człowiekowi do kolan, drugi przewyższał pierwszego chyba czterokrotnie. Obydwa były beżowobiałe i tak puszyste, że trzeba by szczegółowych oględzin, by orzec, gdzie jest przód, a gdzie tył. Ich drugą cechą, na jaką Grace zwróciła uwagę, były małe spiczaste uszy i różowe ruchliwe języczki, niezmordowane w lizaniu każdego dostępnego skrawka na ciele Jess. Długie kępki białych włosów rosnących tam, gdzie u ludzi znajdują się brwi, tylko chwilami pozwalały dojrzeć piwne oczy.

- Och, mamó, spójrz, jakie one słodkie! - zawołała Jessica.

Była rozpromieniona i Grace przyszło do głowy, że notowania Marina wzrosły teraz u jej córki niebotycznie. Sama nigdy nie miała psa, gdyż ojciec uważał, że to tylko mnóstwo kłopotów, a potem była zbyt zaabsorbowana szkołą, pracą i córką, aby choćby dopuścić myśl o kupnie psa. Nawet teraz nie wiedziała, co o tym myśleć. Właściwie nigdy nie była zwolenniczką trzymania jakichkolwiek zwierząt w domu. Jessica natomiast uwielbiała zwierzęta. Również teraz skwapliwie wzięła szczeniaka na kolana, podczas gdy Kramer przewróciła się na grzbiet i machała łapami w powietrzu, domagając się pieszczot po brzuszku, których zresztą uszczęśliwiona Jessica nie szczędziła jej ani przez chwilę.

- Mamó, zapytaj pana Marino, jak się wabi ten szczeniak - poprosiła. Uśmiechnięta od ucha do ucha wyglądała na bardziej szczęśliwą, niż wydawało się to możliwe, biorąc pod uwagę koszmar ostatniej nocy.

Grace kiwnęła głową i weszła do domu. Przez uchylone drzwi sypialni dostrzegła czyjś cień. Marino. Zapukała lekko, nie zaglądając do środka. W końcu

sypialnia to pomieszczenie bardzo intymne, a poza tym on może się akurat przebierać...

I rzeczywiście. A przynajmniej namydlił sobie dolną część twarzy i był bez koszuli, kiedy otworzył szerzej drzwi i spojrzał na nią pytająco. Starła się nie patrzeć na niego, ale i tak zauważyła wspaniale umięśniony tors. Miał szeroką, mocarną klatkę piersiową z bujnym czarnym zarostem w kształcie trójkąta, który przechodził niżej w wąski pasek i znikał pod dżinsami. Górna część tułowia była o jeden ton bledsza niż pokryte opalenizną twarz, szyja i ramiona.

Z gołym torsem wyglądał tak seksownie, że Grace na moment zabrakło tchu. Ich spojrzenia spotkały się i znowu napłynęło wspomnienie tamtych pocałunków. Poczowała, że zaschło jej w gardle, kiedy wyobraziła sobie, że sunie dłonią po jego nagiej piersi i unosi ku niemu twarz...

Jessica jest na podwórzu. Nie.

Była tak bardzo wytrącona z równowagi własną reakcją na widok jego ciała, że czym prędzej przerwała milczenie:

- Jess... Jessica pyta, jak się wabi ten szczeniak.

Wzruszył ramionami.

- Wołam na niego Szczeniak. Prawdę mówiąc, szukam kogoś, kto by go przygarnął.

Niemal zapominając - no nie, niezupełnie - że stoi przed nią półnagi, spojrzała na niego podejrzliwie.

- Chyba nie masz na myśli Jess...

- Czemu nie? - Uśmiechnął się szerzej. Mężczyzna bez koszuli, z twarzą częściowo pokrytą pianką do golenia może stanowić widok czarujący i zarazem seksowny, uświadomiła sobie Grace. - Po prostu przyszło mi do głowy, że zamiast więzić ją w domu, co i tak nie zdaje egzaminu, mogłabyś spróbować przekupić ją czymś, co odwróciłoby jej uwagę od rzeczy, którymi nie powinna się zajmować, i



powstrzymało przed wymykaniem się w nocy nie wiadomo dokąd.

- Przekupić... - Grace zmarszczyła brwi, patrząc, jak Tony odwraca się i wchodzi z powrotem do łazienki. Jego nagie plecy są nie mniej seksowne niż tors z przodu, pomyślała. Miał szerokie bary i wąskie biodra, i... - Taką łapówką miałby być pies?

Przystanął i spojrzał na nią.

- Nasunął mi się taki pomysł.

- Kiepski - odparła zdecydowanie.

Wzruszył ponownie ramionami.

- Jak uważasz.

Podszedł do umywalki i odkręcił kran, a kiedy ze srebrzystej wylewki popłynęła parująca woda, wziął czarną maszynkę do golenia, uniósł głowę i jednym wprawnym ruchem usunął z szyi wąskie pasmo piany z zarostem. Ich oczy spotkały się w lustrze nad umywalką i dopiero wtedy Grace uprzytomniła sobie, zaskoczona, jak bardzo fascynuje ją jego widok w trakcie golenia.

Odwróciła się czym prędzej.

- Powiedz Jess, że może wymyślić imię dla szczeniaka - zawołał za nią.

W jego głosie dopatrzyła się tonu rozbawienia. Nie wiedziała tylko co wprawilo go w ten nastrój: świadomość, że patrzyła tak pożądliwie na jego odbicie w lustrze, czy jej reakcja na propozycję dotyczącą Jess i psa.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Kiedy stała w progu, patrząc na Jess bawiącą się ze szczeniakiem - przekazała córce informację, że tak właśnie woła na niego Marino - i jego matką Kramer, zadzwonił telefon.

- Grace, bądź tak dobra i odbierz - zawołał z sypialni Tony.

Podniosła słuchawkę z pewną obawą. Nie czuła się tu zadomowiona do tego stopnia, aby odbierać telefony.

- Mieszkanie Tony'ego Marina - powiedziała wyraźnie.

Chwila wymownej ciszy.

- Kto mówi? - zapytał wreszcie podejrzliwie kobiecy głos.

- A pani kim jest? - odparła Grace, nie chcąc w tych okolicznościach podać swojego nazwiska.

- Chciałam rozmawiać z Tonym.

Grace dała za wygraną.

- Chwileczkę. - Nakryła słuchawkę dłonią. - To do ciebie - zawołała. Co za niespodzianka, pomyślała. Ponieważ nie odpowiadał, podniosła głos: - Tony, możesz nie wierzyć, ale to do ciebie.

- Widzisz, jak łatwo wymówić moje imię? - Stał w progu uśmiechnięty, w granatowej bluzie nałożonej na białą koszulkę i wyblakłych, lecz czystych dżinsach. Twarz była gładko ogolona. - Kto to?

- Kobieta - udało jej się powiedzieć obojętnym tonem, wolnym od wszelkich sugestii.

- Tak? - Wziął słuchawkę do ręki. - Słucham.

Przez dobrą minutę nie odezwał się w ogóle, wysłuchując, jak się zdawało,

potoku słów. Potem zerknął na Grace, która dopiero teraz zdała sobie sprawę, że stoi obok niego i nie spuszcza go z oczu. Odwróciła się spiesznie, podeszła do drzwi i stanęła w progu plecami do niego. Udając, że w tej chwili interesuje ją wyłącznie zabawa Jess z psami, mimo woli łowiła uchem treść rozmowy telefonicznej; to było silniejsze od niej.

- Tak, to kobieta... Tak, jest u mnie w domu... Tak, nawet bardzo ładna... Właśnie... Ma na imię Grace.

Gdy ona zmagala się z miłym i jednocześnie bolesnym faktem, iż określił ją jako bardzo ładną, ale rozmawia o tym z inną, Tony znowu umilkł - tym razem na parę minut. Wreszcie roześmiał się.

- Spróbuję. Ale nie mogę niczego obiecać... Dobrze, postaram się. Pa.

Odłożył słuchawkę. Z trudem powstrzymując się, by nie spojrzeć na niego, Grace wpatrywała się uparcie w podwórze, ale nie widziała tam nic; jej myśli krążyły wokół podsłuchanych strzępów rozmowy.

- To matka - usłyszała za sobą głos Tony'ego. - Zaprosiła ciebie i Jess na lunch.

Zaskoczona obróciła się gwałtownie; stał jeszcze przy telefonie, z ręką na słuchawce.

- Twoja matka?

Musiała mieć dziwną minę, kiedy tak gapiała się na niego, bo roześmiał się, idąc z powrotem do sypialni.

- Pamiętasz, jak ci o niej mówiłem? O matce sześciu gliniarzy?

- Tak, ale... Wyobrażałam ją sobie jako starszą słabowitą kobietę w domu spokojnej starości czy coś w tym rodzaju... - Szła za nim, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. - A ona wcale nie ma głosu słabowitej kobiety. Ani staruszki.

- Ucieszyłaby się, słysząc to. Ma sześćdziesiąt pięć lat i zapewnia stale, że

jest silna jak wół.

Był już w sypialni i z całej siły ściągał sznur w zielonym worku marynarskim, wypełnionym rozmaitymi rzeczami. Teraz, kiedy jego nagi tors nie rozpraszał jej uwagi, mogła wreszcie wyrobić sobie zdanie na temat tego pokoju. Poczesne miejsce zajmowało w nim szerokie, z pewnością bardzo wygodne łóże, nakryte czymś, co okazało się ręcznie zszywaną kołdrą, z czterema poduszkami w różnokolorowych poszewkach, opartymi o proste dębowe wezglowie. Obok łóżka stała również dębowa szafka, a na niej Grace dostrzegła lampę, budzik i kilka kryminalów w broszurowych wydaniach. Pod ścianą stała wysoka szafa z ciemnego drewna, a obok zwykle krzesło. Na jedynym oknie wisiały niemodne satynowe zasłony w kolorze złamanej bieli, kupione najwidoczniej na jakiejś wyprzedaży. Ściany były białe, bez ozdób. Podobnie jak resztę domu, również sypialnię urządzono tak, by była po prostu funkcjonalna, nie zaś aby cieszyła oczy.

- W każde niedzielne popołudnie matka przyrządza coś dobrego do jedzenia i każdy, kto może, wpada do niej. Ta niedziela jest wyjątkowa, bo Lauren, moja bratanica, została wczoraj ochrzczona, a Robby z rodziną zostali na trochę w mieście. Będą też wszyscy moi bracia z rodzinami i babcia. Mama prosiła, żebym cię przywiózł.

- Mnie? - Na samą myśl o tym poczuła lekki zawrót głowy. - Przecież nawet mnie nie zna.

- Spodobał jej się twój głos w słuchawce.

- Ach tak.

Roześmiał się, zarzucił sobie worek na ramię i ruszył w jej stronę. Machinalnie odsunęła się na bok, a potem poszła za nim, nieco zdezorientowana. Przed drzwiami frontowymi postawił worek na podłodze. Wyprostował się i spojrzał na nią.

- To jak, masz ochotę pojechać tam czy nie?

- Nie mogę tak po prostu wpadać do kogoś i zakłócać uroczystość rodzinną  
- odparła, gorączkowo szukając jakiejś wymówki.

Właściwie nie wiedziała, czy chce tam iść. Z jednej strony, poznając jego rodzinę, mogłaby się dowiedzieć na jego temat znacznie więcej niż na podstawie wyglądu tego domu; takie spotkanie byłoby interesujące i pouczające. Z drugiej jednak, taka wizyta nadałaby ich znajomości charakter bardziej osobisty. Wybitnie osobisty. A przecież nie łączy ich tak znów wiele.

- Jasne, że możesz. Mama was zaprosiła, ciebie i Jess. Dominik opowiedział jej już trochę o pani sędzinie i teraz chciałaby cię poznać, rozumiesz? Nie zetknęła się jeszcze z kobietą sędzią, może dlatego. Ale jeśli nie masz ochoty, nie musimy tam jechać.

- Jedź sam. Jessica i ja wrócimy do domu i...

- Grace - jego głos zabrzmiał teraz bardzo łagodnie - zapomniałaś chyba, że jesteśmy obecnie nierozłączni, jak bliźniaki syjamskie. Gdzie ty, tam i ja. I na odwrót.

Grace jęknęła. Tony patrzył na nią pociemniałymi oczyma. Ruszył w jej stronę w tej samej chwili, kiedy do kuchni wpadła Jessica. Psy nie odstępowały jej na krok. Dziewczyna śmiała się radośnie, jej oczy błyszczały, koński ogon na głowie kołysał się na boki. Marino zatrzymał się w miejscu. Wsunął rękę do kieszeni dzinsów i zakołysał się na piętach.

- Mamo, przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. Skoro pan Marino spędzi jakiś czas w naszym domu, to może weźmiemy również Kramer i Szczeniaka? Byłoby fajnie. Oczywiście, jeśli pan nie ma nic przeciw temu. - Spojrzała pytająco na Marina.

Grace jęknęła ponownie. Mogła przewidzieć bez pudła, czym się to skończy. Marino uśmiechnął się do niej kpiąco i przeniósł wzrok na dziewczynę.

- Jess, mów mi Tony. Mam już po dziurki w nosie tego „pana Marino”. A

wracając do sprawy, nie mam nic przeciw temu, żebyśmy zabrali psy. Ale musisz poprosić o zgodę mamę.

- Mamo, błagam.

Patrzyła na nią swoimi dużymi niebieskimi oczyma. Marino... Tony też patrzył na nią, lekko rozbawiony.

- Dobrze. - Wiedząc, że i tak nie wygra z podwójnym przeciwnikiem, Grace poddała się; pogodziła się też w duchu z mówieniem mu po imieniu, psami i popołudniem u jego matki. Jeśli okaże się to zbyt osobiste, trudno, będzie musiała potem stawić czoła konsekwencjom, o ile zajdzie taka potrzeba. - Weźmy te psy. Ale, Jess, jeszcze coś. Pan Marino... to znaczy Tony chciałby zabrać nas do swojej matki na lunch i dużą uroczystość rodzinną. Co ty na to?

Dziewczyna spojrzała z namysłem na Tony'ego.

- Będą tam jakieś dzieci? Ktoś w moim wieku?

- Mam trzynastoletnią bratanicę, czternastoletnią bratanicę i dwóch szesnastoletnich bratanków, nie licząc całej zgrai młodszych. Są świetni, na pewno ich polubisz. Poza tym każdy Marino gra świetnie w koszykówkę.

- Naprawdę?

Tony skinął głową. Oczy Jess zajaśniały.

- To mi się podoba. - Jessica spojrzała na matkę. - A ty jak sądzisz, mamo?

- Dobrze - powtórzyła Grace.

Miała wrażenie, jakby czekał ją skok na głęboką wodę. Tylko czy aby na pewno zdoła potem wynurzyć się na powierzchnię?

- Doskonale. - Tony uśmiechnął się do niej, w jego oczach zamigotały figlarne iskierki. - Jess, zamknij tylne drzwi i jedziemy.

Zgodnie z zapowiedzią rodzina Tony'ego okazała się niezwykle gościnna i miła, pełna ciepła, gwarna i bardzo, bardzo liczna. Zebrali się wszyscy: pięciu

braci, którzy różnili się jedynie wzrostem i tuszą, ich żony (jedynym kawalerem w rodzeństwie Marino był Tony), piętnaścioro dzieci w wieku od szesnastu lat (byli to bliźniacy Ricka, młodszego od Tony'ego o dwa lata) do czterech tygodni (tyle właśnie skończyła córeczka Robby'ego, najmłodszego z braci) oraz matka i babcia.

Dom, obszerny i dość chaotycznie zbudowany, ze spadzistym dachem i wykuszami, z olbrzymimi gankami od frontu i z tyłu, stał na dziesięcioakrowym terenie na północ od Columbus. Podjazd był wysypany żwirem, trawa mieszała się z chwastami, wszędzie stały zaparkowane samochody różnych marek. Całość sprawiała wrażenie nieładu, ale nieładu w dobrym stylu. Takiego, który bierze się z dużej liczby dzieci i nieprzywiązywania wagi do wyglądu trawy oraz kierowania się maksymą: pieniędzy niewiele, za to gości w bród. Czuło się, że dom tętni życiem i jest pełen ciepła - i to właśnie nadawało mu urok.

Od chwili, kiedy znaleźli się na podwórzu, gdzie tłumnie zgromadzeni goście kręcili się wokół kilku stołów, zastawionych tekturowymi talerzami i kubkami, plastikowymi sztućcami, torebkami z lodem i napojami, Tony był witany serdecznie ze wszystkich stron. Bez przerwy całowano go i obejmowano, aż w końcu Grace straciła orientację. Ją także raz po raz obściskiwano.

Jessica miała więcej szczęścia: od samego początku zagarnęli ją jej rówieśnicy - czternastoletnia Christy, o rok młodsza Susan i Joe i Jamie, szesnastoletni bliźniacy. Ci ostatni, podobnie jak dorośli Marino, okazali się młodzieńcami na tyle przystojnymi, że Grace nie była zdziwiona, gdy jej córka chętnie dała się im porwać, zostawiając ją samą. Także psom Tony'ego udzielił się radosny nastrój; poszczekując, ganiały niezmordowanie po całym terenie w towarzystwie czterech innych ziomków.

Jednak w centrum uwagi znalazła się Grace. Wszyscy zdawali się patrzeć na nią, nie tylko w chwili prezentacji, ale także przedtem i potem, niektórzy otwarcie, inni ukradkiem. Miała wrażenie, że również ich rozmowy dotyczą jej

osoby, ale toczyły się tylko szeptem lub na uboczu, tak że nie mogła ich podsłuchać. Skonsternowana, uprzytomniła sobie, że ogarnia ją onieśmienie, a ujawniania tej właśnie cechy swego charakteru wystrzegła się zawsze jak ognia. Zagubiona w morzu rodziny Tony'ego, po powitaniach z jego pulchną jasnowłosą bratową Beth i bratem Mikiem, z wysoką i szczupłą bratową Meredith i bratem Kyle'em, odetchnęła niemal z ulgą, gdy ujrzała przed sobą Dominika, którego znała już z widzenia. Niemal z ulgą. Bo poczuła się także trochę zakłopotana.

- Cieszę się, że jest pani wśród nas, pani Hart - powiedział, witając się z nią, i jego głos zabrzmiał o jeden ton zbyt wylewnie, tak jakby i on czuł się trochę niezręcznie. Był już kilkakrotnie w jej domu, ale za każdym razem w charakterze oficjalnym, jako funkcjonariusz policji. Teraz spotkali się na gruncie towarzyskim, na uroczystości rodzinnej - i ten fakt zmieniał ich wzajemny układ.

- Proszę, mów mi Grace - zaproponowała z uśmiechem, wyciągając rękę. Starła się nie okazywać swego zakłopotania. - To bardzo miłe ze strony waszej matki, że zaprosiła mnie z córką.

Dominik ujął jej rękę w swoją szeroką, ciepłą dłoń i niemal parsknął zdumiony.

- Miłe z jej strony? Ona nie mogła się już doczekać, żeby ujrzeć wreszcie...

Urwał raptownie i puścił jej dłoń, kiedy drobna brunetka stojąca przy nim szturchnęła go w bok.

- Och, prawda, to moja żona Jenny - powiedział, zwracając wzrok na jej ładną, uśmiechniętą twarz.

Żona nie sięgała mu nawet do ramienia, miała na sobie ciemnoróżowe spodnie i pasiastą bluzkę, a jej kasztanowate włosy były ułożone w zbyt bufiastą fryzurę jak na aktualną modę, ale momentalnie przypadła Grace do serca. Miała piwne roześmiane oczy, których ciepło harmonizowało z jej uśmiechem, emanowała też z niej macierzyńska miłość.



- Wszyscy się bardzo cieszymy, że przyszłyście, ty i Jessica - powiedziała. - Dzieciaki były naprawdę podekscytowane, kiedy się dowiedziały, że nasze grono otrzyma dziś zastrzyk świeżej krwi.

- Ucieszyło ich zwłaszcza, że Jessica zagra z nimi w koszykówkę - dodał Dominik, wskazując w stronę garażu, przed którym Jessica bawiła się już z innymi dziećmi. Zanim Grace zdążyła cokolwiek powiedzieć, stanął przy niej Tony.

- Mama obedrze mnie ze skóry, jeśli nie zaprowadzę cię do domu i nie zapoznam z nią - ostrzegł.

- Do domu?

Była to gra na zwłokę, ale Grace nie miała innego wyjścia. Teraz czuła się już naprawdę onieśmielona, niczym dziewczyna poddawana procedurze lustracyjnej przez całą rodzinę swojego nowego chłopaka. A przecież jej znajomość z Tonym tylko w znikomym stopniu miała charakter osobisty. Nie był to ten rodzaj związku, który zasługiwałby na ukradkowe spojrzenia i szeptki.

- Matka i babcia są w kuchni. Przyrządzają posiłek - wyjaśnił Tony.

- W takie dni jak dzisiejszy matka nie dopuszcza do kuchni synowych - dodała z uśmiechem Jenny. - Rzekomo dlatego, abyśmy mogły odpocząć. Ale naprawdę chodzi o to, że żadna z nas nie potrafi gotować tak wspaniale jak ona. I ona o tym wie.

- Ty też gotujesz bardzo dobrze - zaproponował lojalnie Dominik.

- Jeszcze sobie pogadamy we czworo. Ale teraz już chodź, Grace.

Tony ujął ją za rękę i zanim zdążyła coś powiedzieć, poprowadził ją w stronę tylnego ganku. Chcąc nie chcąc, podążyła za nim. Zatrzymała się u podnóża schodów.

- Nie, nie mogę - zaprotestowała bez przekonania. Chwilowo byli sami. Reszta rodziny kłębiła się kilka metrów dalej.

- Jak to? - On również przystanął, spojrzął na nią zaskoczony. - Dlaczego?

- Oni wszyscy zachowują się tak, jakby myśleli, że jestem twoją dziewczyną. Oni... badają mnie na swój sposób. A twoja matka... obawiam się, że i ona tak myśli.

Przez moment obserwował ją w milczeniu.

- Za dużo się martwisz - orzekł wreszcie. Znowu ujął ją za rękę i nie napotykając już zbytniego oporu, wciągnął ją na stopnie, a potem w głąb domu.

## Rozdział trzydziesty piąty

- Mamo, babciu, to jest Grace.

Tony nadal trzymał ją za rękę, kiedy weszli do nagrzanej, wilgotnej kuchni. Ściskając jego ciepłą, mocną dłoń tak kurczowo, jakby była to dla niej ostatnia deska ratunku, Grace niemal fizycznie odczuła uderzenie fali intensywnych aromatów różnych przypraw i czosnku, unoszących się z czterech garnków, które bulgotały na ogniu, oraz z przynajmniej tuzina żaroodpornych, parujących naczyń, ustawionych na masywnych sosnowych stołach.

- Tony!

Jego matka odwróciła się od garnka, w którym mieszała coś energicznie, tkliwie objęła syna, on zaś puścił rękę Grace i zamknął matkę w niedźwiedzim uścisku. Grace poczuła się nagle odrzucona, co było oczywiście niedorzecznością;

wiedziała o tym. Potem uściskała go babcia, a matka odwróciła się do Grace.

- Więc to z panią rozmawiałam przez telefon.

Zmierzyła Grace baczny spojrzeniem od stóp do głów. Była mniej więcej tego samego wzrostu, jej stalowosiwe włosy, zaczesane za uszy, przeplatały się tu i ówdzie z nielicznymi ciemnymi pasemkami, w odwrotnej proporcji niż u Tony'ego. Za dwadzieścia lat tak samo będą wyglądały jego włosy, pomyślała Grace. W rysach jej twarzy widziała uderzające podobieństwo do Tony'ego, ale skóra matki wydawała się bardziej oliwkowa i pozbawiona naturalnej opalenizny. Wykazywała za to stosunkowo mało zmarszczek. Oczy o barwie ciemnej czekolady były osadzone pod siwymi jak włosy brwiami. Miała na sobie luźną czarną suknię sięgającą za kolana i szary wzorzysty fartuszek z deseniem w owoce.

- To miłe z pani strony, że zaprosiła mnie tu z córką - powiedziała uprzejmie Grace. Wzrok kobiety potęgował jej zdenerwowanie, starała się jednak nie okazywać tego po sobie.

- Jest pani u nas mile widziana, Grace. - Poważną do tej pory twarz matki Tony'ego rozjaśnił uśmiech i podobieństwo do syna zrobiło się nagle tak uderzające, że Grace zamruła oczyma. - Mogę się zwracać w ten sposób? Dominik mówi, że wszyscy mówią do pani „sędzino jakoś tam”, ale moim zdaniem to zbyt oficjalne.

- Sędzio Hart, mamó - uzupełnił Tony. - Grace, to moja babcia, Rosa Marino. Mama ma na imię Mary.

W przeciwieństwie do Mary Rosa była drobna, nieco przygarbiona i siwa jak gołąb. Włosy miała zebrane w kok. Sądząc po wyglądzie, mogła mieć osiemdziesiąt kilka lat i prawdopodobnie rzeczywiście była już w tym wieku, na co wskazywały blada pomarszczona twarz i kościste ręce, nadal jednak miała bystre, ciekawe wszystkiego oczy. Podobnie jak matka Tony'ego, nosiła długą do połowy łydek czarną suknię oraz fartuch z ceratki.

- Mam nadzieję, że lubi pani smaczne potrawy - odezwała się do Grace, a w oczach jej wnuka zatańczyły natychmiast wesołe iskierki. - Bo tylko takie tu mamy i to w bród.

- A teraz nadeszła właśnie pora, aby je zjeść, póki są ciepłe - dodała Mary i zwróciła się do syna: - Możesz nam pomóc i zacząć wynosić naczynia. Weź do pomocy braci.

- Ja też chętnie pomogę. - Grace zgarnęła ze stołu jakieś naczynie, chcąc mieć pretekst, aby jak najprędzej wymknąć się z kuchni. Czowała się nieswojo pod badawczym wzrokiem matki i babci Tony'ego.

- Nie, nie, one są za ciężkie i gorące. Lepiej niech zajmie się nimi Tony. A pani, Grace, jeśli ma ochotę, może wynieść pieczywo. - Mary Marino podała jej dwa kosze wypełnione po brzegi pieczywem i nakryte serwetkami, natomiast Tony, objuczony naczyniami żaroodpornymi, wysunął głowę na zewnątrz i donośnym głosem przywołał braci, którzy natychmiast przybiegli na pomoc.

Niebawem wszyscy zasiedli do stołów i chaos przekształcił się we względny spokój. Grace siedziała w pewnej odległości od córki, którą usadowiono wśród młodzieży. Jedzenie zgodnie z zapowiedzią okazało się wyśmienite, ale Grace nabierała jedynie małe porcje oferowanych potraw. Pieczeń cielęca i drób, rozmaite odmiany makaronów i sałatek, zapiekanki warzywne, pieczywo zwykłe i czosnkowe, dwa rodzaje ciast domowego wypieku i placek z jabłkami, wszystko znikало w zdumiewającym tempie. Grace, nie mogąc w tych warunkach kontrolować, co je Jessica, dała w końcu za wygraną i skupiła się na własnym talerzu.

Widziała, że Tony konsumuje olbrzymie ilości potraw, przekomarzając się przy tym chętnie z braćmi i resztą rodziny. Ona sama odzywała się raczej niewiele, przysłuchiwała się za to opowieściom rodzinnym, snutym przez braci.

Potem, kiedy uprzątnięto już naczynia (wyglądało na to, że wydany przez

Mary zakaz wstępu synowych do kuchni nie dotyczy zmywania), Grace usiadła na składanym krześle w pobliżu garażu, aby popatrzeć, jak drużyna składająca się z trzech najstarszych braci: Dominika, Tony'ego i Ricka odnosi zwycięstwo nad zespołem młodszych braci: Kyle'a, Mike'a i Robby'ego w zaciętym meczu koszykówki. Jessica z bliźniakami zaprezentowała doskonałą grę; pokonali wszystkich prócz starszych braci Marino. Teraz dziewczyna bawiła się z psami w aportowanie. Obok Grace siedziała Jenny, wstała jednak, aby uspokoić płaczące dziecko, a jej miejsce natychmiast zajęła Rosa.

- To dobrze dla Tony'ego, że jest pani tu razem z nim, Grace - powiedziała po kilku zdawkowych uwagach, głównie na temat godnego podziwu talentu wnuków do gry w koszykówkę. - Proszę się nie dziwić, że wykazujemy tak duże zainteresowanie pani osobą. On przeszedł ciężkie chwile, bardzo ciężkie. A pani jest pierwszą widoczną oznaką, że udało mu się z tego wyjść.

Grace zmarszczyła brwi, usiłując zrozumieć sens tych słów.

- Jakie ciężkie chwile ma pani na myśli? - zapytała ostrożnie.

Rosa potrząsnęła głową.

- Mówię o stracie Rachel. Och, to było okropne! Wszyscy płakali, łzom nie było końca. A Tony... Jego matka myślała, że pęknie mu serce. Upłynęły już cztery lata, a on był przez cały ten czas sam... jeśli nie liczyć owych latawiczek, które zjawiały się i od razu znikwały... to się oczywiście zdarzało, bo przecież on jako mężczyzna miał swoje potrzeby... Nawet do nas przyjeżdżał zawsze sam. Sam szedł przez życie, a to nie jest dobre dla mężczyzny, zwłaszcza takiego jak Tony, który potrafi kochać i radować się życiem, jak przystało na kogoś, kto nosi nazwisko Marino. Jest pani pierwszą przyzwoitą kobietą, którą się zainteresował od tamtego czasu, pierwszą, którą przyprowadził na spotkanie rodzinne. I dlatego bardzo się cieszymy, że mogliśmy panią poznać.

Niezdarnym gestem pogłaskała dłoń Grace zaciśniętą na oparciu krzesła.

- Nie powinna pani wyolbrzymiać znaczenia mojego pobytu w tym domu - przestrzegła Grace. - Tony i ja... nie jesteśmy... to znaczy, nie łączy nas związek jako taki. Ja...

Rosa roześmiała się i ponownie pogłaskała jej dłoń.

- Dominik opowiedział już matce wszystko o pani i Tonym, proszę więc nie zaprzętać tym sobie głowy. On zna swego brata jak własną kieszeń i potrafi ocenić właściwie, co się dzieje. Mary nie posiadała się z radości, widząc, że Tony wziął się wreszcie w garść po tej strasznej historii z Rachel.

Grace przełknęła ślinę. Mimo najszczerzych chęci nie potrafiła się powstrzymać przed zadaniem pytania, które samo cisnęło się jej na usta.

- Pani Marino...

- Proszę, mów mi Rosa.

- A więc Rosa... Kto to jest Rachel?

Rosa obrzuciła ją szybkim spojrzeniem.

- Nie powiedział ci o niej... - Pokręciła głową, zakłopotana. - W takim razie musisz zapytać o to jego. Rachel to klucz do Tony'ego, on sam musi ci o niej opowiedzieć.

Rachel. Co to za Rachel? Była przyjaciółka? Żona? Tony powiedział, że nie jest żonaty, ale może był dawniej? „Rachel to klucz do Tony'ego”. Kimkolwiek jest ta Rachel, jej związek z Tonym musiał być bardzo poważny.

Nie widziała w tym żadnej logiki - przecież sama miała już męża i była rozwódką, a poza tym nic jej nie łączyło z Tonym - a jednak nie podobała jej się sama myśl o tym, że on musiał tak długo dochodzić do siebie po jakimś dawnym związku. Sporym szokiem była dla niej świadomość, że tam, gdzie chodziło o niego, ona zaczynała stawać się... zaborcza.

Rozmyślała o tym odkryciu cały wieczór, nawet po wyjściu z przyjęcia.

Do domu wrócili po zapadnięciu zmroku, a w chwili gdy samochód znalazł

się na podjeździe, całe rozbawione towarzystwo spoważniało, tak jakby zawisła nad nimi czarna chmura. Uspokoily się nawet psy, które ograniczyły się do obwąchania podwórza i domu. Tony natychmiast powrócił do swoich obowiązków. Zapalił światła, zajął się sprawdzeniem wszystkich pomieszczeń i dopiero kiedy uznał, że wszystko w porządku, pozwolił Grace i Jess opuścić kuchnię. Dręczona niejasnym przeczuciem Grace wciąż była niespokojna. Jessica też kręciła się ze skwaszoną miną, rzekomo z powodu pracy domowej, którą musiała jeszcze wykonać na następny dzień, ale Grace podejrzewała, że po prostu stresuje ją pobyt w domu, gdzie ostatnio spotkało ją tyle nieprzyjemności. Kiedy Jessica poszła na górę, aby zrobić sobie zastrzyk, Grace machinalnie udała się za nią. Nie była w sypialni córki od wczorajszej nocy i nie chciała, aby Jess przebywała tam sama. Ku jej niezadowoleniu okazało się, że klatka Godzilli stoi nadal, gdzie stała, wzięła ją więc i wyniosła do hallu, następnie zmieniła pościel w łóżku Jess i nawet odwróciła materac na drugą stronę.

Nieco później Tony odbył kilka rozmów telefonicznych, aby ustalić plan działania na następny dzień, przedtem jednak na prośbę Grace usunął z domu wszystko, co mogłoby przypominać Jessice Godzillę. Przez kilkanaście minut matka z córką siedziały w kuchni, powtarzając wspólnie słówka hiszpańskie, potem jednak Jessica postanowiła samodzielnie stawić czoła algebrze przy swoim biurku, Grace natomiast, z filiżanką kawy w ręku, wyszła na ganek zaczerpnąć świeżego powietrza. Czekają ją jeszcze pójście na górę i wymierzenie córce kary, prawdopodobnie w formie przedłużonego aresztu domowego. Dom, który jeszcze niedawno uwielbiała, wywoływał w niej teraz niemal klaustrofobię.

Po rześkim popołudniu nie zostało już nic. Wieczór był ciemny, chłodny i pachniał wilgocią. Zerwał się lekki wiatr, szumiąc w gałęziach drzew i wśród liści kaliny. Cicho pobrzękiwały dzwonki wietrzne. Ruchome cienie to nachodziły na siebie, to znów się rozdzielały. W odległym zakątku podwórza coś się poruszyło.

Grace zamarła, ale po chwili roześmiała się, rozpoznawszy strzęp niedzielnej gazety. Nie wyszła jednak na podwórze, aby go podnieść, tak jak uczyniłaby bez namysłu jeszcze parę dni wcześniej.

Wszystko przez tego łajdaka, który zawział się na nie obie! To on odebrał im tak cenne poczucie bezpieczeństwa, jej i Jess. Tam, gdzie ich mały świat wydawał się znajomy i bezpieczny, obecnie wszystko, nawet dom, w którym mieszkały od lat, stało się obce i groźne. Wystarczał już byle drobiazg, nawet strzęp gazety gnany wiatrem przez podwórze, aby serce zamierało ze strachu.

Grace wzdrygnęła się i weszła do domu, zamykając za sobą porządnie drzwi.

Jak dobrze, że jest z nimi Tony. Ta świadomość pozwoliła jej odprężyć się trochę. Dopóki policja nie schwyta tego typa, ona i Jessica znajdują się pod dobrą ochroną. Wolą nie myśleć nawet, jak by się czuła, gdyby były tu teraz same.

Raz po raz wracało do niej pytanie o tę jego Rachel.

Weszła na górę, gdzie zastała Jess wyciągniętą na łóżku i głęboko uspioną. Oba psy leżały u jej boku, wtulone w siebie. Uniosły trochę łby, kiedy Grace weszła do sypialni, ale nie szczeknęły ani nie zeskoczyły z łóżka.

Grace z dezaprobatą zacisnęła usta. To niehigieniczne spać razem z psami. Mogą przecież mieć pchły albo inne robactwo! Przez moment spoglądała na zwierzęta, zastanawiając się, w jaki sposób wypłoszyć je z łóżka, nie budząc przy tym Jess. Kiedy tak leżą obok niej, z głowami wtulonymi między łapy, wyglądają jak beżowobiałe mopy, pomyślała. Patrząc na nie, najwidoczniej skłonne przeleżeć tak całą noc, poczuła jednak nagły przypływ sympatii. Ostatecznie dzięki nim Jessica zapomniała o napięciu tego ciężkiego dnia, zabrała się do odrabiania zadań z algebry, a teraz znalazła ukojenie we śnie. W dodatku psy będą jej strzegły w łóżku.

Kilka pcheł to niewygórowana cena za tyle korzyści.



Grace wyciągnęła z szafy cienką kołdrę i okryła delikatnie córkę. Psy nawet nie drgnęły, a Grace dość niezdarnie pogłaskała każdego z nich po głowie.

Szczeniak polizał jej rękę.

Grace wytarła wilgotną dłoń o spodnie; nie była pewna, czy ten przejaw psiej miłości cieszy ją czy też napęlnia niesmakiem. Zgasiła światło, zamknęła drzwi i zeszła na dół.

Minęła już dziesiąta, a Grace zazwyczaj kładła się do łóżka przed jedenastą. Dziś jednak czekało ją jeszcze przejrzenie całej teczeki akt, przygotowanie na następny dzień ubrań oraz listy niezbędnych zakupów i pranie.

Zamiast jednak wziąć się za to wszystko, poszła odszukać Tony'ego.

Siedział w saloniku, rozparty wygodnie na kanapie, trzymając stopy w białych sportowych skarpetach na stoliku. Zdjął przedtem bluzę (w domu było bardzo ciepło), pozostając w obcisłej białej koszulce i dżinsach. Pistolet leżał obok niego na samym brzeżku stolika, w pobliżu lampy. Tony trzymał w ręku pilot telewizora i wyraźnie znudzony przeskakiwał z kanału na kanał. Podniósł wzrok, kiedy Grace weszła do pokoju.

- Zaczynam doceniać twój pomysł z psem jako łapówką - powiedziała, siadając na bujaku. Czarny pistolet na krawędzi stolika połyskiwał groźnie między nimi. - Naprawdę oddałbyś Jess tego szczeniaka?

- Jasne. - Uśmiechnął się i ściszył telewizor. - A skoro o niej mowa... Wiesz, że zrobiła na moich bratankach duże wrażenie? Byli nią zachwyceni.

- Pewnie dlatego, że diabelnie dobrze rzucała do kosza - odparła Grace.

Roześmiał się.

- Tak, pewnie również dlatego.

- Masz bardzo miłą rodzinę. Jak na obcych, zostaliśmy z Jess przyjęte bardzo serdecznie. A jedzenie... Pycha! Twoja matka i babcia gotują naprawdę wspaniale. Powinny otworzyć restaurację.

- Powtórzę im, co powiedziałaś. Będą wniebowzięte.

- Twoi bracia, jak się wydaje, stworzyli bardzo udane małżeństwa - zauważyła Grace z mocno bijącym sercem.

- Taaak, trafili na miłe dziewczyny.

- Wszyscy prócz ciebie.

Zerknął na nią z ukosa.

- Prócz mnie - przyznał.

Odetchnęła głęboko. Nie było innej rady: jeśli chciała uzyskać odpowiedź na dręczące ją pytanie, musiała je zadać.

- Tony - szepnęła - kto to jest Rachel?

## Rozdział trzydziesty szósty

Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu. Siedział zeszywniały, z rozszerzonymi oczami, jak po otrzymaniu silnego ciosu. Potem zacisnął szczęki i przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy. Jedyne na dnie oczu błąkały się jakieś niepokojące cienie.

- Kto ci powiedział o Rachel? - zapytał powoli, jakby staranne wymówienie tych słów sprawiało mu wiele trudu.

I znowu, widząc, ile znaczy dla niego to imię, Grace poczuła w sercu palące żądło zazdrości. Kimkolwiek była owa Rachel, on najwyraźniej kochał ją - i kocha nadal - na zabój. Nie ma mowy, abym mogła z nią konkurować, pomyślała nieoczekiwanie i uświadomiła sobie zaskoczona, iż chętnie stanęłaby do tej walki.

- Twoja babcia wspomniała jej imię. Ale nie powiedziała nic więcej. Tylko tyle, żebym zapytała o nią ciebie.

- Ach, babcia - mruknął. Zamknął oczy, ale niemal natychmiast otworzył je z powrotem. Spojrzał wprost na Grace.

- Rachel była moją córką - wyjaśnił.

Była. Grace zarejestrowała to słowo w swoim umyśle, uprzytomniła sobie jego wymowę i poczuła, jak krew zastyga jej w żyłach. Utkwiła w nim wzrok pełen trwogi.

- Tony - szepnęła wreszcie głosem nabrzmiałym współczuciem. - Tak mi przykro! Nie miałam pojęcia.

- W porządku.

Przeniósł wzrok na telewizor. Kiedy padło tamto pytanie, Tony odłożył pilot, zostawiając włączony kanał, na którym emitowano jakiś film akcji. Teraz patrzyła wraz z nim na ekran, gdzie przyciszona eksplozja rozniosła właśnie czyjś samochód na tysiące części.

- Powinienem wreszcie wyjść z tego - odezwał się po chwili Tony spokojnym, chłodnym tonem. - Upłynęły już cztery lata. A życie toczy się dalej.

Z tych pozornie beznamiętnych słów przebijał z trudem tłumiony ból.

- Wydaje mi się, że nie można przeboleć utraty własnego dziecka - szepnęła Grace, czując, jak żal rozrywa jej serce.

Przeszła kilka kroków dzielących ją od kanapy i usiadła obok niego, machinalnie zsuwając pantofle, po czym podkuliła nogi, tak że ramieniem wsparła się o jego bok, a kolanem musnęła udo. Wygodna, sprężysta kanapa lekko ugięła się pod nią, jego ciało natomiast okazało się nieustępliwie twarde. Grace położyła mu dłoń na ramieniu, ciepłym i napiętym pod miękką bawełną, i przyłgnęła do niego mocniej w niemym geście pocieszenia.

- Cztery lata, czterdzieści, czterysta. Bez względu na to, ile czasu by

upłynęło, nigdy, przenigdy nie pogodziłabym się z tym, gdyby coś złego przytrafiło się mojemu dziecku... mojej Jess...

Do oczu napłynęły jej łzy.

Tony obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

- Jak na surową sędzinę, masz dość miękkie serce, wiesz? Sęk w tym, że niezależnie od stopnia, w jakim kogoś kochasz, nie posiadasz go na własność, rozumiesz? Zdarza się, że nie możesz utrzymać tej osoby przy sobie, choćbyś robiła nie wiadomo co, tracisz ją i zostajesz sama. Musisz wtedy jakoś z tym żyć. I jeśli potrafisz mimo wszystko oddychać i jeść, i spać, i obserwować wschody i zachody słońca, z czasem poczujesz się lepiej. Ze mną też jest coraz lepiej; potrafię wspomnieć ją i uśmiechnąć się, tak jak uśmiechałem się wtedy, gdy mówiła coś zabawnego. Cieszę się, że już to potrafię.

Umilkł i znowu utkwiał wzrok w ekranie telewizora, jakby jakaś scena przykuła nagle jego uwagę. Nietrudno jednak było dostrzec, że nie widzi tam nic, a tylko próbuje ukryć nadmiar emocji.

- Czy to był wypadek? - Pytanie, które zadała, było zaledwie tchnieniem. - Ale jeśli wolałbyś o tym nie mówić, nie odpowiadaj.

Przez moment myślała, że tak właśnie postąpi. Ale on w charakterystyczny dla siebie sposób zerknął na nią i objął ją w pól. Ujął ją oburącz w talii, uniósł wyżej i bez najmniejszego trudu posadził sobie na kolanach. Nie wypuszczał jej z objęć, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję. Z tak bliska wydawał się zmęczony i spięty; miał podkrążone oczy, okolone drobnymi zmarszczkami, głębsze zmarszczki biegingy od nosa do ust. Tony zamknął oczy, przechylił w tył głowę na jej ramię, po czym otworzył oczy i spojrzał na nią.

- Torbielowatość płuc - powiedział. - Dowiedzieliśmy się o tym... to znaczy moja żona i ja... kiedy ona była jeszcze mała, bardzo mała. Pracowałem wtedy w policji, jak teraz, ale byłem jeszcze żóltodziobem. Mieszkaliśmy w Cleveland, bo

stamtąd właśnie pochodziła Glenn... moja żona. Lekarze uprzedzili nas, że Rachel nie będzie żyła długo, ale nie mogliśmy w to uwierzyć; była taka pełna życia i radości, uosobienie szczęścia. Ale ten przeklęty śluz zatykał jej płuca, musieliśmy dosłownie bić, ugniatać z całej siły jej drobne ciało i walić w nie pięściami, aby mogła oddychać. Glenn nie mogła tego znieść. Zostawiła mnie z Rachel, przeprowadziła rozwód i tylko czasem przychodziła zobaczyć, co z małą. Potem Rachel przestała się tym przejmować, ja też. Mieliśmy siebie, zżyliśmy się ze sobą bardzo mocno. Aż pewnego ranka, kiedy Rachel czuła się już bardzo źle, usiadła na swoim szpitalnym łóżku i zapytała: „Tatusiu, słyszysz, jak śpiewają aniołowie?”. Siedziałem przy niej na łóżku, a ona uśmiechnęła się do mnie, osunęła na moje ramię i umarła. Tak po prostu. Nie mogłem w to uwierzyć. Ale jej już nie było. - Urwał i ponownie wziął głęboki oddech. - Miała wtedy jedenaście lat.

W jego oczach zalśniły z trudem powstrzymywane łzy, a Grace poczuła żal i tak dotkliwy ból, jakby miało pęknąć jej serce.

- Och, Tony - szepnęła, tuląc się do niego i całując go w kłujący policzek. - Tak mi przykro!

Zacisnął ręce wokół niej tak mocno, że przez chwilę zabrakło jej tchu.

- Tak więc straciłem ją, i nie wiem, co bym zrobił, gdyby nie Dom, który przyjechał po mnie, zawiózł do Columbus i właściwie przywrócił do życia. Bo już rzuciłem pracę i zacząłem pić; pragnąłem umrzeć. Nie mogłem znieść myśli o Rachel leżącej samotnie w ciemnym zimnym grobie. Nigdy nie lubiła być sama, zwłaszcza pod koniec, kiedy choroba się rozwinęła. Dlatego potem, kiedy już nie żyła, nie potrafiłem myśleć o niczym innym, tylko o tym, że zawsze będzie leżała w tym grobie sama.

Umilkł i zacisnął szczęki. Opuścił głowę na jej ramię, poczuła na sobie jego mocarną klatkę piersiową. W świecie Tony'ego prawdziwi mężczyźni nie płakali, wiedziała o tym, on jednak płakał teraz, bezgłośnie, bez łez, raz po raz

gorączkowo łapiąc oddech. Nie mogąc uśmierzyć jego bólu, robiła to, co mogła: tuliła go i całowała na oślep, po policzku, uchu, gdziekolwiek, szepcząc urywane słowa pocieszenia, podczas gdy po jej policzkach spływały gorące łzy.

W pewnym momencie uniósł głowę i spojrzał na nią. Oczy miał podkrążone i wilgotne, złocistopiwne tęczęwki lśniły podejrzenie jasno, a jednak zdobył się na nikły półuśmiech.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał. Jego głos przybrał niezwykle łagodne brzmienie: - Chyba nie z mojego powodu?

- Och, Tony...

To było silniejsze od niej. Nie mogła mówić dalej, bo jej głos łamał się co chwila, ale to przecież nie miało znaczenia, bo i tak nie istniały słowa, które w tych okolicznościach przyniosłyby pożądaną skuteczną łzy jeszcze obficie popłynęły jej z oczu.

- Grace... - szepnął niskim, gardłowym głosem, a potem pocałował ją.

Pod dotknięciem jego ust rozplakała się jeszcze żałośniej, on zaś całował ją, łkającą w jego ramionach, mimo iż to właśnie on był tym, który stracił dziecko. Ale ona opłakiwała nie tylko jego ból i śmierć jego córki, płakała też nad sobą i swoją córką, a także z powodu tej straszliwej tragedii rozdartej miłości. Tony nie przestawał jej całować, szeptał jej imię, jakby chciał podnieść ją na duchu, i w końcu zaczęła odwzajemniać pocałunki, tuląc się do niego, jakby uprzytomniła sobie, że nie może się dłużej bronić. Że emocje, od których nabrzmiało jej serce, rozbiły okrywający je dotychczas pancierz. Chwyła jego koszulkę, wyszarpnęła spod paska dzinsów, wsunęła dłonie pod cienką bawełnę i dotknęła piersi, którą podziwiała już wcześniej tego dnia.

Ale oto jego dłoń wpełzła pod golf i odnalazła jej pierś, a kiedy nakryła ją i dotknęła sutka, Grace zapomniała o wszystkim. Golf, chroniący jej szyję przed jego ustami, powstrzymał go tylko na moment; pochwycił sweter oburącz i

ściągnął jej przez głowę, następnie sięgnął dłonią na plecy, między łopatki, jednym ruchem rozpiął stanik i zsunął go.

Na krótką chwilę odzyskała jasność myślenia. Otworzyła oczy i ujrzała siebie: szczupłą, o drobnej budowie ciała, małych piersiach z różowymi czubkami i bladej karnacji skóry, nagą od pasa w górę w tym ciepłym blasku lampy, skuloną na kolanach Tony'ego. Jego natomiast okrywało ubranie, choć w sporym nieładzie. Oczy - w tym momencie bardziej złociste niż piwne - płonęły żądzą, a jego skóra, gdy dłoń powróciła na jej pierś, wydała się w porównaniu z jej bladością intensywnie brązowa.

Opuściła wzrok na szeroką opaloną dłoń, rozpostartą w zaborczym geście na jej gładkiej kremowej pierś, i natychmiast utraciła zdolność myślenia, bo jego ręka zaczęła się poruszać.

Ostatnim obrazem, jaki zarejestrowała jej świadomość, był ekran wyciszonego telewizora z nadawanymi właśnie wiadomościami oraz jego noga w białej sportowej skarpecie, odsuwająca niecierpliwie stolik.

Potem pochylił głowę, a ona dostrzegła jeszcze srebrzysty błysk w gęstych falach jego szpakowatych włosów, gdy musnął je blask lampy.

Jego usta, gorące, wilgotne i zachłanne, wchłonęły brodawkę jej piersi i Grace jęknęła. Uniosła ręce, zacisnęła je na jego głowie, przycisnęła mocniej do siebie i z zamkniętymi oczyma wygięła się w łuk.

Jego gorące wargi uwolniły jej piersi i natychmiast wilgotne, twarde niczym kamyki sutki owionął chłód arktycznego, jak się jej wydawało, powietrza. Zaprotestowała głuchym jękiem, ale on już zamknął ją w ramionach i uniósł nieco.

Otworzyła oczy. Jak przez mgłę dostrzegła, że w pokoju jest zupełnie ciemno. Ciszę mąciły jedynie ich oddechy; jego dość chrapliwy, jej znacznie cichszy. Położył ją na dywanie, jej różowo-niebiesko-beżowym dywanie perskim, który kupiła dawno temu na pchlim targu za bezcen, nie mając wtedy pojęcia, że

można wykorzystać go i w taki sposób; czuła teraz pod sobą jego szorstką fakturę oraz twardość podłogi.

Na moment odezwały się w niej resztki zdrowego rozsądku.

- Tony... - szepnęła. Nachylony nad nią ściągnął właśnie koszulkę i cisnął ją na bok, tak że dłonie Grace, które uniosła, aby go powstrzymać, napotkały ciepło jego nagich ramion. Sunąc dłońmi po szerokich umięśnionych barkach, niemal zatopiona w niesamowitym blasku jego oczu, zdołała wymamrotać: - Nie powinniśmy... nie tu, nie w tym domu... ja...

Nie zdążyła wypowiedzieć swojego protestu do końca, bo on akurat odpiął haftkę i z dobrze słyszalnym trzaskiem otworzył suwak w jej spodniach, po czym ściągnął je razem z majtkami. Zanim się spostrzegła, była naga, leżała w ciemnym saloniku na perskim dywanie naga, on zaś, nadal w dżinsach, klęczał przed nią, a jego dłoń wędrowała leniwie po wewnętrznej stronie jej uda, dręcząc je gorącą pieszczotą.

Odnalazł drobny wilgotny pączek, który zadygotał pod jego dłonią, potem nachylił się, zastępując dłoń ustami; kiedy poczuła wilgotny żar języka, utraciła wszelką zdolność myślenia.

Pod parzącą posługą jego ust wbijała paznokcie w szorstkie sploty dywanu, bezwiednie drapała jego powierzchnię, chwytając się czegokolwiek, aby zakotwiczyć się na podłodze i nie wzlecieć wyżej. Bezwolnie rozchyłała szerzej uda, dając mu wolną rękę, z czego on korzystał skwapliwie. Jego usta i ręce głaskały ją i pieściły, zagłębiając się i wynurzając na przemian, dręcząc upojną pieszczotą, dopóki nie zaczęła kwilić i wić się, i pojękiwać, i wykrzykiwać jego imię.

Wtedy przygryzł ją, delikatnie wprawdzie, leciutko, ale i to wystarczyło, aby strącić ją w otchłań; jej biodra oderwały się od dywanu i wygięły w górę, przylgnęły do twarzy dręczyciela, targnięte spazmem eksplozji, a wszystko wokół



niej zawirowało, tworząc chwilową pustkę w głowie, podczas gdy ciało dygotało i trzęsło się konwulsyjnie. W końcu opadła bezwładnie na dywan, chwytając łapczywie powietrze, owładnięta błogim spokojem i nieprzepartym pragnieniem snu.

Ale nie był to jeszcze koniec. Teraz on sam znalazł się między jej udami; twardy, rozpalony, nabrzmiały wtargnął w nią, rozciągając ją, wypełniając sobą i domagając się jej reakcji, lecz ona próbowała bezskutecznie zewrzeć uda, które on bez trudu rozsuwał szerzej.

Otworzyła oczy, aby zaprotestować, bo teraz pragnęła jedynie odpoczynku, ale on już przygniótł ją sobą i zanim zdążyła dostrzec coś więcej niż tylko błysk światła z kuchni na jego muskularnym ciele i jego rozognione oczy, pocałował ją, wdzierając się w usta językiem równie twardym i gorącym jak tamta część jego ciała. W tym samym momencie, gdy odnalazł dłońmi jej piersi i sutki, zaczął się poruszać. Uderzał gwałtownie, biorąc teraz raczej niż dając, dążąc do zaspokojenia własnej żądzy, a Grace, zaskoczona, poczuła, że jej ciało budzi się na nowo, że zaczyna odwzajemniać jego pragnienie, że znowu drży cała i wtapia się w to twarde ciało, które porywa ją ze sobą na potężnej fali przyływu zacieklej namiętności. Tym razem zamiast w dywan wbiła paznokcie w jego plecy, a potem oplotła nogami jego biodra.

- Tony! - krzyknęła zadyszana, kiedy jej świat eksplodował ponownie. W odpowiedzi jęknął przeciągle. Ostatnie głębokie pchnięcie przyniosło mu spełnienie, po którym znieruchomiał, pozostając w niej, drżącej nadal niepowstrzymanie.

## Rozdział trzydziesty siódmy

Otworzyła oczy z pierwszym brzaskiem poranka i zarumieniła się na wspomnienie minionej nocy. Kochali się raz za razem, dopóki starczyło im sił, a w przerwach rozmawiali. Tony opowiedział jej o swoim dzieciństwie, o tym, jak to jest być jednym z sześciu braci, a Grace o swoim, nacechowanym samotnością i zakończonym śmiercią matki. Opisali sobie wzajemnie swoje byłe małżeństwa oraz dodatnie i ujemne strony swoich zawodów. Jedynym tematem, jakiego zgodnie unikali, była sprawa Rachel. Grace czuła, że Tony nie chce rozdrapywać ran i postanowiła uszanować jego wolę.

W końcu zasnęła w jego ramionach, a potem obudziła się u schyłku nocy i stwierdziła zaskoczona, że jest otulona kocem i najwidoczniej lewituje w górę schodów. Dopiero po chwili dostrzegła przed sobą jego twarz i sytuacja stała się jasna: poruszając się ostrożnie w ciemnościach, Tony wnosił ją na górę, do jej sypialni.

- Chyba nie chcesz, żeby Jessica ujrzała cię rano uśpioną w salonie? - szepnęła jej do ucha, kiedy zamrugła oczyma, jeszcze nie w pełni rozbudzona.

Nie, nie chciała. Była to nawet jedna z jej żelaznych zasad: nigdy nie kochać się z mężczyzną w swoim domu, a już na pewno nie w obecności córki, nawet gdyby ona spała. To jednak, co zdarzyło się z Tony'm, zburzyło jej wszystkie dotychczasowe zasady. Coś podobnego nie przytrafiło się jej nigdy przedtem.

Dała się ponieść namiętności.

Ta myśl wstrząsnęła nią, ale potem uśmiechnęła się mimo woli. Po raz pierwszy w ciągu trzydziestu sześciu lat życia pojęła, czym jest seks. Dawniej,

kiedy jej znajome paplały z zachwytem o tym lub owym stosunku albo tym lub owym mężczyźnie, uśmiechała się uprzejmie i w głębi duszy dziwiła się ich brakowi opanowania. Teraz wiedziała już, na czym to polega. W ciągu tej jednej nocy przekonała się, jak seks z odpowiednim mężczyzną może wstrząsnąć kobietą i odmienić jej życie.

I pomyśleć tylko, że tym właściwym mężczyzną okazał się w jej wypadku Tony Marino! To było chyba najbardziej wstrząsające! Uśmiechała się jeszcze do własnych myśli, kiedy zmorzył ją sen. Uśmiechała się również wtedy, gdy przebrzmiał już dźwięk budzika; wyjątkowo tym razem nie usłyszała go.

Dwadzieścia minut później weszła do jej sypialni Jessica, aby ją zbudzić. Gorączkowa krzątająca poprowadzająca wyjście do szkoły i do pracy nie dała Grace czasu na nic więcej niż tylko ukradkowe spojrzenia na Tony'ego, przelotne spotkanie przy śniadaniu, zakłopotany uśmiech, łyk kawy i pośpieszne zgarnięcie porannej gazety z ganku. A potem obie, ona i Jessica, wyruszyły w drogę w towarzystwie policjantów przydzielonych im do ochrony. Tony miał ich zmienić o piątej, po powrocie do domu.

Policjantka przydzielona Jess, Gloria Baer, była blondynką o wyglądzie siedemnastolatki. Ubrana podobnie jak Jessica, w dżinsach i luźnym swetrze (pod którym, jak podejrzewała Grace, tkwił ukryty pistolet), miała być przedstawiona w szkole jako kuzynka Jess, która przyjechała do niej z daleka i będzie spędzać z nią cały czas. Policjantem towarzyszącym Grace był Barry Penick. Miał trzydzieści parę lat i kasztanowate, nieco już przerzedzone włosy, był średniego wzrostu, nosił sportową marynarkę i krawat; pewnie po to, aby lepiej się wtopić w publiczność sądową.

Już w porze lunchu miała dość jego obecności. Nie odstępował jej na krok, szedł za nią aż pod drzwi toalety, gdzie czekał potem jak wierny pies, dopóki nie zjawiała się z powrotem. Kiedy ogłosiła przerwę na lunch i wstała, aby przejść do

gabinetu, Penick wstał również.

Nie mogąc się powstrzymać, posłała mu miażdżące spojrzenie. W pierwszym odruchu chciała nawet odwołać całą akcję. Przecież niebezpieczeństwo zagraża Jess, nie jej!

Zagryzła wargę i udała się do gabinetu. Kiedy Penick skończył przeszukiwanie pomieszczenia i upewnił się, że nie ma tu żadnych ukrytych zamachowców, Grace wyprosiła go na zewnątrz pod pretekstem pilnej pracy, która ją teraz czeka, po czym zamknęła starannie drzwi i z westchnieniem ulgi oparła się o nie plecami. Następnie usiadła za biurkiem, na którym stał już talerz z owocami, przyniesiony na jej prośbę przez sekretarkę, nalała sobie kawy i jedząc, oddała się lekturze gazety.

Dochodziła już do strony z komiksami, kiedy zaskoczona zmarszczyła brwi. Rano wzięła gazetę wprost z ganku, ale wyglądało na to, że ktoś miał ją już w ręku przed nią. Ten ktoś zaznaczył jaskrawoczerwonym flamastrem trzy horoskopy. Jeden z nich, dla Panny, dotyczył jej samej. Drugi był dla Ryb, a więc dla Jess. Trzeci zakreślony horoskop dotyczył znaku Koziorożca.

Grace wstrzymała na moment oddech. Koziorożec. 21 stycznia. Ta data należała do najważniejszych w jej życiu. Przeczytała horoskop i omal nie parsknęła histerycznym śmiechem: *Wiadomość od kogoś z Twojej przeszłości może rozbudzić wspomnienia.*

Czysty zbieg okoliczności, to jasne. Nie może być inaczej.

Może Tony jest spod znaku Koziorożca, znalazł gazetę przed nią i zakreślił swój horoskop?

Takim jaskrawym kolorem? I skąd by znał daty urodzin jej i Jess? No tak, mógł zajrzeć do akt policyjnych. Ale czy protokoły policyjne zawierają tego typu informacje? Trudno było sobie wyobrazić, aby Tony interesował się horoskopami, a jeszcze trudniej, że zakreślałby je czerwonym flamastrem.

Ale czy istnieje inne wyjaśnienie?

Może w ogóle nie należy przywiązywać do tego wagi? Może po prostu gazeciarz przeglądał horoskopy?

Bo przecież trudno uwierzyć, aby... Nie, nawet nie dopuszczała do siebie takiej ewentualności, jakkolwiek to wyjaśnienie brzmiałoby najbardziej prawdopodobnie. Ze ściśniętym sercem sięgnęła po słuchawkę. Zadzwoń do Tony'ego. Powinien o tym wiedzieć.

Gwałtownie cofnęła rękę. Nie, nie może mu o tym powiedzieć. Już słyszała ten jego znużony głos: Grace, to tylko zwykły horoskop! Innymi słowy, sprawa nie jest warta, aby się nią zająć. Tak by z pewnością powiedział. Chyba że ona wyjawi mu wymowę tej szczególnej daty.

A tego nie może zrobić.

I nie zrobi.

Nie mogła nawet dopuścić do siebie takiej myśli.

Zostawiła to za sobą wiele lat temu, uwalniając się od przeszłości, jakby miała do czynienia z popiołami, których można się pozbyć, rozrzucając je w powietrzu. Przysięgła sobie wtedy, że postara się żyć dalej, czyniąc wszystko, co możliwe, aby stworzyć jak najlepsze warunki dla siebie i - już później - dla Jess.

Tylko raz w roku powracała do tego myślami. Zawsze 21 stycznia.

Omam nie ogarnęły jej mdłości.

To niemożliwe.

To niemożliwe.

Możliwe czy nie, czuła, że nerwy dadzą się jej dziś porządnie we znaki. Nerwy i lęk.

Gdyby to, co uważała za niemożliwe, miało się okazać prawdą, musiałaby powiedzieć o wszystkim Tony'emu. Jak najszybciej. A przecież o tej sprawie nie mówiła nikomu; stanowiła jej najskrytszą, najmroczniejszą tajemnicę.

Tak jak Rachel była kluczem do Tony'ego, ta sprawa była kluczem do niej.  
I jak dotąd nie wie o tym nikt.

Może ten horoskop nie ma żadnego znaczenia.

Boże, spraw, aby ten horoskop nic nie znaczył.

Proszę Cię, Boże. Proszę, proszę, błagam.

Kiedy wróciła po południu do domu, z Barrym Penickiem na siedzeniu obok (nie pozwoliła mu prowadzić, chociaż nalegał), Jessica i Tony grali na podjeździe w koszykówkę. Był to miły widok, bardzo swojski, i Grace poczuła, że nagromadzone od pory lunchu napięcie opada z niej stopniowo.

Był piękny jesienny dzień, rześki i słoneczny. Liście na dużym dębie pośrodku podwórza przybrały już płomienną barwę. Inne drzewa na podwórzu i ulicy stały okryte wszystkimi odcieniami czerwieni, brązu i złota. Trzy krzewy obok garażu rozkwitły na czerwono. Kiedy samochód podjechał bliżej, psy zerwały się z miejsca, gdzie leżały, i podbiegły, szczekając i merdając ogonami.

Wdychając głęboko przesycone dymem powietrze, Grace wysiadła z auta. Odgłos piłki odbijanej o ziemię mieszał się z uporczywym szczekaniem psów. Oba czworonogi witały ją skokami; większe włochate łapy sięgały jej do granatowego blezerka na wysokości talii, mniejsze trochę ponad skraj spódnicy pod kolor. Grace ostrożnie pogłaskała po głowie najpierw Kramer, potem Szczeniaka. Szczeniak oczywiście polizał jej rękę, następnie oba psy ułożyły się na trawie.

Nadal niezdecydowana, czy lubi takie gesty przywiązania ze strony psów, Grace wytarła wilgotną dłoń do sucha.

- Grzeczne pieski - mruknęła, a one jak na sygnał przewróciły się równocześnie na grzbiet, wymachując w powietrzu łapami; była to niema, lecz bardzo wymowna prośba, by pomasować im brzuszki.

- Cześć, mamó! - powitała ją Jessica i korzystając z chwilowej nieuwagi

przeciwnika, rzuciła piłkę do kosza.

- To nie fair! - zawołał Tony, zmobilizowany odgłosem piłki przelatującej przez obręcz oraz triumfalnym okrzykiem dziewczyny, któremu towarzyszyła wyrzucona w górę pięść.

Podchodząc bliżej, Grace chwyciła piłkę i przytrzymała ją chwilę. Tony podbiegł po nią.

- Cześć! - zawołał. Ujął piłkę w obie dłonie i uśmiechnął się do Grace. Miał na sobie dzinsy i wytartą szarą koszulkę z dziurą tuż nad pępkiem; wyglądał tak zabójczo, że z trudem się powstrzymała, aby nie paść mu tu, na miejscu, w ramiona.

- Cześć - szepnęła, odwzajemniając uśmiech. Zaskoczona, uprzytomniła sobie, że już od dobrych paru sekund tak stoją, patrząc sobie w oczy i uśmiechając się bez słów. Odwróciła się śpiesznie. Nie chciała, aby Jessica lub Penick zauważyli zmianę w ich stosunkach.

To, co działo się między nimi, było tak nowe, że Grace wołała, aby ich związek okrzepł choć trochę, zanim dowiedzą się o nim inni.

- Jess, jak twoja praca domowa? - zawołała głośno, aby przekrzyczeć odgłosy podjętej na nowo gry.

- Mam przygotować się do sprawdzianu z algebry. Nauka o społeczeństwie. I hiszpański. - Jessica wymachiwała rękami w powietrzu, starając się nie dopuścić Tony'ego do kosza.

- A ile z tego już zrobiłaś? - zapytała i nie czekając, ruszyła do drzwi. Znała odpowiedź z góry, ale zadała to pytanie. Na tym polega triumf nadziei nad doświadczeniem, pomyślała.

Jessica odpowiedziała uśmiechem. To oznaczało, że oczywiście nic, zgodnie z przewidywaniami Grace.

Kiedy Jess poszła po raz pierwszy do przedszkola, ona jako młoda matka

postanowiła, że jej dziecko będzie odrabiać lekcje zawsze natychmiast po powrocie ze szkoły. Teraz, jako starsza, dość wyczerpana już wersja tej samej matki, cieszyła się, że Jess w ogóle odrabia zadaną pracę domową.

- Przebiorę się i przyrządzę kolację - zawołała.

Tony przerwał grę i rozmawiał o czymś z Penickiem, z dość poważną miną, jak jej się zdawało. Tym razem przezornie nie wypuścił piłki z ręki. Policjantki wyznaczonej do ochrony Jess nie było nigdzie widać i Grace domyśliła się, że odjechała, kiedy zjawił się Tony.

Znowu odezwała się w jej głowie natrętna myśl o horoskopach, wywołując zimny dreszcz. Musi zapytać Tony'ego, kiedy się urodził... Może jednak to on zakreślił w gazecie te horoskopy, a ona zamartwia się zupełnie niepotrzebnie.

- Dwa punkty! Wygrywam! - Triumfalny okrzyk Jessiki mówił wszystko o przebiegu gry i Grace uśmiechnęła się w duchu. Jessica nigdy nie była sobą bardziej niż w momentach, gdy mogła pograć w koszykówkę.

Starając się nie myśleć więcej o tych nieszczęsnych horoskopach, Grace weszła na ganek i nacisnęła kłamekę, ale drzwi pozostały zamknięte. Marszcząc brwi, próbowała włożyć klucz do zamka. Nie pasował. Jasne, przecież zamki zostały zmienione. I zainstalowano system alarmowy. Pat przyszła dziś zamiast w środę i wpuściła zamówioną ekipę.

Nie było mowy, aby wymazać teraz z pamięci tajemniczego intruza; skutecznie zakłócił im porządek dnia. Nie mogła chodzić sama do łazienki ani czytać gazet, nie mogła nawet wejść do własnego domu.

Odetchnęła głęboko, starając się odzyskać spokój. Nie pozwoli, aby jakiś stuknięty łajdak zatruwał im życie. Nie będzie też łamać sobie głowy nad jakimiś zakreślonymi w gazecie horoskopami; ta sprawa na pewno nie ma żadnego znaczenia. To tylko jej wyrzuty sumienia odzywają się w umyśle, dręcząc bezlitośnie.



- Hej, nie mogę się dostać do środka - poskarżyła się głośno.

Cała trójka odwróciła się w jej stronę, gra została przerwana.

Piłka była teraz w rękach Jess. Tony powiedział coś do niej i do Penicka, po czym podbiegł do Grace, po drodze wyjmując z kieszeni klucz. Kiedy włożył go do zamka i przekręcił, wewnątrz domu odezwał się cichy sygnał.

- Twój kod to trzy dwa dwa siedem i masz czterdzieści pięć sekund na to, aby wystukać go na klawiaturze, w przeciwnym razie rozpęta się tu piekło - wyjaśnił Tony i odstąpił na bok, aby mogła wejść pierwsza. - Klawiatura jest zainstalowana w szafie w stołowym. Chodź, pokażę ci.

- Jeszcze trochę i zacznę się czuć jak w więzieniu - jęknęła Grace, wchodząc do stołowego przez znajdujące się po lewej stronie mahoniowe drzwi, identyczne z tymi, które wiodły do salonu po drugiej stronie hallu.

- Coraz więcej ludzi zakłada sobie alarm. System alarmowy w połączeniu z nowymi zamkami i psami, no i ze mną, to dobry sposób na tego typu.

- Mam nadzieję - westchnęła Grace, przyglądając się uważnie, jak Tony wystukuje kod na klawiaturze zamocowanej w szafie. Zabrział krótki sygnał, czerwona dioda nad klawiszami zgasła, zaświeciła się natomiast zielona. U dołu znajdowały się dwa kwadratowe przyciski: jeden niebieski, oznaczony wizerunkiem samochodu straży pożarnej, drugi czerwony z dużą literą E.

- Pamiętasz numer kodu? - zapytał Tony.

- Trzy dwa dwa siedem.

- Dobrze. Pamiętaj, masz czterdzieści pięć sekund na wystukanie go, bo inaczej włączy się alarm. Widzisz te przyciski na dole? Niebieski to bezpośrednie połączenie ze strażą pożarną. Czerwony łączy cię z policją. Wystarczy wcisnąć jeden z nich, aby uzyskać odpowiednią pomoc. Wszystko jasne?

Kiwnęła głową. Miała już na końcu języka pytanie o jego datę urodzin, uznała jednak, że musi być bardziej subtelna.

- To świetnie.

Spojrzał na nią, usta drgnęły mu w lekkim uśmiechu, a potem, zanim odgadła jego zamiary, chwycił ją oburącz w talii, przypierając do ściany całym ciałem. Spojrzała w jego złocistopiwne roziskrzzone oczy i przestała rozmyślać o horoskopach. Machinalnie uniosła dłonie do jego ramion, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Tęskniłaś za mną? - zapytał. Nie czekając na odpowiedź, pocałował ją, a ona zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek.

Pocałunek trwał jeszcze, kiedy drzwi frontowe otworzyły się z trzaskiem. Błyskawicznie odskoczyli od siebie.

- Ciociu Grace! Jesteś tu?

Rozpoznała głos Paula i tupot jego nóg w hallu. Posłała Tony'emu znaczące spojrzenie, odwróciła się i wymknęła drugimi drzwiami, tymi mniejszymi, wahadłowymi, które prowadziły do kuchni.

- Jak się masz, Paul! Gdzie byliście? - powitała siostrzeńca, kiedy w chwilę po niej zjawił się w kuchni.

Był uczesany na jeża, miał na sobie dzinsy i koszulkę z nadrukiem „Czerwoni z Cincinnati”. Starając się nie okazywać zdenerwowania, Grace powstrzymała się w ostatniej chwili przed odruchowym dotknięciem dłońmi rozpalonych policzków lub poprawieniem sobie włosów. Miała nadzieję, że pocałunki nie pozostawiły na niej żadnego śladu. Szminka oczywiście znikła z jej warg, ale pod koniec dnia można to było uznać za zupełnie naturalne. Zresztą Paul ma dopiero sześć lat i z pewnością nie zwróci uwagi na tak drobną zmianę w wyglądzie ciotki. Co innego, gdyby nagle na jej głowie pojawiły się czerwone jak nogi flaminga włosy albo zamiast nosa wyrosła słoniowa trąba.

Pieszczotliwym gestem zmierzwiła chłopcu włosy i podeszła do lodówki. Kolacja przyrządzona naprędce (nie było czasu na przygotowanie czegoś bardziej

czasochłonnego) obejmowała zazwyczaj pierś z kurczaka i ryż oraz sałatkę warzywną i pieczywo. Może dziś wypadałoby jednak podać coś więcej? Przecież przy stole będzie z nimi siedział Tony.

Przypomniała sobie nagle smakołyki jego matki i babci i natychmiast zrezygnowała z tego pomysłu. I tak nie może z nimi konkurować, jeśli chodzi o kucharzenie. Po prostu Tony musi zaakceptować ją taką, jaka jest, albo wcale.

Może uda się jej poruszyć temat znaków zodiaku przy stole? Już to widziała, jak nachyla się ku niemu nad talerzami z kurczakiem i ryżem, i trzepocząc rzęsami mówi słodkim tonem: Jestem Panną. A ty? Spod jakiego jesteś znaku?

Na samą myśl o takiej scenie uśmiechnęła się rozbawiona.

- Byliśmy u dziadków. Ciociu Grace, Jessica nie pozwala mi bawić się z psami! Rzuciła we mnie piłką! O mało co nie dostałem nią w głowę!

- Boże drogi!

- Myślę, że Jessica jest usprawiedliwiona - powiedziała Jackie, wchodząc do kuchni. - Paul chciał nauczyć tego szczeniaka stania na głowie. Siłą! - Jackie taszczyła torbę od Kentucky Fred Chicken. Miała na sobie obszerną czarną bluzkę ozdobioną wielobarwnymi guzikami i spodnie tego samego koloru. Do twarzy jej w tym, pomyślała Grace.

- Cześć, Jackie. Byliście w Cincinnati? Trzeba było mnie uprzedzić. Dzwoniłam do ciebie przez cały weekend.

- Zostawiłam w piątek wiadomość u Jess.

Grace pokręciła głową.

- Nie przekazała mi tego. Mieliśmy masę spraw na głowie.

Jackie rzuciła jej badawcze spojrzenie, ale potrząsnęła tylko trzymaną w rękę torbą, która zagrzechotała kusząco.

- Kto ma ochotę na pyszne smażone skrzydełka, do mnie! - zawołała, idąc

w stronę pokoju z telewizorem.

Kiedy wróciła do kuchni, Grace polewała właśnie piersi z kurczaka sosem barbecue, przygotowując je do pieczenia.

- Przypuszczam, że istotnie miałaś wiele na głowie - powiedziała Jackie znaczącym tonem. Oparła się o blat i utkwiała w starszej siostrze zaciekawione spojrzenie. - Opowiedz mi o wszystkim. Trudno mi w to uwierzyć, ale jeśli dobrze zrozumiałam Jess, ten przystojny gliniarz naprawdę mieszka teraz u ciebie?

## Rozdział trzydziesty ósmy

- Nazywa się Tony Marino. Owszem, będzie mieszkał u nas przez jakiś czas, ale to nie to, o czym myślisz. - Grace napełniła rondel wodą i wstawiła go na gaz, podkreślając płomień na maksimum.

- Wpuszczasz pod swój dach takiego przystojniaka i to nie jest to, o czym myślę? Więc o co tu chodzi? Prowadzisz schronisko dla bezdomnych gliniarzy i ich psów?

- Ha-ha - zaśmiała się Grace.

Otworzyła zamrażarkę i wyjęła dwa pudełka z mrożonymi pokruszonymi brokułami, spojrzała na nie krytycznym wzrokiem, po czym sięgnęła po trzecie pudełko. Nie miała pojęcia, ile Tony jada na kolację, ale sądząc po jego posturze, miał spore możliwości. Pamiętała też jego wyczyny na przyjęciu u matki.

- Grace, powiedz wreszcie!

- Och, na miłość boską. - Grace odstawiała pudełka na blat i otworzyła

pierwsze z nich. Następnie zerknęła na siostrę i pchnęła je ku niej. - Zamiast gadać, pomóż mi trochę. Wstaw je do kuchenki mikrofalowej, a ja przygotuję sałatkę, dobrze?

- Jasne. - Jackie oglądała pudełko z brokułami ze wszystkich stron. - Grace...

Grace westchnęła ciężko. Przygotowując sałatkę, wstawiając ryż na gaz i wsuwając kurczaka do kuchenki, przedstawiła siostrze skróconą wersję ostatnich wydarzeń. Pomięła oczywiście parę rzeczy, na przykład prawdziwy charakter jej związku z Tonym oraz sprawę Rachel, zatuszowała też kilka innych, między innymi rzeczywiste rozmiary wybryków Jess. Ale kiedy zakończyła swoją opowieść, Jackie miała już dość dokładny obraz sytuacji.

- O mój Boże! - zawołała wstrząśnięta. Zgodnie ze wskazówką Grace wrzuciła do brytfanki również większe części brokułów, nadając przygotowywanej potrawie bardziej apetyczny wygląd. - Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

Grace dodała do sałatki marchew.

- I tak masz sporo problemów na głowie... z bezrobotnym Stanem i w ogóle... Nie chciałam obarczać cię dodatkowo.

- Przecież rodzeństwo to komunikacja dwukierunkowa. Zawsze to ty troszczysz się o mnie. Dlaczego choć jeden raz ja nie miałabym zatroszczyć się o ciebie? - Jackie zmarszczyła brwi, patrząc na bezkształtną zieloną masę w brytfance. - Może masz trochę tartego sera lub coś w tym rodzaju, żeby to pokryć? Wyglądałoby lepiej.

Bez żadnej zachęty ze strony siostry (Grace i tak nie zdobyłaby się na to) Jackie postanowiła najwidoczniej przyrządzić posiłek ekstra - niewątpliwie ze względu na obecność Tony'ego.

- W lodówce. - Grace wymieszała sałatkę i skropiła ją sokiem z cytryny. -

Wiem, że to komunikacja dwukierunkowa, ale przecież w tym wypadku i tak nie mogłabyś nam pomóc, dlatego uznałam, że nie ma sensu cię niepokoić. Teraz opowiedziałam ci o wszystkim, żebyś zrozumiała, dlaczego Tony zamieszkał chwilowo z nami.

- Mimo wszystko powinnaś mi była powiedzieć. To z chomikiem było okropne! - Jackie otworzyła lodówkę i zajrzała do niej. Nachyliła się i wyciągnęła wypełnioną do połowy torebkę tartego sera. - Mam! - mruknęła z zadowoleniem, wymachując znaleziskiem, i zamknęła lodówkę.

- I, co najgorsze, wszystko zdaje się wymierzone w Jess.

Grace przyzwyczała się już zachowywać problemy tylko dla siebie i czuła się teraz trochę nieswojo, omawiając je z Jackie. Z drugiej jednak strony, była zadowolona, że siostra zna sprawę. Rozmowa na ten temat sprawiała jej, o dziwo, ulgę.

- Gdybyś zwierzyła mi się wcześniej, przeniosłabym się do was na trochę z dziećmi. Stan na pewno nie miałby nic przeciw temu.

Grace wyjęła już kurczaka z kuchenki i Jackie wsunęła tam teraz na parę minut brytfankę z brokułami, aby stopić ser.

- Jak mu idzie poszukiwanie pracy? - zapytała Grace, układając piersi kurczaka na półmisku.

- Tak jak zwykle. Prawda jest taka, że jemu zależy jedynie na odzyskaniu poprzedniej pracy, a ponieważ nie ma na to szans, zaczynam się obawiać, że pozostanie na długo bezrobotny. - Jackie wzruszyła ramionami i wyjęła z kuchenki brokoły. Ser utworzył apetyczną złocistą warstwę, pod którą kryła się właściwa zapiekanka. - Chciałabym być taka mądra jak ty i zdobyć lepsze wykształcenie. Byłoby nam wtedy dużo łatwiej w życiu, dzieciom i mnie.

- Wygląda wspaniale. - Grace spoglądała na gotową potrawę z nieukrywanym uznaniem. - A skoro o tym mowa, mogłabyś wrócić do szkoły.

Jackie umieściła brytfankę na trójnożnej metalowej podstawie i skrzywiła się.

- Może kiedyś...

- Mogłabym ci pomagać finansowo... - Grace skosztowała sałatkę i dodała jeszcze trochę soku z cytryny.

- Nie, to nie wchodzi w rachubę. Mam jeszcze dzieci. Stan dostałby szału.

- Pieprzyć Stana.

- Wolałabym pieprzyć tego przystojnego gliniarza - zauważyła Jackie z szelmowskim uśmiechem.

- Jackie!

- Grace!

- Proszę. - Grace podała salaterkę siostrze. - Zanieś na stół, a ja zajmę się resztą.

- Mam wystawić twoją najlepszą porcelanę? - przekomarzała się z nią Jackie, przenosząc na stół salaterkę.

Grace rzuciła jej krótkie spojrzenie.

- Po prostu nakryj do stołu.

Jackie roześmiała się.

- Już dobrze, dobrze. Posłuchaj, może powinnam zabrać dzieciaki i wrócić do domu, jeśli ty i ten przystojniak wolicie zostać sami.

- Nakryj do stołu - powtórzyła Grace.

Kiedy dzieci oglądały w pokoju telewizję, dorośli i Jessica jedli w kuchni. Potrawy nie były tak wykwintne jak na przyjęciu u matki Tony'ego, ale bardzo smaczne, przyrządzone zgodnie z regułami zdrowego żywienia. Tony i Jessica rozprawiali o koszykówce, porównując zalety swoich ulubionych zespołów. Grace i Jackie nie interesowały się zbytnio sportem, rozmawiały więc o dzieciach i sprawach osobistych, przy czym Grace zastanawiała się cały czas nad sposobem, w

jaki mogłaby poruszyć temat horoskopów. Wreszcie Jessica przeprosiła towarzystwo, tłumacząc, że musi jeszcze odrobić lekcje, a dorośli zasiedli do kawy.

- Jackie, co byś chciała na urodziny? - zapytała Grace, rezygnując z dalszego głośnienia się nad jakimś cudownym pomysłem zainicjowania dręczącego ją tematu.

- Przecież moje urodziny są dopiero w końcu lutego - zdziwiła się Jackie.

- Wiem, ale niedługo wybieram się na zakupy świąteczne i pomyślałam, że mogłabym przy okazji rozejrzeć się za prezentami. A więc co byś chciała?

- Cokolwiek. - Jackie wzruszyła ramionami i spojrzała na siostrę wzrokiem, który pytał: Co ci chodzi po głowie?

Grace nie zwracała już na nią uwagi.

- A ty, Tony? Kiedy masz urodziny?

- Szesnastego listopada. Stuknie mi czterdziestka.

A więc Skorpion. Jest spod znaku Skorpiona. To nie on zakreślił w gazecie horoskop. Ale czy naprawdę wierzyła, że to on? Dopiero co zjedzony posiłek zaczął nagle uwierać w żołądku, poczuła się niedobrze.

- Grace, ja mówiłam poważnie, że mogę zostać u ciebie z dziećmi, dopóki ta sprawa nie wyjaśni się ostatecznie - odezwała się Jackie, nieświadoma stanu ducha, w jakim znajdowała się jej siostra. - Im więcej osób w domu, tym bezpieczniej, wiesz?

- Ale przez to stalibyście się i wy celem dla tego typu - zauważył Tony. - Przybyłoby nam troje ludzi do ochraniania.

- Przecież temu komuś chodzi o Jess. Dlaczego miałby się zainteresować nami? - zaproponowała Jackie.

- Nie jestem wcale pewien, że naprawdę chodzi mu o Jessicę. Może jego celem jest Grace, a Jessica to tylko środek do osiągnięcia celu. Ten sam cel mógłby



osiągnąć, uderzając w was.

- Tak czy inaczej, jestem gotowa zostać z tobą - oznajmiła Jackie, spoglądając na siostrę. - Nie podoba mi się, że ty i Jess miałybyście przechodzić przez to wszystko same.

- Dzięki, Jackie. Doceniam, co mi proponujesz, naprawdę. Ale skoro przebywa tu teraz Tony...

Wymówiwszy jego imię, bezwiednie nań spojrzała, ich spojrzenia spotkały się ponad stołem. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała tym samym; trwało to widocznie dłużej, niż sądziła, bo kiedy przeniosła wzrok na siostrę, ta miała minę świadczącą, że wie już, w czym rzecz.

- W porządku. Ale daj znać, gdybym mogła w czymś pomóc. Zjawię się natychmiast.

Wkrótce pożegnała się i wyszła wraz z dziećmi, a Grace udała się na górę, aby sprawdzić, czy Jessica odrobiła już lekcje. Niepokój związany z horoskopami próbował znowu podnieść swój ohydny łeb, ale Grace konsekwentnie nie dopuszczała tych myśli do siebie. Niemożliwe, aby to, czego się obawiała, było prawdą. Wolała w ogóle nie zaprzętać sobie tym głowy. Podobnie jak dziwaczne cienie w ciemnościach okazują się wytworem wybujałej wyobraźni, tak i ta upiorna sprawa jest z pewnością czystym złudzeniem.

Zapukała do drzwi, a kiedy Jessica jej otworzyła, ujrzała od razu psy; znowu leżały na łóżku. Obydwa podniosły łby, gdy weszła głębiej, i zamerdały ogonami. Żaden z nich nie zeskoczył na podłogę.

- Jess, usiądź. Musimy porozmawiać o tym, co zrobiłaś w sobotę wieczorem.

- Mamo... - jęknęła dziewczyna. - Właśnie uczę się hiszpańskiego...

- Siadaj. - Grace postarała się, aby jej głos zabrzmiał bardzo poważnie. -

Proszę.

Jessica opadła na brzeg łóżka. Skrzyknięcie materaca sprawiło, że psy znowu uniosły łby, po czym przyczołgały się bliżej i ułożyły po obu stronach dziewczyny. Jessica z roztargnieniem zaczęła drapać je za uszami.

- Mamo, przepraszam. Więcej tego nie zrobię, naprawdę.

Grace, stojąc przed nią z rękoma założonymi na piersiach, mierzyła ją wzrokiem.

- To była twoja czwarta ucieczka. Licząc oczywiście te, o których wiem.

- Przepraszam.

- Na domiar złego piłaś alkohol. I paliłaś trawkę.

- Przepraszam.

- Jess, to nie załatwia sprawy. Co innego, gdyby był to pierwszy raz. Ale nie w tych okolicznościach.

- Więc co mam ci powiedzieć? Naprawdę chcę cię przeprosić.

Grace patrzyła na nią z namysłem.

- Załóżmy, że jestem tobą, a ty mną. Ja jestem piętnastolatką, która mimo zakazu opuszczania domu już po raz czwarty wymknęła się w środku nocy, piła alkohol i sama się przyznała, że paliła trawkę i umawiała się z chłopakiem. A ty jesteś matką. Co byś zrobiła z taką córką?

Jessica patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Przepraszam, mamo - zawodziła Grace, bezbłędnie naśladowując głos córki.

Swoim normalnym głosem dodała: - No, co byś zrobiła?

- Nałożyłabym dożywotni areszt domowy, jak sędzę - mruknęła posepnie Jessica po krótkiej chwili namysłu.

Grace wydeła usta.

- Jess, musisz coś zrozumieć. Jestem twoją matką, a ty moim dzieckiem. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby zapewnić ci bezpieczeństwo, dopóki nie

staniesz się na tyle dorosła, żeby się usamodzielnąć. Sprawuję kontrolę nad pieniędzmi. Ubraniem. Płytami CD. Filmami. Nad wszystkimi twoimi wygodami i przyjemnościami. Mogłabym uciąć ci to wszystko, ot tak. W marcu ukończysz szesnaście lat. Mam podpisać twój wniosek o wydanie prawa jazdy. Ale mogę też odmówić. Innymi słowy, mam do dyspozycji wiele możliwości ukarania cię prócz szlabanu w domu. Chcę, abyś o tym wiedziała.

Dziewczyna nadal wpatrywała się w nią jak urzeczona. Najwidoczniej nie widziała nigdy swojej sytuacji w tym świetle.

- Rozumiesz to?

Jessica kiwnęła głową. Szczeniak otarł się o jej udo, jakby w ten niemy sposób chciał jej wyrazić swoje poparcie. Poglaskała go bezwiednie.

Grace westchnęła.

- Kocham cię. Wiesz o tym. I nie chcę stosować wobec ciebie kar, o których mówiłam. Chcę tylko, aby nie spotkało cię nic złego. Zaproponuję ci pewien układ.

- Układ?

Wyraz twarzy i głos dziewczyny wyrażały zarówno nadzieję, jak i czujność.

- Chciałabyś zatrzymać przy sobie to włochate zwierzę?

- Szczeniaka?

- Tak.

Mina Jess wyrażała teraz niedowierzanie.

- Chcesz powiedzieć, że mogłabym mieć Szczeniaka na zawsze?

- Pod pewnymi warunkami. Po pierwsze: żadnego wymykania się z domu. Jeśli zechcesz gdzieś się wybrać, musisz zapytać mnie o zgodę, a gdy powiem nie, sprawa będzie zakończona. Po drugie: żadnego alkoholu. Po trzecie: żadnej trawki ani innych narkotyków. Jeśli obiecasz dotrzymanie tych warunków bez żadnych

ale, będziesz mogła zatrzymać psa. Jeśli złamiesz któryś z nich choć raz, jeden raz, pies wróci do Tony'ego.

- Och, mammo! - Jessica zeskoczyła z łóżka i rzuciła się matce na szyję. - Och, mammo, tak! Od dawna pragnęłam mieć psa! Zrobię wszystko, co zechcesz!

Grace przycisnęła ją do piersi, ale celowo zachowała poważny tembr głosu, mówiąc:

- Umowa stoi?

- Tak!

- W porządku. Dopóki będziesz jej dotrzymywać, on... czy ona... sama już nie wiem, kto... należy do ciebie.

- Och, mammo, dziękuję! A Szczeniak to pies, nie ona.

Jessica omal nie podskakiwała w miejscu z radości. Wróciła na łóżko, gdzie Kramer i Szczeniak, siedząc teraz, spoglądały na nią z identycznie przechylnymi na jeden bok głowami. Jessica porwała Szczeniaka na ręce i odwróciła się do matki.

- Już nigdy nie ucieknę z domu, nie będę piła piwa ani paliła trawki, przyszekam. Mammo, a myślałam, że nie lubisz psów!

- Właśnie zaczynają mi się podobać - odparła Grace, patrząc, jak Szczeniak obmywa swoim wilgotnym języczkiem podbródek Jess. Dziewczyna nachyliła się, aby objąć matkę jeszcze raz, a pies skorzystał z okazji i polizał Grace po policzku.

Kiedy wreszcie Jessica wypuściła ją z objęć, Grace czym prędzej wytarła sobie twarz. Szczeniak miał otwarty pyszczek i gdyby nie uważała, że to nedorzeczny pomysł, mogłaby przysiąc, że uśmiecha się do niej.

- Skończ swoją pracę domową - mruknęła świadoma, że upłynie jeszcze trochę czasu, zanim Jessica dojdzie do siebie. A jednak, wychodząc z pokoju córki, była z siebie zadowolona. Sprawa dyscypliny okazała się bardzo łatwa do załatwienia.

Optymistycznie patrzyła też w przyszłość. To się musi udać. Jessice za bardzo zależy na psie, aby miała złamać dane słowo.

Tony'ego zastała w kuchni: wkładał właśnie naczynia do zmywarki. Przystanąła w progu, obserwując go.

- Jak widzę, jesteś w domu bardzo przydatny - odezwała się po chwili. Ten gliniarz w stylu macho nie przestawał jej zadziwiać.

- Myślisz, że trudno się nauczyć robić wszystko w domu, jeśli w rodzinie jest sześciu chłopców i ani jednej dziewczyny? - Uśmiechnął się. - Zdradzić ci mój największy sekret?

- Jakież to sekret? - zapytała. Zdjęła z wieszaka szmatkę, aby przetrzeć blat i stół.

- Potrafię gotować.

- Coś podobnego! - Spojrzała na niego z przesadnym zachwytem, szeroko otwartymi oczyma. - A więc odnalazłeś drogę do mego serca.

- Naprawdę? - zapytał ochryplym głosem. Włączył zmywarkę i odwrócił się do niej. Właśnie sięgał po nią, a ona chciała już paść mu w ramiona, kiedy usłyszeli Jess zbiegającą z tupotem po schodach.

Odkoczyli od siebie jak oparzeni.

- Mamo! Tony! Wymyśliłam fantastyczne imię! - zawołała Jessica natychmiast, gdy ich ujrzała. Oba psy biegły tuż za nią i nie ulegało wątpliwości, dla kogo jest przeznaczone nowe imię. - Chewie! Co wy na to?

- Chewie? - powtórzyła z powątpiewaniem w głosie Grace.

Tony spojrzał na nią, zamiast na Jess, i uśmiechnął się.

- To skrót od Chewbacca! No wiesz, z „Gwiezdných wojen”.

- Wspaniałe imię! - powiedział z uznaniem Tony, a Grace kiwnęła głową.

- Brzmi nieźle. Chewie.

- Wyjdę z nim. Muszę go nauczyć siusiać na dworze. Nie chciałam ci o tym

mówić, mamó, ale Chewie narobił już kilka razy w mojej sypialni na dywanie.

- Doprawdy? - Grace zerknęła z wyrzutem na Tony'ego. Do tej pory nie myślała o tego typu nieprzyjemnościach, ale on przecież wiedział, że Szczeniak nie jest jeszcze wyuczony jak należy.

Tony uśmiechnął się, wzruszył ramionami nieco zakłopotany.

- Pójdę z tobą, Jess. Nie będzie z nim problemów, to pojętny pies. Podobnie zresztą jak jego matka. Ale musisz być dla niego trochę bardziej wyrozumiała; ma dopiero dziesięć tygodni.

Ostatnie zdanie przeznaczone było chyba dla mnie, pomyślała Grace, głośno zaś powiedziała:

- Ale ma przestać paskudzić w domu.

- Na pewno przestanie! - odparli zgodnym chórem Jessica i Tony. Spojrzeli po sobie z uśmiechem i wybiegli tylnymi drzwiami jak para najlepszych przyjaciół. Psy pognały za nimi.

W co ja się dałam wrobić? - zapytała w duchu Grace, wznosząc oczy ku niebu. Uśmiechała się jednak, przecierając kuchenne blaty. Uśmiechała się jeszcze, schodząc do sutereny, aby zająć się praniem.

A kiedy odezwała się w niej ponownie natrętna myśl o zakreślonym na czerwono horoskopie, stłumiła ją natychmiast.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

Kiedy następnego ranka Grace wychodziła tylnymi drzwiami, od razu zauważyła klucz: różowa grudka gumy do żucia przytrzymała go na szybie, w samym jej środku.

- Chwileczkę - zawołała do Penicka, który szedł przodem. Jessica i Gloria Baer pojechały już do szkoły. Przez chwilę po prostu wpatrywała się w klucz. Była prawie pewna, że to jej klucz. Odwróciła się i zajrzała do kuchni.

- Tony - powiedziała cicho.

Siedział przy stole i popijał kawę. Wiedziała, że ma za sobą nieprzespaną noc: jako policjant przydzielony do ochrony nie zmrużył oka do rana, czuwając nad nią i Jess. W konsekwencji siedział teraz przy kuchennym stole z zaczerwienionymi oczyma.

Podniósł na nią wzrok i musiał odczytać z jej miny, że coś nie jest w porządku, bo zerwał się na równe nogi. Miał na sobie szary sweter i dżinsy oraz białe sportowe skarpety, był jednak bez butów. Nie zdążył się jeszcze ogolić i uczesać. Ale nawet w takim stanie, z zaczerwienionymi oczyma, nieogolony i rozczochrany, był bardzo seksownym mężczyzną.

- Co się stało? - zapytał. Penick stał tuż za nią, zaintrygowany.

Bez słowa wyprowadziła ich obu przed dom.

- Spójrz - powiedziała, wskazując palcem klucz.

Twarz Tony'ego stężała w ułamku sekundy.

- Dobrze chociaż, że nie dostał się do środka - dodała Grace.

Splotła ręce na piersiach; nagle, mimo pięknego słonecznego poranka i nowego wełnianego kostiumu, przeniknął ją chłód. Odżył znowu niepokój, który

tak skutecznie tłumila w sobie od poprzedniego wieczoru, kiedy wrócili do domu.

- Jedź do pracy. Ja się tym zajmę - powiedział Tony zdecydowanie.

Spojrzał na Grace i uśmiechnął się; ten uśmiech wydał się jej prawie pocałunkiem. Gdyby nie stojący za nią Penick, Tony pocałowałby ją, nie wątpiła w to. Ale, ku jej wielkiemu żalowi, nie pocałował.

- Dostaniemy go. Nie przejmuj się. Ty i Jessica jesteście bezpieczne.

- Wiem.

Zdobyła się nawet na uśmiech, choć dość mizerny, ale idąc za Penickiem do auta, czuła lęk; zimny i dławiący, otaczał ją niczym gęsta chmura. Pamięć o zakreślonym horoskopie leżała na jej sercu ołowianym brzemieniem.

Dwudziesty pierwszy stycznia.

Powiedzieć Tony'emu? A może jednak lepiej nie?

To pytanie absorbowало ją do tego stopnia, że z trudem koncentrowała się na pracy. Był wtorek, na wokandzie znajdowały się zwykłe, rutynowe już sprawy: rozwody, prawo do opieki nad dzieckiem, przemoc w rodzinie, znęcanie się nad dziećmi, wykroczenia nieletnich. O jedenastej była tak zmęczona, jakby miała za sobą cały dzień pracy, a tu Colin Wilkerson stał przed nią i perorował w imieniu swojej klientki, która starała się pozbawić męża prawa nawet do odwiedzin dziecka.

Mężczyzna nie był biologicznym ojcem; poślubił matkę dziecka, kiedy miało ono sześć miesięcy, a potem wychowywał je jak swoje własne. Teraz, po dziewięciu latach małżeństwa, kobieta wystąpiła o rozwód i domagała się pozbawienia go wszelkich praw do dziecka.

- Uwarunkowania prawne są tu jasne jak na dłoni - stwierdził Colin po przytoczeniu przykładów podobnych spraw. - Pan Harvey nie może mieć prawa do widywania się z Lisą, tym bardziej do opieki nad nią. Nie jest jej biologicznym ani przybranym ojcem, tak więc nie widać w tej sprawie argumentów przemawiających



na jego korzyść.

Grace, która wysłuchała już zeznań pana Harveya oraz zapoznała się z protokołem sporządzonym przez biegłego psychologa sądowego po rozmowie z dzieckiem, spojrzała na Colina; był pewny swego, najwyraźniej przekonany o korzystnej sytuacji prawnej swojej klientki.

- Dziecko nazywa się Lisa Harvey, nieprawdaż?

- Owszem. Ale pani Harvey zamierza niebawem wyjść ponownie za mąż, a wtedy dziewczynka przyjmie nazwisko nowego ojczyma.

Grace przeniosła wzrok na panią Harvey, korpulentną blondynę około trzydziestki, atrakcyjną na swój sposób: z dorodnym biustem i imponująco długimi włosami.

- A więc w praktyce pani Harvey zmierza do tego, aby dziecko wychowywali jej kolejni mężowie?

Colin spojrzał na nią oniemiały z wrażenia. Pani Harvey otworzyła szeroko oczy.

- Dziecko było wychowywane od małego jako Lisa Harvey, czy tak? - zapytała Grace.

- Tak - przyznała cicho pani Harvey.

- I uważa pana Harveya za swego ojca, czy tak? - kontynuowała Grace.

- No tak, ale... - zaczęła pani Harvey.

- Ale on właściwie nie jest jej ojcem - przerwał jej szybko Colin.

Grace wiedziała już wszystko, co chciała wiedzieć.

- Fakt, że pan Harvey wychowywał dziecko od małego przez dziewięć lat, daje mu pewne prawa. Dlatego przyznane mu zostaje prawo do współsprawowania opieki nad Lisą Harvey. Strony uzgodnią zasady wspólnej opieki nad dzieckiem i przedłożą je sądowi do zatwierdzenia. - Uderzyła młotkiem w blat. - Zamykam rozprawę.

- C... co? - Oczy i usta pani Harvey tworzyły teraz trzy duże „O”. - Colin, mówiłeś, że on nie ma szans, aby wygrać!

Pan Harvey, krępy, ciemnowłosy mężczyzna w przyciasnym garniturze, opadł z ulgą na krzesło. Widoczne na jego twarzy niedowierzanie zastąpił po chwili szeroki uśmiech. Adwokat poklepał go po ramieniu.

- Margaret, wszystko będzie dobrze - zapewnił spieszenie swoją klientkę Colin i spojrzał na Grace wzrokiem ostrym jak sztylet. - Wysoki Sądzie, czy mogę podejść?

W pierwszej chwili chciała mu zabronić. Naprawdę nie była teraz w nastroju do rozmów z Colinem Wilkersonem. On jednak, jak zwykle, nie czekał na zgodę. Widocznie uważał, że to, co zaistniało kiedyś na krótko między nimi, zwalnia go z obowiązku przestrzegania pewnych wymogów formalnych.

- Przeszłaś samą siebie! - powiedział półgłosem, ale z wyraźną furią, kiedy stanął tuż przed nią. - Tego, co prezentujesz, nie można nazwać inaczej jak tylko osobistą zemstą w ekstremalnej formie. Zgodnie z prawem ten człowiek nie powinien sprawować żadnej opieki nad dzieckiem mojej klientki, dobrze o tym wiesz! Orzekając na jej niekorzyść, chciałaś uderzyć we mnie!

Spojrzała na niego i w myślach policzyła do dziesięciu. Za jego plecami sala opustoszała, a potem zapełniła się nową publicznością. Jeszcze jedna sprawa i będzie mogła zarządzić przerwę na lunch.

Dzięki Bogu.

- Colin, przeceniasz swoje znaczenie w moim życiu - zauważyła chłodno.

- To przecież oczywiste, wystarczy spojrzeć na to, co robisz. Każdorazowo, gdy występuję w tym sądzie, karzesz mnie, nie wiem nawet za co. Ale uwierz mi: twój werdykt nie utrzyma się długo! Jest pozbawiony jakichkolwiek podstaw prawnych!

- Więc złóż apelację.

Na twarz wystąpiły mu wypieki, odruchowo zaciskał i otwierał pięści.

- Ostrzegam cię, Grace: nie zamierzam dać za wygraną! Szkodzisz mojej praktyce, orzekając każdorazowo na niekorzyść klientów, których reprezentuję w tym sądzie! Możesz być pewna, że zrobię wszystko, aby doprowadzić do odwołania cię z tego urzędu, słyszysz? Wszystko, co możliwe!

Zanim Grace zdążyła otworzyć usta, aby oskarżyć go o obrazę sądu, Colin poczuł ciężką dłoń na ramieniu. Za nim stał Tony, ogolony już, w nieodłącznej skórzanej kurtce narzuconej na flanelową koszulę. Jego zmrużone oczy i mocno zaciśnięte szczęki nie wróżyły niczego dobrego. Penick, w sportowej marynarce z krawatem, zwietrzył kłopoty natychmiast i zerwał się ze swego miejsca w kącie sali. Zbliżał się szybkim krokiem, podobnie jak Walter Dowd.

- To zabrzmiało jak groźba - odezwał się Tony.

Colin odwrócił się z twarzą tak czerwoną, jakby miała lada chwila stanąć w ogniu. Jedyne postura oponenta powstrzymała go przed zrobieniem użytku z pięści. Wprawdzie sam też zaliczał się do ludzi wysokich, ale na pierwszy rzut oka się zorientował, że nie może się równać z dobrze zbudowanym i umięśnionym Tonym.

- Kim pan jest, u diabła?

- Gliniarzem - odparł zwięźle Tony. - A pan wypowiedział przed chwilą groźbę pod adresem sędziego.

- O co chodzi? - U boku Tony'ego wyrósł Penick. Walter przesunął się na bok, aby stanąć bliżej Grace.

- Ja już pana widziałem - syknął do Tony'ego Colin i z szyderczą miną zwrócił się do Grace: - Twój nowy kochaś?

Tony zeszywniał. Penick stanął w rozkroku i zakołysał się lekko na piętach, wodząc wzrokiem po obu przeciwnikach. Walter opuścił dłoń na rękojeść pistoletu. Grace spojrzała na czwórkę mężczyzn stojących przed nią i westchnęła.

- Colin, wyświadczyć mi przysługę: wyjdź stąd. Jeśli potrafisz znaleźć jakiś legalny sposób na odwołanie mnie z urzędu sędziego, proszę bardzo, rób, co możesz. Ale jeśli usłyszę od ciebie jeszcze jedną groźbę lub coś w tym stylu, oskarżę cię o obrazę sądu i każę aresztować. Nie zmuszaj mnie do tego.

Colin patrzył na nią z twarzą purpurową od nabiegłej krwi. Potem przeniósł wzrok pełen furii na Tony'ego, na stojącego tuż za nim Penicka i wreszcie na Waltera, którego dłoń nadal spoczywała na rękojeści pistoletu. Zaciśnął mocno wargi, bez słowa odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Tony odprowadzał go zamyślonym wzrokiem. Po chwili spojrzął na Grace.

- Co to za jeden?

- Colin Wilkerson. Adwokat - odparła.

Podszedł do niej bliżej, aby Penick i Walter nie mogli usłyszeć ich rozmowy.

- Widziałem go już kiedyś. I chyba wtedy też miałas z nim jakąś scysję.

- Możliwe. Colin uważa, że wydaję werdykty niekorzystne dla niego z powodów osobistych. Swego czasu... spotykaliśmy się.

- Rozumiem.

Dostrzegła w głębi jego oczu coś jakby cień rozczarowania, czego przedtem w nich nie było. Najwyraźniej myśl o jej randkach z Colinem Wilkersonem nie przypadła mu do gustu.

Czyżby zazdrość? Zaskoczyła ją radość, jaką odczuła na samą myśl o tym, że Tony Marino może być zazdrosny o kogoś, z kim spotykała się wiele miesięcy temu.

- Co ty tu w ogóle robisz? - zapytała.

- Chciałem zabrać cię na lunch.

Oboje mówili tak cicho, że nikt nie mógł ich podsłuchać. Obserwowali ich jednak z ciekawością Penick i Walter oraz parę osób siedzących na sali. Mimo to

Grace uśmiechnęła się do Tony'ego, a on odpowiedział takim samym uśmiechem.

- Przerwę mogę ogłosić dopiero po następnej sprawie.

- Poczekam.

Nie mogła się już doczekać tej przerwy; ostatnia sprawa przedpołudniowa okazała się na szczęście bardzo prosta: chodziło o sfinalizowanie łatwej sprawy rozwodowej. Kiedy ogłosiła przerwę i zeszła z podium, Tony i Penick zbliżyli się do niej równocześnie.

- Przejmuję obowiązki ochroniarza - powiedział Tony do Penicka. - Możesz iść spokojnie na lunch. - Zerknął na zegarek. - Wróc na pierwszą.

- Mam służbę... - mruknął niezdecydowanie Penick.

- Zwalniam cię na czas lunchu. Oficjalnie. - Tony był wyższy stopniem, ale również te słowa nie przekonały tamtego.

- Proszę się nie obawiać. W towarzystwie detektywa Marino będę całkowicie bezpieczna - zapewniła z uśmiechem Grace.

- Naprawdę tak sądzisz? - szepnął jej do ucha Tony, kiedy Penick, nadal ze sceptyczną miną, maszerował do wyjścia.

- Takie poczucie bezpieczeństwa wystarcza mi - odparła, a on się roześmiał.

Grace wstąpiła na moment do gabinetu, aby zostawić toge, a potem wyszli oboje tylnymi drzwiami na parking.

Choć pragnęła jego dotyku, nie wzięli się nawet za ręce. Dopóki znajdowali się w obrębie gmachu sądu hrabstwa Franklin, musiała zachowywać się dostojnie, jak przystało na osobę pełniącą funkcję sędziego, a Tony zdawał się rozumieć sytuację.

Ale natychmiast, gdy znaleźli się w samochodzie, pocałował ją - był to szybki, mocny pocałunek - następnie przekręcił kluczyk w stacyjce. Świadoma faktu, że jest biały dzień, a oni siedzą w aucie przed sądem, gdzie każdy może ich

widzieć, Grace powstrzymała się z trudem, aby nie zarzucić mu ramion na szyję i nie odwzajemnić pocałunku.

Widocznie jednak zdradził ją wyraz twarzy, bo jego oczy zapłonęły, gdy spojrzał na nią.

- Bardzo jesteś głodna? - zapytał, wyjeżdżając z parkingu i włączając się do wzmożonego, jak zwykle o tej porze dnia, ruchu.

- Niespecjalnie.

Uśmiechnął się.

- Moglibyśmy pojechać do mnie.

Jego dom był oddalony o niecałe pięć minut jazdy, wiedziała o tym. Przerwę na lunch ogłosiła o 11.15, a teraz była 11.25. Mieli więc około półtorej godziny; potem musiała się zjawić w sądzie.

- Dobra.

Powiedziała tylko tyle, ale ciało zbudziło się natychmiast. Poprzedniego wieczoru, kiedy zaczął ją całować na kanapie podczas wiadomości telewizyjnych, musiała go powiadomić o swoich zasadach: żadnego seksu w domu, gdy przebywa w nim również Jessica. Przyznał wtedy, że to rozsądna zasada i bardzo ważna dla psychiki dziewczyny, a potem pocałował ją jeszcze raz i odesłał do łóżka, bojąc się - jak wyznał - że za chwilę może zmienić zdanie.

Kiedy dojechali na miejsce, ujrzeli panią Crutcher; stała na ganku ze staroświecką konewką w dłoni i podlewała kwiaty.

- Cześć, Tony! - zawołała i pomachała ręką, gdy wysiedli z czarnej hondy.

- Cześć, pani Crutcher! - odwzajemnił się Tony tym samym gestem.

Grace zaczerwieniła się, czując na sobie zaciekawione spojrzenie kobiety. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że ona wie, po co wchodzą teraz do jego mieszkania.

- Jeszcze jedna noc za domem, co, Tony? - zawołała pani Crutcher.

- Taka już moja praca - odparł z uśmiechem.

- Dobrze mieć taką pracę - zachichotała i spojrzała znacząco na Grace, która w odpowiedzi uśmiechnęła się blado. Jeszcze gdy Tony otwierał drzwi, pani Crutcher spoglądała za nimi.

- Jest lepsza od czujnego psa! - powiedziała Grace i odetchnęła z ulgą, kiedy drzwi zasłoniły ich przed ciekawskim wzrokiem sąsiadki.

- Prawda? Ona to mój osobisty system alarmowy. - Tony uśmiechnął się i wziął Grace w ramiona. - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że naszpikowała mój dom pluskwami.

## Rozdział czterdziesty

Jego usta, gorące i natarczywe, pachniały lekko kawą. Rozległ się słaby stuk: jej torebka spadła na podłogę. Grace zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek, tuląc się do niego całym ciałem.

Świadoma upływającego czasu, zsunęła dłonie w dół, aby odnaleźć suwak w kurtce. Kiedy poczuła dotyk miękkiej flaneli, zaczęła rozpinać guziki koszuli.

- Jezu, nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę! - wydyszał jej Tony prosto do ucha i jednocześnie powędrował ustami na szyję. Jego dłonie uporały się najpierw z pojedynczym guzikiem przytrzymującym blezer, a potem z samym blezerem, który opadł na podłogę u ich stóp, gdzie leżały już jej torebka i jego kurtka.

- Mmm - zamruczała Grace.

Dłoń Tony'ego odszukała jej piersi i Grace jęknęła przeciągle; sutki stwardniały w jednej chwili. Bluzka i stanik nie stanowiły żadnej ochrony przed żarem jego dotyku. Silne dłonie błędziły po całym ciele, z przodu i z tyłu, badając, drażniąc i pieszcząc nawet tak pozornie słabo erogenne strefy jak ramiona, plecy wzdłuż kręgosłupa i talia. Ona tymczasem odpięła ostatni guzik koszuli i wsunęła się pod nią. Jego pierś była taka ciepła i twarda, i męska!

- Jak się rozpina tę cholerną bluzkę?

Ruchliwe dłonie Tony'ego zatrzymały się poniżej piersi; uniósł głowę znad wrażliwego miejsca u nasady szyi, które muskał wargami, i spojrzał na nią oczyma, w których dostrzegła poirytowanie, zakłopotanie i płomienną żądzę.

Uśmiechnęła się. A więc to był prawdziwy cel poszukiwań nowych stref erogennych na jej ciele!

- Na karku jest mały guziczek.

Uniosła ramiona i zademonstrowała, jak się go odpina, zanim jednak opuściła ręce z powrotem, aby kontynuować odkrywczą wyprawę po jego umięśnionym torsie, Tony pochwycił rąbek bluzeczki i jednym ruchem ściągnął ją jej przez głowę, po czym puścił na podłogę, pozostawiając Grace w cienkim białym staniku, cielistej wełnianej spódnicy i tradycyjnych pantoflach na wysokich obcasach.

Dotknął jej piersi, pieszcząc je przez delikatny materiał. Jego dłonie były duże, ciepłe i twarde, a sutki, pobudzone przez nie, wyprężyły się niczym żołnierze stający na baczność. Oparła szeroko rozpostarte palce na jego piersi i wbiła je w ciało, gdy zalała ją fala żądz tak intensywnej, że nogi ugięły się pod nią.

Stanik miał tradycyjne zapięcie na podwójną haftkę między łopatkami. Tony nie miał tym razem żadnych kłopotów: odpiął je błyskawicznie. Stanik zsunął się z jej ramion i powędrował od razu na podłogę.

Szorstkie szerokie dłonie, odcinające się intensywnym brązem od kremowej



jak kość słoniowa skóry Grace, spoczęły na jej biodrach, tuż nad paskiem spódnicy.

- Nigdy nie spotkałem kobiety seksowniejszej od ciebie - wyszeptał ochryple Tony.

Jego słowa wyzwoliły w niej drżący, nieco nerwowy śmiech.

- To samo pomyślałam właśnie o tobie.

- Naprawdę?

Zanim odgadła jego zamiar, nachylił się i uniósł ją w ramionach bez trudu, jakby ważyła nie więcej niż piórko. Bezwiednie objęła go za szyję, kiedy niósł ją ku drzwiom stołowego.

- To właśnie lubię u mężczyzn: mięśnie - szepnęła głosem nabrzmiałym żądzą, która sprawiła, że jej nagie piersi wezbrały pod dotykiem jego torsu, a w dole ciała zapłonął ogień. Ale jej oczy śmiały się do niego, gdy prznosił ją przez wąskie drzwi.

- Ty też masz wszystko, co uwielbiam u kobiety - wyznał. Pochwycił w usta brodawkę, na co zareagowała chrapliwym jękiem, a on wykorzystał to natychmiast i ucałował jej otwarte usta. - Uwielbiam cię całą. Każdy skrawek.

Pocałował ją znów i nie przestawał, niosąc przez stołowy i kuchnię do sypialni. Kiedy padła na łóżko, przemknęło jej przez głowę, że kołdra, na której leży, jest tak samo miękka jak tamtego dnia, w tej chwili jednak jego dłoń wpełzła pod spódnicę i spoczęła po wewnętrznej stronie uda - i Grace przestała myśleć o czymkolwiek.

Zrzuciła z nóg pantofle, a on uwolnił ją z reszty ubrania, cisnął na podłogę koszulę, odsunął się trochę, wstał i rozdygotanymi rękami zaczął ściągać z siebie pozostałe części garderoby. Pochłaniał ją przy tym rozplómiionym wzrokiem, kiedy tak siedziała naga pośrodku jego łóżka.

Nie tylko jestem naga, ale tak się też czuję, pomyślała. Erotycznie naga.

Nigdy przedtem nie czuła się w ten sposób, mimo iż siedziała na tyle

skromnie, na ile pozwala nagość: z kolanami podciągniętymi do piersi i objętymi obydwoma rękoma. Nie mogła się już doczekać tego, co miało nastąpić, i ta zachłanna niecierpliwość wywoływała miłe mrowienie na jej całym ciele.

Patrząc na niego, kiedy zsuwał dzinsy i slipy, a potem wyprostował się przed nią nagi, poczuła napływ żądz tak gorącej i intensywnej, że odniosła wrażenie, jakby zaczęła topnieć między nogami. Teraz nie była już trzydziestosześcioletnią kobietą, matką, sędzią i rozwódką, lecz tak jak dawniej młodą i piękną dziewczyną, która po raz pierwszy doświadcza słodczych pożądań.

Nie, sprostowała samą siebie, jestem kobietą.

Zakochaną kobietą.

Rozchyliła usta, utkwiała wzrok w jego twarzy, nim jednak zdążyła zareagować w jakikolwiek sposób, Tony znalazł się na łóżku obok niej, pchnął ją na wznak i nakrył jej ciało swoim.

Odwzajemniła pocałunek, splatając dłonie na jego szyi, otworzyła usta i natychmiast rozsunęła nogi. Nie była potrzebna jakakolwiek gra wstępna; chciała poczuć go w sobie jak najprędzej, on zaś musiał pragnąć tego samego, bo z głuchym jękiem wtargnął w nią nie zwlekając. Odpowiedziała podobnym jękiem i oplotła go nogami.

- Tony, Tony, Tony - zawodziła, podczas gdy on nurzał się w niej z furją, jakiej właśnie pragnęła.

Jej ciało pod nim prężyło się i wiło, aż wreszcie przywarło do niego i opadło, ogarnięte błogim bezwładem, a Tony zagłębił się w niej po raz ostatni i znieruchomiał tak, znajdując spełnienie.

Kiedy było już po wszystkim, kiedy Grace powróciła na ziemię, najpierw uśmiechnęła się sennie do tej czarnej głowy spoczywającej na jej ramieniu. Następnie zerknęła na budzik obok łóżka.

Dwunasta trzydzieści pięć! Jęknęła przerażona.

- Tony!

Trąciła go w ramię. Leżał na niej rozgrzany i spocony, jakby zespolony z jej ciałem. Ważył chyba tonę. A ona, przygwożdżona przez niego do łóżka, nie mogła wykonać najmniejszego ruchu.

- Mmm? - wymamrotał, odwracając lekko głowę, i musnął ustami jej szyję.

Dotyk jego ciepłych warg w tak wrażliwym miejscu wywołał w niej dreszcz od stóp do głów.

- Tony! Za dwadzieścia minut muszę być w sądzie!

Jęknął, uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Jesteś - piękna - i - seksowna - i... - zaczął zapewniać, akcentując każde słowo pocałunkiem składanym na jej ustach.

- Spóźniona - dokończyła za niego cierpkim tonem.

Ponownie trąciła go w ramię. Zakochana czy nie, była sędzią i miała obowiązek wrócić do gmachu sądu na pierwszą.

Wykrzywił twarz w komicznym grymasie i sturlał się z niej na wznak, nieprzejęty wcale własną nagością. Skrzyżował dłonie pod głową i przyglądał się jej, kiedy gramoliła się z łóżka.

- Kto twierdzi, że kobiety są bardziej romantyczne od mężczyzn, zapewne nie kochał się nigdy z żadną z nich - zauważył tonem wyrzutu.

- Pchnąć i wyjąć, też mi romantyzm! - parsknęła przez ramię, roześmiała się i wbiegła do łazienki pod natrysk, odprowadzana jego wesołym śmiechem.

Zjawił się w chwilę później, kiedy splukiwała z siebie mydlaną piankę; wsunął głowę za zasłonkę, przyglądając się jej z zainteresowaniem.

- Mógłbym się do ciebie przyłączyć - zaproponował z lubieżnym uśmiechem. Sądząc po widocznych stąd, gdzie stała, ramieniu, klatce piersiowej i biodrze, nadal był nagi.

- Która godzina? - zapytała i zakręciła kran.

Usłużnie podał jej ręcznik i spojrzął na zegarek.

- Dwunasta trzydzieści dziewięć.

Jęknęła ponownie, owinęła się ręcznikiem i wyszła z kabiny. Tak jak przypuszczała, stał zupełnie nagi. Chwycił ją za ramiona, wycisnął na ustach szybki pocałunek, uśmiechnął się i wszedł do kabiny, zaciągając za sobą zasłonę.

- Pośpiesz się! - zawołała, kiedy odkręcił kran.

Wróciła do sypialni i stanęła w progu zaskoczona: wszystkie jej rzeczy, porozrzucane przedtem po całym pokoju, leżały porządnie poukładane przy łóżku. Na podłodze obok stały pantofelki.

Ubrała się błyskawicznie, zerkając raz po raz na zegar. Kto przy zdrowych nie zakochałby się w takim facecie jak on? - przemknęło jej przez głowę i znowu poczuła rozkoszne mrowienie w całym ciele.

Wkładała pantofle, kiedy Tony wyłonił się z łazienki, lśniący jeszcze od wody, owinięty w pasie - jak nakazywała skromność - małym białym ręcznikiem. Barczysty, wąski w biodrach, o szerokiej, owłosionej klatce piersiowej, wyglądał tak zabójczo, że poszłaby z nim do łóżka po raz drugi, gdyby nie świadomość, że musi być w sądzie o pierwszej.

- Pośpiesz się - powtórzyła. Była dwunasta czterdzieści trzy.

- Już się pośpieszyłem. Dlatego nazywają to jednym szybkim - odparł kpiącym tonem, kiedy pobiegła do saloniku po zostawioną tam przedtem torebkę.

- Ubierz się - syknęła przez ramię, ignorując jego żart. Dobrze, że mężczyźni nie tracą wiele czasu na ubieranie, pomyślała. Ona sama nie miała już wiele do zrobienia: wystarczyło przejechać szczotką po włosach, poprawić szminkę i przypudrować się trochę.

Torebka leżała tam, gdzie ją upuściła, kiedy Tony ją pocałował. Chwyciła ją i rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem.

Kończyła właśnie makijaż, nakładając na wargi cienką powłokę półprzezroczystej szminki, kiedy jej wzrok padł na małą fotografię w ramce z ciemnego drewna umieszczoną na kominku. Stała na samym końcu gzymsu, co tłumaczyło, dlaczego nie zwróciła na nią uwagi wcześniej.

A zdjęcie z pewnością zasługiwało na uwagę, stwierdziła, biorąc je do ręki. Przedstawiało dziewczynę dziesięcio-, może jedenastoletnią, ładną, lecz trochę za chudą, w białej letniej sukience z falbanką na piersi i białą kokardą we włosach. Włosy były długie i czarne jak u Tony'ego, a oczy duże i ciemne. Dziewczynka uśmiechała się szeroko, radośnie; miała uniesione wysoko ręce i otwarte dłonie, jakby chciała wskazać na rosnące wokół niej róże. Stała w środku rozległego i kwitnącego wspaniale ogrodu, tak bujnego, że Grace, patrząc na zdjęcie, niemal czuła zapach kwiatów. Każdy z nich miał piękny kredowobiały kolor.

Zdjęcie było kolorowe, ale czarne włosy dziecka, jego ciemne oczy i biel sukienki oraz aksamitna biel róż sprawiały, że wydawało się czarno-białe. Efekt był niesamowity.

Ta dziewczynka to z pewnością Rachel, nikt inny.

Grace poczuła, że coś dławi ją w gardle.

Do pokoju wszedł Tony; już ubrany, w swetrze i dżinsach, uśmiechnięty, odprężony, z błyszczącymi oczami.

Wyraz jego twarzy zmienił się w ułamku sekundy, kiedy ujrzał zdjęcie w jej dłoni. Stanął jak wryty i przez dłuższą chwilę tylko patrzył na nią. Wyglądał na człowieka, który otrzymał silny cios w żołądek i musi odczekać trochę, aby dojść do siebie.

- Była śliczna - odezwała się wreszcie Grace łagodnym szeptem.

Dopiero teraz odzyskał zdolność ruchu. Podeszedł do niej, spojrzął na fotografię i lekko musnął czubkiem palca twarz pod szkłem.

- Tak, to prawda.

W jego oczach i zmarszczkach wokół ust czaił się ból, ale głos brzmiał spokojnie.

- Wygląda na szczęśliwą. Czyj to ogród?

Musi mówić o swoim cierpieniu, pomyślała, jeśli ma się z tym uporać.

- Jej. Kochała róże. To zdjęcie było zrobione latem, niedługo przed jej śmiercią. Poszedłem z nią do takiej szkółki, niedaleko naszego domu, i kupiłem wszystkie sadzonki białych róż, jakie akurat mieli w sprzedaży. Potem wróciliśmy do domu, to było w Cleveland, przekopałem ziemię na podwórzu i zasadziłem róże. Przez całe lato podlewałem, nawoziłem i opryskiwałem te cholerne kwiaty, robiłem wszystko, aby się przyjęły. Może nawet modliłem się o to. Jeszcze kwitły, kiedy Rachel umarła. Opuszczając Cleveland, wykopałem je i przywiozłem tutaj. Ona kochała je tak bardzo... Nie mogłem ich tam zostawić...

Grace przypomniała sobie nieduży ogródek z obumarłymi już chyba krzewami róż, który widziała na podwórzu, gdy przysłała tu po raz pierwszy.

- I są tu jeszcze? - zapytała.

Przytaknął.

- Czasem przypominam sobie, że trzeba je podlać, ale odkąd je przesadziłem, nie zakwitły ani razu. Powinienem je wykopać i wyrzucić, ale nie mogę się na to zdobyć, nie mogę postąpić tak z różami Rachel.

Jego głos załamał się podejrzenie, gdy wymówił imię córki.

- Och, Tony...

To jej łzy napłynęły do oczu, gdy podniosła na niego wzrok. Wspięła się na palce, pocałowała go w policzek, a potem w usta. Zamknął ją w ramionach i trzymał tak parę chwil, nie mówiąc nic.

Kiedy rozluźnił nieco uścisk, zorientowała się, że spojrzał na zegarek.

- Już dwunasta pięćdziesiąt cztery - powiedział. Wypuścił ją z objęć, wziął z jej ręki fotografię i odstawił na gzyms. - Jeśli wyjdziemy teraz, spóźnisz się tylko

parę minut.

Sprawiał wrażenie, jakby doszedł już do siebie, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały okoliczności. Ale może wolałby jeszcze porozmawiać lub coś w tym rodzaju...

- Nic mi nie jest - powiedział, widocznie czytając w jej myślach. - Chodźmy. Na sali sądowej czekają już na ciebie.

A jednak objął ją, prowadząc do samochodu. Do diabła z panią Crutcher, niech sobie myśli, co chce, postanowiła w duchu Grace, odwzajemniając się tym samym.

## Rozdział czterdziesty pierwszy

- Co ty tu robisz w środku dnia? - Niedawno minęła trzecia. Dominik, który właśnie wszedł do komisariatu, zatrzymał się przy biurku brata. W pokoju, wyludnionym jak zwykle o tej porze, przebywał prócz nich jedynie detektyw Joe Gonzalez. - Masz dziś przecież nocny dyżur. Powinieneś wylegiwać się teraz w domu.

- Pracuję nad czymś.

Tony, zaaferowany tym, co robił, siedział z głową wspartą na pięści; brata zaszczylił zaledwie przelotnym spojrzeniem. Porównywał właśnie na monitorze próbki linii papilarnych. Z lewej strony ekranu miał przed sobą te, które znaleziono w domu Grace. Z prawej przewijała się cała seria innych. Tony przejrzał już odciski palców oskarżonych o handel narkotykami i powiązanych ze szkołą

Hebron. Bez rezultatu. Obecnie komputer porównywał odciski palców wzięte od osobników, którzy stawali przed Grace w ciągu ostatnich dwóch lat. Oczywiście w pamięci komputera nie zachowano odcisków ich wszystkich, istnieli też zapewne inni ludzie, którzy mieli powody, aby chcieć szantażować Grace lub zastraszyć jej córkę, a nie figurowali w kartotece komputerowej, należało jednak i ją przeszukać, aby nie zaniedbać niczego.

Praca detektywa polegała na żmudnym procesie eliminowania błędnych tropów, należało też kierować się zdrowym rozsądkiem i liczyć na przysłowiowy łut szczęścia; Tony wiedział o tym doskonale. Działał zazwyczaj według standardowej procedury: najpierw odrzucić wszystko co można bez uszczerbku dla sprawy, a potem zabrać się za to, co zostało.

Lata doświadczeń wykazały zdumiewającą skuteczność tej strategii.

- Jak się trzyma twoja dziewczyna? - zapytał Dominik.

Nie chcąc, aby brat wyczytał za wiele z jego oczu, Tony nie podnosił wzroku.

- Świetnie.

Jeśli miał nadzieję, że ta lakoniczna odpowiedź zniechęci Dominika... Nie, tak naprawdę wcale na to nie liczył.

Dom roześmiał się.

- Mama ją polubiła.

- Tak, mówiła mi o tym.

- Naprawdę?

- Nawet szczegółowo. - Tony spojrzał wreszcie na brata. - Co wy właściwie robicie we dwoje, plotkujecie przez telefon na mój temat całymi dniami?

- Skądże znowu! Nie więcej niż piętnaście minut dziennie.

Tony uznał, że jego brat upodabnia się coraz bardziej do starych plotkarskich bab. Powiedział mu to i zarobił kuksańca w bok.



- Witam, panowie.

Do pokoju wszedł Gary Sandifer w swoim nieodłącznym beżowym trenczu, który plątał się przy każdym kroku wokół nóg.

- Kapitanie - odparli jednocześnie Tony i Dominik, a Tony mruknął cicho do brata: - Dobry Boże, czy teraz już wszyscy zjawiają się tu tak wcześnie?

- Brak nam rąk do pracy, odkąd ty, Penick i Baer najęliście się na opiekunki. Wiele spraw leży przez to odłogiem.

Tony spojrzał na Dominika z zainteresowaniem.

- Naprawdę?

Zanim ten zdążył odpowiedzieć, Sandifer stanął przy jego biurku.

- Są jakieś postępy w sprawie Hart? - zapytał.

- Są, i tylko tyle mogę powiedzieć.

- A co już macie?

Ekran monitora migotał jednostajnie, podczas gdy Tony rozprostowywał palce jeden po drugim, wyliczając fakty:

- Po pierwsze, mam rzekomo skradzionego i odzyskanego pluszowego misia, bez odcisków palców, bez niczego. Po drugie, rysunek z napisem wykonany na lustrze czystym olejem mineralnym, bez jakichkolwiek odcisków palców na lustrze. Znaleźliśmy za to niezidentyfikowane linie papilarne na klamce drzwi sypialni. Próbuje właśnie ustalić, do kogo należą. Po trzecie, mam tort przygotowany w cukierni Hollimana z centrum handlowego Westwind. Zamówienie na tort złożył telefonicznie niejaki Stanley, jak wynika z dokumentacji cukierni. Ów Stanley podał numer telefonu, który okazał się jednak fałszywy. To był bardzo okazały tort, jeden z pracowników cukierni pamięta, jak go dekorował. Nie było w nim żadnych środków trujących, same standardowe składniki, nie popełniono więc przestępstwa, zamawiając go i kupując. Pracownik, który wydał tort, nie zauważył w facecie, który go odebrał, niczego szczególnego,

więc go nie zapamiętał. Zapłacono gotówką. Po czwarte, mam w kostnicy martwego chomika, utopionego w plastikowej torebce z wodą. Na torebce nie ma żadnych śladów, ale na zwierzęciu znaleźliśmy jakieś włókna, których nie zdołaliśmy zidentyfikować.

- Krótko mówiąc, macie tyle co nic - mruknął zrezygnowany Sandifer.

- Ale - kontynuował Tony - dziś rano nastąpił przełom, i to jest po piąte: facet przykleił gumą do żucia na szybie tylnych drzwi klucz, który już nie pasował, bo zostały wymienione zamki.

Sandifer spojrzał na niego ze zdwojoną uwagą. Tony kiwnął głową.

- No właśnie. Kimkolwiek jest ten facet, popełnił błąd. Teraz możemy ustalić jego DNA. Ze śliny na gumie.

Sandifer zmarszczył brwi.

- To niekoniecznie doprowadzi cię do niego.

- Rzeczywiście. Ale gdy już go dopadnę, nie będzie wątpliwości, że to on.

- Sądzisz, że go dopadniesz?

- Na pewno.

- Pośpiesz się z tym. Nie możemy w nieskończoność ochraniać pani Hart i jej córki. Doszły mnie słuchy, że prokuratura zaczyna sarkać na koszty. Zresztą jesteś nam tu potrzebny przy innych sprawach.

- Mamy właśnie na tapecie Lynna Vossa - wyjaśnił Dom.

- Jezu, jaka szkoda, że mnie to omija! - skrzywił się Tony.

Zależało mu na schwytaniu Vossa, ale jeszcze bardziej na zapewnieniu bezpieczeństwa Grace. Problem polegał na tym, że w głębi duszy nie był przekonany, czy jej lub Jess rzeczywiście coś grozi. Może tak, ale nie mógł wykluczyć, że cała sprawa okaże się w końcu jakimś cholernym wygłupem. W rozmowie z kapitanem umyślnie wyolbrzymał zagrożenie, aby uzyskać dla Grace ochronę, o jaką jej chodziło.

Ale gdy ten typ znajdzie się już w jego rękach, zapłaci za wszystko. Zwłaszcza za to, że przez niego nie mógł uczestniczyć w przygwożdżeniu Vossa.

- Staraj się - mruknął Sandifer i poszedł do swojego pokoiku.

- Czyli że i twoja opieka nad dziećmi zaczyna przynosić owoce! - Dom szturchnął brata łokciem w bok.

Tony rzucił mu posępne spojrzenie.

- Nie masz nic do roboty?

- Jeszcze ile - odparł z uśmiechem Dom i przeszedł do swojego biurka, a Tony zajął się ponownie liniami papilarnymi na ekranie monitora.

Godzinę później musiał stwierdzić, że nadal nie ma nic. Nie znalazł żadnych linii papilarnych identycznych z tamtymi. Nie otrzymał też jeszcze z laboratorium raportu w sprawie DNA w gumie do żucia, chociaż obiecali mu, że potraktują zlecenie jako pilne. Kazał również sprawdzić Colina Wilkersona, który niepokoił Grace. Bez efektu.

Nie spodziewał się zresztą niczego innego. Instynkt podpowiadał mu, że poszukiwany przez nich człowiek to jakiś dzieciak. Ale ucieszyłby się, gdyby okazał się nim Wilkerson.

Wstał.

- Na razie - zawołał do brata, który wystukiwał jakiś numer w telefonie.

Dom spojrzął na niego, nie odejmując słuchawki od ucha, z ręką na klawiaturze.

- Hej! A może porzucamy trochę do kosza, zanim pójdziesz?

Na policyjnym parkingu stał słupek z koszem, do którego obaj od lat rzucali w wolnych chwilach piłką.

Tony potrząsnął głową.

- Nie, nie dziś. Muszę się zająć moimi dziewczynkami.

Dopiero na widok miny brata uświadomił sobie, co powiedział. Nie

czekając na komentarz, odwrócił się i wyszedł. Ostatni raz powiedział tak jakieś dziesięć lat temu. Wtedy słowa te odnosiły się do Glenn i Rachel.

„Moje dziewczynki”. Tak właśnie mówił o nich. Z miłością, czule. Te słowa stanowiły część utraconej, pięknej przeszłości, sprzed okresu, gdy jego życiem zawładnął ból.

Nie mógł uwierzyć, że wypowiedział je ponownie. Z myślą o Grace. I Jess. Moje dziewczynki.

## Rozdział czterdziesty drugi

Jemu chodzi coś po głowie, myślała Grace, patrząc na Tony'ego. Od kilku dni czuła, że coś się z nim dzieje, jakkolwiek w jego zachowaniu nie zaszła żadna widoczna zmiana. Codziennie, kiedy wracała w towarzystwie Penicka do domu, czekał już na nią. Zazwyczaj grał z Jess w piłkę obok garażu albo oboje bawili się na podwórzu z psami lub też pichcili coś w kuchni na kolację. Tony nie przesadził wcale twierdząc, że umie gotować, a Jessica, ku zdumieniu Grace, okazała się jego gorliwym i zdolnym uczniem. Sama nie mogąc się poszczycić szczególnym talentem kulinarnym, Grace była mile zaskoczona tego typu uzdolnieniami drzemiącymi w córce.

Codziennie około wpół do dwunastej Tony zjawiał się w sędzie po Grace, po czym bez zbędnych słów udawali się do jego domu na - jak to określał z figlarnym uśmiechem - „lunch”.

Seks z nim był fantastyczny, a wieczorami, kiedy ograniczali się do

rozmów o wszystkim i niczym, Tony nie mniej wspaniale dotrzymywał jej towarzystwa jako partner niezwykle uroczy, interesujący i wrażliwy.

Czasem omawiali dochodzenia, rozważając poszczególne ewentualności niczym elementy układanki, z których mogliby potem stworzyć taki lub inny scenariusz wydarzeń. Niekiedy przechodzili do polityki. Często opowiadali sobie o prowadzonych przez siebie sprawach.

Grace wyznała mu wszystko o swoim małżeństwie. Przyczyna rozpadu - niewierność Craiga - nie sprawiała już jej bólu, irytował ją za to coraz bardziej widoczny brak zainteresowania córką z jego strony. Ponieważ ona także miała kiedyś ojca, który założył drugą rodzinę i przestał się interesować dziećmi z pierwszego małżeństwa, wiedziała z własnego doświadczenia, jak musi się czuć teraz Jessica. W konsekwencji starała się jak umiała wypełnić tę lukę w życiu córki, ale nie ulegało wątpliwości, że Jess cierpi tak czy inaczej.

Tony mówił o swojej żonie, Glenn, ale niewiele. Ostatni raz spotkał się z nią na pogrzebie Rachel i był zadowolony, że nie widywał jej od tamtej pory. Jej dezercja z pewnością sprawiła ból Rachel, która przecież nie musiała cierpieć dodatkowo. Tego właśnie Tony nie potrafił wybaczyć Glenn.

Grace nie winiła go za to.

Rozmawiali również o książkach, programach telewizyjnych i filmach, o ludziach z pierwszych stron gazet, a także o słabostkach swoich bliskich. Nigdy nie brakowało im tematów do rozmowy.

Grace czuła, że strach, który zadomowił się w niej, odkąd znalazła na drodze Pana Misia, ulatnia się bezpowrotnie. Obecność Tony'ego w ich domu dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Głównym i nieustannym źródłem lęku pozostawała jednak Jessica. Ogarniał ją niepokój, kiedy córki nie było w domu, i nic na to nie mogła poradzić. Miała jednak do Glorii Baer pełne zaufanie. Dzięki Bogu, od jakiegoś czasu Jess nie zauważyła wokół siebie nic podejrzanego.

Istniało jeszcze coś, co nie dawało Grace spokoju, chociaż starała się o tym nie myśleć: zakreślony na czerwono horoskop w gazecie. Trudno jej było uwierzyć, że to czysty zbieg okoliczności. I chociaż zdołała w końcu zaakceptować taką wersję, to jednak pozostało w niej dręczące „a co, jeśli...?”.

Gdyby nie chodziło o bezpieczeństwo Jess, wolałaby, aby dochodzenie ciągnęło się w nieskończoność. Bo kiedy już dobiegnie końca, Tony Marino wróci do siebie. A tego by nie chciała; uświadomiła to sobie, rozmyślając o całej sytuacji.

Obecność Tony'ego stała się dla niej czymś cennym. Wtopił się w życie jej i Jess tak idealnie, jakby był jego częścią od zawsze.

Nie chciała, aby odszedł.

Czuła jednak, że coś mu chodzi po głowie. Że coś go trapi. Widziała to w jego oczach, gdy patrzył na nią, czytała to z tembru jego głosu. Kiedyś zapytała go nawet, czy wszystko w porządku. Oczywiście zapewnił, że tak.

Ale ona wiedziała, że coś się dzieje. Nie miała tylko pojęcia co ani jak wydobyć z niego prawdę.

W środę otrzymali fantastyczną wiadomość: Jessica dostała się do szkolnej drużyny koszykówki. Komunikat został umieszczony na tablicy ogłoszeniowej i Jessica, chcąc podzielić się swym szczęściem, zatelefonowała do matki z sekretariatu szkoły, zanim jeszcze wyszła z Glorią.

Emily Millhollen też została zakwalifikowana.

Pod koniec rozmowy z matką Jessica powiedziała coś zaskakującego.

- Zadzwoń też do Tony'ego - oświadczyła, tak jakby przekazywanie mu dobrych nowin było dla niej czymś zupełnie naturalnym. - Jaki jest jego numer?

Nie ujawniając swych myśli (sama zresztą nie była pewna, co o tym myśleć, bo prośba córki wywołała mętlik w jej głowie), Grace podała jej numer.

Tego wieczoru ona, Tony i Jessica wybrali się razem z innymi zawodniczkami i ich rodzinami na uroczysty, choć zaimprovizowany obiad, a

Grace przekonała się, że dobrze zrobili, zabierając Tony'ego ze sobą: widać było, że sukces Jess cieszy go nie mniej niż je obie.

Stał się już częścią naszej rodziny, pomyślała. Ale wciąż nie bardzo wiedziała, co o tym sądzić. Była w nim zakochana. Najwyższa pora przyznać się do tego, przynajmniej przed sobą. Czy jednak taka miłość ma szanse przetrwania? Czy może raczej jest to sprawa na krótką metę, oparta na wspaniałym seksie, który wypali się niebawem własnym intensywnym płomieniem?

Nim Jessica przywiąże się zbyt mocno do niego, trzeba się upewnić, czy on nie ulotni się z chwilą zakończenia śledztwa. Jessica nie powinna cierpieć.

A ona sama? Też nie chciała cierpieć.

Kiedy w piątek Tony przyjechał po nią do sądu, wydawał się zatroskany. Wystarczyło jej jedno spojrzenie, aby to zauważyć.

- Co się stało? - zapytała, wsiadając do samochodu. Miał na sobie szary sweter i dżinsy, a idealnie gładki podbródek oznaczał, że golił się nie dawniej niż przed godziną. Wyglądał na zmęczonego i zatroskanego.

Spojrzał na nią dopiero, kiedy włączył się do ruchu.

- Laboratorium przysłało mi dziś rano wyniki testu DNA z tej gumy do żucia.

- To chyba dobrze, co? - Rzut oka na wyraz jego twarzy powiedział jej, że się myli. - O co chodzi? Nadal nie wiesz, kto to, mimo iż masz ten wynik?

- Osoba, która żuła gumę, ma DNA kompatybilne z twoim.

- Co? - Nie od razu pojęła wymowę tych słów. - Co to znaczy?

- Że ślina, której analizę przeprowadzono w laboratorium, mogła pochodzić tylko od kogoś z twojej rodziny.

- Co?

- To nie Jessica. Porównaliśmy próbki. Wyniki są podobne, ale nie identyczne. Chciałbym wziąć próbki od innych członków twojej rodziny. Na

przykład od Jackie, jej dzieci, twojego ojca i jego dzieci z drugiego małżeństwa.

- Od mojego ojca? Przecież my nie utrzymujemy ze sobą żadnego kontaktu, mówiłam ci o tym.

Rzeczywiście, opowiedziała mu o Deborah, pod której wpływem ojciec systematycznie oddalał się od niej. Mieszkał w Minnesocie z trojgiem nowych dzieci, z których żadne nie przekroczyło jeszcze dwudziestki, i najwidoczniej zdążył już zapomnieć o swoich najstarszych córkach. Z Grace widywał się nie częściej niż raz w roku, jeśli w ogóle. Pewnie nie poznałby już Jess, a ona prawie nie знаła swojego przyrodniego rodzeństwa.

- Tę gumę musiał żuć ktoś z twoich bliskich. Z tego, co mi mówiłaś, nie masz innej bliskiej rodziny poza Jess, Jackie, jej dziećmi, ojcem i jego dziećmi. Jessica, jak już wiesz, odpada. Będę potrzebował próbki śliny od każdego z nich, aby ustalić, o kogo chodzi.

Lodowata fala ogarnęła całą Grace; dziwiła się, że jeszcze nie szczęka zębami.

- Tony... Paul i Courtney są za młodzi. Nie sądzę, by mogli na przykład włamać się do mego domu i podrzucić tort.

- Prawdę mówiąc, nie uważam Paula ani Courtney za podejrzanych.

- A więc kogo? Jackie? Mojego ojca?

Zanim odpowiedział, dojechali do jego domu. Tony zaparkował przy krawężniku, obszedł samochód, żeby otworzyć jej drzwi. Jak na październik, było ciepło, jej jednak mimo czarnego wełnianego kostiumu doskwierał chłód. Wokół niej liście lśniły żywymi barwami, szybowały w powietrzu i opadały leniwie, zaśmiecając ulicę i trawniki. Na podwórzu naprzeciw dwie szare wiewiórki ganiały się bez troski, skrzecząc donośnie i szeleszcząc liśćmi. Pani Crutcher stała na swoim podwórzu. Odziana w coś, co w latach pięćdziesiątych nazywano strojem domowym, grabiła liście w zgrabne sterty. Zbliżając się do niej, Tony ujął Grace za



rękę.

- Witaj, Tony. Znowu przy pracy, co?

- Jak zwykle, pani Crutcher. Jak zwykle.

Do Grace docierało to wszystko jak przez mgłę. Miała wrażenie, jakby poruszała się teraz w jakimś nierzeczywistym świecie.

Realna była tylko ta data sprzed lat: dwudziesty pierwszy stycznia.

Boże, czy to możliwe? Na samą myśl o takiej ewentualności robiło jej się niedobrze. Ale była to chyba prawda!

Weszli do saloniku. Tony zamknął drzwi i odwrócił się, aby wziąć ją w ramiona, jak zwykle, gdy przyjeżdżali tu na „lunch”. Powstrzymało go jednak coś w wyrazie jej twarzy. Zmarszczył brwi.

- Grace...

- O Boże, Tony... Muszę usiąść.

Miała wrażenie, że lada chwila nogi odmówią jej posłuszeństwa, z trudem utrzymywała równowagę. Zachwiała się, a Tony, zaniepokojony, pochwycił ją i prawie zaniósł na kanapę. Opadła na nią bezwładnie i ukryła twarz w dłoniach.

- Co ci jest? Źle się czujesz?

Kucnął przed nią, z dłonią na jej udzie. Mogła jedynie pokręcić przecząco głową.

- Jezu, jesteś w ciąży?

Tembr głosu, jakim Tony zadał to pytanie, wystarczył, aby uniosła głowę.

- Nie!

- A więc co?

Zaczerpnęła głęboko tchu. Trudno, nie ma innego wyjścia. Musi mu powiedzieć.

- Tony...

Urwała. Słowa uwięzły jej w gardle. Nie mogła mówić dalej. Przez chwilę

siedziała po prostu, myśląc tylko o tym, aby odzyskać oddech, i patrzyła w jego oczy. Jeśli nawet kocha ją teraz, odkocha się, zanim wysłucha jej do końca, wiedziała o tym.

Spróbowała ponownie. Tym razem jej struny głosowe nie zawiodły.

- Ja... miałam... jeszcze jedno dziecko. Syna.

Nareszcie wyrzuciła to z siebie. Sekret, którego strzegła przez całe życie i który chciała zabrać ze sobą do grobu. A teraz wyrzuciła go z siebie w mgnieniu oka, ot tak, po prostu.

Tony przeszywał ją wzrokiem. Uniosła wyżej głowę i odpowiedziała na jego spojrzenie wyzwaniem. Postąpiła w przeszłości tak, a nie inaczej. Nie można tego odwrócić. Nawet jeśli żałuje swego postępuku, nawet jeśli wstydzi się tego i dręczą ją żal i smutek, i wyrzuty sumienia, wolałaby umrzeć niż zwierzyć się z tego wszystkiego komukolwiek. Prawdą powinna się dzielić, dla dobra Jess. Ale emocje pozostaną udziałem tylko jej samej.

- Masz syna? - zapytał ostrożnie Tony, nie spuszczać z niej wzroku.

- Tak.

Wstał raptownie, przez chwilę górując nad nią jak olbrzym. Następnie porwał ją z kanapy, uniósł wyżej i podszedł wraz z nią do starej, wysłużonej już leżanki. Odruchowo przyłgnęła do jego ramion, ale tym razem nie czuła przyjemności z przebywania w jego objęciach. Właściwie nie czuła nic prócz chłodu. Było jej bardzo, bardzo zimno.

- A więc porozmawiaj ze mną - poprosił Tony, sadwiąc ją na swoich kolanach. - Ja opowiedziałem ci o Rachel. Ty opowiedz mi o tym.

Siedziała sztywno, rezygnując z ciepłego oparcia, jakie oferowały jego silne, kusząco bliskie ramiona. Jej opowieść nie mogła równać się z jego. On okazał się bohaterem i pokrzywdzonym. Z jej relacji mógł się wyłonić jedynie obraz kobiety najnikczemniejszej z nikczemnych.

Z pewnością zacznie nią gardzić, gdy pozna prawdę. Ale musiała mu ją wyznać. Dla dobra Jess.

- Urodziłam chłopczyka jako nastolatka i oddałam go do adopcji - zaczęła i urwała. Bała się, że prócz tych gołych faktów nie zdoła wykrztusić z siebie nic więcej. Że gdyby powiedziała coś jeszcze, gdyby dała jakoś wyraz dręczącemu ją cierpieniu, rozpadnie się na milion cząsteczek.

- Guma do żucia - mruknął Tony, jakby problem, który nie dawał mu spokoju, znalazł nagle logiczne rozwiązanie.

Przytaknęła nerwowo.

- To na pewno on. Ja... Jest jeszcze coś, o czym ci nie mówiłam.

Nie powiedział nic, tylko uniósł brwi. Siedział wygodnie na leżance, z głową odchyloną na oparcie, ze wzrokiem zatopionym w jej twarzy, podczas gdy ona tkwiła sztywna w luźnej obręczy jego ramion. Spojrzeniem umknęła w bok, tylko od czasu do czasu zerknęła na niego. Obejmowała się oburącz, jakby się bała, że przenikający ją chłód zmrozi krew w żyłach. Z trudem sięgała stopami podłogi. W złotej smudze światła, która wpadała przez rozsunięte zasłony, tańczyły mikroskopijne cząsteczki kurzu, natomiast ką, w którym oboje siedzieli, pozostawał w cieniu. Nieco stęchła woń tego miejsca walczyła o lepsze z zapachem mydła, czystej odzieży i mężczyzny.

- W poniedziałek rano zabrałam gazetę z ganku. Była w niej... rubryka z horoskopami. - Odetchnęła głęboko. - Trzy z nich ktoś zakreślił na czerwono. Panna... to mój horoskop, 30 sierpnia. Ryby to Jessica, 8 marca. I Koziorożec, 21 stycznia. - Ponownie zaczerpnęła głęboko tchu. - Od razu pomyślałam, że to on, modliłam się jednak, aby to nie była prawda. Ale teraz nie ma już wątpliwości, prawda? I on mnie odnalazł! Boże, jak on mnie musi nienawidzić!

Zamknęła oczy, wbiła palce w ramiona.

Tony objął ją mocniej, przytulił. Opierała się, ale tylko przez krótką chwilę.

Potem zwiotczała, przyłgnęła do jego piersi i znużonym ruchem oparła mu głowę o ramię. Z jej ust wyrwało się przeciągłe, drżące westchnienie.

- Nikt o tym nie wie prócz ciebie - szepnęła. Jego twarz widziała z profilu. Patrzyła na jego wyraziste, regularne rysy ze świadomością przegranej. - Przez te wszystkie lata... nie mówiłam nikomu. Ani ojcu, ani Jackie, ani Jess. Nikomu. Tak jakby przestał dla mnie istnieć z chwilą, gdy go oddałam. Ale nie mogłam zapomnieć tego, co zrobiłam.

Wbił w nią spojrzenie swych ciemnych oczu i przywarł wargami do jej czoła w tkliwym pocałunku, jakim obdarza się zranione dziecko. A potem, kiedy wyprostował się i odsunął trochę, jej dłonie zacisnęły się kurczowo na fałdach jego swetra w geście rozpacz.

- Chcesz o tym mówić? - zapytał.

Potrząsnęła głową; nie chciała. A jednak zaczęła opowiadać; słowa wydobywały się z niej jakby wbrew jej woli.

## Rozdział czterdziesty trzeci

- Moja matka umarła, gdy miałam czternaście lat. Bardzo ją kochałam... Byłyśmy sobie naprawdę bliskie i kiedy jej zabrakło, mój świat rozsypał się na kawałki. Byłam wściekła. Wściekła na siebie, bo nie mogłam jej uratować. Wściekła na ojca, bo żył sobie nadal, jakby nigdy nic, a ona umarła. Wściekła na Boga. A nawet wściekła na matkę - za to, że umarła, zostawiając mnie. Miałam wrażenie, jakby moje życie utraciło wszelkie podstawy. Wtedy odbiło mi.

Zaczęłam się zadawać z jakimiś mętami, pić i balować, do domu wracałam nad ranem i pozwalałam sobie na wszystko, co tylko dopuszcza ludzka wyobraźnia. Jackie była jeszcze malutka, nie wiedziała w ogóle, co się dzieje. Myślę, że nawet nie pamięta wiele z tamtego okresu. A ojciec... Ojciec, zanim minął rok od śmierci mamy, ożenił się powtórnie i odtąd nie miał już dla mnie czasu. Wkrótce stałam się w naszym domu źródłem kłopotów. Macocha nienawidziła mnie. Ja, jeśli mam być szczerą, nienawidziłam jej jeszcze bardziej. Ojciec zawsze trzymał jej stronę. Dom był permanentnym polem walki, a to, co oni mówili, przestało mnie obchodzić; postanowiłam robić to, na co przyjdzie mi ochota, bez względu na konsekwencje. Pewnego wieczoru poszłam na imprezę i spiłam się do utraty przytomności. Rano ocknęłam się na tylnym siedzeniu jakiegoś auta. Nie miałam pojęcia, czyje to auto ani jak się w nim znalazłam. Ubranie miałam w okropnym stanie i domyśliłam się wszystkiego: ktoś, wykorzystując sytuację, uprawiał ze mną seks. Nie pamiętałam w ogóle nic, nie wiedziałam, kto ani jak wielu. Byłam tym tak zszokowana, że przestałam pić. Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Dopiero po czterech miesiącach, taka byłam wtedy młoda i głupia, zorientowałam się, że jestem w ciąży.

Gdybym dowiedziała się o tym wcześniej, zdecydowałabym się pewnie na aborcję. Ale wtedy było już na to za późno. Ogarnął mnie strach, paniczny strach. Bałam się, że ojciec zbije mnie na kwaśne jabłko, bo wierzył właśnie w wychowywanie przez bicie, zwłaszcza w moim wypadku, a potem jeszcze wyrzeknie się mnie. Macocha nie posiadałaby się z radości: sprawdziłyby się jej prognozy na temat końca, jaki mnie czeka. Nie mogłam do tego dopuścić. Kiedy byłam prawie w siódmym miesiącu i nie mogłam już tego ukrywać, uciekłam z domu. Na miesiąc przed świętami Bożego Narodzenia. - Grace parsknęła gorzkim śmiechem. - Nie muszę ci chyba mówić, jakie to było dla mnie przykre przebudzenie: życie z dala od rodziny! Miałam przy sobie tylko tyle pieniędzy, ile

zdołałam wcześniej odłożyć, kilkaset dolarów, i nie wiedziałam, dokąd się udać. Nie chciałam iść do koleżanek. Ich rodzice skontaktowaliby się od razu z moim ojcem i macochą. Włóczyłam się więc po centrach handlowych, patrzyłam na światła i dekoracje i płakałam, bo zbliżały się święta, a ja byłam sama. Sypiałam w najtańszych hotelikach i jadłam jak najmniej, mimo to moje oszczędności bardzo szybko stopniały do dwudziestu dolarów. Wydało mi się, że stoję już nad samą przepaścią. I wtedy wpadła mi w ręce gazeta z ogłoszeniem: „Zamiast aborcji”. Zadzwoiłam do nich, a oni zaprosili mnie do siebie. Poszłam tam. Dali mi miejsce do spania, a potem, gdy nadeszła pora, odebrali poród.

Grace urwała, nie mogła mówić dalej. Dopiero po chwili odchrząknęła i dodała ciszej:

- Nawet nie wzięłam go na ręce. Kiedy się urodził, zabrali go od razu. Podpisałam dokumenty, zgodę na adopcję, i to było wszystko. Gdybym nie podsłuchiwała przypadkiem rozmowy pielęgniarek, nie wiedziałabym nawet, że to chłopiec.

Ponownie urwała, a Tony mocniej zacisnął ramiona. Nic nie mówił, tylko trzymał ją w objęciach.

- Wróciłam do domu - podjęła opowieść Grace. - To było jedyne miejsce, dokąd mogłam się udać. No więc wróciłam do domu, zostałam ukarana przez ojca za ucieczkę, a potem ukończyłam szkołę; nie pozostało już tego wiele, zaledwie kilka miesięcy. Przestałam chodzić na prywatki, od tamtej pory nie poszłam na żadną. Dostałam kredyt w banku, i zdałam do szkoły średniej. Skoncentrowałam się na nauce, miałam najwyższe oceny. Jeszcze przed ukończeniem ósmej klasy poznałam Craiga. Poślubiłam go latem przed rozpoczęciem dziesiątej klasy. Potem przyszła na świat Jessica. Dopiero gdy po raz pierwszy wzięłam ją na ręce, zrozumiałam w pełni, co zrobiłam z moim synkiem. Bardzo kochałam Jess. Nie wiedziałam przedtem, jak to jest kochać swoje dziecko. Zanim ją urodziłam, mój

syn był dla mnie... rzecz by można, abstrakcją. Wydawał się nierealny. Jego przyjście na świat wiązało się z tak dużym lękiem, wstydem i bólem, że pragnęłam tylko jednego: mieć to wszystko wreszcie za sobą. Ale gdy miałam już Jess... odkąd była ze mną... zrozumiałam, na czym to polega. Od pierwszej chwili, kiedy mogłam wziąć Jess na ręce, pokochałam ją z całego serca. I wiedziałam już, co zrobiłam, odrzucając własnego syna. - Wzdrygnęła się. - Gdybym mogła cofnąć jedną jedyną rzecz w moim życiu, cofnęłabym właśnie tę. Nie oddałabym mego dziecka.

Jej głos załamał się, zamknęła oczy. Przeszywał ją ból nieprzelanych łez, ale płacz nie nadchodził. Wiedziała, że wszystkie łązy świata nie zdołałyby zmyć jej cierpienia.

- Grace...

Głos Tony'ego był niski, jego ciepłe i silne ramiona obejmowały ją czule. Wtuliła się w niego, z rękami splecionymi na jego szyi, zawstydzona tym, że potrzebuje go tak rozpaczliwie. Wiedział teraz o niej to, co najgorsze, obnażyła się przed nim emocjonalnie i teraz lękała się potępienia i odrzucenia. Gdyby Tony chciał z nią teraz zerwać, nie mogłaby nawet mieć do niego o to pretensji. Tak gorąco kochał przecież córkę, odebraną mu przez zły los. A ona świadomie odeszła od swojego syna.

- Grace - powtórzył. - Zastanów się nad jednym: co by się stało, gdybyś zachowała syna przy sobie? Spójrz na to realnie. Co by się wtedy stało z tobą? Wróciłabyś do domu?

Przeszedł ją dreszcz.

- Nie. Nie miałabym nawet takiej możliwości. Ojciec i macocha nie wpuściliby mnie za próg.

- Byłabyś więc zdana tylko na siebie, sama z noworodkiem, prawda? Nastolatka bez domu, bez jakiegokolwiek wsparcia ze strony rodziców, bez

ukończonej szkoły. Gdzie byś się podziała z dzieckiem? Nadal błąkałabyś się po tanich hotelikach? Nie pozostała ci już nawet taka możliwość, bo skończyły się pieniądze. Schronisko dla bezdomnych? W najlepszym wypadku udałoby ci się zdobyć zasiłek z opieki społecznej, ale dopiero po długich staraniach. A więc: nieletnia panna z dzieckiem, bez ukończonej szkoły, zdana na pomoc instytucji charytatywnych.

Pogłaskał ją po policzku, zmusił, aby uniosła głowę.

- Otwórz oczy, Grace. Spójrz na mnie.

Uczyniła to i dojrzała w jego oczach czułość. Czułość, na jaką nie zasłużyła.

- Wiesz, mało brakowało, a wycofałbym się ze ślubu z Glenn. W ostatniej chwili obleciał mnie strach i chciałem uciec sprzed ołtarza. Gdybym zrobił to wtedy, nie mielibyśmy Rachel, a ja oszczędziłbym sobie bólu patrzenia na powolne umieranie własnego dziecka. Z kolei Rachel nie musiałaby przechodzić przez tę przeklętą chorobę. Ale z drugiej strony... ona i ja bylibyśmy pozbawieni naszej największej radości. - Spojrzał na nią przenikliwie. - Chodzi o to, że wszyscy stajemy nieraz na rozstajnych drogach. Musimy podejmować decyzje i żyć potem z tym na dobre i na złe. Gdybyś zatrzymała syna, nie miałabyś Jess. Nie byłabyś kobietą, jaką jesteś. Doszłaś do rozstajów i dokonałaś optymalnego wyboru; biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich się wtedy znalazłaś, każda inna decyzja byłaby większym złem. Nie powinnaś mieć sobie nic do zarzucenia.

- Boże, Tony, jaka matka oddaje swoje dziecko do adopcji?

Musnął szorstkimi opuszkami palców jej podbródek.

- Bardzo młoda i bardzo wylękniona, tak jak to było w twoim wypadku. Grace, czy wiesz, co zafascynowało mnie w tobie od pierwszej chwili, gdy cię poznałem? Sposób, w jaki odnosiłaś się do Jess. To, że byłaś gotowa wziąć się za bary z całym światem, łącznie ze mną i całą tą cholerną biurokracją w policji.



Wszystko dla niej. Spodobał mi się rodzaj twojej miłości do niej, żarliwy i opiekuńczy, a jednocześnie bardzo delikatny. Jesteś wspaniałą matką, Grace. Cudowną matką. I to, że dokonałaś takiego, a nie innego wyboru w momencie, kiedy byłaś niewiele starsza niż Jessica teraz, nie zmienia mojej opinii. Zrobiłaś co mogłaś w określonej sytuacji i co zrobiłaby każda inna kobieta na twoim miejscu.

Zajrzała mu głęboko w oczy i to, co w nich odczytała, dodało jej otuchy. Nadal coś dławiło ją w gardle, nadal odczuwała ból, ale potworny ucisk w piersi mijał.

- Kocham cię, Tony - powiedziała dobitnie. A potem, ku własnemu zaskoczenia, wybuchnęła płaczem.

## Rozdział czterdziesty czwarty

Odnalezienie syna Grace okazało się zadaniem znacznie trudniejszym, niż Tony sądził. Tego samego dnia spędził całe popołudnie w komisariacie przy swoim biurku, wpatrując się w ekran monitora - bez rezultatu. Fakt, że dziecko przyszło na świat w prywatnej klinice, nie ułatwiał poszukiwań. Tony nie mógł znaleźć metryki. Nie mógł trafić na żaden ślad chłopca o nazwisku Douglas, panińskim nazwisku Grace, urodzonego tamtego dnia w hrabstwie Franklin.

Nie sądził, by Grace pomyliła dane i przekazała mu nieścisłe informacje. Okoliczności narodzin jej pierwszego dziecka z pewnością zapadły jej głęboko w pamięć.

Nie wątpił, że w końcu znajdzie chłopca. Teraz, gdy wiedział już, kogo

szuka, była to tylko kwestia czasu potrzebnego na wykonanie zwykłej policyjnej roboty. Skoro nie udało się zdobyć metryki, należało przejrzeć dokumenty adopcyjne.

Pytanie tylko, co zrobić z tym dzieciakiem, gdy już go odnajdzie? Grace z pewnością nie wysunie przeciw niemu żadnego oskarżenia, raczej rzuci mu się do stóp, błagając o przebaczenie.

Chłopak musiał borykać się z poważnymi problemami, skoro posunął się do takich kroków, łącznie z włamaniem do domu Grace i zabiciem chomika Jess. Na pewno czuje do Grace olbrzymi żal.

Na samą myśl o piekle, jakie Grace musiała przejść nie tylko ostatnio, lecz w ciągu ostatnich lat, kiedy wciąż potępiała się za to, co zrobiła, Tony czuł narastający gniew. Jeśli ten dzieciak przysporzy Grace więcej zmartwień, trzeba będzie dać mu porządną nauczkę, zamiast uzalać się nad nim.

Przewidywał, że kiedy odnajdzie chłopca, pojawią się kłopoty przez wielkie K. Dla Grace zaczną się nowe cierpienia, Jessica, której trzeba będzie przecież powiedzieć o wszystkim, przeżyje prawdziwy szok, który tylko powiększy zamęt w jej głowie, a sam chłopak okaże się żulikiem.

Najlepiej będzie, jeśli odnajdzie syna Grace i naleje mu trochę oleju do głowy, a dopiero potem powie jej, gdzie on jest. Jeśli dzieciak okaże się oporny, trochę się go postraszy, ostrzeże, że może mieć poważne kłopoty z policją. Ale to tylko w ostateczności.

Dziwne: nie przyszło mu nawet do głowy, że jeśli zniknie już kryminalny aspekt sprawy, przestanie go to wszystko obchodzić. To, co dotyczy Grace i Jess, dotyczy także jego.

„Moje dziewczynki”.

Uśmiechnął się lekko. Tak, tym właśnie są dla niego. Jego dziewczynki, matka i córka. Jego. Dziwne: oto jego życie zatoczyło pełny krąg.

Powiedziała, że go kocha. Ale potem się rozpląkała, a on był zbyt zaabsorbowany pocieszaniem jej, aby mogli odbyć rozsądną rozmowę. Zwłaszcza że Grace zależało oczywiście na punktualnym powrocie do sądu.

Wieczorem będą musieli poważnie porozmawiać.

- Jak ci idzie?

Do jego biurka podszedł Gary Sandifer i spojrział na monitor, na którego ekranie przesuwały się dane personalne dzieci adoptowanych w hrabstwie Franklin w ciągu roku od dnia urodzin syna Grace. Chłopiec urodził się w hrabstwie Franklin i zapewne nadal tu mieszkał, w przeciwnym razie nie mógłby prześladować Grace.

- Tak sobie - odparł wymijająco Tony.

Nie zastanawiając się nad tym, uznał, że sekret Grace powinien pozostać sekretem, przynajmniej dla policji. On sam odnajdzie chłopca, nakładzie mu rozumu do głowy i w ogóle postara się uczynić wszystko, co będzie w jego mocy, aby ułatwić sprawę Grace. A dochodzenie policyjne da się zamknąć z adnotacją „sprawca nieznany”. Nikt się tym nie przejmie. Policja ma na głowie grubsze ryby do złowienia niż zabójcę chomika, straszącego miejscową sędzinę i jej córkę.

- Masz jeszcze tydzień, ani dnia więcej - mruknął Sandifer i pokręcił głową.

- Potem muszę odsunąć cię od tej sprawy.

- Rozpracowujecie Vossa? - zapytał Tony.

Czuł się już trochę jak uczeń w klasie, który czeka niecierpliwie na zbawienny dzwonek, aby odzyskać wolność i zająć się wreszcie tym, co naprawdę go interesuje. Tony'ego interesowało przyskrzynienie Vossa.

- Właśnie zaczynamy.

Tony skrzywił się. Sandifer poklepał go po ramieniu.

- Nie sądzę, abyśmy dorwali go przed upływem tygodnia - mruknął i wrócił do siebie.

W okresie, o jaki chodziło, adoptowano w hrabstwie Franklin pięćdziesięciu pięciu nowo narodzonych chłopców. Tony nie spodziewał się, że będzie ich tak dużo. Sporządził wydruk listy, złożył ją i schował do kieszeni, a potem wstał. Czekają go sprawdzenie tych wszystkich dzieciaków. Ale nie teraz. Było już wpół do piątej. Czas wracać do domu.

Kiedy zaparkował jak zwykle dwie przecznice dalej i skierował się ku bocznej furtce, dostrzegł na podjeździe grupkę dziewcząt rzucających piłką do kosza. Nie zauważyły go, gdy przechodził przez podwórze zasłane opadłymi liśćmi. O dziwo, w grupie nie było Jess. Zastanawiając się nad tą zagadką, wszedł do domu.

Jessica i Gloria Baer były w kuchni. Gloria stała, patrząc z niepokojem na Jess, która nienaturalnie blada siedziała na taborecie i popijała sok pomarańczowy. Psy ułożyły się u jej stóp, ale na widok Tony'ego wstały i podeszły bliżej, merdając ogonami.

- Cześć, Tony. - Gloria spojrzała na niego z ulgą.

Z pewnością nie ma łatwego zadania: pilnowanie Jess przez cały dzień nie jest tak proste, jakby się mogło wydawać. Tony uśmiechnął się w duchu. Z pewnością odpowiadały mu bardziej jego obowiązki: opieka nad matką Jess. Ale nawet gdyby Glorię wyznaczono do opieki nad Grace, nie miałyby z tego nawet w przybliżeniu tylu przyjemności co on.

- Jakiś problem? - zapytał, głaszcząc psy. Spojrzał na Jess.

Zrobiła niewyraźną minę, a potem uciekła spojrzeniem w bok.

- Nic takiego. Po prostu zapomniałam wstrzyknąć sobie rano insulinę. No i wzrósł mi trochę poziom cukru.

- Grała w kosza i nagle zrobiła się biała, jakby miała zemdleć - wyjaśniła poważnym tonem Gloria.

- Powiadomiłaś jej matkę? - zapytał Tony.

- Nie! Nie! - zawołała ostro Jessica. - Powiedziałam, żeby nie dzwoniła do mamy. I ty też tego nie rób, słyszysz, Tony? Wzięłam już insulinę, wypiję ten sok i wszystko będzie w porządku. Ale nie mówcie o niczym mamie.

Nie odpowiedział od razu. To dziwaczne kolorowe pasemko w jej włosach było dziś zielone jak niedojrzała cytryna, co podkreślało błękit jej oczu. Jest naprawdę bardzo podobna do Grace, pomyślał Tony i poczuł do niej jeszcze większą sympatię.

- Dobrze - mruknął wreszcie. Powiesił kurtkę i otworzył lodówkę, aby nalać sobie trochę soku.

Korzystając z obecności Tony'ego i wietrząc ewentualne kłopoty, Gloria pożegnała się czym prędzej i poszła. Jessica wysączyła ze szklanki ostatnie krople i spojrzała na Tony'ego z pewną urazą.

- Chcesz powiedzieć mamie, prawda? - zapytała.

Tony westchnął, oparł się bokiem o blat naprzeciw niej i upił trochę soku.

- Nie zaczynaj, Jess. Wiesz, że nie mogę inaczej. Jeśli nie chcesz, aby inni ludzie mówili twojej mamie, że nie bierzesz insuliny, to nie zapominaj o niej. Proste, nieprawdaż?

Popatrzyła na niego wilkiem.

- Boże, jak ja nienawidzę tej cholерnej cukrzycy! - wybuchnęła.

- Nie wiesz nawet, jakie to dla ciebie szczęście, że ją masz.

- Co?

Pokiwał głową.

- Tak, tak, masz szczęście. A wiesz, dlaczego? Bo to choroba, z którą można żyć. Musisz tylko brać insulinę o określonej porze i pilnować diety. To wystarczy.

- I dlatego mam się czuć szczęśliwa?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Wreszcie powiedział cicho:

- Opowiadałem ci już o Rachel? Mojej córce? Nie? Dobrze. Więc... miałem córkę. Byłaby twoją rówieśnicą, gdyby żyła, ale niestety... Zmarła w wieku jedenastu lat. Miała torbielowatość płuc. Tego nie da się wyleczyć. Rachel nienawidziła swojej choroby tak jak ty nienawidzisz cukrzycy, ale w jej przypadku naprawdę nie mogliśmy nic zrobić. Ani ona, ani ja. Nie było na to leku. Oddałbym wtedy wszystko, co posiadałem, nawet własne życie, bez chwili wahania, gdyby można ją było leczyć za pomocą dwóch zastrzyków dziennie i specjalnej diety.

Urwał, a Jessica wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Dopiero po chwili zdobył się na niewyraźny uśmiech.

- Teraz już chyba rozumiesz, dlaczego uważam, że masz szczęście? Ogromne szczęście.

- Tony... tak mi przykro! - wyjąkała wstrząśnięta.

Kiwnął głową i upił następny łyk.

- Mama wie o tym?

Ponownie przytaknął. To dziwne, pomyślał. Im więcej mówię o Rachel, tym łatwiej mi to przychodzi. Nadał bolało, ale nie wydawało mu się już, że umrze z tego bólu.

- Tony?

- Hmm?

- Lubisz moją mamę, prawda?

Spojrzał na nią czujnie. Jessica i Grace żyły od dawna same, tylko we dwie. Kto wie, jak dziewczyna zareagowałaby na wtargnięcie w jej życie rodzinne kogoś nowego, jakiejś trzeciej osoby, nawet gdyby ją lubiła, na przykład jego. Skinął głową.

- Nie chciałeś nigdy... no, umówić się z nią na randkę czy coś w tym rodzaju?

Uniósł brew, ale postarał się zachować obojętny wyraz twarzy.

- Nie miałabyś nic przeciw temu?

Potrząsnęła głową.

- Mama spotykała się z kilkoma facetami i gdyby poślubiła któregoś z nich, uciekłabym z domu. Ale ty jesteś w porządku.

Nie mógł już liczyć na to, że uda mu się zachować obojętną minę. Był rozbawiony, zaskoczony, zaintrygowany i trochę wzruszony - i wiedział, że trudno zamaskować tak wiele emocji.

- Czy ty przypadkiem nie próbujesz wydać swojej mamy za męża?

Jessica wzruszyła ramionami.

- Nie za każdego. Ale... teraz chodzę do szkoły, a za cztery lata pójdę na studia. Nie lubię myśleć o tym, że wyjadę stąd i zostawię mamę samą. Byłoby dobrze, gdyby miała wtedy przy sobie kogoś takiego jak ty.

- Ty naprawdę starasz się wydać mamę za męża! - Tony nie wytrzymał dłużej. Uśmiechał się od ucha do ucha. Ciekawe, co by powiedziała Grace, gdyby знаła treść tej rozmowy, pomyślał.

- Chyba nie powtórzysz jej tego? - zapytała nagle Jessica, nie kryjąc lęku.

Roześmiał się głośno.

- Jak bym mógł jej powtórzyć, że właściwie oświadczyłaś mi się w jej imieniu? - Potrząsnął głową. - Ale pomysł bardzo mi się podoba. Naprawdę.

Koleżanki Jess zostały aż do kolacji, a potem zjawiała się Jackie z dziećmi i zasiadła do stołu. Tony, przyzwyczajony do licznej rodziny, przyjmował obecność Jackie i dzieci ze stoickim spokojem. Żałował tylko, że nie będzie mógł przez to porozmawiać sam na sam z Grace. Nie udało mu się nawet pocałować jej na dzień dobry.

W końcu Jackie ze swoimi pociechami pojechali do siebie, a Grace i Jessica zajęły się w kuchni zmywaniem, gawędząc przy tym jak dwie najlepsze przyjaciółki; Tony, który widział je obie ze swojego miejsca na kanapie przed

telewizorem, musiał przyznać w duchu, że takie właśnie sprawiają wrażenie.

Przy tylnych drzwiach stanęły Kramer i Chewie; psy chciały wyjść. Tony wstał i otworzył im drzwi, a one wypadły na podwórze, szczekając w odpowiedzi na ujadanie jakiegoś psa w okolicy. Tony spojrział na zegar wiszący nad spizarką. Pięć po dziesiątej.

W piątkowe wieczory Jessica nie musiała się kłaść tak wcześnie jak zwykle. Nie mógł się już doczekać, kiedy wreszcie pobędą z Grace sami. Wyglądało na to, że nieprędko.

Czy życie nie jest czasem zbyt ciężkie?

- Wyniosę śmieci - powiedział i sięgnął do kosza stojącego po drugiej stronie lodówki.

Grace tylko kiwnęła głową, do tego stopnia zaaferowana rozmową z Jess, że chyba nawet nie usłyszała jego słów. Tony poczuł się przez moment jak ojciec w jakimś serialu rodzinnym, osoba z drugiego planu.

Mimo to dobrze było czuć się znowu jak członek rodziny.

Kramer i Chewie kręciły się za garażem, węsząc coś z zapalem. Zmrok nie pozwalał dostrzec co. Tony wrzucił worek ze śmieciami do metalowego pojemnika w garażu i poszedł sprawdzić, co tak bardzo zainteresowało psy. Noc była piękna, ciepła i pogodna, duży pomarańczowy księżyc wisiał nisko na niebie upstrzonym tysiącami migotliwych gwiazd. Wczesna złota jesień. Uwielbiał tę porę roku.

Ale właśnie jesienią odeszła Rachel.

Nagła fala smutku przyniosła wspomnienia, dobre i złe. Rachel też uwielbiała takie babie lato.

Postanowił przyprowadzić tu Grace i Jess; niech i one pozachwycają się trochę pięknem tego wieczoru. Przynajmniej tego nauczył się w życiu: w miarę możliwości należy z każdego dnia wyciskać to, co najlepsze.

Psy skomlały w cieniu garażu i skrobały łapami ziemię. Tamten zakątek był



jeszcze ciemniejszy, tak ciemny, że Tony nie mógł dojrzeć, co znalazły psy. Z pewnością jednak to coś nie znajdowało się tam wcześniej.

Przedmiot leżący w trawie obok garażu był czarny, walcowaty i duży, długi na ponad półtora metra. Dopiero po chwili Tony zorientował się, że patrzy na coś tkwiącego w obszernym worku plastikowym, owiniętym gęsto szarą taśmą klejącą.

Kramer nareszcie znalazła swoją żyłę złota: łapą rozdarła plastik - i nagle w otworze ukazało się coś na kształt wypchanej białej rękawiczki. Oba psy poczęły obwąchiwać to, skomlać żałośnie.

Ku swemu przerażeniu Tony uprzytomnił sobie, że patrzy na opuchniętą ludzką rękę.

W jego umyśle zawył natychmiast sygnał alarmowy, włosy stanęły mu dęba na głowie. Kramer rozejrzała się wokół siebie, warknęła na widok czegoś za plecami Tony'ego, który instynktownie obrócił się na pięcie, sięgając po pistolet, ale nie zdążył go wyjąć. Coś uderzyło go z potworną siłą w skroń i przed oczyma eksplodowały mu jaskrawe gwiazdy. Potem zamknęła się wokół niego gęsta ciemność.

## Rozdział czterdziesty piąty

Zabicie matki sprawiło mu przyjemność. Zamierzał zrobić to tej nocy, ale nieco później; chciał załatwić od razu całą rodzinę, po tym, jak ojciec powrócił do domu z Indianapolis, a Donny - z akcji rozwieszania ulotek o zaginięciu Caroline. Ale około dziewiętej matka przyłapała go na wyjadaniu puddingu ryżowego

przeznaczonego dla ojca; tak samo jak tydzień wcześniej. I od razu zrobiła z siebie upierdliwą jędzę, krzycząc, że ktoś tak gruby jak on, z twarzą pełną krost, nie powinien jadać słodkich potraw.

Wtedy poszedł do sypialni, spod łóżka wyciągnął pistolet ojca i wrócił z nim do kuchni. No i proszę: od razu się zamknęła, kiedy tylko ujrzała broń. Otworzyła usta jak ryba, podniosła dłoń do szyi i wymówiła jego imię takim dziwnym głosem, po którym poznał, że ona wie, co ją czeka.

- Żegnaj, mamó - zawołał i strzelił suce prosto w twarz.

Oczywiście wyglądała potem jeszcze gorzej.

Krwawiła jak świnia, którą zresztą była. W ciągu zaledwie paru minut na podłodze wokół jej głowy utworzyła się olbrzymia kałuża. Dużo odprysków poleciało też na ścianę; wyglądało to trochę jak sos do spaghetti z pieczarkami i makaronem. Nie mógł tak tego zostawić, bo nie chciał, żeby Donny i ojciec zorientowali się, co się dzieje na dole, zanim i na nich przyjdzie pora.

Wyjął z szafy ręczniki, owinał nimi jej głowę - przyszło mu na myśl, że właśnie tak, z widoczną tylko częścią twarzy, matka wygląda lepiej - a potem okrył to wszystko workami na śmieci. Zdążył się już przekonać, jak przydatne przy zwłokach mogą się okazać worki na śmieci. Podobnie przecież postąpił z Caroline, zanim ukrył jej ciało w lodowatej suterence sąsiada, który z całą rodziną wyjechał na urlop. Jeszcze dziś w nocy przeniesie ją stamtąd do domu, będzie tu spoczywała z innymi. Trzeba przyznać, że Caroline przechowuje się bardzo dobrze w tym zimnie. Sprawdzał ją już kilka razy. Nawet nie zmieniła zapachu.

To, że zabił najpierw matkę, było niezgodne z planem. Właściwie chciał zacząć od załatwienia sędziny i jej córki, a dopiero potem wrócić do domu i rozprawić się z matką, ojcem i Donnym, dopóki spali. Ale trudno, matka wkurzyła go nie na żarty. Miał dość tego nazywania go grubym.

Owijając ciało w kolejne worki na śmieci, a potem oklejając je wszystkie

taśmą, żeby się nie rozsunęły, zastanawiał się, czy ta drobna zmiana może pokrzyżować mu plany. Wreszcie, kiedy zmył z podłogi i ściany krew, używając w tym celu najlepszych ręczników matki - Jezu, ale by się wkurzyła, gdyby to widziała! - doszedł do przekonania, że podobnie jak wszystko inne, czego dokonał, postąpił chyba słusznie, zabijając najpierw matkę.

Ale jeśli gliniarze okażą się zbyt tępi, aby skojarzyć zamordowanie sędziny i jej córki w Bexley z wymordowaniem rodziny w Upper Arlington? Kiedy ich obserwował, jak miotają się tu od tygodni i bezskutecznie usiłują wyjaśnić tajemnicę jego niewinnych wypraw do domu Grace Hart, a potem sprawę zniknięcia Caroline, miał coraz gorsze zdanie na temat ich inteligencji. I coraz bardziej wierzył, że mogą nie skojarzyć tych morderstw.

Chyba że zostawi ciało swojej matki w domu sędziny jako wizytówkę.

Zadowolony z pomysłu podniósł ją - ta tłusta świnia była ciężka jak z ołowiu - zarzucił sobie na ramię i przeniósł do samochodu, stojącego w garażu. To było nowe auto, maxima; matka uwielbiała je. Na pewno nie pozwoliłaby mu zasiąść w nim za kierownicą, chociaż pożyczala je Donny'emu, kiedy tylko ją poprosił.

Dziś on je poprowadzi, a ona przejedzie się na tylnym siedzeniu. Martwa.

Wrócił do domu, aby ułożyć odpowiednio poduszki na jej łóżku pod kołdrą; gdyby ktoś przypadkiem wszedł do pokoju, na przykład Donny, niech pomyśli, że matka śpi. Następnie wyjął z jej torebki kluczyki do maximy, chwycił parę dolarów, na wypadek, gdyby zabrakło benzyny, wziął też pistolet i torbę, do której wepchnął już wcześniej różne rzeczy potrzebne na dzisiejszą noc.

Wreszcie wsiadł do auta i pojechał. Musiał trochę zgiąć matce nogi w kolanach, aby zmieściła się na tylnym siedzeniu. Nawet pożałował, że już nie żyje: nie miałby nic przeciw temu, żeby pojeździła trochę w tak niewygodnej pozycji.

Po dotarciu na miejsce nie zaparkował parę przecznic dalej, jak czynił to

zwykle z motocyklem, lecz przy najbliższym skrzyżowaniu; stąd wystarczyło przejść przez frontowe i tylne podwórze sąsiadów, a później przez parkan, aby znaleźć się na terenie posiadłości sędziny. Zdążył już poznać całą okolicę jak własny dom. Poczuł lekki żal na myśl o tym, że dziś będzie tu po raz ostatni. Upłynął niemal rok od chwili, gdy odkrył jej tożsamość dzięki grupie internautów zajmujących się nawiązywaniem kontaktu dzieci adoptowanych z ich biologicznymi rodzicami. W ciągu tych kilku miesięcy obserwowanie sędziny i jej córki weszło mu już w krew, stało się prawie pasją. No, ale trudno, wszystko ma swój koniec, nawet najprzyjemniejsze rzeczy.

Wysiadając z samochodu, zajrzał przez szybę do środka i stwierdził, że z zewnątrz można dostrzec bez trudu ciało matki skulone na tylnym siedzeniu. Mimo tych wszystkich plastikowych worków pakunek wyglądał wystarczająco podejrzanie, by skłonić przypadkowego przechodnia do zaalarmowania policji.

Nie zauważył przedtem, że latarnia na rogu oświetla ulicę tak skutecznie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien przestawić auta w inne miejsce, ale ostatecznie postanowił zabrać ciało ze sobą. I tak zamierzał przecież wrócić po nie; zawlecze więc po prostu matkę do domu sędziny trochę wcześniej, niż planował.

Jezu, ależ ona ciężka! Wetknął pistolet do kieszeni swojej kurtki... zgoda, to kurtka Donny'ego... upewnił się, czy w pobliżu nie ma nikogo, po czym zarzucił ciało na ramię. Parę minut później znalazł się w bezpiecznym mroku, poza zasięgiem blasku latarni - tylko on i księżyc, i gwiazdy, i szelest liści pod stopami, i chrobot gałęzi w górze.

Bexley to naprawdę piękna dzielnica, pomyślał. Prawie tak ładna jak Upper Arlington.

Z jakiegoś niezbyt odległego podwórza dobiegło go szczekanie psa. Jego ujadanie słyszał prawie za każdym razem, kiedy zakradał się do domu sędziny! Dziś mógł wyświadczyć światu przysługę i uciszyć tego małego dziamgota.

Dotarł już do parkanu, za którym rozciągało się podwórze sędziny. Przełożył ciało na drugą stronę bardzo ostrożnie, aby nie popękały plastikowe worki, bo znowu musiałby uprzątać cały bałagan, jak przedtem w kuchni, następnie sam wdrapał się na ogrodzenie i zeskoczył na ziemię.

W wielu oknach jaśniało światło. Ciekawe, co one tam robią, ona i Jessica... No nic, zaraz się dowie. Jego plan był prosty. System alarmowy, zainstalowany tu niedawno, nie był żadną przeszkodą, podobnie jak te nowe zamki w drzwiach. A ten gliniarz, przyjaciel sędziny? Bułka z masłem!

Nie włączali alarmu przed pójściem spać. Wiedział o tym, bo obserwował ich przez okna, odkąd zainstalowali ten system. Nie przejmował się też brakiem kluczy; zamierzał zastosować prostą sztuczkę, jakiej się na pewno nie spodziewali. Zapuka po prostu do drzwi. A kiedy otworzą - nie wątpił, że ktoś z nich otworzy drzwi, ludzie zawsze otwierają, gdy słyszą pukanie - będzie ich czekać nie lada niespodzianka.

Puk, puk. Już po tobie.

Upajał się tą myślą.

## Rozdział czterdziesty szósty

- Mamo, to naprawdę miły chłopak. I czuję, że będzie próbował umówić się ze mną. Jeśli to zrobi, będę mogła wyjść? Mamo, proszę!

Grace przerwała układanie talerzy w zmywarce i spojrzała na córkę, która przestała wycierać stół i stała teraz, patrząc na nią z błagalną miną.

Czy piętnaście lat to wiek odpowiedni na randki? Rozum mówił Grace, że

tak, ale serce kazało jej widzieć w Jess nadal małą dziewczynkę. Tylko że - jak powiedziałby Tony - nawet małym dziewczynom trzeba pozwolić kiedyś dorosnąć.

- Zobaczymy.

Grace postanowiła grać na zwłokę. Niezależnie od opinii Tony'ego nie widziała potrzeby przyspieszania biegu wypadków. Gdyby jednak doszło do tego... cóż, chyba jednak pozwoli jej pójść na tę randkę.

- Mamo!...

Gorączkowe skrobanie do tylnych drzwi przerwało im rozmowę. Jessica poszła otworzyć i do środka wpadł Chewie. W popłochu, z położonymi płasko uszami i podwiniętym ogonem jakby gonił go niedźwiedź, przemknął przez kuchnię ku schodom.

- Co mu się stało?

Matka i córka wymieniły zdumione spojrzenia; Jess zamknęła drzwi i popędziła za szczeniakiem.

- Chewie! Chewie! Chodź, Chewie!

Zniknęła w hallu i w chwilę potem Grace usłyszała tupot jej nóg na schodach. Zaintrygowana zamknęła zmywarę i skierowała się ku tylnym drzwiom. Tony jest na podwórzu...

Nie zdążyła przejść więcej niż trzy kroki, kiedy drzwi otworzyły się. Odetchnęła z ulgą: jak dobrze, że Tony jest już w domu! I nagle zamarła. W progu wcale nie pojawił się Tony. Przed nią stał młodzieniec może siedemnastoletni, w czapce baseballowej z emblematem „Byków”, w czarnej kurtce ortalionowej i džinsach. Był krępej budowy ciała, miał nieco ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, krótkie czarne włosy i szeroką twarz pokrytą krostami.

W rękę trzymał lśniący pistolet wycelowany prosto w jej serce.

Domyśliła się natychmiast, kim jest ten chłopak. Krew zastygła jej w

żyłach, serce skurczyło się gwałtownie i chociaż próbowała zaczerpnąć powietrza, płuca odmówiły posłuszeństwa.

- Synu... - jęknęła. Zakryła usta dłonią, bezwiednie wyciągając ku niemu drugą rękę, jakby prosiła o wybaczenie.

Groza chwili, przewrotność losu, który zwrócił jej porzuconego niegdyś syna, ale w taki sposób - tego wszystkiego spodziewała się podświadomie, odkąd ujrzała te zakreślone horoskopy. A może nawet zaczęła się tego spodziewać wcześniej, może już wtedy, kiedy wydała go na świat, a potem odrzuciła, może już tamtego dwudziestego pierwszego stycznia wiele lat temu?

Nadszedł wreszcie moment kary.

Chłopiec spojrzał na nią z szyderczym uśmiechem, wszedł do kuchni i ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

- Witaj, mamusiu - powiedział niskim, ochrypłym głosem.

To głos mego syna, pomyślała oszołomiona. Nie słyszała go nigdy przedtem. Patrzyła na swojego syna, wsłuchiwała się w jego głos, głos człowieka, który przyszedł ją zabić. Wiedziała, że na to zasłużyła. Musi ponieść karę za to, co zrobiła. Nie będzie nawet próbowała uciekać.

Podszedł bliżej z bronią wycelowaną w jej brzuch.

- Mamusiu, tatuś leży tam na podwórzu z rozłupaną głową. Wasz pies też. Wielka szkoda!

Tony. Och, nie! Tony nie zrobił nic złego! Nie zasłużył na śmierć. To tylko jej wina, nikogo innego! Tylko ona powinna zapłacić za...

Brutalnie chwycił ją za ramię ręką, w której nie trzymał broni, jego krótkie palce bezceremonialnie wbiły się w jej ciało w sposób, który sprawiłby jej ból, gdyby była jeszcze w stanie odczuwać fizyczny ból. Ale jej ciało było odrętwiałe z szoku.

Podniosła wzrok na jego twarz. Tak jak się spodziewała, miał niebieskie

oczy.

- A gdzie moja mała siostrzyczka?

Jessica. Przyszedł także po nią. Nie. Nie...

- Nie! - krzyknęła. Zelektryzowana strachem o córkę odepchnęła go z całych sił, a on, zaskoczony jej reakcją, zatoczył się do tyłu. Grace obróciła się na pięcie i puściła się pędem w stronę schodów.

- Mamo? - zawołała z góry Jessica. Schodziła właśnie na dół.

- Uciekaj, Jess, uciekaj! - zawołała Grace, biegnąc jej naprzeciw.

Jej strach błyskawicznie udzielił się dziewczynie. Zmieniona na twarzy stanęła jak wryta, a potem, przeskakując po dwa stopnie naraz, skierowała się na górę. Grace biegła za nią. Była już niemal na piętrze, kiedy usłyszała go za sobą. Obejrzała się: stał w hallu i celował w jej plecy.

- Mamo! Mamo! Tutaj! - Jessica była już w swojej sypialni, przytrzymała drzwi, czekała na nią...

Pistolet wypalił. Pocisk ze świstem przeleciał koło ucha zmartwiałej Grace i z trzaskiem przypominającym pacnięcie dłonią wbił się w ścianę. Odgłos wystrzału odbił się jej w uszach donośnym echem.

Jessica krzyknęła; niemal równocześnie zabrzmiał jeszcze jeden krzyk i Grace uprzytomniła sobie, że to ona krzyknęła. Rozpaczliwym zrywem dopadła progu, wbiegła do sypialni. Jessica zatrasnęła za nią drzwi i przekręciła klucz w zamku.

To mogło powstrzymać go tylko na krótką chwilę; Grace wiedziała o tym dobrze.



## Rozdział czterdziesty siódmy

Deszcz. Pada deszcz. To była pierwsza myśl, jaka przyszła mu do głowy, kiedy poczuł na twarzy zimne krople wody. Otworzył oczy i czym prędzej zamknął je z powrotem pod wpływem ostrego bólu. Cała prawa strona głowy zdawała się płonąć żywym ogniem.

Znowu poczuł na twarzy te lodowate krople wody. Zacisnął zęby i ponownie otworzył oczy. Była noc, księżycowa pogodna noc bez jednej chmurki na niebie. Ciepła noc, tylko lekki wiatr szeleścił w liściach zaścielających ziemię. Więc skąd ten deszcz?

Podniósł wzrok, spojrzął w górę. Nad ciemnym okapem dachu garażu majaczyły splątane gałęzie niemal zupełnie już pozbawionego liści dębu. Krople ściekały najwidoczniej z korony drzewa. Ale przecież od paru dni nie było żadnego deszczu, skąd więc ta wilgoć na drzewie? I dlaczego krople padają akurat na niego?

Myślenie sprawiało mu ból. Zamknął oczy i z ulgą zapadł znowu w stan nieświadomości.

Stłumiony dźwięk, jakby strzał z tłumika w samochodzie lub pękające ognie sztuczne, przerwał ten błogi niebyt, wdzierając się do jego umysłu i zmuszając go, aby mimo przenikliwego bólu głowy postarał się zebrać myśli.

To strzał z broni palnej! Identyfikację dźwięku umożliwił nagły impuls z odległych zakamarków pamięci.

Prawie jednocześnie odezwał się strach.

Strach to coś namacalnego, zimnego jak stal, ostrego jak nóż tnący ciało; przekonał się o tym właśnie teraz. Czuł, jak ów strach sadowi się w jego sercu.

Moje dziewczynki. Te dwa słowa wpadły mu do głowy. Dwa mgliste

obrazy kobiety z dziewczyną. Pierwszą parę tworzyły młoda ładna brunetka i czarnowłosa szkrab o dużych udręczonych oczach. Okryła je ciemność, jego zaś ogarnęło bolesne poczucie straty. Druga para, kobieta o krótkich włosach przetykanych jasnymi pasemkami i niebieskich zatroskanych oczach oraz uderzająco podobna do niej bardzo szczupła nastolatka, pozostała w jego wyobraźni, chociaż im również zagrażała już zachłanna ciemność; takie przynajmniej odniósł wrażenie.

Moje dziewczynki,

Odgłos wystrzału.

Nagle wróciła mu pamięć. Syn Grace. Martwy chomik. Tort. Napis na lustrze. Pluszowy miś. Spieprzył sprawę, gdyż wierzył, że dzieciak nie jest groźny. Ten dzieciak jest teraz tutaj, w tym domu, wraz z Grace i Jess. I chce je zabić.

Poruszył się i natychmiast ból eksplodował mu w głowie. Nie, nie wolno mu dać za wygraną. Przeturlał się na bok. Musiał dostać się do domu i zapobiec temu, co ma się tam stać, zanim będzie za późno. Zanim Grace i Jess pochłonie ta sama ciemność, która odebrała mu Rachel.

Rachel. Prawie ją widział. Przez chwilę jej obraz wydawał mu się tak realny, jakby naprawdę stała przed nim w tym mroku i patrzyła na niego. Widział delikatną drobną twarz, bladą i naznaczoną chorobą, szerokie, lekko uśmiechnięte usta, długie czarne włosy, nieco rozwiane na wietrze, białą luźną suknię; tę samą, w której została pochowana. Spoglądała na niego i zdawała się wyciągać do niego rękę, jakby chciała pomóc mu wstać.

- Rachel? - wykrztusił, ale ona oczywiście nie odpowiedziała, bo przecież jej tu nie było.

Tony nie wiedział potem, jak udało mu się wstać, ale jednak dokonał tego, dopingowany przez stojącą przed nim postać. Kiedy stanął wreszcie na nogach, zachwiał się, zatoczył na ścianę garażu, jednak ani na chwilę nie oderwał wzroku

od córki, mimo że w głowie wybuchały mu setki granatów. Ale ból, choć okropny i coraz trudniejszy do zniesienia, można było ignorować, gdyż Rachel stała przy nim. Jej postać stawała się z każdą chwilą bardziej zamazana, nie wiedział, od bólu czy raczej łez, a potem zniknęła w ogóle. Tak jakby się rozplynęła w powietrzu. Jakby jej tu nigdy nie było. Bo rzeczywiście nie było. Wiedział o tym, a jednak przez krótką chwilę mógłby przysiąc...

Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, nie miał czasu szukać Rachel ani jej oplakiwać. Musi dostać się do domu. Ta jedna natrętna myśl powstrzymywała go przed ponowną utratą świadomości. Stawką było życie Grace. Grace i Jess.

Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że mógłby utracić choćby jeszcze jedną osobę z tych, które kochał.

Odepchnął się od ściany garażu niczym pływak od brzegu basenu i na chwiejnych nogach ruszył w stronę domu. Parę kroków dalej dostrzegł nieruchomą Kramer, przemknął wzrokiem po jej beżowobiałej sierści, nie przystanął jednak nawet na chwilę, aby sprawdzić, czy pies jeszcze żyje. Zbliżając się do drzwi, sięgnął po broń, którą zawsze nosił za paskiem dżinsów na plecach, i nawet nie zdziwił się zbytnio, kiedy dłoń namacała pustkę. To jasne, chłopak zabrał mu pistolet.

Syn Grace.

Na pewno nie chciałyby, aby zabił jej syna, ale może będzie musiał to zrobić.

Boże, nie mógł nawet normalnie chodzić. Czymkolwiek uderzył go ten chłopak, rana była z pewnością dość ciężka. Czuł ciekącą po twarzy krew, ciepłą i lepłą, o obrzydliwym słodkawym zapachu, który rozpoznał natychmiast.

Trzy klamki zamiast jednej... Skupił się, wyężając wzrok, i chwycił tę środkową. Bingo!

Naciśnięcie klamki kosztowało go tak wiele trudu, że w jednej chwili oblał

go zimny pot.

A jednak drzwi otworzyły się, a on wszedł do kuchni, patrząc bezsilnie, lecz tak obojętnie na duże czerwone krople własnej krwi rozpryskujące się na podłodze, jakby nie była to jego krew. Z piętra dobiegał go rytmiczny hałas, kojarzący się z uderzeniami w jakiś gigantyczny bęben. Bum... przerwa - jeden, dwa, trzy - bum... przerwa - jeden, dwa, trzy - bum...

Chłopak próbuje wyważyć drzwi. Grace i Jessica musiały się zamknąć w sypialni. Całe szczęście. To daje mu trochę czasu. Był zbyt osłabiony, aby wejść na górę i załatwić sprawę po swojemu. Poruszał się z trudem, widział wszystko jak przez gęstą mgłę.

Pokój stołowy. W szafie jest centralka systemu alarmowego z klawiszem wzywającym na pomoc, tam schował broń Grace. A naboje położył na gablotce. Najważniejsze teraz to nie stracić przytomności, dojść jakoś do stołowego...

Świat wirował mu przed oczyma. Podłoga i ściany przechylały się ryzykownie; miał wrażenie, że uczestniczy w scenie tanecznej tego starego filmu, w którym Fred Astaire stepował beztrąsko, poruszając się równie pewnie po podłodze, jak i po ścianach i suficie.

Z zaciśniętymi zębami - Boże, co za ból! - i resztkami sił Tony przeszedł z kuchni do stołowego. Chwycił się krawędzi stołu, kiedy nogi znowu ugięły się pod nim, i zaczerpnął głęboko powietrza. Płuca przeszył ból ostry jak nóż. Pewnie ma połamane żebra. Nieźle urządził go ten chłopak...

Dureń, zganił sam siebie z goryczą. Tak, nie zachował należytej ostrożności! Skierował się w stronę szafy w kącie pokoju.

Z góry nadal dobiegały rytmiczne uderzenia.

Spróbował przekręcić gałkę od drzwi szafy, ale dłoń była śliska od krwi. Wytarł ją o dzinsy i spróbował ponownie. Gałka ustąpiła w końcu, zdołał otworzyć drzwi szafy i omal nie zatoczył się na ścianę, gdzie zamontowano klawiaturę.

Przycisk alarmowy był zabezpieczony plastikową osłoną. Tony oparł się ciężko o ścianę i szarpnął za osłonkę.

W tym momencie usłyszał trzask pękającego drewna. I krzyki, przeraźliwe krzyki. Grace, Jessica. Chłopak wdarł się do sypialni!

Palce odnalazły i przycisnęły klawisz alarmu. Raz, drugi, trzeci. Potem, zbierając umykające szybko siły, Tony sięgnął ręką na półkę, gdzie ukrył pistolet.

## Rozdział czterdziesty ósmy

Jessica była już za oknem, kiedy drzwi otworzyły się z ogłuszającym trzaskiem i do pokoju wpadł syn Grace. Chewie, ze zwieszonym nisko ogonem i zjeżoną na grzbiecie sierścią, zaszczeakał histerycznie.

Jessica krzyczała na dachu.

- Uciekaj, Jess! - zawołała Grace. Zamiast wydostać się za córką na zewnątrz, zatrzasnęła okno i odwróciła się twarzą do syna. Aby dotrzeć do Jess, musiał najpierw poradzić sobie z nią.

Przy łóżku paliła się lampa. Za oknem panowała piękna spokojna noc, rozjaśniona przez gwiazdy i poświatę księżyca. Jessica na pewno przejdzie po dachu dalej, uratuje się...

Chewie ujadł niestrudzenie, z furją.

- Mam cię, mamusiu! - zawołał jej syn, przekrzykując szczekanie psa. Wycelował w nią, a ona poczuła, jak jej serce skoczyło gwałtownie w piersi. Nie chciała umierać...

Rzuciła się na podłogę w tej samej chwili, gdy on pociągnął za spust. Pocisk uderzył w ścianę, tam gdzie stała jeszcze przed sekundą. Tynk rozpekł się na boki, drobne okruchy plasnęły ją w policzek. Chewie z żalnym skowytem dał nura za różowy fotel Jess. Grace żalowała, że nie może znaleźć tak łatwego schronienia jak on. Łóżko stanowiło tylko chwilową osłonę, zaledwie na parę sekund, za chwilę on ją dopadnie, a wtedy...

Zabije ją. Ale co się potem stanie z Jess? Craig nie zechce przyjąć jej pod swój dach. Tylko że on jest w końcu jej ojcem. Jessica pójdzie do niego, nieszczęśliwa i pełna uraz nie do zniesienia. Czyżby ten cały dziwaczny cykl miał się teraz rozpocząć od nowa?

Boże, błagam, nie!

Na ścianie, gdzie uderzył pocisk, ujrzała cień, który rósł w oczach. Chewie znowu zaczął ujadać histerycznie. Grace chciała wczołgać się pod łóżko, okazało się jednak zbyt niskie. Nie miała się gdzie skryć.

Oddychała nerwowo, płytko, serce tłukło się w piersi jak oszalałe, oblał ją zimny pot, kiedy odwróciła się, aby spojrzeć w oczy własnemu dziecku. A poprzez niego w oczy śmierci.

Z zapartym tchem patrzyła na niego, kiedy obszedł łóżko i zaczął zbliżać się do niej. Na jego twarzy widniał ni to grymas, ni to uśmiezek, w oczach czaiło się coś, co odczytała jako nienawiść. Bezradna leżała na miękkim różowym dywanie u jego stóp, patrząc na niego, kiedy celował w jej pierś. Zaraz pociągnie za spust, a ona zginie w huku wystrzału, przy akompaniamencie jazgotu psa rozbrzmiewającego jej w uszach.

Nieoczekiwanie, tak jakby w jej głowie rozpoczęła się projekcja filmu w przyspieszonym tempie, pamięć podsunęła sceny z dnia jego narodzin. Lęk, ból, płacz noworodka. Podobnie jak Jessica, był jej dzieckiem. Jej dzieckiem z krwi i kości. Jej synem.

A teraz chce ją zabić.

Jessica. Okno za jego plecami uchyliło się powoli, bezszelestnie, i Grace ujrzała najpierw stopę córki, a potem jej nogi w workowatych, postrzępionych nad tenisówkami dzinsach.

Odgadła zamysł Jess: wróciła, aby jej pomóc. Wślizgiwała się właśnie przez okno...

Kochany Chewie! Jego histeryczne szczekanie zagłuszało wszystkie inne dźwięki.

- Tak naprawdę nie chcesz tego zrobić - odezwała się głośno do syna, aby skupić jego uwagę na sobie. Napięcie nerwowe opadło z niej nagle, już nie bała się śmierci, lękała się jedynie o Jess, która znajdowała się teraz w sypialni razem z nimi. Nie dopuści do tego, aby on zabił Jess!

- Jasne, że chcę, mamusiu. Przez ciebie mam zmarnowane życie. Nie wiedziałaś o tym? Tak, zmarnowałaś mi życie. Mały braciszek. Gorszy od starszego. Nie taki jak tamten. To o mnie, zawsze. I ty jesteś temu winna!

- Żałuję, że tak się stało - szepnęła Grace.

Mówiła w tej chwili szczerze. Patrzyła to w lufę pistoletu, to w twarz swego syna i modliła się w duchu, aby Jessica wymknęła się z tego pokoju i zostawiła ją tu, zdaną na łaskę losu. Na taki wyrok losu, na jaki zasłużyła.

Wiedziała jednak, że Jessica nie zostawi jej tu samej.

- Na żal jest już za późno - powiedział chłopiec. Wyciągnął rękę i wycelował. - Zresztą nie mam już czasu na takie rozmowy. Muszę jeszcze dopaść moją siostrzyczkę. Jeśli wyjdę stąd odpowiednio szybko, złapię ją, kiedy będzie schodziła na ziemię po drabince, tak jak zrobiła to kiedyś. A więc powiedz dobranoc, mamusiu.

Grace, zdrętwiała z trwogi, miała wrażenie, jakby to wszystko odbywało się

w zwolnionym tempie. Krzyknęła i przeturlała się pod ścianę w tej samej chwili, kiedy za jego plecami mignęło coś niebieskiego. Jessica! Jej wzrok uchwycił rękę córki; ścisnęła w dłoni coś, co uniosła wysoko nad jego głowę i gwałtownie opuściła na plecy. Zaskoczony krzyknął wniebogłosy, broń eksplodowała, pocisk uderzył w dywan centymetr od twarzy Grace, on natomiast chwycił się za plecy i odwrócił. Broń upadła na podłogę.

Teraz, kiedy stał zwrócony do niej tyłem, Grace ujrzała igłę strzykawki, tkwiącą u nasady, jego karku.

Jessica wbiła mu w plecy swoją igłę od insuliny.

- Ty dziwko! Pieprzona dziwko! - krzyknął chłopak.

Jedną ręką wyciągnął igłę, drugą pochwycił Jess. Dziewczyna pisnęła i wbiła paznokcie w jego twarz. Zza fotela wyskoczył Chewie; zdopingowany krzykiem Jess, rzucił się z zębami na nogawkę dzinsów napastnika, ale chłopiec pozbył się go jednym kopnięciem i pies ze skowytem poleciał pod ścianę. Jessica krzyknęła, ale ten krzyk przerodził się w zduszony charkot, kiedy chłopak zacisnął dłonie na jej szyi.

Grace chwyciła pistolet leżący na podłodze i strzeliła. Wszystko odbyło się w jednej sekundzie; nie było czasu do namysłu. Rozległ się huk wystrzału i przez chwilę mogłoby się wydawać, że to scena z jakiejś sznurowatej sztuki: Jessica, z wybałuszonymi oczyma, z trudem łapiąc oddech, próbuje oderwać dłonie od swojej szyi; chłopak dusi ją, klnąc z furją; Grace leży na wznak na dywanie, ściskając w dłoniach pistolet. A potem na czarnej kurtce chłopca, na samym środku pleców, zakwitła czerwona plama i poczęła się rozszerzać.

Powoli, bardzo powoli jego palce zwiotczały, ręce zsunęły się z szyi dziewczyny, a on sam jak ścięte drzewo runął na dywan. Jeszcze przez chwilę nikt się nie ruszał. Ostatnie echa krzyku Jess i wystrzału przebrzmiały.

Grace, sunąc na czworakach, przypadła do syna.



## Rozdział czterdziesty dziewiąty

Wszystko to odbyło się na oczach Tony'ego, który stał oparty ciężko o framugę drzwi. Z bronią w ręku zjawił się na progu sypialni ułamek sekundy po wystrzale, w momencie, kiedy chłopak padał na podłogę.

Z miejsca, gdzie stał, Tony nie widział Grace i serce zamarło mu z lęku. Potem ujrzał ją, wyłaniającą się zza łóżka; niemal czołgając się, dopadła chłopca i z twarzą białą jak śnieg obróciła go na wznak.

Jessica kucnęła obok matki i objęła ją ramieniem, a Grace powiedziała coś do niej, przykładając jednocześnie chłopcu poniżej ucha dwa palce. Bada mu puls, domyślił się Tony.

Teraz, gdy wiedział, że nie jest już potrzebny, osunął się na kolana, z ręką nadal na framudze, aby nie upaść twarzą na podłogę. Nie wiadomo skąd zjawił się przy nim Chewie; utykał na trzech łapach, lewą tylną trzymał sztywno nad podłogą, a jednak merdał lekko ogonem.

Tony nie miał odwagi oderwać ręki od framugi, aby pogłaskać psa, który obwąchiwał go niepewnie, przypominając o biednej Kramer. Jessica podniosła na niego wzrok i po wyrazie trwogi, jaki pojawił się natychmiast na jej twarzy, Tony domyślił się, że nie stanowi teraz miłego widoku.

- Mamo, spójrz na Tony'ego! - jęknęła dziewczyna. Skoczyła na równe nogi i podbiegła do niego.

Po chwili stała przy nim także Grace. Obie ujęły go pod ramiona i ułożyły ostrożnie na dywanie. Grace wyjęła mu z dłoni pistolet i rzuciła na półkę obok.

- Przynieś mi ręcznik - poprosiła córkę.

Jessica, blada jak matka, skoczyła na równe nogi.

- Boże drogi, Tony!

Dłonie Grace w czułym geście zmierzwiły mu włosy, a potem przesunęły się chyba na twarz, ale tego nie był pewien - cała prawa strona głowy była bez czucia. Jessica wróciła do pokoju z ręcznikiem i Grace przyłożyła go do głowy Tony'ego tuż nad prawym uchem.

- Jak dużo krwi... - szepnęła z lękiem Jessica, nie odrywając od niego wzroku.

- Wszystko będzie w porządku. Rany głowy zawsze krwawią tak mocno - odparła Grace ostrym tonem, jakby słowa córki nie przypadły jej do gustu.

W oddali rozległ się dźwięk syreny. Przybywała odsiecz - trochę późno, ale na pewno się przyda.

- Czy któraś z was jest ranna? - zapytał z trudem Tony.

- Nic nam się nie stało. I z tobą też będzie wszystko w porządku - odparła Grace, przyciskając mocniej ręcznik do jego głowy.

Po spojrzeniach, jakie obie wymieniły, domyślił się, że ostatnie słowa dyktował jej chyba nadmierny optymizm.

- Kocham cię - powiedział, bojąc się, że nie będzie miał potem okazji do złożenia takiego wyznania.

Chciał ująć jej rękę, ale nie starczyło mu sił. Przypomniawszy sobie, że tę rozmowę chciał przeprowadzić z nią dziś wieczorem. Wyobrażał ją jednak sobie trochę inaczej: raczej w romantycznej scenerii księżycowej i z pocałunkami niż wśród krwi.

Uśmiechnęła się i nachyliła, aby pocałować go delikatnie, nie sprawiając bólu.

- Ja też cię kocham - odparła. Wyprostowała się i mocniej przycisnęła ręcznik do rany na głowie.

Jessica, która stała za nią, obserwowała ich i przysłuchiwała się rozmowie z

szeroko otwartymi oczyma. Tony napotkał jej wzrok. Chciał uśmiechnąć się do niej, ale uniemożliwiła mu to kolejna fala dotkliwego bólu. Przez chwilę dziewczyna wpatrywała się w niego, potem mrugnęła, obdarzyła go uśmiechem i za plecami matki w geście uznania uniosła dłoń z kciukiem do góry.

Z dołu dobiegło ich pukanie do drzwi.

- Kawaleria z odsieczą - mruknął Tony.

Grace kiwnęła głową.

- Wpuść ich - poprosiła córkę.

## Rozdział pięćdziesiąty

Tym, co długo jeszcze po tej nocy pozostało Grace w pamięci, były tłumy policjantów, dwa ambulanse i garstka sąsiadów na trawniku przed domem. Kramer, znaleziona obok garażu, żywa, lecz ciężko pobita, przewieziona potem do weterynarza. Narzędzie użyte przez napastnika, metalowa łyżka do opon zabrana z garażu, leżące obok psa i umazane zakrzepłą krwią. Ciało znalezione w pobliżu: zwłoki kobiety owinięte plastikowymi workami na śmieci. I jeszcze morze świateł, błyski kamer oraz pytania, setki pytań.

Jej syn, ciężko ranny, lecz żywy, odjechał ambulansiem w asyście policji. W drugim ambulansie znajdował się Tony, półprzytomny. Kurczowo ścisnął dłoń Grace, dopóki nie oderwali go od niej siłą; nie pozwolono jej towarzyszyć mu w drodze do szpitala. Obie z Jess pojechały za nim swoim volvo. Ironia losu sprawiła, że Tony i jej syn zostali przewiezieni do tego samego szpitala i skierowani na ten

sam oddział chirurgiczny. Rokowania były pomyślne, przynajmniej dla Tony'ego.

Po chwilowym zamieszaniu Grace i Jessica zostały w poczekalni oddziału same.

- Mamo... - zapytała Jess. - Dlaczego on nazywał cię mamusią?

Nie od razu doczekała się odpowiedzi. Grace musiała zastanowić się najpierw, czy wyznać jej prawdę. Dla dobra córki starała się zawsze, aby wszystko w ich życiu i domu było bez zarzutu. Czy wolno jej teraz tak nagle zburzyć to wszystko?

A jednak nie mogła postąpić inaczej. Jessica zasługiwała na to, aby poznać prawdę od niej, a nie z gazet lub telewizji, albo - co byłoby jeszcze gorsze - z ust plotkarek.

Opowiedziała jej więc o wszystkim. Wyznała całą prawdę, bez owijania w bawełnę. A potem, jak wtedy z Tonym, czekała na werdykt osoby, którą kochała.

- To straszne - szepnęła Jessica po długiej chwili milczenia. - Dlaczego nigdy mi o tym nie mówiłaś? Musiałaś się czuć okropnie!

W jej niebieskich oczach, tak bardzo podobnych do swoich, Grace dojrzała miłość.

- Jess - szepnęła, tuląc ją do siebie - jesteś niesamowita!

- Wiem.

Dziewczyna uściskała ją, potem puściła i odsunęła się trochę. Wyglądało na to, że coś nie daje jej spokoju. Grace czekała w napięciu.

- Tony wie? - zapytała Jessica.

Grace odetchnęła z ulgą i kiwnęła głową.

- Och. - Jessica zdawała się rozważać coś w myślach bardzo intensywnie. Potem skierowała na matkę przenikliwy wzrok. - Spotykaliście się, ukrywając to przede mną, prawda?

Grace, nieco zakłopotana, wzruszyła ramionami.

- W pewnym sensie. Może „spotykać się” to określenie niezbyt ściśle, ale...

- Ależ z niego numer! - mruknęła Jessica z urazą w głosie. - A mnie nie powiedział ani słowa!

Grace, zaskoczona, wpatrywała się w nią w milczeniu.

- Zapytałam go, czy nie myślał nigdy o tym, że moglibyście się spotykać - kontynuowała Jessica - a on odparł, że... że... nie pamiętam dokładnie co, ale na pewno nie powiedział, że się już spotykacie!

- Nie masz nic przeciw temu?

- O, właśnie o to zapytał mnie wtedy Tony! - zawołała triumfalnie Jessica, przypominając sobie wreszcie tamtą rozmowę. Spojrzała na matkę i pokręciła głową. - Według mnie to fantastyczny facet. Prawdę mówiąc, poprosiłam go, aby się z tobą ożenił.

- Co?!

- Och, mamo, nie złość się, nie masz o co. Przecież słyszałam na własne uszy, jak mówiłaś mu, że go kochasz. A on powiedział to samo tobie.

Grace jeszcze wpatrywała się w nią oniemiała, kiedy do poczekalni wszedł Dominik.

- Gdzie Tony? - zapytał bez wstępu.

- Właśnie go operują - powiedziała Grace. Wstała. - Lekarze mówią, że jego życie nie jest zagrożone, ale rana wygląda na bardzo poważną. Ma rozciętą głowę na długość dłoni i prawdopodobnie pękniętą podstawę czaszki.

- Jezu! Jak to się stało?

Grace opowiedziała mu o wszystkim, łącznie z tożsamością sprawcy. Nie chciała w swoim życiu więcej sekretów; wystarczy ten jeden, za który ktoś już zapłacił życiem.

Jej syna, znanego obecnie jako Matt Sherman, po wyjściu ze szpitala czekało w najlepszym razie więzienie. Ciało znalezione na podwórzu

zidentyfikowano jako jego matkę, Sylwię Sherman. Zabił ją, strzelając z bliska w twarz z broni dużego kalibru. Zabił więc swoją przybraną matkę, która adoptowała go przed laty, a potem zakradł się do domu Grace, swojej biologicznej matki, aby zabić również ją.

Grace wiedziała, że groza tego, co się wydarzyło, będzie towarzyszyć jej już do końca życia, podobnie jak wyrzuty sumienia. Była jednak szczęśliwa, bardzo szczęśliwa, że nie udało mu się zabić Jess, Tony'ego ani jej. Teraz mieli już po co żyć.

Stopniowo schodziła się reszta rodziny Marino; niebawem zgromadzili się wszyscy, od Mary i Rosy aż po najmłodszego z braci, Robbiego. Gwar osiągnął poziom hałasu.

Kiedy w poczekalni zjawili się dwaj mężczyźni spoza rodziny, Grace prawie zrobiło się ich żal. Nie byli do siebie podobni, ale odniosła wrażenie, że to ojciec i syn. Zwróciła uwagę na nienaturalną błądź ich twarzy oraz podpuchnięte oczy młodszego. Ojciec miał na sobie niemodny granatowy garnitur, a jego syn, młodzieniec mniej więcej dwudziestoletni, dzinsy i sweter. Cały czas trzymali się z dala od innych, w kącie obszernej poczekalni, która teraz, wypełniona członkami rodziny Marino, nie wydawała się tak duża.

Jakieś piętnaście minut po przybyciu obu mężczyzn do poczekalni wszedł lekarz.

- Donald Sherman? - zawołał.

Grace, świadoma już, kim są tamci dwaj, wlepiała w nich wzrok, osłupiała z wrażenia. Byli to przybrany ojciec i przybrany brat jej syna.

Ojciec wstał i podszedł do drzwi, za nim ruszył syn. Właśnie on przyciągnął uwagę Grace. Przypominał jej kogoś, ale w tym momencie nie potrafiłaby powiedzieć kogo. Był wysoki, o szczupłej wysportowanej sylwetce, zupełnie niepodobny do przybranego brata. Blond włosy miały dziwnie znajomy,

jasnokasztanowaty odcień.

Kolor włosów Jess. I jej własnych z okresu przed pasemkami.

Grace wstała, pozostawiając Jess zajętą rozmową z Dominikiem, i podeszła do mężczyzn, którzy rozmawiali jeszcze z lekarzem.

- ... dosłownie o milimetr ominął aortę - mówił właśnie lekarz. - Miał dużo szczęścia, że jeszcze żyje.

- Może to niedobrze, że przeżyje - mruknął posepnie Sherman.

- Tato - zaproponował syn, ujmując go za ramię.

- Boże, Donny, on zabił twoją matkę...

- On jest chory, tato. Nie wiedział, co robi.

Do lekarza podeszła pielęgniarka, szepnęła mu coś na ucho.

- Odzyskał przytomność i chciałby z panem porozmawiać - powiedział lekarz.

Sherman potrząsnął głową.

- Nie mógłbym zamienić z nim nawet słowa.

- Tato - wtrącił się Donny. - Nie możemy zostawić go w takim momencie.

Właśnie teraz jesteśmy mu bardziej potrzebni niż kiedykolwiek.

Sherman spojrzał na syna i ponownie potrząsnął głową.

- Zawsze byłeś dla niego dobrym bratem, jakiego można sobie tylko wymarzyć. Cokolwiek się stało, nie jesteś niczemu winien. Byłeś najlepszym synem, jakiego można mieć.

- Tato, proszę...

- Już dobrze, niech będzie. Robię to dla ciebie.

Skinął głową lekarzowi i wraz z synem skierował się w stronę sali, gdzie leżał Matt.

Grace, jak urzeczona, poszła za nimi.

Przez dwadzieścia minut, które wydały się jej wiecznością, kręciła się po

korytarzu, czekając, aż wyjdą. Kilkakrotnie mijala ją pielęgniarka i obrzucała zaciekawionym spojrzeniem, ale nie odezwała się nawet jednym słowem. Kiedy w końcu ojciec z synem wyszli od Matta, Grace stała przy tablicy ogłoszeniowej, studiując rozkład pomieszczeń szpitalnych. Starala się nie karmić złudnymi nadziejami. To przecież niemożliwe... Podobieństwo fizyczne to czasem tylko złudzenie...

- Panie Sherman! - zawołała i podeszła do niego, nie mogąc dłużej znieść tego napięcia. Wyglądał na zszokowanego, jego syn był biały jak trup. - Jestem Grace Hart. Sędzia Grace Hart. Chłopak, który tam leży... to znaczy... on wtargnął właśnie do mojego domu. Tam, gdzie znaleziono potem pana żonę. - Nabrała głęboko tchu. Widziała teraz wyraźnie oczy Donny'ego. Niebieskie. I długi nos, z małym garbkiem pośrodku. Z trudem oderwała wzrok od jego twarzy. - Ja... bardzo mi przykro - zakończyła niepewnie.

Przez długą chwilę wszyscy troje po prostu wpatrywali się w siebie. Serce Grace waliło jak oszalałe. Nie potrafiła odrzucić tej iskiej nadziei.

- Mnie jest bardziej przykro - powiedział w końcu z widocznym trudem Sherman. - Matt... mój syn... próbował zabić panią i pani córkę. Nie wiem nawet, co powiedzieć.

- Kierowała nim zazdrość o mnie - dodał Donny takim tonem, jakby sam nie potrafił tego pojąć. - Tak się tłumaczył.

Jego ojciec skrzywił się z dezaprobatą, a potem spojrział Grace prosto w oczy.

- Jak przypuszczam, jest pani biologiczną matką mojego syna.

Omala nie jęknęła. Usłyszeć wypowiedzianą na głos prawdę, którą ona skrywała od tak dawna, w dodatku wypowiedzianą spokojnym tonem, jakby nigdy nic, to doprawdy zbyt wiele.

Donny przeszywał ją wzrokiem. Jedyne, co mogła zrobić, to skierować



spojrzenie na jego ojca.

- Jeśli... Prawdę mówiąc, sądziłam, że właśnie mój syn zaatakował moją córkę i mnie.

Sherman potrząsnął głową.

- Z olbrzymim żalem muszę stwierdzić, że Matt jest moim biologicznym synem. Swego czasu zdecydowaliśmy z żoną, że nie będziemy mieli dzieci, ze względu na... pewne problemy psychiatryczne, które miały miejsce w jej rodzinie i mogły, jak się obawialiśmy, być dziedziczne. Adoptowaliśmy więc Donny'ego, a rok później Sylwia przypadkowo zaszła w ciążę. Z Mattem. - Westchnął z goryczą. - Żona pomyślała, że Donny się ucieszy, mając młodsze rodzeństwo. Jej radość nie miała granic, kiedy się okazało, że to chłopiec. Tak bardzo pragnęła braciszka dla Donny'ego.

Ostatnie słowa Grace słyszała już jakby z daleka. Wpatrywała się w oczy swego cudem odzyskanego syna. Długo nie mogła wykrztusić nawet jednego słowa. On musiał czuć to samo, co ona, bo również milczał i tylko patrzył na nią.

- Witaj, Donny - wyszeptała w końcu.

Nie odpowiedział i Grace przygotowała się już na najgorsze. Ale po chwili Donny wyciągnął rękę.

- Ja... nie wiem, jak się mam zwracać...

- Grace - odparła natychmiast, podając mu rękę.

Mama to zbyt intymnie, zresztą dziecko powinno się zwracać tym słowem wyłącznie do jednej osoby na całym świecie. Matka Donny'ego nie żyła, zginęła zaledwie parę godzin wcześniej w okropnych okolicznościach, a on musi być tym wstrząśnięty i przybity. Za to ona jest jego matką biologiczną, on jest jej synem, zdrowym i całym, a ona trzyma go za rękę.

- Grace - powtórzył.

Zza załomu korytarza wyłonili się Dominik i Jessica.

- To moja córka - powiedziała Grace, kiedy oboje podeszli bliżej. - Jessica.

Fizyczne podobieństwo brata i siostry było wprost uderzające. Zauważyła to nawet Jessica; patrzyła na Donny'ego z widocznym zdumieniem.

- Witaj, Jessico - odezwał się, a Grace uznała, że jego przybrani rodzice... nie, jego rodzice nauczyli go nieskazitelných manier. - Miło mi cię poznać.

- To... to jest... - Grace omal nie powiedziała „twój brat”, ale to by sugerowało istnienie więzi nie tylko biologicznej. Nie chciała niczego narzucać ani działać zbyt spiesźnie. - To jest właśnie... Mówiłam ci o nim. To jego właśnie oddałam do adopcji dziewiętnaście lat temu.

- Mój brat? - wyszeptała Jessica bez tchu. Grace uśmiechnęła się mimo woli. Jess rzeczywiście potrafiła trafić w sedno. - To znaczy, że... ten, który się do nas włamał, nie jest...

Urwała taktownie, a Grace potrząsnęła tylko głową.

- Dzięki Bogu - powiedziała Jessica z rozbrajającą szczerością.

- Panie Sherman - odezwał się Dominik, podając rękę najpierw jemu, potem Donny'emu. - Jestem detektyw Dominik Marino. Po pierwsze, proszę przyjąć moje kondolencje z powodu straty żony. Wiem, że to ciężki moment dla pana i jego syna. - Zerknął przelotnie na Donny'ego. - O ile wiem, przeprowadził pan rozmowę ze swoim drugim synem. Czy może wyznał motywy swojego czynu? Dlaczego zabił pańską żonę?

Sherman odchrząknął.

- Donny, bądź tak miły, zaproponuj pannie... Jessica, czy tak?... krótki spacer po korytarzu, dobrze? - Odczekał chwilę, aż Donny, niezbyt zadowolony, ale posłuszny, odszedł z Jessica na bezpieczną odległość, a potem powiódł wzrokiem po Dominiku i Grace. - Nie ma potrzeby, abym mówił o tym przy nim. Matt... owszem, opowiadał o tym. On i moja żona nigdy nie mieli wspólnego języka, jakkolwiek byli... podobni do siebie pod każdym względem, nawet za

bardzo. Matt przyznał, że był zazdrosny o Donny'ego, bo sądził, że żona i ja kochamy bardziej jego. Zamierzał zabić moją żonę, mnie, panią Hart i jej córkę, a potem zrzucić winę na Donny'ego; jego zresztą też chciał zabić, ale dopiero po podpisaniu przez niego dokumentu, w którym przyznałby się do popełnienia tych morderstw. Podrzucił chyba nawet w pani domu - spojrzał na Grace - jakieś dowody obciążające Donny'ego. Nosił na przykład jego buty, aby policja znalazła potem ślady Donny'ego, zamierzał też zostawić u pani szklanę, z której pił Donny, kilka jego włosów...

- Mój Boże! Guma do żucia! - zawołała Grace. Machnęła ręką, kiedy Dominik i Sherman spojrzeli na nią pytającym wzrokiem. - Nieważne. Tony wie, o co chodzi.

- Jest jeszcze coś - mruknął Sherman posepnie. - Zależało mi zwłaszcza, aby Donny nie usłyszał tego, co teraz powiem. Dzięki Bogu wyszedł do toalety, kiedy jego brat wyznawał to... - Odetchnął głęboko. - Wygląda na to, że Matt zabił również dziewczynę Donny'ego; w ostatni weekend zaginęła i nie wróciła do tej pory. Nazywa się... nazywała się Caroline Staples. Jej ciało leży w suterenie pod 327 Maple w Upper Arlington.

## Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Tydzień później Tony wyszedł ze szpitala. Około siedemnastej trzydzieści, a więc po pracy, Grace przyjechała po niego. Jessica była do szóstej na treningu, a potem szła do Emily Millhollen i miała tam spędzić noc.

Dzięki temu mieli tę noc dla siebie. Szkoda tylko, pomyślała Grace, że Tony jest jeszcze zbyt osłabiony, by móc to wykorzystać. Jego głowę spowijał biały bandaż, który według niej wyglądał jak turban. Skrywał pęknięcie czaszki oraz dwie rany cięte; na jedną założono dwadzieścia szwów, na drugą trzynaście. Tony miał też dwa pęknięte zębra i spore siniaki po prawej stronie od czubka głowy do kostki.

Jego twarz, która w dzień po napadzie opuchła, przybierając rozmiary dyni, teraz wyglądała w miarę normalnie, jeśli nie brać pod uwagę rozcięcia na prawym policzku, które wymagało sześciu szwów, oraz podbitego oka, jeszcze w odcieniach fioletu i żółci.

- A więc w środę wybierasz się z Donnym na lunch? - zapytał Tony. Rozparty wygodnie na siedzeniu w jej szarym volvo, wyglądał na zadowolonego.

- Tak. Zadzwoił do mnie. - Grace uśmiechnęła się promiennie. - Powiedział, że chciałby poznać bliżej Jess i mnie.

- Wszystko się układa, co?

- Mam wrażenie, jakby zdjęto mi z pleców potwornie duży ciężar. To miły chłopak, Tony.

- Na to wygląda. Uważaj, miałaś tu skręcić!

Jechali do jego domu, żeby zabrać trochę rzeczy; miał zamieszkać u Grace, dopóki nie wyzdrowieje. Grace skręciła gwałtownie we wskazaną przez niego ulicę i uśmiechnęła się, gdy Tony z przerażoną miną chwycił się oparcia.

- Tchórz - rzuciła lekko, wychodząc z zakrętu.

- Czy ty w ogóle dasz mi kiedykolwiek poprowadzić?

Udała, że się zastanawia.

- Chyba nie.

Wzruszył ramionami.

- Tylko zapytałem.

Zatrzymała auto przed jego domem.

- Może jednak zaczekasz tu, a ja wejdę i spakuję ci to, co trzeba - zaproponowała, patrząc na niego z troską.

- Może nie jestem jeszcze w pełni sił, ale na pewno uda mi się wejść do domu - odparł sucho.

- W porządku.

Grace wysiadła z samochodu, to samo zrobił Tony, choć z większym trudem. Zapadał już zmierzch, w alejce za domem zapalały się latarnie. Na pokryte opadłymi liśćmi trawniki kładły się długie fioletowe cienie, wypierając resztki blasku dnia.

Tony stanął obok auta, z ręką na dachu, a Grace podeszła do niego, starając się, aby wyglądało to zupełnie naturalnie. Objął ją w pól i pozwolił pomóc sobie przejść chodnikiem.

- Hej, Tony! Jak tam, już lepiej?

Pani Crutcher. Musiała wypatrzeć z okna, jak podjeżdżają pod dom, gdyż czym prędzej wyszła na ganek.

- Tak, pani Crutcher, dziękuję.

- A co z psem... jak mu tam, zapomniałam... Wszystko w porządku?

- Kramer, pani Crutcher. W poniedziałek wyjdzie ze szpitala.

- Pewnie wystawią za niego rachunek nie mniejszy niż za ciebie - zachichotała.

- Pewnie tak.

- No cóż, uważajcie na siebie.

- I wzajemnie, pani Crutcher. Dobranoc.

- Dobranoc.

Podeszli już do ganku. Grace wzięła od Tony'ego klucze i otworzyła drzwi. Pani Crutcher odprowadzała ich wzrokiem.

- Ciebie nie zaskoczyłby tu żaden intruz - powiedziała z przekonaniem Grace i sięgnęła ręką do kontaktu na ścianie. - Nie sędzę, aby ktokolwiek zdołał przemknąć się tędy niezauważony przez twoją sąsiadkę.

- Nie chciałbym się znaleźć na miejscu tego, kto by podjął taką próbę - przyznał Tony. Pochwycił jej dłoń, nie pozwalając, by zapaliła światło.

- Tony... - zaprotestowała.

- Grace - odparł, przedrzeźniając ją żartobliwie, a potem nachylił się i zamknął jej usta pocałunkiem.

Wszystkie jej protesty, jakoby brakowało mu sił, kwitował zapewnieniami, że wcale tak nie jest. I demonstrował swą formę, na dowód, że nie są to tylko czcze przechwałki. Prawdę mówiąc, nie zdobył się na wiele więcej niż leżenie pośrodku łóżka na wznak, okazało się jednak, że i to może satysfakcjonować ich oboje. Rozebrała go, potem siebie, następnie zabawiała się rozpalaniem go, dopóki nie zaczął pojękiwać, a potem nagle przestała się śmiać. Miał wiele miejsc na ciele, które ze względu na odniesione obrażenia wymagały zachowania ostrożności, ale wkrótce ogarnęła ich tak płomienna żądza, że Grace zapomniała o wszelkich zakazach; nie ustawała, aż wokół niej eksplodował świat. Potem opadła na niego, zadyszana i nasycona.

Wtedy on jęknął, ale był to inny dźwięk niż lubieżne posapywanie, jakie słyszała jeszcze przed chwilą. Skrzywił się nieco z bólu, a ona, przypomniawszy sobie natychmiast, w jakim on jest stanie, sturlała się z niego.

- Och, Tony, tak mi przykro! - Sięgnęła ręką do nocnej lampki przy łóżku, zapaliła światło i spojrzała na niego ze skruszoną miną. - Wszystko w porządku?

- Chyba połamałaś mi ostatnie całe żebra i... - Urwał na widok jej przerażonej miny i roześmiał się. - Nic mi nie jest. Po prostu uraziłaś jakieś bolące miejsce, to wszystko.

- Nie powinniśmy byli... - zaczęła.

- Właśnie, że tak. A jeśli dasz mi minutę czasu, zrobimy to jeszcze raz. I jeszcze, i jeszcze. I...

- Co to, to nie. - Wyskoczyła z łóżka, wzięła się pod boki i spojrzała na niego z surową miną. Nadal był jej przystojnym Tonym, barczystym, o wąskich biodrach i długich nogach, ale biały bandaż na głowie i tułowi oraz siniaki na całym boku czyniły z niego dezentera z jakiegoś horroru. - Gdybyś mógł teraz siebie zobaczyć... Musisz wypocząć.

Powiódł po niej wzrokiem, a iskiereki, które zapaliły się w jego oczach, przypomniały jej, że jest naga. Chwyił ją za rękę, przyciągnął do siebie.

- Tony, nie.

- Tylko poleż przy mnie chwilę. Będę grzeczny, przyrzekam.

- Już ci wierzę!

- I znowu wychodzi z ciebie ta paranoidalna natura.

- Nie jestem paranoikiem.

- Zależy, jak na to patrzeć.

Ponownie pociągnął ją za rękę i tym razem mu uległa: Tony ułożył się na zdrowym boku, a ona, leżąc obok niego, oparła głowę na jego ramieniu. Jej dłoń spoczęła na jego ciele tuż nad warstwą białych bandaży opasujących klatkę piersiową, on natomiast udowodnił - bardzo rzetelnie i definitywnie - że ona wcale nie ma paranoidalnej natury, gdyż wszelkie podejrzenia, jakich nabrała dotychczas, okazały się słuszne, łącznie z tym dotyczącym jego prawdziwych intencji, gdy namawiał ją, aby położyła się przy nim.

Chciała mu to powiedzieć, nawet bardzo dobitnie, ale gdy wreszcie odzyskała oddech na tyle, aby móc go ofuknąć jak należy, rozbroił ją prostym, lecz niezwykle gestem: uniósł jej dłoń do ust i ucałował.

- Kocham cię - powiedział, spoglądając jej w oczy. - Wyjdiesz za mnie?

Aby skrócić to, co w rzeczywistości okazało się niezmiernie długą i

wyczerpującą fizycznie odpowiedzią, odparła:

- Tak.

Dochodziła już północ, kiedy zaczęli szykować się do wyjścia. Grace nalegała, że wyniesie do auta jego worek marynarski i Tony przystał na to. Po pierwsze dlatego, że żebra istotnie bolały go jak diabli (choć nie chciał się do tego przyznać), a po drugie dlatego, że chciał побыć przez chwilę sam.

Zostawiał oto przeszłość za sobą i z tego powodu czuł się trochę nieswojo. Wiedział, że nigdy nie przestanie kochać Rachel. Że ona zawsze, do końca życia, będzie jego częścią. Wiedział jednak również, że może znowu być szczęśliwy. Że życie może nadal oferować mu swe uroki, niczym miłe prezenty, które czekają tylko, by je rozpakować.

Jej fotografia leżała teraz w worku marynarskim, a on zrobił to, co uznał za najlepsze: wyszedł w ciepłą, wietrzną noc, aby pożegnać się z Rachel w jej ogródku. Za garażem latarnia uliczna rzucała na alejkę mglisty żółtawy blask, w którym roiło się od drobnych owadów. Wysoko na niebie wisiał księżyc widoczny zaledwie w czwartej części, otoczony setkami gwiazd, które iskrzyły się niczym brylanty na granatowym nocnym bezkresie. Znajdujące się znacznie bliżej trawa i opadłe liście u jego stóp wydawały się niemal czarne. W powietrzu poczuł jakąś nikłą dyskretną woń.

Róże?

Zmarszczył brwi, a potem otworzył szeroko oczy, kiedy spojrzał na różany ogród Rachel. Nie wierzył własnym oczom: ogród rozkwitł, był cały w kwieciu, każdy krzak zachwycał oko bujnymi białymi kwiatami.

W ciągu czterech ostatnich lat te krzaki nie wydały nawet pąków. A teraz kończył się już październik. Wprawdzie ciepły, jak przystało na babie lato, ale... róże w październiku?



Nie wierzył, że to możliwe, więc podszedł tak blisko, że mógł wyciągnąć rękę i dotknąć aksamitnych płatków.

Róże. W październiku!

Stał jak skamieniały, wpatrzony w róże Rachel, pięknie rozkwitłe tam, gdzie jeszcze tydzień wcześniej nie było nic prócz okrągłego poletka pełnego suchych, niemal bezlistnych łodyg i cierni.

Biała ćma wyłoniła się z mroku, lecąc wprost na niego. Instynktownie uchylił się, kiedy miękkie skrzydełka musnęły mu policzek.

Dotyk był lekki, jak delikatna pieszczota.

Z ulicy dobiegł go odgłos klaksonu. Grace. Powinien przyprowadzić ją tu, pokazać... Nie.

Jeśli jej pokaże, może mu powiedzieć, że przesadziła krzewy. Może wie, dlaczego one zakwitły. I okaże się, że nie ma w tym nic tajemniczego. Może użyła glebę, podlała kwiaty, zrobiła coś dla ich dobra. Jeśli tak było, wołał o tym nie wiedzieć. Lepiej uznać to za oznakę błogosławieństwa ze strony ukochanej córki.

Ostrożnie, bardzo delikatnie urwał jedną łodyżkę, powąchał słodko pachnący kwiat, po czym wsunął go do kieszeni swojej skórzanej kurtki. Kiedy przyjedzie do domu, zasuszy go w książce.

Uśmiechnął się; a więc dom Grace uważa już za swój.

Klakson odezwał się ponownie.

- Muszę iść - oświadczył na głos, nie zwracając się właściwie do nikogo.

Odwrócił się i poszedł w stronę ulicy, gdzie Grace czekała na niego za kierownicą volvo. Jutro wróci do domu Jessica i ta myśl dopełniała jego poczucie szczęścia. Moje życie zatoczyło pełny krąg, pomyślał. Jadę do domu, do moich dziewcząt. W ciemności za domem mała biała ćma wzbijała się radośnie w powietrze, lecąc bez lęku do światła.